

Romans, którego nigdy nie zapomnisz!

Kat Martin



Utracona
niewinność

Kat
Martin

Utracona niewinność

przełożyła
Anna Płocica

bis
Warszawa 2006

Tytuł oryginału:
Innocence Undone

Projekt okładki:
Olga Reszelska

Korekta:
Alicja Chylińska

By arrangement with MARIA CARVAINIS AGENCY Inc.
and PRAVA I PREVODI.
Translated from the English INNOCENCE UNDONE.
Copyright © 1997 Kat Martin

Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2006

ISBN 83-89685-77-9

Wydawnictwo BIS

ul. Łędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. (0-22) 877-27-05, fax (0-22) 837-10-84
bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Druk i oprawa: ARSPOL, Bydgoszcz

Rozdział 1



Anglia, 1798

T rzymaj się ode mnie z daleka, głupi bucu!
- Ty mała łobuzico! Ostrzegałem cię już setki razy! Teraz wreszcie dostaniesz to, na co zasługujesz!

Świeżo upieczony porucznik marynarki, Matthew Seaton, aż zacisnął szczęki ze wściekłości. Przed chwilą przekroczył próg swojej wiejskiej posiadłości, Seaton Manor, ubrany w nowiutki, lśniący jeszcze czystością oficerski mundur. No a teraz białe, idealnie dopasowane bryczesy pokrywały duże, błotniste plamy. Na wpół zgniłe jabłko pozostawiło na kołnierzyku granatowej marynarki mokrą, lepką smugę. I ta mała diablica zrobiła to umyślnie!

Matthew ruszył w jej stronę.

- Mam już ciebie dość, Jessie Fox. Przez ostatnie dwa lata nie dajesz mi ani chwili spokoju. Najpierw mnie okradasz, wyzywasz, a teraz jeszcze niszczy mi ubranie. Czas, żeby ktoś wreszcie zrobił z tobą porządek i wygląda na to, że będę to właśnie ja!

- Nie złapiesz mnie, nadęta ropucho! - Jessie cofała się o dwa kroki przy każdym kroku, który Matt robił w jej kierunku. - Jestem mądrzejsza i szybsza.

W poplamionych, obdartych bryczesach, porwanej prostej koszuli, z brudnymi jasnymi włosami wciśnię-

tymi pod przeżartą przez mole wełnianą czapkę wyglądała bardziej jak chłopak, niż jak dwunastoletnia dziewczynka. Schyliła się i złapała kolejne zgniłe jabłko leżące pod drzewem nieopodal domu. Matthew zrobił unik i owoc przeleciał ze świstem tuż koło jego ucha. Czuł, jak zalewa go kolejna fala złości.

- Ty mała spryciaro! Jesteś plagą Buckler's Haven, zwykłą złodziejką, zmorą każdego podróżnego. Ktoregoś dnia wylądujesz w więzieniu w Newgate.

- Idź do diabła! - pisnęła Jessie, gdy próbował ją chwycić, obróciła się gwałtownie i uciekła.

- Jesteś zwykłym nadętym bufonem! - zadrwiła, zatrzymując się dosłownie kilka kroków od niego. - Wystrojony od góry do dołu, taki czyściutki i ważny. Ten cholerny tytuł lorda wcale nie czyni z ciebie nikogo wyjątkowego.

Matt zmarszczył wściekle ciemne brwi.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś dziewczyną. Wyrażasz się gorzej niż niejeden wulgarny marynarz.

Rzucił się naprzód, ponownie próbując złapać Jessie, ale dziewczynka tylko się zaśmiała, odskoczyła w bok i pobiegła w stronę wielkiej, sękatej jabłoni. Stała pod nią biała ławka z kutego żelaza. Podpierając się o nią, Jessie objęła chudymi nogami pień drzewa i z wyjątkową zręcznością zaczęła się po nim wspinać, by skryć się wśród gałęzi.

Udałoby się jej, gdyby nie był taki wysoki. Matthew uśmiechnął się z nieukrywaną satysfakcją, gdy jego dłoń zacisnęła się wokół szczupłej kostki dziewczyny. Gwałtowne szarpnięcie spowodowało, że straciła równowagę i puściła gałąź. Z krzykiem poleciała do tyłu. Matthew złapał ją w ostatniej chwili.

- Puszczaj mnie, ty chamie!

Jego dłonie zacisnęły się kurczowo wokół jej ramion. Szarpnął nią gwałtownie.

- Ktoś wreszcie musi nauczyć cię dobrego wychowania, ty mała diabolic!

Kolejne szarpnięcie było tak gwałtowne, że aż spadła jej czapka z głowy, jednak Jessie pozostała niewzruszona. Zanim Matthew zdał sobie sprawę z jej zamiarów, Jessie chwyciła błyszczący złoty guzik przy jego marynarce i wyrwała go mocnym szarpnięciem, drąc przy okazji niebieską tkaninę. Na dźwięk rozdieranego materiału rozwścieczony do granic możliwości Matt zwiększył jeszcze uścisk. Nie zwracając uwagi na przerażenie, które malowało się na twarzy Jessie, zaciągnął ją na żelazną ławkę.

- Już od dawna ci się to należało, Jessie Fox, i wreszcie dostaniesz nauczkę. - Przy akompaniamencie głośnych okrzyków protestu przełożył ją sobie przez kolano.

- Ostrzegałem cię - powiedział. - I, do cholery, nie będę miał z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia.

Jessie wydała z siebie głośny pisk, gdy dłoń Matthew wylądowała z impetem na jej pośladku. Jej porwane szare bryczesy nie stanowiły zbyt dużej ochrony przed piekącymi razami.

- Sukinsyn! - wrzasnęła.

Dwa, trzy, cztery.

- Głupi, nadęty bufon!

Pięć, sześć, siedem. Inne dziecko błagałoby go, by przestał. Ale nie Jessie Fox.

W końcu Matthew szarpnął nią gwałtownie i postawił na ziemi. Poczował na sobie spojrzenie jej wielkich niebieskich oczu. Zaskoczyło go, że były pełne łez.

- Jesteś diabolicą, Jessie. Następnym razem, gdy będzie ci chodziło coś złego po głowie, pamiętaj o cenie, jaką dziś za to zapłaciłaś. Jeśli nie zmienisz swojego zachowania, pożałujesz. Prędzej czy później

poniesiesz konsekwencje swoich czynów i będą one znacznie poważniejsze niż zwykłe lanie.

- To ty pożałujesz - odparła, ocierając łzy brudną ręką. Cofnęła się o krok. Jej dolna warga zadrżała, a do oczu znów napływały łzy. Ku swojemu zaskoczeniu ujrzał w nich ból i upokorzenie.

- Będę kiedyś damą, prawdziwą damą w pięknych jedwabnych sukniach, otoczoną tłumem przystojnych adoratorów. Jeszcze zobaczysz. Znajdę sposób. A wtedy pożałujesz, że mnie tak potraktowałeś.

Matthew tylko pokręcił głową. Spojrzał po raz ostatni na wychudzoną sylwetkę Jessie Fox i odwrócił się, ignorując nagłe ukłucie żalu. Nie z powodu tego, co zrobił. Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebne jej było porządne lanie i pewnie wyjdzie jej to tylko na dobre.

Niestety, znacznie pewniejsze było to, że Jessie nie przestanie kraść i pakować się w kłopoty i w końcu wyląduje w jakiejś zatęchłej celi.

Lub, co jeszcze bardziej prawdopodobne, skończy w jednym z pokojów na piętrze gospody „Pod Czarnym Knurem”, zarabiając na życie jako prostytutka - zupełnie jak jej matka.

Rozdml 2



Anglia, kwiecień 1805

Na miłość boską, kochanieńka, on nie jest żadnym cholernym królem Anglii.

Na twarzy Jessie Fox pojawił się cień uśmiechu. Odwróciła głowę od sterty drogich sukien balowych, porzrzucanych na jej wyściełanym jedwabiem łóżku.

- Nie, nie jest. Może gdyby był po prostu królem nie zastanawiałabym się tyle, w co się ubrać.

- Będziesz wyglądać prześlicznie bez względu na to, co włożysz. - Viola Quinn, tęga kobieta o siwych włosach, którą Jessie znała od dzieciństwa, rzuciła jej ciepłe spojrzenie.

- Najprawdopodobniej kapitan tak się tobą zachwyci, że nawet nie zauważy, co masz na sobie.

Jessie pochyliła się i mocno uściśnęła pulchną kobietę, która była dla niej bardziej matką niż jej prawdziwa mama.

- Dziękuję ci, Vi. Zawsze mówisz dokładnie to, czego mi potrzeba.

Pięćdziesięcioletnia Viola Quinn, była kucharka w gospodzie „Pod Czarnym Knurem”, nie bardzo nadawała się na osobistą pokojówkę dla młodej damy, ale Jessie kochała ją z całego serca. Starzejący się markiz, który był teraz opiekunem Jessie, wresz-

cie uległ i sprowadził Virole Quinn do Belmore Hall.

Pokojówka sięgnęła po jedną ze wspaniałych kreacji.

- Co powiesz na złotą? - Uniosła błyszczącą suknię z gorsetem obszytym drobnymi migoczącymi brylancikami. - Ten kolor pasuje do twoich włosów.

Jessie potrząsnęła przecząco głową, odgarniając długie złote loki.

- Zbyt oficjalna. Lord Strickland przez ostatnie dwa lata był na morzu. Chcę, żeby tego wieczora czuł się swobodnie.

Vi wzięła kolejną elegancką suknię.

- A może kremowa satyna? Idealnie pasuje do twojej jasnej, brzoskwiowej cery.

Jessie zagryzła dolną wargę, przyglądając się skromnemu dekolтови i długim rękawom.

- Zbyt prosta. Chcę, żeby myślał, że jestem wyjątkowa.

Viola wydała z siebie głębokie westchnienie.

- To może ta? - Trzymała w ręku świetnie skrojoną suknię z błękitnego jedwabiu, z wysokim stanem i dość dużym dekoltem. - Ma taki sam odcień jak twoje oczy, a srebrne nici na spódnicy dodają jej prawdziwego blasku.

Jessie uśmiechnęła się szeroko, schwyciła suknię i podbiegła z nią do ozdobnego, wysokiego lustra stojącego pod oknem na drugim końcu pokoju. Oglądała kreację ze wszystkich stron.

- Masz rację, Vi. Jest idealna!

Przez chwilę po prostu stała nieruchomo i przyglądała się swojemu odbiciu: wysokiej, szczupłej kobiecie z dużymi, jędrnymi piersiami, o delikatnych rysach twarzy, ze świeżo umyтыми długimi jasnymi włosami.

Nawet teraz trudno jej było uwierzyć, że ta urocza dziewczyna w lustrze to naprawdę Jessie Fox, kiedyś

brudna ulicznica, biegająca samopas po ulicach Buckler's Haven. Biedna, mała, pożałowania godna Jessie, mawiano. Żyła w nędzy, nikt o nią nie dbał.

Zwykła córka ladacznicy.

Jessie poczuła na ramieniu dłoń Vi i odwróciła się. Starsza kobieta spoglądała na nią ciepło.

- Wszystko będzie dobrze, kochanieńka, zobaczysz. Teraz jesteś kimś zupełnie innym.

Jessie zanurzyła się w miękkich ramionach Vi i oparła głowę na jej pulchnej piersi, gniotąc przy okazji piękną suknię, która znajdowała się między nimi.

- On wie, kim jestem, Vi. Zna moje prawdziwe oblicze. A co będzie, jeśli...

- Wcale ciebie nie zna... Już nie. Nie jesteś biednym, małym obdartusem jak kiedyś, ale podopieczną markiza Belmore. Dzięki jego lordowskiej mości zdobyłaś wykształcenie. Chodziłaś do szkoły, jak każda prawdziwa dama, i teraz to właśnie nią jesteś - powiedziała ciepło i ujęła ją pod brodę. - Nie liczy się to, jaka się urodziłaś, ale to, na kogo wyrosłaś. Pamiętaj o tym, rybko, a wszystko będzie dobrze. - Otarła łzę z policzka Jessie i pogłaskała ją po lśniących włosach. - To było dawno temu, maleńka. Nie masz się czego bać. Papa Reggie będzie miał oko na kapitana. Już on zadba o wszystko. Przecież robi tak od pierwszego dnia twojego pobytu w tym domu.

Na wspomnienie o dobroci starszego pana Jessie odetchnęła z ulgą.

- Masz rację, Vi. - Uwolniła się z objęć przyjaciółki i ostrożnie odłożyła suknię na łóżko. - Ja tylko chcę, żeby wszystko było idealnie. Syn markiza nie widział mnie całe wieki, ale z pewnością pamięta dzień...

Jessie urwała nagle, starając się nie myśleć o ich ostatnim spotkaniu, o jednym z najbardziej upokarzających momentów w jej życiu. Na samo wspo-

mnienie rozbawionej dwunastolatki, jaką kiedyś była i o konsekwencjach, jakie poniosła za swoje skandaliczne zachowanie, na jej twarzy pojawił się rumieniec wstydu.

Pochyliła się i wygładziła suknię ręką.

- Może trzeba ją wyprasować? W końcu wisiała w szafie dość długo. Powinam...

- Suknia wygląda świetnie.

- Chyba powinnam zadzwonić, by szykowano już kąpiel. - Jessie spojrzała nerwowo na dzwonek. - Papa Reggie ostrzegwał mnie, żebym się nie spóźniła. Mówił, że hrabia ma przyjechać o szóstej, a on jest zawsze bardzo punktualny.

Vi roześmiała się wesoło.

- Mamy jeszcze mnóstwo czasu, rybko. Jestem pewna, że jego lordowska mość zjawi się dokładnie o czasie, w końcu jest oficerem marynarki, ale kolacja i tak będzie dopiero o ósmej. Do tego czasu zostało jeszcze wiele godzin. Latasz jak szalona cały dzień. Może się trochę zdrzemniesz? Poproszę kucharza, żeby coś przygotował, gdy się obudzisz...

Monolog Vi przerwało nagłe pukanie. Bełkocząc coś pod nosem, przeparadowała po grubym perskim dywanie, przekręciła srebrną gałkę i otworzyła drzwi. W hallu stał wysoki, poważny kamerdyner, Samuel Osgood.

- Bardzo przepraszam za najście, pani Quinn, ale na dole czeka jakaś kobieta. Chce zobaczyć się z panią Jessie. Powiedziałem jej, że panią Jessie jest dziś po południu zajęta, ale ta dziewczyna sprawia wrażenie bardzo zaniepokojonej. Pomyślałem, że może panią Jessie mogłaby jej poświęcić chwilkę.

- Oczywiście, że z nią porozmawiam, Ozzie - oznajmiła Jessie. - Czy ta dziewczyna powiedziała ci, jak się nazywa?

- Mary Thornhill, panią. Sprawia wrażenie dość poruszonej. Myślałem, że...

Jessie prześlizgnęła się obok niego, zanim zdążył skończyć zdanie, i ruszyła korytarzem w kierunku schodów. Mary była koleżanką Anne Bartlett, jednej z dzierżawczyń Belmore. Anne miała dziewiętnaście lat, tyle co Jessica, i lada dzień spodziewała się dziecka. Jessie bardzo się z nią zaprzyjaźniła po powrocie z Prywatnej Akademii dla Młodych Dziewcząt pani Seymour.

Teraz z impetem przemknęła przez marmurowe wejście, wprawiając przy tym w drgania potężny, kryształowy żyrandol na suficie. Mary czekała w salonie. Była blada jak ściana, a w jej oczach malował się strach.

- Panią Jessie, jak to dobrze, że panią jest!

- O co chodzi, Mary? Co się stało? - Jessie czuła, jak ogarnia ją nagła fala niepokoju. - Chodzi o Anne? Czy to już czas?

- Tak, panią. Anne rodzi już od kilku godzin. Coś jest nie w porządku. Dlatego przychodzę.

Teraz Jessie wystraszyła się nie na żarty.

- Czy akuszerka nie może jej jakoś pomóc?

- Akuszerka pojechała do Longly odebrać inny poród. Anne nie ma nikogo do pomocy oprócz mnie, a mnie chyba nie idzie za dobrze.

- A co z jej mężem? James posłał chyba po lekarza?

- Jamesa też nie ma. Popłynął sprzedać towar do Southampton. Posłałem po lekarza, ale on nie przyjdzie bez zapłaty z góry. Matko Przenajświętsza, zupełnie nie wiedziałam co robić. I wtedy pomyślałam sobie o panią. Miałam nadzieję, że może panią mogłaby pożyczyć nam trochę pieniędzy na opłacenie lekarza.

- Oczywiście, że bym mogła.

Cholerny sukinsyn, przemknęło Jessie przez myśl, ale nie wypowiedziała tego głośno. Nie przeklinała, a przynajmniej nie na głos, od dnia, w którym przestąpiła próg Belmore Hall, cztery lata temu.

- Mam trochę pieniędzy na górze. Poczekaj tu chwilę. Zaraz wrócę - rzekła, zadarła nieco swą muslinową suknię dzienną w kolorze brzoskwini, popędziła na górę po imponujących marmurowych schodach i otworzyła z hukiem drzwi do swojej sypialni.

- Co się dzieje, rybko? - spytała Viola zaskoczona.

- Chodzi o Anne Bartlett, Vi. Właśnie rodzi, ale dziecku najwyraźniej się nie spieszy. Mary Thornhill idzie po lekarza. Muszę iść do Anne.

Viola ruszyła w kierunku drzwi.

- Idę z tobą.

Jessie złapała Vi za ramię.

- Sama dotrę tam szybciej. Jeśli pojedę przez pole, będę u niej za piętnaście minut.

To rzekłszy podeszła szybko do komody, uniosła wieczko inkrustowanej masą perłową szkatułki i wyciągnęła z niej mały skórzany woreczek z monetami, które odkładała ze swojego comiesięcznego kieszonkowego.

- Zanieś to Mary - wręczyła woreczek Vi. - Lekarz nie przyjdzie, dopóki nie dostanie pieniędzy. Spotkamy się tu jak będę miała pewność, że Anne już nic nie grozi.

Vi przytaknęła. Po tych wszystkich latach wiedziała doskonale, że gdy Jessie coś sobie postanowi, nie ma sensu się z nią sprzeczać. Dziewczyna nie miała pojęcia o odbieraniu porodu, ale widok krwi i bólu nie był jej obcy. Wiedziała wszystko o przetrwaniu, o determinacji i o sile. Jeśli ktokolwiek ma pomóc Anne, będzie to właśnie Jessie. Vi wzięła pieniądze i skierowała się w stronę schodów.

Tymczasem Jessie otworzyła na oścież drzwi swojej palisandrowej szafy, pogrzebała w niej przez chwilę i wyciągnęła tobołek składający się z kilku starych, podartych ubrań.

- Przynajmniej są czyste - bąknęła pod nosem, myśląc o ostatnim razie, kiedy miała na sobie tę koszulę i grube brązowe bryczesy, które ukradła stajennemu jako czternastolatka. Bóg jeden raczy wiedzieć, dlaczego je zachowała. Chyba tylko dlatego, że dawne życie w nędzy nauczyło ją, by nigdy niczego nie wyrzucać. Nawet w luksusowych ścianach Belmore trudno zerwać ze starymi przyzwyczajeniami.

Wbiła się w spodnie, które teraz wydawały się znacznie bardziej obcisłe niż kilka lat temu. Koszula również ledwo opinała jej obfite kształty, ale po wczorajszym deszczu pola pokrywało błoto, a ona wcale nie była dobrym jeźdźcem. Nie odważyła się wziąć damskiego siodła, jak pewnie życzyłyby sobie markiz. Doszła do wniosku, że da radę pojechać po męsku. Poza tym nikt oprócz stajennych i tak jej nie zobaczy, a z nimi wszystkimi utrzymywała przyjacielskie stosunki.

Chwyciła brązową filcową czapkę, upchnęła pod nią włosy i wybiegła na dwór tylnymi schodami dla służby.

W stajni kazała Jimmy'emu Hopkinsowi, jednemu ze stajennych, osiodłać kasztanek, której zwykle dosiadała. Jimmy dopasował strzemiona przy płaskim, skórzanym siodle, a następnie podsadził dziewczynę na konia, uśmiechając się przy tym szeroko.

- Powodzenia, panienko Jessie.

- Dziękuję, Jimmy.

Jessie dotknęła brzegu swej czapki w pożegnającym geście, nachyliła się nad szyją klaczy i spięła ją piętami, mając skrytą nadzieję, że utrzyma się w sio-

dle, i że uda jej się w jakiś sposób pomóc Anne i dziecku.

* * *

- Witaj, ojcze - kapitan Matthew Seaton, hrabia Strickland, komandor porucznik kanonierki „Norwich”, delikatnie zamknął drzwi do imponującego apartamentu swojego ojca w Belmore Hall. Wypoczywający w ogromnym łożu z baldachimem markiz Belmore oparł się wygodnie na satynowych poduszkach, ułożonych wzdłuż mahoniowej ramy.

Na dźwięk głębokiego głosu syna uniósł powieki, a jego usta wykrzywiły się w delikatnym uśmiechu.

- Matthew! Synu! Zacząłem się już zastanawiać, czy moje schorowane, stare oczy ujrzą jeszcze kiedyś twoje oblicze.

Wyciągnął przed siebie pomarszczone, zniszczone ręce i Matthew uściśnął je mocno. Potem nieoczekiwanie pochylił się i niezgrabnie objął starego markiza.

- Tęskniłem za tobą, ojcze - wyznał i wzmocnił jeszcze uścisk. U trzydziestoletniego mężczyzny, który spędził prawie połowę swojego życia ucząc się tłumić emocje, taki nagły przejaw uczuć zdarzał się niezwykle rzadko.

Matthew bardzo martwił się o ojca. Bycie komandorem Marynarki Królewskiej wymagało stalowych nerwów i opanowania, ale przecież kiedyś opuści marynarkę i jako syn i dziedzic przejmie tu wszystkie obowiązki. Zwłaszcza że jego starszy brat, Richard, zmarł na skutek obrażeń odniesionych po upadku z konia.

- Odsuń się, chłopcze. Niech ci się przyjrzę. Toż to od naszego ostatniego spotkania minęły już ponad dwa lata.

Matt cofnął się posłusznie, zastanawiając się, czy ojciec dostrzeże niewielkie zmarszczki wokół ciemnoniebieskich oczu i opaleniznę, nieuniknioną po tak długim pobycie na słońcu. Jego lekko kręcone włosy wciąż miały odcień złota. Teraz były jednak dłuższe i prawie całkowicie zakrywały mu kark.

- Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe - powiedział starszy mężczyzna ze śmiechem - przysiągłbym, że urosłeś o kolejne pięć centymetrów. Ale ty zawsze byłeś wysoki, nawet jako chłopiec.

- Wiek dojrzewania już mam za sobą, ojcze. - Matt się uśmiechnął i pomyślał, że pewnie teraz nabrał nieco mięśni. Na pokładzie statku zawsze jest pełno roboty, nawet dla kapitana. - Przepraszam za mój ubiór. Planowałem się przebrać, ale nie mogłem się już doczekać naszego spotkania.

- Dobrze wyglądasz, mój chłopcze. Wręcz świetnie. To bardzo miły widok dla zmęczonych, starych oczu.

Zaraz po przyjeździe Matt przekazał lokajowi wodze konia, którego wynajął w Portsmouth, i skierował się prosto do pokoju ojca.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkodziłem. Nie sądziłem, że będziesz odpoczywał.

- Bzdura. Wolę spędzać czas z tobą, niż tracić go na spanie.

Matthew uśmiechnął się.

- Cieszę się, że cię widzę, ojcze. Dobrze jest być znowu w domu.

Rozmawiali jeszcze jakiś czas o różnych przyziemnych sprawach. O miedziovaniu statku, którym Matthew wrócił do Portsmouth po dwóch wyczerpujących latach blokady francuskiej, o jego podróży do Belmore, o tym, że opuścił Portsmouth właściwie natychmiast po przybiciu do portu. Cóż, prawie natychmiast. W swojej opowieści Matt pominął ponęt-

na małą brunetkę, która całą noc dotrzymywała mu towarzystwa w tym gwarnym portowym mieście.

- Nie spytałeś wcale o Jessie - stwierdził markiz, a w jego głosie wyczuwało się nutę niezadowolenia.

- Powinieneś wiedzieć z moich listów, że tu jest.

- Niestety, twoje listy szły aż trzy miesiące, ale masz rację, w końcu dotarły do mnie wieści, że wróciła już ze szkoły z internatem i teraz jest w Belmore.

Markiz podniósł się nieco wyżej na łożku. Wiedział, że ten temat jest dla syna bolesny. Kłócili się o Jessie podczas ostatniego pobytu Matta w domu.

- Wiem, co o niej myślisz. Dałeś to wyraźnie do zrozumienia niejedną raz. Ale kiedy ją ostatnio widziałeś, była jeszcze rozwodzonym dzieciakiem. Zmieniła się, odkąd jest pod moją opieką. Teraz to kobieta, Matthew. Piękna, wykształcona, pogodna młoda kobieta. Codziennie dziękuję Bogu, że do mnie wtedy przyszła, że miała odwagę podążać za swoimi marzeniami i przekonać mnie, żebym jej pomógł je zrealizować.

- Jeśli sobie dobrze przypominam - powiedział stanowczo Matt w przychyliwiej irytacji - Jessie Fox nigdy nie brakowało odwagi. Jako dziecko biegała jak dzikuszka i wciąż szukała kłopotów. Jako dwunastolatka była oszustką, kieszonkowcem i złodziejką. Gdy skończyła piętnaście, była zaniedbaną, cwana łobuzicą, która wykorzystwała wszystkie znane sobie sposoby, by wzbudzić w tobie litość i przekonać cię, żebyś ją wziął do siebie.

- Dziewczyna walczyła o przetrwanie.

- I cholernie dobrze jej poszło. Dziewiętnastoletnia Jessie Fox ma najlepsze wykształcenie, jakie można zdobyć za pieniądze. Ma własny powóz z końmi, ubiera się jak prawdziwa królowa. Mieszka tu, w Belmore, w luksusach i dostaje wszystko, czego tyl-

ko jej małe zdradzieckie serce zapragnie. Dziwisz się, dlaczego nie interesuje mnie, jak sobie radzi Jessie Fox? Ona nie potrzebuje mojej troski. Najwyraźniej doskonale sama potrafi o siebie zadbać!

Markiz nie odpowiedział. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w syna w milczeniu.

- Z tego co mówisz wynika, że Jessica mną manipulowała i wykorzystwała mnie do swoich celów. A prawda jest taka, że prędzej to ja czerpię korzyści z tego układu - rzekł w końcu.

Tym razem Matt postanowił trzymać język za zębami. Nie przyjechał do Belmore, by kłócić się z ojcem o Jessie Fox.

- Gdy zmarł twój brat - ciągnął dalej stary markiz - załamałem się. Ciebie nie było, zostałem całkiem sam. Były to dla mnie straszne czasy. Gdy nie mogłem już dłużej znieść mojego bólu, zamknąłem wszystkie wspomnienia tu, w Belmore Hall, i przeniosłem się do Seaton Manor, ale i tam nie znalazłem ukojenia. Byłem zgorzkniałym, samotnym starcem, który tylko czekał na śmierć.

Matta ogarnęło nagłe poczucie winy.

- Przepraszam - powiedział. - Powiniennem być tu wtedy być. Niestety, wieści o śmierci Richarda dotarły do mnie z sześciomiesięcznym opóźnieniem.

- To nie twoja wina, synu. Byłeś dokładnie tam, gdzie powinieneś, walcząc za ojczyznę. Ale to nie ułatwiło mi życia - na twarzy markiza pojawił się cień uśmiechu. - Na szczęście pewnego dnia, a czułem się wtedy wyjątkowo fatalnie, udałem się na spacer nad jezioro i tam znalazłem tę małą ulicznicę. Moje życie zmieniło się na lepsze, odkąd pojawiła się w nim Jessica.

- I zupełnie przypadkiem była tam dokładnie o tej samej porze co ty - rzekł Matt z sarkazmem. - To czyste zrządenie losu, że się tam wtedy spotkaliście.

- Nie wiem, czemu była tam tego dnia, i nie interesuje mnie to. Wiem tylko, że odtąd przychodziła codziennie i cieszyłem się na każde nasze spotkanie. Gdy Jessica była blisko, wносиła w mój smutny świat życie i radość. Na nowo rozpałała we mnie iskrę, która już ledwie się tliła, wyprowadziła mnie z ciemności i sprawiła, że znów zachciało mi się żyć. Gdy poprosiła mnie o pomoc, gdy powiedziała, że jej marzeniem jest zostać damą, spełnienie tego marzenia było dla mnie największym zaszczytem.

Matthew przywołał w myślach obraz małej, brudnej ulicznicy, która nigdy nie dawała mu spokoju. Wiele razy ją przepędzał, ale zawsze wracała, by jeszcze bardziej dać mu w kość. Uśmiechnął się na wspomnienie dnia, kiedy wreszcie dał tej małej łobuzicy nauczkę.

Była zwykłą obdartą złodziejką, która cztery lata temu wykorzystała żalobę ojca i podstępem wkradła się do jego serca. Nigdy jej tego nie wybaczy i gdy wróci do domu na dobre, zadba o to, by już więcej go nie skrzywdziła.

Jego myśli przerwał suchy chichot markiza.

- Nie poznasz jej, gwarantuję ci to. Wyrosła na uroczą młodą damę.

Matthew wysilił się na uśmiech.

- Masz na myśli to, że nie obrzuca już ludzi błotem i zgniłymi owocami? Nie jest już kieszonkowcem, który oskubuje ze wszystkiego nieświadomych podróżnych?

Stary markiz zmarszczył brwi z dezaprobatą.

- Prawdziwym łajdakiem był jej przyrodni brat, a nie ona. Jessica jest pełna werwy, to prawda, ale ma zbyt miękkie serce, żeby można ją było nazwać złym człowiekiem. Przez ostatnie cztery lata wyrosła na piękną, inteligentną młodą kobietę. Jeśli dasz jej choć jedną szansę, by mogła ci to udowodnić, sam zobaczysz, co mam na myśli.

Matthew przyglądał się z uwagą twarzy ojca. Reginald Seaton był kiedyś wysokim, krzepkim mężczyzną, ale przez lata nieobecności Matta jego siła zdecydowanie osłabła. Wciąż miał grzywę białych włosów i bujne bokobrody, jednak na tle białej pościeli jego skóra wyglądała bardzo blado. Policzki, kiedyś okrągłe i rumiane, teraz całkowicie się zapadły.

Matthew postanowił powstrzymać się przed zbędnym komentarzem. Jessie Fox zajmie się później. Teraz najważniejsze jest zdrowie ojca. Zrobi to, o co stary markiz go poprosi.

- Wiem, że ta dziewczyna zdobyła twoje względy, ojczu. Nie apróbuję tego, co zrobiła, ale jeśli jej obecność tutaj cię uszczęśliwia, to mi wystarczy.

Markiz spojrział na syna z wyraźną ulgą.

- Będiesz ją więc traktował z należnym szacunkiem?

Matthew nie odpowiedział. Skinął jedynie potakująco głową. Jaki szacunek należy się córce ładaczni-cy? Chyba niewielki.

- Wybacz, pójdę już, muszę sprawdzić, czy dobrze zadbano o mojego konia - rzekł w końcu. Zerknął na lorda Belmore Hall i na widok opadających już ze zmęczenia powiek starca jego szorstkie spojrzenie złagodniało.

- Odpocznij trochę, ojczu - uściśnął rękę starego markiza na pożegnanie. - Już nie mogę się doczekać spotkania z tobą i... twoją podopieczną przy kolacji.

To rzekłszy opuścił pokój.

* * *

Jessie spojrziała na słońce, wielką ognistą kulę zawieszoną nad horyzontem. Zbliżał się zmierzch, a ona dopiero wracała do domu. Pochyliła się nad szyją kasztanki, ponaglając ją do szybszego galo-

pu. Koń grzązł kopytami w czarnej glebie i rozrzucił ją na boki, ochlapując przy okazji koszulę i bryczesy dziewczyny, które i tak były już całe zabłocone po poprzedniej jeździe przez pola.

Miała nadzieję wyjść wcześniej, ale dziecko było bardzo uparte, a lekarz się spóźnił. Teraz liczyła na to, że dzięki szaleńczemu galopowi nadrobi nieco cennego czasu, który straciła.

Spojrzała jeszcze raz na chowającą się za horyzontem ognistą kulę. *Boże, nie pozwól, żeby wrócił do domu przede mną.*

Jednak doskonale wiedziała, że były na to marne widoki. Wyglądała jak straszdyło w pogniecionym, brudnym ubraniu, z wilgotnymi od potu, przyklejonymi do czoła włosami. Modliła się o cud. Jimmy zajmie się koniem, a ona przemknie niezauważalnie tylnym wejściem do swojego pokoju.

Jessie uśmiechnęła się. Przynajmniej Anne w końcu udało się urodzić dziecko, małą dziewczynkę, która otrzymała imię Flora. Kiedy Jessie dotarła do jej domu, Anne wiała się z bólu i łkała ze strachu w obawie zarówno o życie dziecka, jak i o swoje własne.

Gdy wszyscy myśleli już, że to koniec, że biedna Anne dłużej tego nie wytrzyma, w domu wreszcie zjawił się lekarz. Stwierdził nieprawidłowe ułożenie płodu, ale w końcu udało mu się zmienić pozycję dziecka i mała przyszła bezpiecznie na świat. Gdy Jessie wychodziła, świeżo upieczonej mamie i jej córeczce nie groziło już żadne niebezpieczeństwo. Na samą myśl o cudzie narodzin, którego była dziś świadkiem, poczuła ścisnięcie w gardle.

Jessie aż zachłysnęła się powietrzem, gdy koń zapadł się kopytem w błotnisty dół, kładąc kres jej rozmyślaniom. Zwierzę poślizgnęło się i przez chwilę

wydawało się, że upadnie. Jessie serce zabiło mocniej ze strachu, ale klacz szybko odzyskała równowagę i kontynuowała swój szaleńczy galop.

W oddali majaczył już zarys żywopełotu otaczającego stajnię. Była prawie w domu. Jimmy machał do niej z daleka. Wystarczyło tylko do niego dotrzeć, przekazać mu wodze i udać się szybko do domu schodami dla służby.

- No dalej, Pagan - szepnęła zwierzęciu do ucha, gdy zbliżyły się do żywopełotu.

Pochyliła się nad szyją klaczy i z łatwością przeskoczyła zielone ogrodzenie. Jednak lądowanie nie było już tak udane. Ogromna kałuża śliskiego błota po drugiej stronie nie stanowiła najlepszego oparcia dla końskich kopyt. Wtedy właśnie z cienia wyłonił się jakiś człowiek, płosząc klacz w najgorszym momencie. Zwierzę gwałtownie skreśliło w bok. Jessie osunęła się z siodła, lądując z głośnym pluskiem pośrodku błotnistej kałuży.

- Cholera jasna! - prychnęła wściekłe. Czapka dawno spadła jej z głowy, a jasne włosy, teraz pokryte grubą warstwą czarnego mułu, przykleiły się do ramion. Szyja i twarz całe oblepione były błotem, koszula i spodnie przesiąkły do suchej nitki.

Spojrzała przed siebie, by poznać sprawcę całego zajścia. Jej wzrok zatrzymał się na czarnych, wysokich butach. Obcisłe brązowe bryczesy opinały długie nogi i wąskie biodra. Z rosnącym niepokojem Jessie zadarła głowę, przesunęła wzrokiem po szerokim torsie i mocnych ramionach i zatrzymała spojrzenie na twarzy o pięknych męskich rysach.

Kapitan Matthew Seaton, hrabia Strickland. Mogła się tego spodziewać.

Nie licząc papy Reggiego, szczęście nigdy nie trzymało się Jessie Fox.

- Otóż i niesławna panna Fox. - Usłyszała sarkazm, który wypłynął z ust tak samo pięknych, jakimi je zapamiętała. Poczowała na sobie wnikliwe spojrzenie intensywnie niebieskich oczu. Nie było w nich nawet cienia zdumienia, jakby ich właściciel wiedział doskonale, czego się spodziewać.

Jessie poczuła, że robi się jej niedobrze. Chciała mu zaimponować, chciała, by markiz był z niej dumny. No i proszę, zamiast tego zrobiła z siebie idiotkę. Z największym wysiłkiem zadarła głowę do góry.

- O... obawiam się, że muszę iść do domu - rzekła niepewnie i odwróciła głowę, nie znajdując słów odpowiedzi na lodowaty wyraz twarzy hrabiego.

- Myślę, że to bardzo dobry pomysł. Może wejdziemy razem? Będzie pani mogła przy okazji zajrzeć do mojego ojca, przywitać się z nim i pokazać mu, na jaką wspaniałą damę pani wyrosła.

Jessie zaschło w ustach. Starła się trzymać głowę wysoko w górze, ale czuła, jak coś ściska ją w żołądku.

- Pański ojciec najlepiej wie, kim jestem. Jednak on, w przeciwieństwie do pana, widząc, że przed chwilą upadłam, zaniepokoiłby się, czy nic mi się nie stało. A jako że nie chcę go zamartwiać, przebiorę się, zanim się do niego udam. A teraz proszę wybaczyć, ale już pójdę...

Odwróciła się i ruszyła w stronę domu. Pulsowało jej w głowie. Również poobijane żebra zaczęły dawać o sobie znać. Poczowała delikatny ból w kostce. Nie sądziła, że jej upadek był aż tak poważny.

Nie zauważyła, że idzie obok niej, dopóki się nie potknęła i nie poczuła oparcia w jego silnym ramieniu.

- Ma pani rację. To bezduszne z mojej strony, że nie zapytałem, czy nic się pani nie stało.

Jessie wyrwała rękę z jego uścisku.

- Czuję się świetnie, dziękuję.

- A co z pani nogą? Zdawało mi się, że pani kuleje.

- Z moją nogą też wszystko w porządku - odparła dumnie. Zaciśnęła zęby i starała się stawiać pewne kroki, pilnując, by na jej twarzy nie pojawił się grymas bólu. Matthew zmarszczył brwi, ale nic nie odpowiedział. Gdy wchodzili do domu, puścił Jessie przodem. Zastanawiała się, co sobie teraz myśli, ale sądząc po tym, jak bardzo była zabłocona i przemochna, nietrudno było zgadnąć.

Viola czekała na nią w pokoju.

- Musimy się śpieszyć - rzekła na dźwięk otwieranych drzwi. - Kapitan już przyjechał i...

W tym momencie Vi odwróciła się i na widok wchodzącej do pokoju Jessie otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Wielkie nieba! Rybko! Coś ty najlepszego zrobiła? Jessie spojrzała na nią z rozpaczą.

- Co zrobiłam? Otóż wyobraź sobie najgorsze, Vi. Wyobraź sobie, że spadłam z konia i wylądowałam w błocie u stóp kapitana Seaton. Wyobraź sobie, że zobaczył mnie w tych brudnych, porwanych ubraniach.

-Wielki Boże!

Na twarzy dziewczyny malował się ból.

- Chciałam zrobić na nim wrażenie, Vi, pokazać mu, że się zmieniałam - czuła, jak zbiera jej się na płacz. - A zamiast tego udowodniłam mu coś zupełnie przeciwnego. Jak w ogóle będę mogła mu jeszcze kiedykolwiek spojrzeć w oczy?

Starsza kobieta oparła ręce na swoich obfitych biodrach.

- Właśnie że się zmieniłaś, kochanieńka, i dlatego będziesz mogła spojrzeć mu w oczy. Pójdiesz na kolację w tej pięknej błękitnej sukni i będziesz się zachowywać jak dama, aż ten cholerny jaśniepan za-

cznie się zastanawiać, czy przypadkiem obdartus umazany błotem, którego dziś spotkał, to nie była jakaś zupełnie inna dziewczyna.

Jessie spojrzała na elegancką niebiesko-srebrną suknię, wiszącą na drzwiach szafy. Zanim papa Reggie wziął ją do siebie, takie kreacje widywała jedynie w oknach Seaton Manor, skryta za krzakami róży, z twarzą przyciśniętą do szyby. Marzyła wtedy, by móc chociaż dotknąć połyskującego materiału, poczuć gładkość jedwabiu na swojej skórze. Jedyne co wtedy z tego miała, to rany po kołcach na rękach i nowe rozdarcia w swoim i tak już podartym ubraniu.

Następnie spojrzała na zachęcającą miedzianą wannę i stojące przy niej kilka wiader gorącej wody. Nieprzyjemne myśli zaczęły blaknąć i Jessie poczuła nagły przypływ pozytywnej energii.

- Masz rację, Vi. Kapitan nie po raz pierwszy widział mnie w najgorszym wydaniu. Dziś zobaczy mnie w najlepszym.

Po tych słowach zdjęła brudne bryczesy i zabłoconą koszulę, odrzuciła na bok długie buty do konnej jazdy i wskoczyła do wanny.

Po chwili siedziała już po szyję w gorącej, spienionej wodzie. Różany olejek delikatnie obmywał jej skórę. Umyła i spłukała włosy, a następnie odchyliła się wygodnie do tyłu. Kostka już jej tak nie dokuczała i nawet głowa przestała ją boleć. Czuła, jak powoli wracają siły i odwaga.

Gorąca kąpiel spłukała z niej całe napięcie. Miała zamknięte oczy, gdy Vi stanęła nad nią z czystym, pachnącym ręcznikiem.

- Rozumiem, że mama i dziecko najgorsze chwile mają już za sobą i wszystko skończyło się dobrze?

Uważając, by nie zachlapać pięknej mozaikowej posadzki Jessie pozwoliła Viowi owinąć się ręczni-

kiem, a mniejszym zawinąć świeżo umyte złociste włosy.

- Tak, wszystko skończyło się dobrze. Anne urodziła śliczną córeczkę, którą nazwała Flora. To był najpiękniejszy widok w moim życiu!

- Ale chyba nie zostałam tam na sam poród?

- Oczywiście, że zostałam. Chciałam zobaczyć, jak dziecko przychodzi na świat. Teraz już wiem.

Viola wydała z siebie głębokie westchnienie.

- Wiesz zdecydowanie za dużo, kochanieńka, jak na dziewczynę w twoim wieku. Szkoda, że życie cię bardziej nie oszczędzało.

- Mogło być jeszcze gorzej, Vi. Nawet nie chcę myśleć o tym, co by się ze mną stało po śmierci mamy, gdyby nie ty.

Jessie wstrząsnął dreszcz obrzydzenia na wspomnienie o pewnym pijaku, który zaczął ją kiedyś w barze. Wsunął jej w dłoń monetę, a gdy jej nie przyjęła, uderzył ją w twarz i zaczął ciągnąć siłą na piętro. To właśnie Vi jej wtedy pomogła. Vi i prostytutki, przyjaciółki mamy. Kobiety, które marzyły o tym, żeby choć jej udało się stamtąd uciec.

Pomyślała o dziecku i uśmiech znów zagościł na jej twarzy.

- Przynajmniej mogłam pomóc. Pewnie nie wystarczyłoby mi na to odwagi, gdyby moje życie potoczyło się inaczej.

- Masz złote serce, rybko - stwierdziła Vi, a w duchu zastanawiała się, czy wysoki, przystojny hrabia również będzie w stanie to dostrzec.

Rozdział 3



Wielkie nieba, na pewno się spóźnię. Stary ozdobny zegar wybił godzinę dwudziestą piętnaście dokładnie w momencie, gdy Jessie docierała do okazałych mahoniowych drzwi Sali Gobelinowej.

Powitał ją tam Samuel Osgood, kamerdyner.

- Dobry wieczór, panienko Jessie.

Zatrzymała się na chwilę, by się uspokoić.

- Dobry wieczór, Ozzie.

Drżały jej ręce. Przetarła nimi błękitne jedwabne fałdy sukni, skrycie mając nadzieję, że odwaga jej nie opuści.

- Jeśli panienka pozwoli na odrobinę śmiałości, wygląda panienka czarująco w tej kreacji.

Drogi, kochany Ozzie. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Dziękuję ci, Ozzie.

Wyprostowała plecy, odetchnęła głęboko i dała znak chudemu, dostojnemu kamerdynerowi, by otworzył drzwi salonu.

Rozsunęły się przed nią cicho, odsłaniając piękne wnętrza. Migoczące kandelabry, piękne, grube dywany, malowane sufity i inkrustowane hebanowe

meble - ten widok zawsze ją uspokajał. Teraz była wdzięczna za to uczucie.

Zmusiła się do uśmiechu, weszła do środka i skierowała się w stronę marmurowego kominka, w którym tlił się niewielki ogień. Wiedziała, że markiz będzie tam na nią czekał.

Kątem oka zauważyła kapitana, ale nie odważyła się spojrzeć w jego stronę. Skierowała się prosto ku jego ojcu, który uśmiechnął się do niej ciepło, chwycił ją za rękę i dał jej całusa w policzek.

- Dobry wieczór, moja droga.

- Dobry wieczór, papo Reggie. Przepraszam za spóźnienie.

Brwi kapitana uniosły się nieco, gdy usłyszał jak zwraca się do markiza. Oczywiście, wcale tego nie pochwalał.

- Matthew, chciałbym przedstawić ci moją podopieczną, Jessicę Fox. Jessico, to mój syn, Matthew.

Zalała ją fala gorąca, gdy jego taksujące spojrzenie spoczęło na jej twarzy, a następnie powędrowało wzdłuż całego ciała.

- Panno Fox - jego usta wykrzywiły się w lekko drwiącym uśmiechu. Chwycił jej dłoń odzianą w gładką rękawiczkę i gdy wykonała przed nim eleganckie dygnięcie, w odpowiedzi ukłonił się z przesadną wręcz uprzejmością. Miał na sobie granatowy mundur z błyszczącymi pozłacanymi guzikami na przodzie. Epolety czyniły jego ramiona nawet szerszymi, niż były w rzeczywistości. Obcisłe białe bryczesy przylegały do długich, umięśnionych ud. W migoczącym świetle pozłacanych świeczników jego włosy lśniły ognistym złotem.

Jego wzrok znów spoczął na jej twarzy.

- Dobrze pani wygląda. Cieszę się, że nie ucierpiała pani... w dzisiejszym... niefortunnym wypadku.

Jessie nie odpowiedziała na zaczepkę. Jedyne cień zakłopotania zabarwił jej policzki bladym różem.

- Czuję się już dobrze, dziękuję. - Uwolniła rękę z jego uścisku i postanowiła w duchu, że nie da mu się wyprowadzić z równowagi. - Obawiam się, że jestem raczej miernym jeźdźcem. Powinnam była bardziej uważać, ale obiecałam papie Reggieму, że się dziś nie spóźnię.

Markiz zmarszczył czoło.

- O jakim to niefortunnym wypadku mówicie, moja droga? - Jego spojrzenie przewędrowało na syna. - Nie sądziłem, że mieliście już okazję się spotkać.

- To nic takiego, papo Reggie. Mały wypadek podczas konnej jazdy. Na szczęście jego lordowska mość był na miejscu i zaoferował mi pomoc.

Rzuciła hrabiemu błagalne spojrzenie. Markiz byłby wstrząśnięty, gdyby dowiedział się, w jaki sposób przebiegło ich pierwsze spotkanie.

- Jak widzisz, nic mi nie jest. Żaden z was nie powinien więcej zaprzętać sobie głowy moim stanem.

Wiedziała doskonale, że kapitan z pewnością nie będzie. Pewnie najbardziej ucieszyłby się, gdyby skrzyła sobie kark.

Czekała na słowa oskarżenia, że jest tą samą źle wychowaną łobuzicą co kiedyś. Zamiast tego Matthew uniósł kieliszek z winem.

- Pani zdrowie, panno Fox.

Uśmiechnął się ironicznie i upił łyk czerwonego płynu.

Jessie czekała z napięciem na kolejną ciętą uwagę, ale Matthew nie powiedział już nic więcej. Rozmowa zeszała na przyziemne sprawy, załamane pogody, podróż kapitana z Portsmouth. Choć nie przestawał się

jej przyglądać, jego uwaga skupiona była na ojcu. Może wcale nie będzie jej prowokował cały wieczór, jak wcześniej myślała. Może powstrzymał go jej widok, ubranej w jedwabną suknię, zachowującej się jak dama. Bez względu na powód, była wdzięczna za tę chwilę wytchnienia, szansę na ponowne zebranie myśli, nabranie sił.

Jeszcze nie skończył jej testować, była tego pewna, a mimo to jego słowa nie były tak uszczypliwe, jak się spodziewała. Wciąż wierzył, że jego ojciec nic jej nie obchodzi, że tylko go wykorzystuje do swoich celów. Wiedziała, gdyż wspominaj o tym w listach. Nie powinna była ich czytać. Markiz byłby wściekły, gdyby się o tym dowiedział, ale w tym wypadku ciekawość przeważała nad rozsądkiem.

Co dziwne, przypuszczenia kapitana na początku były słuszne. Wiele tygodni planowała, jak zwrócić na siebie uwagę starego markiza. Po śmierci mamy nie miała nikogo oprócz Violi i sporadycznego, niechcianego towarzystwa przyrodniego brata, Danny'ego. Po incydencie z pijakiem w barze w końcu zmuszona była opuścić gospodę „Pod Czarnym Knu-rem” i sama zadbać o swój los.

Szukała pomocy u markiza, ponieważ zawsze był dla niej miły. Za każdym razem, gdy zjawiał się w miasteczku, rzucał jej monetę lub dwie, jakby już wtedy łączyła ich jakaś niewidzialna więź. Prawie od samego początku coś ją do niego ciągnęło, a teraz kochała go jak rodzonego ojca.

Hrabia jednak tego nie rozumiał. Widział jedynie intrygi, kłamstwa, kradzieże i oszustwa. Uważał, że jest zła do szpiku kości i chciał sam sobie udowodnić, że ma rację.

Jessie była równie zdeterminowana, by mu udowodnić, że się myli.

Matthew wyciągnął demonstracyjnie ramię, a gdy je przyjęła, w jego oczach pojawił się niepokojący blask. Poczła szorstki materiał jego munduru, ciepło jego ciała i zalała ją nieoczekiwana fala gorąca. Mimo zdenerwowania ogarnęło ją nagle lekkie rozbawienie. Cóż powiedziałyby wysoki, przystojny kapitan marynarki, gdyby wiedział, że prawdziwym powodem jej ciągłych zaczepek była chęć zwrócenia na siebie jego uwagi?

Cóż powiedziałyby hrabia Strickland, gdyby dowiedział się, że zawsze miała do niego skrywaną słabość?

* * *

Wreszcie podano kolację. Kucharz przygotował wiele wykwintnych dań: nadziewanego bażanta, kotlecki cielęce, pieczonego łabędzia, turbota w sosie z homara, cały bukiet warzyw i zieleniny, a na deser ogromne ciasto w kształcie kotwicy.

Podczas posiłku rozmawiali o blokadzie angielskiej, która miała na celu powstrzymanie francuskiej floty Napoleona przed zgrupowaniem się i inwazją na Wielką Brytanię, czego najbardziej się teraz obawiano. Okręt kapitana został wysłany do pomocy przy blokadzie Brestu i Zatoki Biskajskiej, pod dowództwo admirała Cornwallisa.

- Nie byliśmy tak daleko od domu jak Nelson i statki stacjonujące na Morzu Śródziemnym - rzekł.
- Bez problemu co trzy miesiące mogliśmy odnawiać zapasy. Mimo to po dwóch latach bez wychodzenia na brzeg morale załogi zdecydowanie spadło.

Jessie wyprostowała się na krześle.

- Chce pan powiedzieć, że ani razu nie pozwolił pan tym biedakom opuścić statku?

Wzrok kapitana powędrował w jej kierunku. Jego spojrzenie było zimne i niewzruszone.

- Czyżby pani tego nie pochwałała, panno Fox?

Jej palce zacisnęły się mocniej wokół kryształowego kielicha, który właśnie unosiła do ust.

- Czy nie pochwalam? To chyba za mało powiedziane. Dobry Boże, przecież to praktycznie nieludzkie! A co z rodzinami tych nieszczęśników? Wielu z nich przymuszono do służby. Nie dość, że wepchnięto ich na pokłady statków na siłę, to jeszcze nie mogli nawet wyjść na brzeg?

- Mniej niż połowa całej załogi została wcielona do wojska przymusowo. W większości zostali zwerbowani, ale niektórzy to przestępcy zesłani na statki w ramach kary za swoje przewinienia. Osobiście uważam, że podlegający mi ludzie byli na tyle lojalni, by powrócić na pokład po kilku dniach postoj w porcie. Pogodzili się ze swoją sytuacją i chcieli dać z siebie wszystko. Niestety, admirał Cornwallis miał trochę inne zdanie na ten temat.

Prawie przewiercił ją na wylot tymi swoimi ciemnymi oczyma.

- Przypominam pani, panno Fox, że ja również nie opuszczałem pokładu przez ostatnie dwa lata - dodał.

Jessie przygryzła wargę i poczuła nagły przypływ poczucia winy. Nawet przez chwilę nie wątpiła, że Matthew Seaton to sprawiedliwy i kompetentny kapitan. Jest synem markiza Belmore. W jego żyłach płynie ta sama szlachecka krew.

- Bardzo przepraszam, wasza lordowska mość. Doskonale zdaję sobie sprawę, że spełniał pan tylko swoje obowiązki. Ktoś musi stać na straży Anglii, bez względu na cenę, jaką przyjdzie mu za to zapłacić. Po prostu dwa lata to bardzo dużo czasu. To musiało być dla pana straszne.

Spojrzał jej w oczy, jakby próbował odnaleźć w nich potwierdzenie szczerości słów.

- W pewnym sensie było ciężko. Czasem czekanie dłużyło się w nieskończoność. Gdy kończyły się zapasy, jedliśmy spleśniały chleb, robaczywe mięso i piliśmy brązową wodę. Ale miałem pod sobą pięć setek ludzi i nieustannie było coś do zrobienia. Nie mogłem narzekać na nudę. No i jeszcze morze, nieskończone, stawiające wciąż nowe wyzwania. - Usta Matthew wykrzywiły się w bladym uśmiechu. - Przypomina piękną kobietę, jest równie niebezpieczne i pociągające.

Jessica zignorowała tę zawołaną uszczypliwość, która mogła odnosić się do niej.

- Chciałabym móc kiedyś gdzieś popłynąć. Poczucie kołysania pokładu pod stopami i orzeźwiający, chłodny wiatr na twarzy. Kiedy byłam mała, często marzyłam, żeby być chłopcem. Uciekłabym wtedy na morze. Mogłabym ukryć się gdzieś pod pokładem albo nawet zostać majtkiem - rzuciła mu szybkie spojrzenie. - Może pewnego dnia służyłabym pod pana komendą, kapitanie.

Matthew uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Życie jest pełne niespodzianek, panno Fox. Nigdy nie wiadomo, jaki sprawy mogą przybrać obrót.

Jej policzki oblały się rumieńcem. Wyraźnie wy czuła w jego słowach ukrytą aluzję. Spojrzała na markiza i dostrzegła, że zmarszczył brwi z dezaprobatą.

- Tak, cóż... Jedno jest pewne. Cieszę się, że urodziłaś się dziewczynką, moja droga. - Stary markiz uśmiechnął się, a następnie pochylił się nad stołem i delikatnie uściśnął jej dłoń. - Chłopcy tylko przysparzają kłopotów i nawet w połowie nie są tak zajmujący.

Gdy Jessica zerknęła na hrabiego, zauważyła, że teraz on marszczy brwi.

* * *

Matthew rozsiadł się wygodnie na dużym tapicerowanym krześle, podczas gdy ojciec nalewał mu brandy. Myślał o Jessie Fox, a konkretnie o kobiecie, którą Jessie Fox się stała. Nie dziwiło go jej spóźnienie, ale ojciec zdawał się tym przesadnie dotknięty.

- Myślę, że to przywilej kobiety - oznajmił, doskonale wiedząc, dlaczego dziewczyna się spóźnia.

Po chwili weszła, cała w błękitnie i srebrze, i skierowała się z gracją w stronę kominka, przy którym obaj z ojcem na nią czekali. Nie rzuciła mu ani jednego spojrzenia, podeszła wprost do markiza.

Co dziwne, Matt był jej za to wdzięczny.

Od momentu, gdy dziewczyna przekroczyła próg salonu, nie przychodziło mu do głowy nic sensownego, co mógłby powiedzieć. Przyglądał się jej, gdy przemierzała pokój, nie mogąc oderwać wzroku od lśniących, złotych włosów i błękitnych oczu, kilka tonów jaśniejszych od jego własnych. Parę godzin wcześniej, gdy była brudna i cała w błocie, nie miał możliwości naprawdę jej się przyjrzeć. Wieczorem zauważył, że jest wyższa kilka centymetrów od tej patkowanej dziewczyny, którą pamiętał sprzed lat. Kiedyś chudziutka, niezgrabna, teraz nabrała rzadko spotykanego wdzięku i piękna.

Długa, smukła szyja górowała nad gładkimi, jasnymi ramionami; włosy przypominały lśniące, jedwabiste złoto. Piersi wystawały dumnie z gorsetu elegancją sukni w kolorze idealnie pasującym do błękitu jej oczu. W ułożeniu jej smukłych ramion zauważył napięcie, którego jednak nie dostrzeżało się na pięk-

nej twarzy. Oddałby piętnaście lat służby, żeby móc się dowiedzieć, o czym teraz myśli. Jednak Jessie Fox była równie dobra w ukrywaniu swoich uczuć co on.

Podejście ojca przywróciło go do rzeczywistości. Stary markiz wręczył mu kieliszek brandy, a następnie oparł się o ścianę i położył łokieć na gzymsie kominka. Wyglądał teraz lepiej. Jego policzki przybrały zdrowy różowy odcień, wydawał się silniejszy.

- No, chłopcze, co o niej myślisz?

Matt uśmiechnął się delikatnie.

- Mówisz o niej tak, jakby była koniem na sprzedaż. Dziewczyna jest urocza, jeśli o to pytasz.

- Pytam, co o niej myślisz. Założę się, że ci się spodobała. Jak mogłoby być inaczej? Ta kochana dziewczyna wprost emanuje ciepłem. Każdy jej uśmiech jest jak promyk słońca, który rozświetla cały pokój.

Matthew zmarszczył brwi na widok błysku zachwytu w oku ojca, mówiącego o Jessie Fox. Do głowy zakradła mu się niepokojąca myśl, która zresztą nawiedzała go już wcześniej.

Okrężnym ruchem wymieszał brandy w kieliszku i spojrzał uważnie na markiza.

- Kilka lat temu, kiedy po raz pierwszy powiedziałeś mi o tej dziewczynie, myślałem, że chcesz, by była twoją kochanką. Zapewniłeś mnie wtedy, że tak nie jest. Czy twoje relacje z Jessicą uległy zmianie? Teraz, kiedy ją zobaczyłem, doskonale rozumiem, dlaczego...

Markiz uderzył nagle dłonią o gzyms kominka. Głuchy dźwięk przebiegł przez salę niczym piorun.

- Jessica jest dla mnie jak córka. Jest dobra, opiekuńcza, słodka i cnotliwa, a moje uczucie do niej nigdy nie było inne, jak tylko ojcowskie.

Matthew pochylił delikatnie głowę.

- Przepraszam, ojcze. Nie chciałem obrazić ani ciebie, ani jej.

Był zdziwiony faktem, że słowa ojca przyniosły mu wyraźną ulgę. Nie mógł się jednak wyzbyć myśli, że Jessica faktycznie świetnie nadawałaby się na kochankę.

- Jestem już stary, Matthew. Ostatnio nie czuję się zbyt dobrze. Ty i Jessica jesteście jedynymi bliskimi mi osobami. Znaczący dla mnie wszyscy. Jesteście przyszłością Belmore, moim jedynym sensem życia.

Matthew wstał z miejsca.

- Wiem, że na mnie liczysz, ojcze. Rozmawiałem już o mojej rezygnacji zarówno z Cornwallisem, jak i z admirałem Nelsonem. Niestety, podobnie jak ja, uważają, że decydująca konfrontacja Francji z Anglią odbędzie się na morzu i do tego czasu, dopóki Anglii grozi inwazja, moje miejsce jest na pokładzie „Norwich”. Nie mogę z czystym sumieniem zrezygnować ze służby.

- Wiem, że twoja lojalność wobec ojczyzny jest ogromna, Matthew, i jestem z ciebie dumny. Jednakże dowodzenie statkiem w samym środku bitwy morskiej to bardzo niebezpieczna sprawa. Jesteś moim jedynym dziedzicem. Nie mogę sobie pozwolić na to, by cię stracić. Nieważne, czy przez obowiązek, czy przez coś innego.

- Znasz moje zdanie, ojcze. Już dyskutowaliśmy na ten temat.

Stary markiz westchnął.

- Tak... cóż, zostawmy to. Chwilowo chciałbym poruszyć z tobą inną sprawę. Dotyczy ona mojej podopiecznej. Dlatego właśnie pozwoliłem jej wymówić się udawanym bólem głowy i nie oponowałem, gdy chciała się udać do swojego pokoju, choć wieczór jeszcze się nie skończył.

Markiz uczynił zamaszysty gest ręką, nakazując Mattowi powrócić na miejsce, a następnie sam usiadł w wygodnym fotelu naprzeciwko. Pochylił się i wyciągnął cygaro z palisandrowego pudełka.

- Masz ochotę? - zapytał syna, wskazując pudełko, ale Matt pokręcił przecząco głową i zamiast tego pociągnął łyk brandy.

Stary markiz uniósł cygaro na wysokość swojego patrycjuszowskiego nosa, takiego samego jak nos Matthew, i delectował się przez chwilę aromatem drogiego tytoniu.

- Jak mówiłem, rozumiem, że zanim na dobre wrócisz do Belmore masz jeszcze pewne zobowiązania. Ale prawda jest taka, że po śmierci Richarda oprócz powinności wobec Anglii masz też inne, równie ważne obowiązki, o których nie możesz zapominać.

Markiz obciął srebrnymi szczypcami końcówkę cygara i zapalił je od płomienia kominka.

- Seaton Manor jest już twoje - ciągnął markiz, wydychając w powietrze kłęb dymu. - Belmore i wszystkie jego dobra wkrótce też będą należeć do ciebie.

- Nie mów tak, ojciec. Będziesz kierował wszystkim jeszcze długie lata. Nie ma potrzeby...

- Posłuchaj mnie, synu. Jestem już stary, schorowany i zmęczony. Przekazałbym ci pieczę nad Belmore nawet jutro, gdybym wiedział, że wracasz do domu i jesteś gotowy przejąć moje obowiązki. A jest ich sporo i pomału zaczynają być dla mnie ciężarem. Proszę cię o pomoc.

- Oczywiście, ojciec. Pomogę ci, jak tylko będę mógł.

Stary markiz odchylił się w fotelu i zaciągnął się głęboko cygarem. Na stole migotało kilka świec, rozświetlając delikatnie jego siwiznę.

- Jak powiedziałem wcześniej, ty i Jessica jesteście przyszłością Belmore. Nie będę owijał w bawełnę. Chcę, żebyście się pobrali.

- Co?! - Matthew zerwał się na równe nogi. - Ojciec, przecież to absurd.

- Wcale nie. Widziałeś dziś tę dziewczynę. Nie ma na świecie bardziej uroczej istoty niż ona. Jest inteligentna i pełna wdzięku. I kocha Belmore Hall prawie tak samo jak ty.

Matt mocno zacisnął zęby, starając się zapanować nad wściekłością.

- Ojciec, nie mogę poślubić twojej podopiecznej. Jestem prawie zaręczony z kimś innym. Chyba doskonale zdajesz sobie sprawę, że łączy mnie coś z lady Caroline. Znamy się od dziecka. Już od jakiegoś czasu mówi się o naszym ślubie.

- Tak... odkąd zostałeś moim dziedzicem. Gdyby tytuł nie przeszedł na ciebie, pewnie w ogóle nie brałaby cię pod uwagę.

Matt nie odpowiedział. Ojciec miał pewnie rację.

- Dlaczego tak się zainteresowałeś lady Caroline? - zapytał.

- Każdy mężczyzna byłby zainteresowany. Caroline Winston ma wszystko, czego mógłby zapragnąć mężczyzna: rodzinę, pieniądze, wykształcenie. Ma nienaganne maniery i jest ogromnie atrakcyjna. Pasujemy do siebie charakterami, a ojciec planuje przekazać jej fortunę, łącznie z posiadłością sąsiadującą z Belmore. Wszystko jest już właściwie ustalone.

- Ależ nic nie jest ustalone. Jeszcze się nie oświadczyłeś, a ja cię proszę, byś poślubił Jessie.

Matt poczuł, jak wzbiera w nim złość.

- Ale dlaczego, na miłość boską? Jessie Fox i ja praktycznie się nie znamy.

- Powiedziałem ci dlaczego. Bo jestem już bardzo stary. Cięży na mnie odpowiedzialność za dalsze losy Jessiki. Martwię się o jej przyszłość tak samo, jak o twoją, i chciałbym mieć pewność, że ktoś dobrze o nią zadba. Gdybyś został jej mężem, byłbym o to spokojny.

Matthew potrząsnął głową z niedowierzaniem, ale starał się zachować spokój.

- Lady Caroline wkrótce przybędzie do Winston House. Mam zamiar ją odwiedzić, jak tylko dowiem się o jej przyjeździe. Oświadczę się jej natychmiast, gdy dostanę zgodę na odejście ze służby.

Ojciec spojrzał na niego surowo.

- Może gdybyś naprawdę kochał tę dziewczynę, zrozumiałbym twoją niechęć wobec Jessiki. Ale przecież jej nie kochasz. Rzadko o niej wspominasz.

- Miłość to ostatnia rzecz, jaką chciałbym czuć do żony. Kochałeś moją matkę i jej śmierć prawie cię zabiła. Przeżywałeś jej stratę przez ostatnie dwadzieścia lat. Jak już mówiłem, pasujemy do siebie z Caroline. To wystarczy w zupełności.

Przez chwilę ojciec milczał. Powoli wziął do ust cygaro i zaciągnął się nim głęboko.

- Uważam, że ty i Jessica pasujecie do siebie.

Matthew stracił cierpliwość.

- To niedorzeczność! Ta dziewczyna to przebiegła intrygantka! Od pierwszego spotkania tylko skaczymy sobie do oczu - oznajmił i uśmiechnął się ironicznie. - Po jej ostatnim nierozważnym wybryku sprawiłem twojej kochanej Jessie w pełni zasłużone lanie. Jeśli nie będzie się pilnować, być może jeszcze kiedyś to powtórzę!

Stary markiz jedynie uśmiechnął się pod nosem.

- Przyznaję, Jessica czasem może dać w kość. Ma własne zdanie i łatwo pakuje się w kłopoty. Potrzeb-

ny jej ktoś stanowczy, kto będzie umiał sobie z nią poradzić. Będzie szanowała takiego mężczyznę i uczyni z niego szczęśliwego męża.

Matta zalała fala wściekłości tak silna, że ledwie mógł wymawiać słowa.

- Namówiła cię do tego, prawda? Boi się, że jak ciebie zabraknie, każe wyrzucić ją na ulicę. Cóż, powiem ci coś, ojczu. Być może ta podstępna dziewczucha zamydliła ci oczy, ale ze mną nie pójdzie jej tak łatwo. Przecież jej zawsze chodziło tylko o twoje pieniądze. A teraz zachciało się jej jeszcze tytułu dziedziczki Belmore! Chcesz, żebym ożenił się z Jessicą Fox? Do diabła, przecież to córka ladacznicy!

Twarz starego markiza pobladła. Matt przeklinał się w duchu za tę nagłą utratę opanowania. Kątem oka zauważył, jak w szparze przy drzwiach mignęło coś niebieskiego, a po chwili rozległy się czyjeś szybkie kroki.

Rany boskie! Ta diablica podsłuchiwała! Matt przyglądał się napiętej twarzy ojca, jego starym dłoniom mocno zaciśniętym wokół poręczy fotela. Już zdążył pożałować swoich słów.

- Mylisz się co do Jessie - oznajmił ojciec z godnością, powoli odzyskując spokój. - Ona nic o tym nie wie. Po prostu wierzę, że jeśli się pobierzecie, oboje tylko na tym zyskacie.

Matthew przeczesał ręką włosy, odgarniając z czoła kilka niesfornych kosmyków.

- Przepraszam, ojczu. Nie powinienem był się unosić.

Rzadko mu się to zdarzało. Prawie nigdy.

- Może powinienem był poczekać z tą rozmową, pozwolić wam się lepiej poznać. Nie zrobiłem tego, bo nie zostało mi wiele czasu. I z powodu twojej zażyłej znajomości z lady Caroline.

- Rozumiem - odparł Matthew już zupełnie spokojnie. Usiadł z powrotem na krześle. - Jak już mówiłem, najmocniej cię przepraszam.

Wciąż nie mógł wyzbyć się myśli, że to Jessica namówiła do tego markiza tak, jak do wszystkiego innego.

- Rzadko proszę cię o cokolwiek, Matthew. Teraz jednak proszę cię o to, byś zapomniał o uprzedzeniach i spróbował spojrzeć na Jessicę moimi oczyma. Spędź z nią trochę czasu. Jeśli to zrobisz i przed powrotem na statek dalej będziesz twierdził, że nie chcesz jej poślubić, nie będę więcej naciskał.

Matthew zawahał się na ułamek sekundy i po chwili skinął sztywno głową na znak zgody. Ojciec był chory, nie chciał go więc denerwować. Oczywiście, zniesie jakoś towarzystwo dziewczyny przez najbliższe kilka tygodni.

- Jak sobie życzysz, ojcze.

Zastanawiał się tylko, czy po tym co usłyszała, Jessica będzie chciała znosić jego towarzystwo.

* * *

Szary świt zakradł się po cichu do sypialni Jessie. Ponura szarość idealnie odzwierciedlała jej nastrój. Całe ciało miała ciężkie i sztywne po niespokojnej nocy. Odczuwała lekki ból głowy i pulsowanie w skroniach. Spała tylko kilka godzin. Była zła i rozgoryczona. Nie mogła zapomnieć o słowach kapitana, które jak sztylety przeszły jej serce. Ale teraz przynajmniej wiedziała, co naprawdę o niej myśli.

Nie powinna była podsłuchiwać. Powinna była udać się na górę, do sypialni. Wiedziała jednak, że papie Reggiemu chodzi po głowie coś bardzo ważnego i chciała za wszelką cenę dowiedzieć się, co to jest.

Dobry Boże! Ślub z jego synem, przyszłym lordem Belmore! Przecież to śmieszne. Czysty absurd!

Jednak w momencie, gdy usłyszała te słowa, serce zabiło jej mocniej w piersi. Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała, najprawdziwszym bohaterem w tym swoim granatowym mundurze. Gdy dziewczęta w Akademii pani Seymour opowiadały o swoich adoratorach, ona skrycie marzyła o Matthew Seatonie, a nawet śniła o tym, jak by to było, gdyby ją pocałował.

Wiedziała, że to zwykłe głupie fantazje podlotka, a mimo to zawsze gdy o nim myślała, wzbierała w niej nieopisana tęsknota. Gdy odkryła, że w końcu wraca do domu, że naprawdę zobaczy ją tak odmienioną, nie mogła się powstrzymać, by nie wzbudzić w sobie skrytych nadziei. Te wszystkie lata nauki, wielogodzinne ćwiczenia kaligrafii, kończącego się przeraźliwym bólem palców i odciskami na kciuku, powtarzania francuskich słów do momentu, gdy zasychało jej w gardle i traciła głos - wreszcie będą warte włożonego w nie serca i wysiłku.

Na myśl o tym, jak bardzo różni się od zdziczałej, brudnej łobuzicy, którą znał kiedyś kapitan, przez jedną krótką, słodką chwilę naprawdę uwierzyła w to, że jej dziecinne marzenia mogą się ziścić.

Teraz poznała gorzką prawdę.

Przepłakała całą noc, cierpiąc z bólu, którego przysporzyło jej przełknięcie tej zniewagi. Dziś znów była sobą, pogodzona z tym, czego nie może mieć i wdzięczna Bogu za wszystkie cudowne rzeczy, które zostały jej dane. Poza tym w głębi serca wiedziała, że kapitan ma rację. W jego żyłach płynie szlachecka krew. Córka prostytutki nigdy nie będzie kandydatką na żonę dla hrabiego.

Z drugiej jednak strony, do końca życia nie zapomni okrucieństwa jego słów.

Przejrzawszy swoją garderobę, Jessie wyciągnęła z szafy cytrynowożółtą poranną suknię w nadziei, że może ona poprawi jej humor, i zadzwoniła po pokojówkę, by pomogła jej zapiąć guziki. Nie chciała budzić Violi. Starsza kobieta potrzebowała snu. Poza tym przed wnikliwym spojrzeniem Vi nic się nie ukryje, a Jessica wołała nie martwić ukochanej przyjaciółki swoim fatalnym stanem.

Postanowiła zapomnieć o wczorajszym rozgoryczeniu i nie pozwolić, żeby przeszłość położyła się cieniem na jej życiu. Była szczęśliwa z papą Reggiem, szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej. Oczywiście, bywały chwile, gdy czuła się samotna, odizolowana, jakby pochodziła z zupełnie innego świata.

Jednak byli też ludzie, którzy na nią liczyli, a ona czuła dumę z tego, jak daleko zaszła. Miała ważniejsze rzeczy na głowie niż marzenie o tym bufonie Stricklandzie.

Na dworze dopiero świtało. Pierwsze promienie słońca wdzierały się nieśmiało do wnętrza domu. Jessie udała się do głównego wejścia, wzięła ze stołu wczorajszą gazetę „Morning Chronicle”, która zawsze docierała z Londynu z jednodniowym opóźnieniem, i weszła z nią do zaparowanej kuchni. Na ogromnym piecu w wielkim imbryku gotowała się woda, a w powietrzu unosił się aromat świeżo upieczonych bułeczek. Ta smakowita woń zawsze przypominała jej, jakie ma szczęście, że nie musi już budzić się głodna i walczyć o przetrwanie kolejnego dnia.

Jessie pomachała na powitanie pani Tucker, kucharce, oraz jej pomocnicom, Nan i Charlotte, które zajmowały się przygotowywaniem posiłku na cały dzień. Następnie otworzyła gazetę i kierując się

w stronę stołu zaczęła czytać nagłówki: *Eskadra francuska dociera do Indii Zachodnich*. I mniejszym drukiem: *Zdaniem generała Nugenta Jamajce nie grozi inwazja*.

Zatrzymała się, gdy dotarła do jednej z ław. Jej uwaga wciąż skupiona była na gazecie.

- Interesuje panią, co się dzieje na świecie, panno Fox? - Z drugiego końca masywnego stołu doszedł do niej głęboki głos kapitana.

Jessie gwałtownie uniosła głowę.

- C... co pan tu robi?

Na jego widok zamarło jej serce. Słowa wypowiedziane zeszłego wieczora odbijały się echem w jej głowie.

- Przecież pan powinien spać.

Zauważył, że zbladła. Chciał coś powiedzieć, ale w końcu tylko spojrzał na nią chłodno.

- Przykro mi, że panią rozczaruję, ale zwykle wstaję przed świtem. Pytanie brzmi raczej, co pani tu robi? Nie sądzę, by ojciec kazał pani pracować w kuchni.

- Bynajmniej - odrzekła zakłopotana i spuściła wzrok na gazetę. Dobrze ułożonej panience nie wypadało czytywać niczego poza magazynami o modzie dla pań, które wydawały się Jessie śmiertelnie nudne. Po chwili uniosła dumnie głowę.

- Prawda jest taka, że pana ojciec niezbyt przychylnie patrzy na moje spoufalanie się ze służbą. Ja jednak uważam, że nie ma sensu przysparzać służącemu dodatkowej pracy tylko dlatego, że mam ochotę wstać nieco wcześniej niż wszyscy.

- To bardzo uprzejme z pani strony, panno Fox. Sam mam podobne zdanie. A skoro myślimy tak samo, może ma pani ochotę mi potowarzyszyć?

Gazeta zadrzała jej lekko w rękach. Wcale nie chciała mu towarzyszyć. Po tym, co wczoraj powie-

dział, nie chciała go już nigdy więcej widzieć. Z drugiej strony, on przecież nie wiedział, że go słyszała. Oczywiście, mogłaby udać, że nic się nie stało, że jej stosunek do niego zupełnie się nie zmienił... że te okrutne słowa nie rozerwały jej serca na strzępy.

Przyglądała się idealnym rysom jego twarzy, doskonałej symetrii mocnej, świeżo ogolonej szczęki i złotym włosom, rozświetlonym przez pierwsze poranne promienie słońca, wpadające przez okno. Zawsze był przystojny, ale lata doświadczenia dodały mu swoistej powagi, która czyniła go jeszcze bardziej atrakcyjnym. Samo patrzenie na niego sprawiało, że serce zaczynało jej mocniej bić, a ciało przesywała dziwna fala gorąca.

Jej odpowiedź zabrzmiała ostrzej, niż zamierzała.

- Niestety mam już plany na dzisiejszy poranek. Zjem tylko bułeczkę i muszę iść.

- Czyżby wybierała się pani na kolejną szaleńczą przejażdżkę, panno Fox? Jeśli tak, to mam przynajmniej nadzieję, że będzie się pani trzymać dróg. Obawiam się, że ani pani, ani koń nie przeżyjecie kolejnego podobnego wypadku.

Policzki Jessiki oblały się rumieńcem, który przykrył niedawną bladość.

- Zapewniam pana, że to nie jest mój zwykły sposób podróżowania.

Matthew nie wyglądał na przekonanego, a ona nie miała zamiaru mu tłumaczyć, że spieszyła się, by pomóc przyjaciółce. Asystowanie przy narodzinach dziecka również nie należało do odpowiednich zajęć dla niezamężnej dziewczyny. Miałyby tylko kolejny argument przeciw niej.

Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie i dostrzegła, że przygląda się jej tymi ciemnymi, śmiałymi oczami, analizuje każdy fragment jej ciała, od czubka głowy

po krągłości jej piersi. Poczuła ucisk w żołądku, a na policzki znów wstąpił ognisty rumieniec.

Gdy spuściła wzrok, zauważyła, że jest ubrany do konnej jazdy, w obcisłe czarne bryczesy, białą, prostą koszulę i te same czarne buty, które miał na sobie podczas pierwszego spotkania. Twarz zbrązowiła mu od słońca, a lekko kręcone, jeszcze wilgotne włosy miały kolor prawdziwego złota.

- Dziękuję, pani Tucker - rzekł, gdy kobieta podała im herbatę i bułeczki oraz kawał zimnej wołowiny, mającej zaspokoić wilczy apetyt kapitana.

- Dobrze pana widzieć, kapitanie... Choć wygląda na to, że trochę mojej kuchni dobrze by panu zrobiło.

Była niziutką, ale krzepką Irlandką, pracowitą i sympatyczną.

Matt uśmiechnął się do niej szeroko i ostentacyjnie wgryzł się w jedną z gorących jeszcze bułek. Przeżuł wszystko dokładnie, połknął i przetarł usta chusteczką.

- A ty, Maizie Tucker, wciąż jesteś najlepszą kucharką po tej stronie Dublina.

Mała, krągła kobiecina zachichotała radośnie i wychodząc puściła do niego oko.

Tymczasem Jessie skupiła uwagę na gorących maślanych bułeczkach. Jedną z nich posmarowała grubą warstwą miodu, zawinęła w serwetkę i przygotowała się do wyjścia. Wtedy poczuła na sobie wnikliwy wzrok Matta i spojrzała na jego pięknie rzeźbioną twarz.

- Pomyślałem, że wybiorę się dziś na przejażdżkę - rzekł. - Odwiedzę stare kąty. Może miałyby pani ochotę mi towarzyszyć?

Jessie zrobiło się słabo. Matt proponował jej przejażdżkę, traktował ją jak równą sobie, ale ona wiedziała doskonale, że myśli o niej zupełnie co innego.

Nagle ogarnęła ją wściekłość. Ugryzła się jednak w język i potrząsnęła tylko przecząco głową, wprawiając przy tym w ruch długi jasny warkocz.

- Jak już mówiłam, mam inne plany.

Matt nieco spochmurniał. Zapraszał ją, by zadowolnić ojca, była tego pewna, a mimo to, zamiast się cieszyć, wyglądał raczej na niezadowolonego.

Jessica nieco złagodniała i uśmiechnęła się nonszalancko.

- Cóż, obawiam się, że muszę już iść.

Niechętnie wręczyła mu gazetę, której jeszcze nie zdążyła przeczytać i wepchnęła do ust ostatni kawałek bułeczki w sposób nieco mniej elegancki, niż planowała.

Brwi lorda Stricklanda uniosły się z zainteresowaniem. Jessie zamarła, gdy na jego twarzy pojawił się uśmiech rozbawienia. Odsuwając ławkę, może trochę nazbyt gwałtownie, wstała od stołu. Kapitan również się podniósł.

- Życzę udanej przejażdżki, wasza lordowska mość - rzekła dość oschle.

W odpowiedzi delikatnie pochylił głowę i uśmiechnął się kpiąco.

- Miłego dnia, panno Fox.

Chcąc jak najszybciej uwolnić się od jego towarzystwa, Jessica pobiegła na zaplecze kuchni i opuściła posiadłość schodami dla służby.

Rozdział 4



Matt próbował skupić się na tłustym druku „Morning Chronicle”, jednak jego myśli wciąż wędrowały ku Jessice Fox. Kuchnia była ostatnim miejscem, w którym spodziewałby się ją zastać. Znając jej zwodniczą naturę, wyobrażał ją sobie w jadalni w otoczeniu służby, gotowej spełnić każdą jej zachciankę.

Choć z drugiej strony, gdy przypomniał sobie obraz zabłoconej dziewczyny, którą zobaczył zaraz po przybyciu, przeszło mu przez myśl, że kuchnia to dla niej pewnie najodpowiedniejsze miejsce.

Usta Matta wykrzywiły się w cynicznym uśmiechu. Miejsce kobiety wyglądającej jak Jessie Fox jest w męskim łóżu. Zachciało jej się wykształcenia? Chętnie nauczy ją tego, czego w szkole pani Seymour nie miała szans poznać.

Spojrzał na tylne drzwi i pomyślał, że pięknie dziś wygląda w prostej, żółtej sukni. Uśmiechnął się na wspomnienie o Jessie Fox czytającej londyńską gazetę, jednak uśmiech szybko zniknął z jego twarzy, bo przypomniał sobie o relacjach łączących ojca z tą przebiegłą dziewczuchą.

Czemu tak nagle wyszła? I czemu nie wyszła głównymi drzwiami? Dokąd się spieszyła o tak wczesnej porze?

Do głowy zakradła mu się okropna myśl. Jessica Fox to piękna kobieta. Na pierwszy rzut oka ma wszystko, co prawdziwa dama mieć powinna. Jednak fakt pozostaje faktem - wychowywała się w burdelu. Miała piętnaście lat, gdy ojciec sprowadził ją do Belmore, czyli wystarczająco, żeby już dawno przejął facha po matce.

Może Jessie Fox nie jest wcale taka niewinna, jak ojcu się wydaje? Może Jessie Fox ma kochanka.

Matt zdjął z wieszaka płaszcz do konnej jazdy i wyszedł z kuchni pozwalając, by drzwi zatrzasnęły się za nim.

W stajni po Jessie nie było ani śladu. Nie brakowało żadnego powozu. Rozkazał stajennemu osiodłać konia, a sam postanowił rozejrzeć się po okolicy. Udał się do ogrodów, potem nad staw. Jessie nigdzie nie było. Może się pomylił i wróciła już do domu? Spojrzał kątem oka na stajnię. Stajenny trzymał za wodze osiodłanego wysokiego, gniadego wałacha, uderzającego niecierpliwie kopytem o ziemię.

Westchnął. Jego pobyt w Belmore będzie zdecydowanie za krótki. Ma teraz ważniejsze sprawy na głowie niż martwienie się Jessie Fox. Wrócił do stajni, wziął od stajennego wodze i dosiadł konia.

* * *

W starym drewnianym domu w ogrodzie Jessie właśnie kończyła przygotowania do lekcji. W środku było ciepło i przytulnie. Jeden ze stajennych każdego ranka palił w żelaznym piecu, a dzięki papie Reg-

giemu pomieszczenie było czyste i dobrze umeblowane. W oknach wisały wypłowiałe muślinowe zasłony, a pośrodku sali stały małe stoły i ławki, zaprojektowane z myślą o dzieciach, oraz tablica i krzesło przeznaczone specjalnie dla niej.

Jessie na wszelki wypadek sprawdziła, czy przy każdym stole znajduje się tabliczka do pisania. Uniosła wzrok dokładnie w momencie, gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich mały Georgie Petersham, syn bednarza. Za nim wszedł dziesięcioletni Harold Siddon, potem siedmioletnia Amanda Jane Harley i jej ośmioletnia siostra Penelopa. Dziesięć minut później zjawił się Simon Stewart, patykowaty czternastolatek, i dziewięcioletnia Fanny Wills. Była to mała, ale dziarska grupa dzieci, które nigdy nie chodziły do żadnej prawdziwej szkoły, a mimo to chciały się uczyć, zupełnie jak kiedyś ona.

- Dzień dobry, dzieci. - Jessie przywitała się standardową formułą.

- Dzień dobry, panno Fox - odpowiedzieli dzieci chórem.

Od powrotu ze szkoły z internatem, kiedy to przekonała papę Reggiego, by zorganizować zajęcia dla dzieci służby, ich postępy w nauce były niesamowite. To naprawdę kochane maluchy. Tak bardzo się starały i Jessie pokochała każde z nich bardzo mocno.

Uśmiechnęła się do nich serdecznie i zrobiło jej się ciepło na sercu. Tak wspornie było czuć się potrzebną, móc dawać coś w zamian za cudowne dary, które ona sama nigdy nie otrzymała.

- Wyglądacie dziś na wesołych i pełnych zapału. To co? Zaczynamy?

* * *

Matt jeździł całe przedpołudnie. Szacował wielkość pól uprawnych, podziwiał zadbane stada owiec na odległych pastwiskach i tylko czasem zatrzymywał się, by zamienić kilka słów z dzierżawcami, których nie widział całe lata.

Nigdy wcześniej nie myślał, że kiedyś zostanie panem i zarządcą Belmore. Prawo do ukochanego domu miał przejąć Richard, dlatego Matt starał się za bardzo nie przywiązywać do tego miejsca. Może właśnie dlatego wybrał życie na morzu?

Teraz samo patrzenie na pofałdowane, zielone pola, bogate plony i rozproszone po łąkach stada napawało go dziwną wewnętrzną radością. Pewnego dnia ta ziemia będzie jego. Ojca męczyło już zarządzanie, a on, jeśli nie liczyć zobowiązania, jakie czuł wobec załogi „Norwich”, gotowy był porzucić męczące życie na morzu. Miał ochotę stawić czoło nowemu wyzwaniu.

Usatysfakcjonowany tym, co zobaczył, Matthew w końcu zawrócił konia i skierował się ku Belmore. Jeszcze tylko jeden postój i uda się do domu.

Popołudniowe słońce świeciło dumnie na jasnym, błękitnym niebie, gdy zszedł z wysokiego gniadego wałacha i przywiązał wodze do gałęzi drzewa stojącego w pobliżu starego, drewnianego domu. Skierował się zdecydowanym krokiem ku wejściu, choć mięśnie nóg dawały o sobie znać, nieprzyzwyczajone do tak długich godzin w siodle.

Już wcześniej tego dnia zauważył między drzewami stary, porzucony budynek, jego ulubione miejsce zabaw z dzieciństwa. Kiedyś często przychodzili tu z Richardem i toczyli na strychu bitwy drewnianymi żołnierzykami lub po prostu wymyślali różne dziwne historie, pełne niesamowitych przygód. Ukrywał tu

część swoich największych skarbów z dzieciństwa: kolekcję muszli, wiersz, który sam napisał i ukochaną książkę z opowiadaniem, które ojciec zwykł mu niegdyś czytać przed snem. Zastanawiał się, czy wciąż jeszcze tu są.

Uśmiechając się do bujnych krzewów, które rosły wzdłuż mało uczęszczanej ścieżki przed domem, pchnął ciężkie drewniane drzwi. Spodziewał się, że usłyszy skrzypienie zawiasów, a jego oczom ukaże się ciemne, brudne pomieszczenie przesycone stęchłą i usłane pajęczynami. Jednak to, co ujrzał spowodowało, że zamarł w bezruchu.

Siedząca przy zniszczonym, drewnianym biurku Jessica Fox zerwała się na równe nogi, a jej oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia na widok nieoczekiwanego gościa.

- Lord Strickland! - wyszeptała.

Kątem oka Matt dostrzegł, że sześć par dziecięcych oczu przygląda mu się z zaciekawieniem.

- Panno Fox, po raz kolejny mnie pani zadziwia.

Znów nawiedziło go to dziwne uczucie ulgi. Wygląda na to, że Jessie Fox nie udała się jednak na spotkanie z kochankiem.

Dziewczyna posłała mu chłodny uśmiech.

- Dzieci - rzekła - lekcja dobiegła końca. Zabierzcie książki do domu i zobaczymy się jutro.

O dziwo, maluchy wydały z siebie odgłos niezadowolenia, jakby wcale nie chciały iść. Zebrały swoje zniszczone rzeczy, obdarte kurtki, wełniane czapki i rękawiczki oraz jeden skromny podręcznik, który każde z nich dostało od nauczycielki, i wymijając po drodze Matta, skierowały się w stronę drzwi.

Jessie Fox pozostała na swoim miejscu dumna, niewzruszona, z wysoko zadartą głową, jakby stawiała czoło wrogowi podczas bitwy. Ta kobieta w ja-

snożółtej sukience, z pięknymi, gęstymi włosami, w których tańczyły promienie popołudniowego słońca, była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział.

Poczuł, że krew zaczyna szybciej krążyć mu w żyłach. Dwa dni na morzu zrobiły swoje. Noce z brunetką w Portsmouth nie zaspokoili do końca jego potrzeb.

A może to po prostu przez Jessie Fox?

Ruszył w jej stronę, próbując zapanować nad nagłym pożądaniem.

- Coś czuję, że... chyba pan tego nie pochwała - rzekła, wskazując na małe stoły i krzeselka. - Ludzie pańskiego pokroju zwykle negatywnie odnoszą się do tego typu działalności.

Odetchnęła głęboko, a jej piersi uniosły się tworząc dwa miękkie wzgórki nad dekoltem sukni. Pragnął wyciągnąć rękę i poczuć je w dłoni.

- Mojego pokroju? - powtórzył. - Ma pani na myśli arystokrację, panno Fox?

Jessie nerwowo zagryzła wargi i poczuł, że zalewa go nowa fala gorąca. Bez względu na pochodzenie Jessica Fox była piękną, zmysłową kobietą. Matt musiał przyznać z niechęcią, że pragnie jej w swoim łóżku.

- Nie całą arystokrację - odparła. - Nie mówię o ludziach takich, jak pański ojciec. Cała reszta uważa jednak, że dzieci z niższych klas społecznych powinny zostać tam, gdzie jest ich miejsce. Bieda i analfabetyzm gwarantują tanią siłę roboczą tym, którzy są wyżej w hierarchii społecznej. Istnieje też przesądzenie, że jeśli biedni będą mieć dostęp do edukacji, w końcu na pewno się zbuntują.

Matt zbliżył się do biurka.

- A, tak. Tak jak to miało miejsce we Francji. Jeśli będzie się uczyć tę szóstkę małych dzieci i jeszcze

setkę takich jak one, prędzej czy później polecą głowy. Czy to ma pani na myśli, panno Fox?

- Tak.

- I uważa pani, że ja właśnie tak sądzę?

Jessie pozostała na swoim miejscu, choć gdy zrobił ostatnie kilka kroków w jej kierunku, zerknęła kilka razy w stronę drzwi.

- Nie wiem, co pan sądzi.

- Sądzę, panno Fox, że jeśli chce pani uczyć te dzieci, a one naprawdę pragną zdobywać wiedzę, to powinno się dać im taką szansę. Cieszę się, że ojciec się na to zgodził.

Stał teraz tak blisko niej, że widział jej małe, czarne źrenice i czuł zapach jej perfum, delikatny powiew jaśminu.

- Nie myślał pan tak, gdy markiz mi pomógł - rzekła i spojrzała na niego z wyrzutem.

- Faktycznie, nie myślałem. - Jego usta wykrzywiły się w bładym uśmiechu. - Może byłem zbyt zajęty robieniem uników przed lecącymi w moją stronę zgniłymi owocami albo pilnowaniem, żeby nie wykradła mi pani pieniędzy z portfela.

- A może był pan zbyt zajęty dziewczętami w gospodzie.

Matt zmarszczył brwi.

- Byłem tam raptem kilka razy. Zdumiewa mnie, że pani o tym wie. Była wtedy pani zaledwie dzieckiem. - Obserwował, jak jej oczy przebiegają po jego twarzy, by w końcu spocząć na ustach. - Choć z drugiej strony, być może wie pani znacznie więcej o tych sprawach, niż mój ojciec mógłby podejrzewać. - Pogłaskał ją delikatnie po policzku.

- Co... co ma pan na myśli?

- Jestem po prostu ciekaw, panno Fox. Zastanawiam się... czy naprawdę jest pani tak niewinna, jak

sądzi mój ojciec. - A może, jak przypuszczał Matt, jest sprytną kusicielką, biegłą w sztuce zaspokajania męskich potrzeb? Nagle pytanie to wydało się Mattowi najważniejsze na świecie.

- Muszę... muszę już wracać - wyszeptała, gdy objął ją w tali i przysunął do siebie tak, że ich ciała prawie się stykały.

- Jeszcze chwilka.

-Ale...

- Czy wiesz, że jesteś urocza? - Zadrzała, gdy uniósł delikatnie jej głowę do pocałunku. - Któż by się spodziewał...

Jego usta spoczęły na jej wargach. Delektował się ich miękkością, ciepłem, badał ich pełny kształt. Wsunął jej delikatnie język między wargi i poczuł, że drży. Przyciskała dłonie do jego piersi w wyrazie niepewności, a nawet lęku. Ignorując jej opór pogłębił pocałunek i całkowicie zawładnął jej ustami. Jessie zachwiała się i schwyciła go za ramiona, wydając przy tym delikatny jęk. Jej nogi zdawały się słabnąć i, by się przytrzymać, objęła jego szyję.

A niech to szlag! Nie mógł się dłużej oszukiwać - dziewczyna nie była ladaczną. To naiwne dziecko, które jeszcze nigdy nie było całowane.

Przeklął pod nosem, uwalniając ją z uścisku. Wszystko w nim pulsowało, poczuł nagłą, niezaspokojoną potrzebę zdobycia tej kobiety.

- Matthew? - wydukała nieśmiało.

- Już dobrze, kochanie. Spokojnie. - Jemu potrzeba będzie znacznie więcej czasu, żeby ochłonać, być może zimna kąpiel, ale przynajmniej poznał prawdę.

Uniosła drżącą dłoń i dotknęła nią do ust.

- Pocałowałaś mnie...

Prawie się uśmiechnął. Miała szczęście, że zrobił tylko to. Powstrzymanie się przed zaciągnięciem jej

na biurko, zdarciem z niej ubrania i kochaniem się z nią w tej prowizorycznej sali szkolnej wymagało od niego żelaznej samodyscypliny.

- Proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny, panno Fox. Nie powinienem był sobie na to pozwolić.

Wyprostowała się, a z jej twarzy stopniowo zniknął wyraz oszołomienia. Może usłyszała fałszywą nutę w jego głosie? Bowiem wcale nie żałował tego, co zrobił.

- Dlaczego? - spytała i rzuciła mu lodowate spojrzenie. - Dlaczego mnie pan pocałował?

Matt uśmiechnął się delikatnie.

- Ponieważ chciałem to zrobić, panno Fox. Kto jak kto, ale pani powinna rozumieć to najlepiej. O ile sobie dobrze przypominam, zwykle właśnie pani robi to, na co ma ochotę.

Jessie nie odpowiedziała. Jej twarz nabrała nieodgadnionego wyrazu. Drżącymi rękami zebrała papiery porzucane na biurku, wyprostowała się i uniosła dumnie głowę.

- Muszę już iść - powiedziała, próbując go wyminać.

Matt złapał ją za ramię.

- To był tylko pocałunek, panno Fox.

Odwróciła się i spojrzała mu pewnie w oczy.

- Proszę nigdy więcej tego nie robić.

Po chwili już jej nie było.

Matthew patrzył za nią poządliwie. Nie, więcej jej nie pocałuje. Pragnął jej, to prawda, i gdyby nie ojciec, zrobiliby wszystko, żeby zaciągnąć ją do łóżka. Ale przecież się z nią nie ożeni. Jego żoną zostanie Caroline Winston, a nie córka Elizy Fox, i nieważne, jak bardzo pociągająca stała się ta mała intrygantka.

* * *

W ciągu następnych kilku dni Matt obiecał sobie, że będzie się trzymał z daleka od Jessie Fox i przez większość czasu udawało mu się to całkiem nieźle. Nie mógł jej jednak unikać w czasie kolacji i kilka razy wpadł na nią przypadkowo w domu. Większość poranków i cały jeden dzień w tygodniu spędzała w swojej prowizorycznej szkole, ucząc dzieci czytać, pisać i liczyć, opowiadała im o tym, co się teraz dzieje na świecie.

Matt odkrył, że gdy nie była z nimi, spędzała czas głównie w bibliotece Belmore pochylona nad jakąś francuską książką lub ćwicząc łacinę. Czytała poranną gazetę od początku do końca. Jej spragniony wiedzy umysł chłonał każdą nową wiadomość z niespotykaną wprost zachłannością.

Bez względu na to, co o niej myślał, musiał przyznać, że podchodziła poważnie do własnej edukacji. Nie miał tylko pewności dlaczego. Jessie była inteligentna, chętnie i bez ogródek mówiła na tematy, które ją interesowały. Były z nią jednak same kłopoty.

Na przykład pewnego poranka, tydzień po jego przyjeździe do Belmore, Jessie przemknęła się do domu w rozerwanej sukni, z potarganymi włosami.

- Na miłość boską, co się pani stało? - zapytał wtedy.

Na jej policzki wpłynął szkarłatny rumieniec.

- Piłka... utkwiała dzieciom na drzewie. Musiałam się na nie wspiąć i ją ściągnąć.

Na twarzy Matta pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech.

- O ile sobie przypominam, panno Fox, sztukę chodzenia po drzewach opanowała pani do perfekcji.

Na te słowa Jessie zeszywniała, zadarła prosty, mały nosek do góry, odwróciła się do niego plecami i odeszła nie oglądając się za siebie.

Innym razem wpadł na nią, gdy kłóciła się z domokrażką, który zatrzymał się w okolicy, by sprzedawać swoje towary. Twierdziła, że oszukał żonę bednarza i zażądała zwrotu pieniędzy. Wzajemne oskarżenia i krzyki trwałyby pewnie w nieskończoność, gdyby się nie wtrącił i nie położył kresu tej kłótni.

Dwa razy wróciła do domu w zabłoconej sukni. Raz nawet miała brudne smugi na twarzy. Bóg jeden wie, co robiła.

Nie miało to jednak znaczenia. Niezależnie od tego, jak była piękna i jak bardzo jej pożądał, Jessie Fox wciąż pozostawała Jessie Fox. Pod śliczną maską skrywała się uparta dziewczyna, która bez przerwy pakowała się w kłopoty. Matt zacisnął zęby. Nawet gdyby przeszłość Jessie nie była problemem - jak dołąd ojcu udało się utrzymać ją w tajemnicy - ta dziewczyna stanowiła antytezę wszystkiego, czego oczekiwał od kobiety.

Potrzebował żony, która byłaby urocza, posłuszna i spokojna jak Caroline, która dałaby mu dzieci o równie łagodnym charakterze.

Jessie Fox to zdecydowanie nie kobieta dla niego.

* * *

Reginald Seaton, markiz Belmore, zajął honorowe miejsce przy długim, mahoniowym stole. Po jego prawej stronie zasiadł syn, a po lewej - podopieczna, dwoje najdroższych mu ludzi na świecie.

Od przyjazdu Matthew cała trójka co wieczór spotykała się na kolacji i co wieczór posiłek przebiegał w chłodnej, formalnej atmosferze. Czasem Jessica

sprawiła nawet wrażenie nieprzyjaznej. Matthew ignorował ją do tego stopnia, że stawało się to wręcz niegrzeczne.

Reginald uśmiechnął się w duchu. To bardzo dobry znak. Spojrzał na syna, który wpatrywał się właśnie intensywnie w talerz, jakby odkrył tam coś nadzwyczaj ciekawego.

- Jak dziczyzna, Matthew? - zapytał.

- Bardzo smaczna, ojcze.

- A przepiórka, Jessico?

- Przepyszna, papo Reggie. Jedzenie jest wyśmienite.

- Cieszę się, że ci smakuje. Jutro czeka nas znacznie skromniejszy posiłek.

- Czemu? - zdziwili się młodzi jednym głosem. Matthew zrobił skwaszoną minę. Jessie zmarszczyła jasne brwi z niezadowoleniem.

Oboje zwrócili się w jego stronę i jednocześnie zapytali:

- Gdzieś jedziemy?

Na twarz Jessie wstąpił rumieniec. W spojrzeniu Matta dało się dostrzec nutę rozbawienia, co ostatnimi czasy należało do rzadkości.

- Pani pierwsza, panno Fox - rzekł, a w jego oczach wciąż igrały figlarne ogniki.

- Nie, pan pierwszy. Jestem pewna, że pańska wypowiedź będzie znacznie ważniejsze niż to, co ja mam do powiedzenia - odparła Jessie nieco wyniośle.

Matt wpatrywał się w dziewczynę jeszcze przez chwilę, a potem spojrzał na markiza.

- Czekają nas jakaś podróż, ojcze?

- Właściwie to tak, synu. W Eylesbury trwa właśnie jarmark. Od lat nie byłem na takiej imprezie. Powinienem się tam udać, gdyż niedługo będę za stary na takie rozrywki. Chciałbym, żebyście pojechali ze mną.

Matthew zachmurzył się.

- Chciałbym pojechać, ojcze, ale niestety mam już inne plany.

- Tak, widziałem, że lokaj panny Winston zostawił jej bilet wizytowy. Domyślam się, że przybyła już do Winston House.

- Tak. A skoro już zapowiedziałem swoją wizytę, nietaktem byłoby ją teraz odwołać.

- Nietaktem będzie również niedotrzymanie naszej umowy. Myślałem, że coś uzgodniliśmy. Czy się mylę?

Opalone policzki Matta oblał rumieniec. Duma i honor to słowa wpisane w herb rodowy Belmore. Matt cenił je bardziej niż ktokolwiek na świecie.

Syn skinął lekko głową, a na jego ustach pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech.

- Powiadomię lady Caroline, że nie będę mógł się zjawić. Jutro udajemy się na jarmark.

Jessie starała się zachować obojętną minę, ale nie mogła się powstrzymać i jej twarz rozświetlił promienny uśmiech.

- Jarmark! Nigdy nie byłem na jarmarku, ale zawsze tak bardzo o tym marzyłam!

- Nigdy? - zapytał Matt z niedowierzaniem. - Na pewno kiedyś...

Potrząsnęła przecząco głową.

- Jarmarki zawsze odbywały się zbyt daleko od domu, albo coś innego stawało na przeszkodzie wyjazdowi. Potem mama zachorowała i musiałam się nią opiekować. No a po jej śmierci nie było pieniędzy na tego typu rozrywki.

Na to przykre wspomnienie w oczach Jessie pojawił się cień smutku. Wystarczył jednak ułamek sekundy, by zastąpił go promienny uśmiech.

- Nigdy nie byłem na jarmarku, ale nasłuchiwałam się opowieści o tym, jak są cudowne. Mój brat miał kole-

gę o imieniu Dibble, który nigdy nie przepuścił żadnego jarmarku. Mówił, że roi się tam wprost od nadętych bufonów i bogaczy, tylko czekających na to, żeby ich oskubać. Powiedział, że mógł wyczyścić portfel takiego delikwenta i zniknąć w tłumie zanim biedaczysko zdążył się w ogóle zorientować, co się dzieje.

Reggie jęknął w duchu. Od powrotu ze szkoły dziewczyna nie popełniła żadnej gafy. Powiedziała mu kiedyś, że nie pozwoli sobie nawet na myślenie w sposób typowy dla środowiska, w którym dorastała.

Wiedział, że to wszystko przez napięcie spowodowane obecnością Matta, jego porządnego syna z marynarki, którego najwyraźniej nawet odrobinę nie wzruszyło przerażenie malujące się na pięknej twarzy Jessiki. Nic go nie obchodziło, że jej policzki zmieniły odcień z brzoskwiнового na kredowobiały, że do jej pięknych błękitnych oczu napływały łzy. Myślał teraz pewnie, że nie mylił się co do niej, że w ogóle do siebie nie pasują, a Jessie zupełnie nie nadaje się na markizę Belmore.

- Proszę mi wybaczyć - wyszeptła Jessie, odsuwając swoje krzesło.

- Jessico... - zaczął Reggie, czując uścisk żalu w swoim starym, schorowanym sercu, ale to Matthew schwycił ją za rękę, zanim zdążyła się wymknąć.

- Proszę zostać - powiedział miękko. - Nie ma się pani czego wstydzić. Nikt z nas nie jest doskonały, bez względu na to, jak bardzo byśmy tego chcieli. - Matt uśmiechnął się do niej ciepło. - Nauczyła się pani przez cztery lata więcej, niż wielu ludzi przez całe życie. Powinna być pani dumna ze swoich osiągnięć, nawet jeśli nie zawsze jest pani doskonała.

Po policzku Jessie spłynęła łza. Otarła ją szybko wierzchem dłoni.

- Zostań, moja droga - dodał Reggie miękko. - Matthew ma rację... a musimy jeszcze omówić plany na jutro.

Jessica uległa, ale nie rozsiadła się wygodnie, a jedynie przycupnęła na krawędzi krzesła, jakby wciąż myślała o tym, jak tu się wymknąć.

Matthew mówił o wielkim jarmarku, na którym był kiedyś w Bury St. Edmunds, racząc dziewczynę opowieściami o swoich niefortunnych przygodach, dopóki na jej twarzy znów nie zagościł uśmiech. Patrzyła na niego inaczej niż wcześniej, tak jak patrzyła zawsze na Reggiego, gdy opowiadał o swoim synu.

Jakby był jakimś bohaterem.

Matthew jednak nim nie był. Jego myśli zaprzętało co innego, sądząc po jawnej żądzy płonącej w niebieskich oczach.

Markiz naprawdę pragnął tego małżeństwa, ale ryzyko było ogromne i nie chciał, żeby Jessica cierpiała. Miała dopiero dziewiętnaście lat, a w swoim krótkim życiu zaznała już głodu, okrucieństwa i nędzy. Nie zasługiwała na kolejne cierpienia ze strony jego syna. Do diabła! Może ta wyprawa na jarmark to wcale nie taki dobry pomysł?

Reggie przyglądał się swoim dwojgu ukochanym dzieciom. Jessica uśmiechała się delikatnie, a jego syn po raz pierwszy odwzajemniał ten uśmiech. Matthew pragnął Jessie, ale nie na tyle, by się z nią ożenić. Na tym polegało niebezpieczeństwo.

Reginald westchnął. Podejmował ogromne ryzyko.

Z drugiej jednak strony, jego syn to człowiek honoru, a dla szczęścia tych dwojga warto podjąć nawet największe ryzyko.

Nie wycofa się. Będzie kontynuował swój plan.

Rozdział 5



Jarmark w Eylesbury nie należał do tych największych. Według opowieści papy Reggiego, wiele lat temu był to zwykły bazar. Dopiero potem zamienił się w targ, na którym właściciele sklepów mogli zaopatrywać się w towar na resztę roku.

Z biegiem czasu targ się rozrastał. Dodatkowo zaczęto organizować rozmaite pokazy, pojawiły się karnuzele, stoiska z konkursami oraz mnóstwo innych atrakcji, które każdego roku dodawały imprezie blasku.

- W końcu kiermasz przeniesiono na obrzeża miasta - snuł swoją opowieść markiz. - Na miejsce targu zwierząt, gdzie sprzedawano bydło, owce i konie.

Na oświetlonym porannym słońcem placu panowały zgiełk i wrzawa. Swoje stragany mieli tu rzeźnicy, sprzedawcy ryb, garncarze i kołodzieje. Wokół stoisk przechadzali się zarówno sklepikarze, jak i żebracy. Byli też karczmarze, nauczyciele, właściciele ziemscy i arystokraci, wszyscy razem, przyciągnięci przez niecodzienne zapachy, jaskrawe kolory i głośne dźwięki kiermaszu.

- Spójrz, papo Reggie! Teatryk kukiełkowy! - zawołała Jessie i pociągnęła markiza we wskazanym

kierunku. Matthew szedł tylko obok i uśmiechał się pobłażliwie. Stanęli wśród tłumu, by obejrzeć przedstawienie. Jessie śmiała się jak dziecko z żartów lalkarza, który pociągnął za sznurek, unosząc tym samym imponujące brwi kukiełki, a następnie podniósł rękę lalki do góry i pomachał w stronę zgromadzonych.

Później spacerowali pośród straganów, a jeśli jakiś przedmiot przyciągał szczególną uwagę Jessie, papa Reggie natychmiast zatrzymywał się i go kupował. Znalazła się wśród nich kolorowa pleciona bransoletka, jakaś ładna muszelka oraz sztuka pięknego czerwonego jedwabiu, który podziwiała przy stoisku z materiałami.

- Kupiłeś mi już nazbyt wiele - protestowała Jessie. - Mam pełną szafę pięknych ubrań. Wcale tego nie potrzebuję.

- Podoba ci się, prawda?

- Jest przepiękny, ale nie musisz...

- Pozwól mu - wtrącił Matt z uśmiechem. - Dobrze się bawi tak cię rozpieszczając.

Reggie również się uśmiechnął.

- Posłuchaj tego młodzieńca, moja droga. Choć raz ma rację.

Jessica roześmiała się radośnie i czule uściśnęła pomarszczoną dłoń markiza.

- Dziękuję - rzekła miękko, ale kątem oka dostrzegła delikatną zmianę w wyrazie twarzy Matta, ledwo zauważalny cień w jego intensywnie niebieskich oczach.

Zatrzymali się, by popatrzeć na grupę akrobatów wykonujących niebezpieczne salta, a następnie skierowali w stronę innego stanowiska, gdzie Jessie dostrzegła prawdziwego Afrykańczyka. Przez nos przechodziła mu w poprzek biała kość, w uszach miał

muszelki i groźnie wymachiwał w stronę tłumu naostrzoną dzidą. Jessie nigdy nie widziała nikogo równie przerażającego.

Uśmiechnęła się w duchu. Może z wyjątkiem Matthew Seatona w dniu, w którym sprawił jej lanie.

Znów wyszli z namiotu na słońce.

- Och, papo Reggie. Tak wspaniale się bawię. Dziękuję, że mnie tu zabrałeś.

- Co za bzdury wygadujesz? - odparł nieco szorstko. - Przecież to ja chciałem tu przyjechać. Mogę ci być jedynie wdzięczny, że zechciałaś mi towarzyszyć.

Jednak twarz markiza stawała się coraz bardziej napięta i czerwona na tle białych włosów. Jessie zaczynała się o niego martwić.

- Niestety - rzekł, jakby potwierdzając jej obawy - nie mam już tyle lat co kiedyś. Moja podagra daje o sobie znać. Jeśli pozwolicie, zostawię was i powrócę już do „Ognistego Anioła”.

Markiz już wcześniej zadbał o to, by przygotowano dla nich pokoje w pobliskim luksusowym hotelu, gdzie spędzili również poprzednią noc.

Jessie przytaknęła i wzięła go pod ramię.

- Myślę, że to bardzo dobry pomysł.

- Zgadzam się - dodał Matthew.

Starzec wyrwał się z uścisku.

- A wy dokąd?

- Z tobą, oczywiście - odparła Jessie.

- Nie wygłupiajcie się. Oboje jesteście młodzi i zdrowi. Powiniście zostać i cieszyć się jarmarkiem. Matthew odprowadzi cię z powrotem do hotelu, gdy już będziesz miała dość.

- Och, ależ nie możemy...

- Mam rację, chłopcze?

Lord Strickland chwycił ją za rękę i ukłonił się z galanterią.

- Ojciec ma rację, panno Fox. Dzień jeszcze się nie skończył, a pani nie widziała nawet połowy atrakcji.

- Ale co z papą Reggie?

- W hotelu czeka co najmniej połowa służby z Belmore. Stangret odwiezie go bezpiecznie na miejsce, a kamerdyner już zadba o to, by odpowiednio przygotowano jego pokój.

Spojrzał w stronę markiza.

- Czy to miałeś na myśli, ojczu?

- Dokładnie to, chłopcze, dokładnie to! - rzekł i pocałował Jessie w policzek. - Baw się dobrze, moje dziecko. Zobaczymy się wieczorem w hotelu.

Jessie skinęła posłusznie głową. Nawet niewielkie poczucie winy nie zdołało przyćmić dreszczyku emocji spowodowanego pobylem w tak ekscytującym miejscu.

- Odprowadzę ojca do powozu - oznajmił Matthew. - Proszę tu na mnie zaczekać, obok stoiska szewca. To potrwa tylko chwilę.

- Dobrze - odparła, a jej wzrok powędrował ku najbliższemu stoisku, gdzie grupa chłopców walczyła o to, który z nich najszybciej zje pudding. Zwycięzca miał otrzymać nagrodę.

- I proszę się nie oddalać - dodał Matt i rzucił jej surowe spojrzenie. - W tym tłoku nigdy nie uda mi się pani odnaleźć.

Skinęła głową i patrzyła, jak rozplywa się w tłumie. Markiz po raz ostatni uniósł dłoń w pożegnalnym geście i mężczyźni całkowicie zniknęli jej z oczu. Jessie podeszła trochę bliżej grupy chłopców pochylonych nad miskami gorących płatków owsianych, zagęszczonych mlekiem, doprawionych masłem i cukrem. Próbowali nabrać łyżką jak największą porcję i włożyć ją sobie do ust.

Uśmiechnęła się na ten widok. Aż za dobrze wiedziała, jak bardzo każdy z nich marzył o nagrodzie.

- A niech mnie szlag, jeśli to nie moja dawno zaginiona siostra.

Jessie poczuła, że coś ściska ją w środku. Odwróciła się w stronę, z której doszedł do niej znajomy głos.

- Danny... - Po plecach przeszedł jej zimny dreszcz. - Co... co ty tu robisz?

Zauważyła, że obok niego stoi wysoki i chudy jak patyk Connie Dibble oraz niski, przysadzisty blondyn, którego nigdy wcześniej nie widziała.

- No a co my tu możemy robić, kochana? Przyszliśmy z Conniem i Theo na jarmark, dokładnie tak, jak ty.

Starszy od Jessie o cztery lata Danny Fox nie należał do najbrzydszych. Był przeciętnego wzrostu i budowy, miał kasztanowe włosy i brązowe oczy. Jedyne spojrzenie tych właśnie oczu, zimne i okrutne, zdradzało, co tak naprawdę kryło się pod maską sympatycznego wyglądu.

- Danny ma do tego pełne prawo, Jess - rzekł Dibble. - W tych stronach nie ma lepszego miejsca na łatwą zdobycz.

Jessie rozejrzała się z niepokojem wokół. Czuła, że z każdą minutą coraz szybciej bije jej serce. Uff, ani śladu Matta. Dzięki Bogu!

- Szukasz swojego przystojnego kapitana, kochanie? - rzekł Danny i wydał z siebie coś na kształt rechotu, na dźwięk którego po plecach znów przeszły jej ciarki. - Widziałem cię z nim. Myślałaś, że zapomnę, kto to jest? Nic z tych rzeczy! - Dotknął niewielkiego garbu nieco poniżej miejsca między oczami. - Ten sukinsyn złamał mi nos!

Jessie zeszywniała.

- A czego się spodziewałeś? Przecież chciałeś ukraść mu portfel.

Danny zignorował jej słowa, wyciągnął rękę i dotknął rękawa jej różowej sukni z tafty.

- Ubierasz się dość wytwornie... jak na dziwkę.

Poczuła skurcz w żołądku. Zbladła. Danny zawsze był okrutny. Kiedy była mała, bił ją bezlitośnie zawsze, gdy naszała go na to ochota. I nigdy nie przebiegał w słowach.

- Nie jestem nią.

Znów zaśmiał się chrapliwie.

- Nieważne jak to nazwiemy, kochanie. To, co robisz, niczym się nie różni od zajęcia ladacznicy. To, że twój elegancki lordzik ma bardziej wypchane kieszenie, nie czyni żadnej różnicy.

- To nie jest mój lordzik.

Danny schwycił ją za ramię i szarpnął brutalnie.

- Nie kłam mi, dziewczyno. Widziałem, jak na ciebie patrzył. Jakby chciał posiąść cię tu, na tych straganach - rzekł i pogładził ją delikatnie po policzku. Miał zimne, trochę wilgotne palce, nieskalane żadną pracą.

Przysadzisty mężczyzna wysunął się zza pleców Danny'ego i podszedł do Jessie.

- Jak bardzo masz na nią ochotę, Danny? - Spojrzał mu przez ramię w stronę wąskiej alejki za rzędem straganów. - Na sam jej widok chyba mi rozszadzi spodnie.

- Puść mnie, Danny! - Jessie próbowała uwolnić się z uścisku brata, ale ten jeszcze mocniej zacisnął dłoń wokół jej ramienia.

- Myślisz, że jesteś lepsza od nas, prawda? Cały ten pompatyczny język i piękne ubrania. Ale tak naprawdę wciąż jesteś dziwką. Nic nie jest w stanie wymazać twojego pochodzenia.

- Nie jestem nią. Nigdy nie byłam. Nawet cię nie było, kiedy mama umierała. Byłeś zbyt zajęty unikaniem stryczka i trzymaniem się z daleka od Newgate.

Twarz Danny'ego poczerwieniała na wzmiankę o szubienicy. Powieka zadrżała mu nerwowo. Wymierzył Jessie policzek.

- Chcesz się zabawić, Theo? - rzucił w stronę przysadzistego mężczyzny.

- O tak, Danny, bardzo!

- Daj mi ten portfel, który właśnie zwinąłeś. Dziewczyna jest twoja. Małe posuwanie dobrze jej zrobi.

Jessie z przerażeniem zauważyła pożądlive spojrzenie na twarzy Theo i zaczęła się wyrwać.

- Bo będę krzyżeć! - zagroziła. - Będę krzyżeć i zaraz ktoś zawoła konstabla.

- Nie będziesz krzyżeć - Danny wykręcił jej ramię za plecami. - Bo wtedy zjawi się twój lordzik, a ja już będę na niego czekał z tym!

Przed oczami zabłysnęło jej ostrze noża, gdy wciągał ją w wąskie przejście między dwoma straganami, a następnie w ciemny zaułek za nimi.

- Poza tym chyba nie chcesz, żeby te nadęte bufony, z którymi się zadajesz, dowiedziały się, kim tak naprawdę jesteś. No, chyba że się mylę?

Próbowała go kopnąć, ale przeszkadzały jej w tym fałdy sukni. Danny wykręcił jej rękę jeszcze bardziej. Ból był prawie nie do zniesienia. Zanim zdążyła się zorientować, leżała już na ziemi pod przysadzistym typem, przyciśnięta jego opasłym cielskiem. Jego grube palce zakrywały jej usta tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

Jęknął rozdzierając gorset jej sukni, schwycił jej piersi i ścisnął je boleśnie. Łzy napłynęły jej do oczu i zaczęły spływać po policzkach. Rozpaczliwie pró-

bowwała nabrać powietrza w płuca, przygnieciona ciężarem mężczyzny. Dobry Boże, jak matka mogła to znosić? Jego śmierzący oddech przyprawiał ją o mdłości. Zdecydowanie wolałaby teraz nie żyć.

Wierzyła i wrywała się, próbując się wydostać spod ciężkiego ciała Theo, ale to zdawało się go jeszcze bardziej podniecać.

-Właśnie tak, kochana. Walcz. Zapewnię ci jazdę, której długo nie zapomnisz.

Jessie przeklinała go słowami, których nie wymawiała nawet w myślach już od wielu lat, jednak ręka zacisnięta na ustach nie pozwalała im się wydostać. Bez względu na to, jak bardzo się szarpała, nie mogła się uwolnić z jego uścisku. Wydobyła z siebie zduszony jęk, gdy przesunął ręką wzdłuż jej uda i uniósł długą suknię, a następnie zaczął nerwowo rozpinąć guziki bryczesów, żeby wreszcie móc dać upust palącej żądzy.

- Puść ją! - z oddali dał się usłyszeć surowy, zimny rozkaz.

Jessie przymknęła oczy, a po policzkach popłynęły jej nowe potoki łez. Przyszedł Matthew. Nie wiedziała, co było gorsze: próba brutalnego gwałtu na jej ciele czy potępienie, które z pewnością ujrzy w jego oczach.

- Powiedziałem, żebyś ją puścił.

Tłusta dłoń ześlizgnęła się z jej ust i Theo podniósł się z ziemi, a następnie rozejrzał się wokół, szukając wzrokiem swych towarzyszy. Jessie próbowała coś powiedzieć, ale zaschło jej w ustach i żeby móc wydobyć z siebie jakiegokolwiek słowa, musiała najpierw zwilżyć wargi językiem.

- Uważaj... Matthew! Jeden z nich... jeden z nich ma nóż.

Nawet nie spojrział w jej kierunku. Zwrócił się w stronę rywała na szeroko rozstawionych nogach,

z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Każdy mięsień jego ciała przygotowany był do działania.

- Zająłem się już twoim bratem i jego kolegą - oznajmił.

Przez jej ciało przeszedł zimny dreszcz. Czy to znaczy, że ich zabił? Twarz kapitana nie wyrażała żadnych emocji. Jego spojrzenie było okrutne i nieprzeniknione. Nigdy nie wydał jej się bardziej przerażający.

Jego przeciwnik jedynie uśmiechał się szyderczo.

- To nie na nich, ale na mnie zwykle trzeba uważać - rzekł.

Theo pochylił nieco głowę i ruszył na Matta niczym rozwścieczony byk, przewracając go na brudną ziemię. Zauważyła, że kapitan nie ma na sobie surduta, a jego biała koszula jest podarta i poplamiona krwią - to z pewnością pamiątka po spotkaniu z Dannym.

Zaciskając drżącymi rękami przód różowej sukni Jessica podniosła się z ziemi i zaczęła gorączkowo szukać jakiejś broni. Brat dobrze wybrał to miejsce. Obok odbywał się głośny konkurs i co chwila rozlegały się owacje, którymi tłumy nagradzały występy akrobatów, dlatego do nikogo nie dochodziły odgłosy walki.

Matthew był już na nogach i wymierzał kolejny cios w grubasa. Twarz Theo ponownie wykrzywiła się w uśmiechu. Na zębach miał krew.

- Niezła z niej dziewczucha - oznajmił, szukając lepszej pozycji do ataku. - Najpiękniejsze cyce, jakie kiedykolwiek widziałem.

Z gardła Matta wydobył się wściekły bulgot. Ruszył na Theo i zamachnął się, trafiając pięścią prosto w brodę przeciwnika. Theo przechylił się do tyłu, aż w końcu stracił równowagę i padł na piach. Wydał

z siebie jedynie cichy pomruk, potrząsnął głową i zerwał się na nogi. Wymierzył w kapitana zamaszysty cios, który niejednego zwałiby z nóg. Matthew zdążył jednak zrobić unik i pięść Theo trafiła go w ramię, obracając dookoła osi.

Przyjął szybkie uderzenie na brzuch, odwrócił się i wściekle walnął przeciwnika w szczękę. Po kolejnym ciosie z ust i nosa Theo trysnęła krew. Przez cały ten czas Jessie krążyła wokół nich, próbując pomóc kapitanowi, nogi jej drżały, a serce biło w piersi jak oszalałe.

Dobry Boże, przecież nie mogła pójść po pomoc! Wprawdzie skończyłaby się walka, ale zaczęłyby się pytania. Pytania, które mogły doprowadzić do pytań o nią, przynosząc hańbę Matthew i papie Reggiemu. Nie mogła im tego zrobić.

Zamiast tego znalazła potężną drewnianą deskę, pozostałość po budowie jednego ze stoisk. Podeszła od tyłu do grubasa, który wciąż szukał okazji, by zadać Mattowi kolejne ciosy, zamachnęła się i walnęła go prosto w jasną głowę.

Mężczyzna zachwiał się i rzucił jej zdziwione spojrzenie. Po chwili padł z jękiem na ziemię. Jessie stała nad nim cała drżąca, ścisnęła deskę jak kij do krykieta, nie zwracając uwagi na drzazgi, które wbijały się jej w dłonie. Kilka kroków od niej stał Matthew. Dłonie wciąż miał zaciśnięte w pięści, po twarzy i rękach płynęły strużki krwi, a pierś poruszała się miarowo, gdy z trudem próbował nabrać powietrza w płuca.

- Matthew?

Unióś głowę. Spojrzał jej w oczy. Nie zdawała sobie sprawy, że rozdarty gors sukni odsłania jej gołe piersi, dopóki nie dostrzegła pożądanego spojrzenia kapitana.

- Zakryj się! - rzekł ze wściekłością w głosie. - Chyba że chcesz skończyć to, co zaczął ten sukinsyn.

Jessie wpatrywała się w zimne niebieskie oczy i dostrzegła w nich nagane, gorzkie potępienie. Z jej gardła wydobył się szloch. Wypuściła deskę i odwróciła się, chwytając drżącymi rękoma poszarpane brzegi sukni. Poluzował się jej warkocz upięty na czubku głowy i kilka splecionych kosmyków opadło luźno na ramiona.

Usłyszała ciężkie kroki kapitana, zamknęła oczy i mocno zacisnęła drżące usta.

- Mówiłem, żeby pani na mnie zaczekała - poczuła jego dotyk na ramionach. Odwrócił ją gwałtownie w swoją stronę. - Mówiłem, żeby się pani nie ruszała z miejsca.

Potrząsnęła głową i ignorując ból ramienia, próbowała zwalczyć cisnące się do oczu łzy.

- Zrobiłam raptem kilka kroków, gdy nagle zjawił się Danny. Musiał nas obserwować. Myślał, że jestem pańską... - Urwała i spojrzała na niego przez łzy, których nie zdołała powstrzymać. Wyglądał srogo i ponuro. W każdym mięśniu jego ciała widoczne było napięcie.

Jessie zmusiła się, by wytrzymać jego ostre spojrzenie.

- Gdzie... gdzie jest mój brat? Czy pan go zabił?

Na twarzy Matta pojawił się zimny uśmiech.

- Powiniennem był. W końcu próbował mnie zabić.

Skinęła ponuro głową. Czuła się okropnie po tym, co się stało. Zachwiała się niepewnie na nogach i Matthew wzmocnił jeszcze uścisk, zmuszając ją, by na niego spojrzała.

- Następnym razem, gdy powiem, żeby pani coś zrobiła, proszę to zrobić, zrozumiano? Nie udawać, że pani to robi, ale po prostu to zrobić.

Jessica nie odpowiedziała, dlatego Matthew potrząsnął nią zdecydowanie.

- Zrozumiano?

- Tak - wyszeptła. Jej głos brzmiał jeszcze żałośniej niż w czasach, gdy przymierała głodem po opuszczeniu gospody „Pod Czarnym Knurem”.

Matt przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, a następnie przyciągnął do siebie i wziął w ramiona. Ku swojemu zaskoczeniu Jessica poczuła, że cała drży.

- Czy wie pani, co czułem gdy zobaczyłem tego drania leżącego na pani? Miałem ochotę go zabić. Gdy panią dotknął, byłem gotów rozerwać go na strzępy gołymi rękami.

Objął dłonią jej głowę, przycisnął jej policzek do swojej piersi i zaczął głaskać ją delikatnie po włosach. Czuła szybkie bicie jego serca.

- Przepraszam - szepnęła.

- Przepraszam? - odchylił jej głowę i spojrzał w oczy. - Ten sukinsyn o mały włos pani nie zgwałcił, a pani jeszcze przeprasza?

Wydała z siebie delikatne westchnienie i poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Matthew zaklął i wziął ją na ręce. W milczeniu wyniósł ją z straganów i skierował się w stronę powozu. Jessie zamknęła oczy, żeby nie widzieć ciekawskich spojrzeń otaczających ich ludzi.

- Nie mogę uwierzyć, że uderzyła go pani w głowę - powiedział, torując sobie jednocześnie ramieniem drogę przez tłum.

Zwilżyła usta.

- Prze...

- Wiem, przeprasza pani.

Uśmiechnęła się delikatnie.

- Nie, wcale nie przepraszam. Nie za to, że go uderzyłam.

Z ust Matta wydobył się dziwny pomruk.

- Mała łobuzica - powiedział półgłosem, ale złość już mu przechodziła. Po raz pierwszy zrozumiał, że jej przyczyną nie było to, co zrobiła, ale zwykła troska. Matthew martwił się o nią, o Jessicę Fox.

Przez ciało Jessie przeszedł dziwny dreszcz. Uważając, by nie rozchylił jej się dekolt, objęła ramieniem jego szyję i oparła mu głowę na ramieniu.

- Powinna być bardziej uważać - rzekła, gdy zbliżali się do powozu.

- To ja powinienem być bardziej uważać - odparł.

- Powinienem być się domyślić, że coś może się stać.

Jednak wina leżała nie po stronie Matthew, ale jej brata, który w każdej chwili znów może się gdzieś pojawić.

Jessie zadrżała na samą myśl. Matthew musiał to poczuć, gdyż jeszcze wzmocnił uścisk. Nigdy wcześniej nie była trzymana w ramionach przez żadnego mężczyznę. Nawet przez papę Reggiego. „Pod Czarnym Knurem” mężczyźni klepali ją po pośladkach, próbowali pieścić jej piersi. Brat często ją bił, raz nawet podbił jej oko.

Jednak jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie niósł jej na rękach.

Jessie wtuliła się mocniej w Matta, wdychając męski zapach, czując każde drgnienie jego mięśni. Piersi ocierały się o jego ramię wywołując dziwny ucisk w żołądku. Coś bardzo podobnego stało się, gdy ją pocałował, tylko że wtedy była zakłopotana, a nawet trochę przestraszona. Teraz nie czuła strachu, a jedynie nieodpartą chęć pozostania w jego ramionach na zawsze.

Wreszcie dotarli do powozu i Matthew usadził ją bezpiecznie w środku. Owinął dokładnie kocem i usadowił się obok. Jego spojrzenie znów stało się

zimne i nieodgadnione, a na twarz powrócił surowy wyraz.

- Nie wolno pani pisać ojcu ani słowem o tym, co się stało. Nie chcę, żeby się zdenerwował.

- Tak, papa Reggie nie może się o niczym dowiedzieć.

Ale podobne zdarzenie mogło się powtórzyć w każdej chwili. Oboje doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Jessie Fox nie była córką zmarłego Simona Foksa, dalekiego krewnego markiza i jego dobrego przyjaciela, którą to historię papa Reggie wymyślił, zanim wysłał ją do szkoły.

Jej brat i jego koledzy znali prawdę. Wystarczyło zwykłe głupstwo, jeden niewielki incydent, taki jak ten dzisiaj, żeby zniszczyć dobre imię Belmore. Cztery lata dumy i honoru zostanie skalane... z jej winy.

Jessie zamarła ze strachu. Dobry Boże, do dziś nie wiedziała nawet, jak bardzo jest zdeterminowana, by do tego nie dopuścić.

Rozdział 6



Lady Caroline Winston wysiadła z powozu przed Belmore Hall, a za nią wlokła się jej matka służąca Emma. Minął już prawie tydzień, odkąd Matthew odwołał swoją wizytę w Winston House. Od tamtej pory w ogóle się do niej nie odezwał.

A tymczasem rozeszła się plotka, że w Belmore Hall przebywa podopieczna markiza, młoda dziewczyna, kilka lat młodsza od Caroline. Kilku dzierżawców Winston opowiadało o jej uprzejmości dzierżawcom Belmore, no i oczywiście krążyły też plotki między służbą dwóch posiadłości.

Podobno jest piękna, ma długie złote włosy i jasne, pogodne niebieskie oczy. Pochodzi skądś z południa, wiejska dziewczyna, mówiono, córka dalekiego kuzyna markiza.

Caroline ciekawiła ta dziewczyna, a poza tym dobre wychowanie nakazywało złożyć wizytę towarzyską. Niepokoiła się też, dlaczego Matthew nie odwiedził jej, tak jak obiecywał w swoich listach. Wizyta pod pretekstem poznania panny Fox będzie dobrą okazją do wyjaśnienia przyczyny.

Była jedynie trochę zaskoczona, gdy powitał ją w holu. Obdarzył ciepłym spojrzeniem, uściśnął obie dłonie i cmoknął delikatnie w oba policzki.

- Caroline, kochana, jak dobrze cię widzieć!

Nie tłumaczył się, nie wspomniał ani słowem o tym, dlaczego do niej nie przyjechał, ale w jego oczach widziała ciepło i w pewnym sensie poczuła ulgę, wydało jej się bowiem, że jego uczucia wobec niej pozostały niezmienione.

- Cieszę się, że tu jesteś - rzekł, uśmiechając się rozbrajająco. - Planowałem złożyć ci wizytę jeszcze w tym tygodniu, a teraz ty zjawiasz się tutaj, co czyni mnie ogromnie szczęśliwym. Tak bardzo pragnąłem cię ujrzeć, Caroline!

Poczuła, że jej plecami wstrząsa dreszcz. Matthew Seaton był wysoki, jasnowłosy i ogromnie przystojny. Nie brakowało mu też bogactw i tytułów. Był dzieżdzicem Belmore.

- Och, Matthew, jak ja za tobą tęskniłam! - Na krótką chwilę zatopiła się w jego ramionach. Nie widziała nic niestosownego w ciepłym uściśnięciu mężczyzny, który dwa lata pozostawał na morzu i był prawie jej narzeczonym. - Jak cudownie znów cię widzieć!

Matthew chciał coś odpowiedzieć, ale w marmurowym holu pojawił się nagle markiz.

- Lady Caroline. Jak dobrze, że pani nas odwiedziła. Jessica już nie mogła się doczekać, żeby panią poznać.

Jeśli ton jego głosu miał być jakąś wskazówką, to Caroline bardzo w to wątpiła. A może markiz po prostu źle się czuł, ostatnio mawiano bowiem, że jest z nim naprawdę kiepsko.

Uśmiechnęła się do niego, ale nagle poczuła się nieswojo i postanowiła mieć się na baczności.

- Ja też pragnę ją poznać.

Matthew wziął ją pod ramię, a markiz poprowadził ich do dużego salonu. Na drugim końcu pomieszczenia dostrzegła blondynkę w modnej, jasnoniebieskiej muślinowej sukni, która na jej widok powstała z kanapy pod oknem. Jessica Fox była mniej więcej jej wzrostu, ale miała pełniejsze, bardziej kobiece kształty i kremową cerę. Złociste włosy mieniły się w promieniach słońca, zakradających się do salonu przez ogromne okna. Caroline poczuła nagły strach na widok pięknej twarzy kobiety.

- Lady Caroline - rzekł markiz - przedstawiam pani moją podopieczną, pannę Jessicę Fox.

Starzec nie powiedział nic więcej, nie przeprosił też zgromadzonych i nie wyszedł, jak tego oczekiwano. Na szczęście Matthew również został, jednak miała dziwne wrażenie, że zrobił to, by w jakiś sposób dodać otuchy dziewczynie.

Podopieczna markiza zrobiła krok w jej kierunku.

- Bardzo mi miło panią poznać - rzekła z gracją prawdziwej księżnej.

Twarz stojącego obok markiza rozpromieniła się w szczerym uśmiechu.

- Jessica jest tu z nami w Belmore dopiero sześć miesięcy - oznajmił. - Wcześniej była uczennicą w Prywatnej Akademii pani Seymour.

Caroline zwróciła się do pięknej panny Fox i obdarzyła ją uśmiechem.

- Mam kuzynkę, która uczęszczała do tej samej szkoły - rzekła najbardziej melodyjnym głosem, na jaki tylko mogła się zdobyć. - Może znasz Frances Featherstone? Córkę sir Alberta Featherstone'a?

- Ależ oczywiście! - odparła Jessica. - Miałam przyjemność ją poznać.

Nie dodała, że Frances Featherstone była wredną plotkara, która nigdy nie powiedziała o nikim dobre-

go słowa. Przez chwilę zastanawiała się, czy Caroline również jest osobą tego pokroju, ale szybko odpędziła od siebie tę myśl. Matthew na pewno przejrzałby kogoś takiego od razu. Poza tym nie powinna w ten sposób oceniać kobiety, której prawie nie zna, tylko dlatego, że jest zazdrosna.

Jessie przyjrzała się wnikliwie Caroline Winston. Była równie wysoka jak ona, miała smukłą sylwetkę, jasnokasztanowe włosy i głęboko osadzone, duże brązowe oczy. Odziana była w skromną, ale elegancką suknię z różowego jedwabiu, wykończoną haftem w różyczki. Modny kapelusz w różę przydawał jej swojego rodzaju niewinności, która odróżniała ją od innych kobiet.

Jessie poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, a w ustach jej zasycha. Pamiętała doskonale rozmowę Matta z ojcem. Caroline Winston to kobieta, którą chciał poślubić. Była ucieleśnieniem elegancji i dystynkcji, kobietą, którą każdy mężczyzna pragnąłby mieć za żonę. Jessie zrobiło się niedobrze.

Usiedli w salonie, Matthew obok lady Caroline, markiz obok Jessie. Papa Reggie polecił kamerdynerowi podać herbatę i ciasta, które wniesiono na srebrnych tacach z sewskiej porcelany. Reginald Seaton wyglądał dziś na zmęczonego, a obecność w Belmore Caroline Winston powodowała napięcie na jego twarzy.

W przeciwieństwie do niego Matthew wydawał się wyjątkowo spokojny. Gdy patrzył na Caroline Winston, jego twarz miała ciepły, przyjazny wyraz, niepodobny do tego, jaki zwykle przybierał, patrząc na nią. W towarzystwie tej kobiety był zrelaksowany, czuł się swobodnie, tak jak nigdy nie czuł się z nią. Jessie zadrżała ręka ze zdenerwowania, gdy odstawiała filiżankę z herbatą na spodek.

- Słyszałam, że pochodzi pani z południa - rzekła lady Caroline.

- Z Devon - odparł papa Reggie.

- Moja rodzina podróżowała w zeszłym roku do Exmouth.

Matthew uśmiechnął się delikatnie.

- Podobno to miejsce staje się coraz bardziej popularnym kurortem.

Caroline przytaknęła.

- Ojciec ma tam brata. Może wuj Henry znał pani ojca? - Zwróciła się do Jessie.

- Obawiam się, że to mało prawdopodobne - wtrącił markiz. - Simon Fox był raczej samotnikiem. Mieszkał niedaleko od Bodmin, razem z Jessicą. Zwykły hodowca bydła, nie przepadał za podróżami. Mam rację, moja droga?

- Tak... to prawda. Nie podróżowaliśmy zbyt wiele. Widzi pani, moja matka wcześniej zmarła. Ojciec trochę chorował i potrzebował dobrej opieki. Dlatego podróżowałam bardzo mało - rzekła Jessie i spojrzała porozumiewawczo na markiza. Po chwili skierowała wzrok na Caroline i wysiliła się na uśmiech.

- Domyślam się, że pani podróżuje całkiem sporo - dodała.

- Tak. Moja rodzina poza Winston House posiada jeszcze kilka posiadłości. Jedna z nich jest na północ stąd, koło Bedford, gdzie przebywamy dość często, oczywiście jeśli nie jesteśmy tutaj albo w stolicy.

- Och, tak chciałabym usłyszeć coś o Londynie. Lord Belmore mówił, że pani rodzina bywa tam co roku. To musi być wspaniałe.

Caroline zaśmiała się ciepło, a potem, jak oczekiwała tego Jessie, rozpoczęła długą opowieść o przyjęciach, balach i wieczorkach, w których co rok

brała udział. Nawet Matthew uniósł brew w cichym podziwie dla Jessie za tak umiejętną zmianę tematu.

Po wypiciu herbaty Jessie i markiz przeprosili i opuścili salon, pozostawiając lady Caroline samą na sam z Mattem. Kapitan zaproponował spacer po ogrodzie i po chwili uśmiechnięta para skierowała się do wyjścia.

Z sypialni na piętrze Jessica obserwowała jak spacerują po zadbanych ogrodowych ścieżkach, co chwila zatrzymując się, by przyjrzeć się rozkwitającemu pąkowi róży lub rzędom kolorowych tulipanów. Matthew śmiał się z czegoś, co powiedziała Caroline, odchylił głowę do tyłu, a jego twarz zdobił radosny, swobodny uśmiech. Jessie przyglądała się ich powolnym ruchom i zrobiło się jej ciężko na sercu. Myślała o dniu, w którym zobaczył ją po raz pierwszy, w podartym męskim ubraniu, ociekającą błotem, z włosami przylepionymi do twarzy i szyi. Myślała o jarmarku, o tym, jak walczyła niczym kocica i wiła się półnaga na ziemi.

Dobry Boże, odkąd sięgała pamięcią zawsze chciała być damą. Była gotowa na wszystko, żeby tylko uciec od życia w nędzy, pełnego bólu i przemocy. Pozornie udało jej się to. Ubierała się jak dama. Mówiła jak dama. Czytała klasyków i potrafiła nawet zagrać kilka utworów na fortepianie.

Spojrzała w dół na przechadzającą się parę i zobaczyła, jak Matthew zrywa piękną, czerwoną różę i wręcza ją lady Caroline. Wszystkie godziny nauki, wiele dni chodzenia z kijem przytwierdzonym do pleców, tomy poezji, której uczyła się na pamięć, idealna francuska wymowa, którą w końcu udało jej się opanować - nic z tych rzeczy tak naprawdę nie czyniło jej damą.

Lady Carołine wsunęła z gracją drobną rączkę pod mocne ramię Matta i oboje zaczęli się oddalać w kierunku szklarni. Jessie nigdy nie widziała go równie szczęśliwego i tak szczerze zadowolonego.

Myślała o tym, jak uratował ją na jarmarku, jak bezpiecznie czuła się w jego ramionach. Pamiętała jego pocałunek w prowizorycznej szkółce. Dlaczego to zrobił, skoro chce poślubić lady Carołine?

Jessie opadła na łóżko. Wiedziała o mężczyznach wystarczająco dużo, by znać odpowiedź na to pytanie. Przecież wychowywała się w burdelu. Pożądanie kobiety przez mężczyznę nie miało nic wspólnego z małżeństwem. Przynajmniej nie wtedy, gdy chodziło o kobietę pokroju Jessie Fox. Może i Matthew jej pragnie, ale poślubi Carołine Winston.

Uświadomienie sobie tego brutalnego, lecz niezaprzeczalnego faktu spowodowało, że Jessie zakreśliło się w głowie. Musiała jednak stawić czoło gorzkiej prawdzie - Matthew Seaton nigdy nie będzie jej.

Chyba że papa Reggie jakoś wymusi na nim to małżeństwo.

Przez krótką chwilę myślenia wyłącznie o sobie miała nadzieję, że to zrobi. Wiedziała, że to możliwe. Papa Reggie umiał postawić na swoim, a oczywiście było, że chciał, aby jego syn zgodził się na ten ślub. Markiz poważnie niedomagał. Matthew bardzo się o niego troszczył. Papa Reggie z pewnością doskonale wiedział jak wpłynąć na syna, żeby go sobie podporządkować. Może więc mimo wszystko kapitan będzie jej.

Na samą myśl o tym zrobiło jej się słabo.

Prawda była taka, że nawet jeśli Matthew ulegnie namowom ojca i ją poślubi, będzie czuł do niej za to urazę, która z czasem może przerodzić się wręcz w nienawiść, że zniszczyła mu życie, które sobie zaplanował. Poza tym, nawet jeśli Jessie Fox nie była

prawdziwą damą jak Carołine Winston, ona również miała swój honor. Zależało jej na Matthew Seatonie, marzyła o nim, odkąd tylko sięgnęła pamięcią. Nie chciała jednak mężczyzny, który nie chce jej. A już na pewno nie pragnęła go na tyle, by zniszczyć im obojgu życie.

Matthew i Caroline wyłonili się z ogrodu i Matt pomógł swej towarzyszce wejść do powozu, całując ją w policzek na pożegnanie. Zwykle, niewinne, dżentelmeńskie cmoknięcie, nic, co przypominałoby płomienny, pełen pasji i żaru pocałunek, którym obdarzył Jessie Fox. Nigdy nie pozwoliłby sobie na taką impertynencję wobec Carołine Winston, ale córka Elizy Fox to zupełnie co innego.

Samo myślenie o tym sprawiało jej ból. Była wściekła na Matta, choć czuła, że tak naprawdę nie ma w tym jego winy. Świat tak już jest skonstruowany i nikt nie może nic na to poradzić.

Poza tym nie potrzebowała Matthew Seaton. Nie potrzebowała nikogo, oprócz papy Reggiego. Przecież zanim Matt zjawił się w Belmore była tu szczęśliwa i na pewno po jego wyjeździe znów będzie. Pomówi z markizem, zdecydowała nagle, przekona go, żeby pozwolił synowi poślubić kogokolwiek zechce. Ta decyzja wiele ją kosztowała. Po jej podjęciu poczuła bolesne ukłucie w sercu i łyzy żalu napływały jej do oczu. Ale było to najlepsze rozwiązanie.

Odetchnęła głęboko i podniosła się z łóżka. Teraz, gdy w końcu spojrzała prawdzie w oczy, chciała mieć to wszystko jak najszybciej za sobą. Matthew przepadł dla niej na zawsze, ale przecież nie miała u niego szans od samego początku. Bolało ją to, ale nie pierwszy raz cierpiała. Z czasem ból minie.

Obawiając się, że straci odwagę, albo że do pokoju wejdzie Vi, zorientuje się, że coś jest nie tak, wyciągnie z niej prawdę i będzie próbowała odciągnąć ją od tego pomysłu, Jessie chodziła nerwowo po sypialni i czekała na porę, kiedy to markiz zwykle budził się z popołudniowej drzemki. Gdy tylko zegar wybił pełną godzinę, skierowała się w stronę apartamentów papy Reggiego do wschodniego skrzydła domu. Po drodze czuła ucisk w żołądku.

Na delikatne pukanie do drzwi odpowiedział jej stary pokojowy markiza, Lemuel Green.

- Tak, panienko?

- Chciałabym zobaczyć się z jego lordowską mością. Czy zbudził się już z drzemki?

- Tak, panienko. Powiem mu, że panienka przyszła.

W oczekiwaniu Jessie chodziła nerwowo po salonie. Po chwili Lemuel zjawił się ponownie.

- Obawiam się, że nie czuje się najlepiej, panienko Fox. Jednak jeśli panienka pragnie się z nim zobaczyć, przyjmie panienkę w swoim pokoju.

Po plecach Jessie przeszedł dreszcz strachu. Nie licząc tych ostatnich kilku tygodni, papa Reggie zawsze był silny i pełen energii. Ostatnio jednak zaczął podupadać na zdrowiu i lekarz miał spore problemy ze zdiagnozowaniem przyczyny choroby.

- Dziękuję ci, Lemuelu. Pójdę do niego natychmiast.

Pokojowy skinął tylko głową i odsunął się na bok, by mogła wejść do sąsiedniego pomieszczenia.

- Witaj, papo Reggie.

- Wejdz, wejdz, moja droga. Usiądź tu koło mnie.

Jessie usadowiła się na palisandrowym krześle, stojącym obok ogromnego łóża z baldachimem, pochyliła się i chwyciła markiza za rękę.

- Jak się czujesz?

- Nie najlepiej. Ale nie ma się czym denerwować - rzekł. - Co się dzieje, moja droga? - dodał po chwili, spoglądając z troską na bladą twarz dziewczyny. - Chyba nie martwisz się ciągle tą smarkulą z Winston? Jeśli tak, to nie ma potrzeby. Uważam, że poradziłaś sobie świetnie.

- Nie, papo Reggie, nie chodzi o lady Caroline. - Przynajmniej nie bezpośrednio. - Chciałabym omówić z tobą pewną sprawę, jednak jeśli nie czujesz się na siłach, może porozmawiamy o tym jutro.

- Bzdura! Jestem tylko trochę zmęczony, to wszystko. Mów, co ci tak zaprzęta głowę.

Modliła się, żeby nie było widać, że cierpi. Wzięła głęboki, uspokajający oddech.

- Chodzi o twojego syna.

- O Matthew? Co się dzieje? - Markiz zmarszczył brew. - Czyżby ten młody byczek pozwalał sobie w stosunku do ciebie na zbyt wiele?

Jessie zarumieniła się lekko na wspomnienie płomiennego pocałunku.

- Nie, oczywiście, że nie. Nic z tych rzeczy.

- A więc o co chodzi?

- Po prostu mam wrażenie, że może być zainteresowany... poślubieniem mnie. - Dobry Boże, cóż za okrutne kłamstwo. - Dlatego że jestem twoją podopieczną - ciągnęła, mając w duchu nadzieję, że nie usmaży się za to w piekle. - Obawiam się, że może czuć się w pewien sposób odpowiedzialny za moją przyszłość. Może myśli, że ślub ze mną jest sprawą honoru, nawet jeśli ma inne zamiary.

- Takie, jak lady Caroline? - burknął.

- Cóż... tak. Matthew potrafi być bardzo szarmancki - rzekła wspominając, jak walecznie ruszył jej na pomoc.

- Tak. I potrafi też być nadętym bufonem.

Innym razem Jessie pewnie by się uśmiechnęła.

- Chodzi o to, że małżeństwo między nami z pewnością byłoby błędem.

- Dlaczego, na miłość boską?

- Dlatego że po prostu nie pasujemy do siebie. Nic nas nie łączy. Ani znajomi, ani zainteresowania. To małżeństwo nie byłoby udane, unieszczęśliwiłoby nas oboje.

Ścisnęła rękę markiza.

- Gdyby sprawy wyglądały inaczej... - *Gdyby chciał mnie za żonę.* - ... ślub z twoim synem byłby dla mnie największym zaszczytem. - Spuściła wzrok, nie mogąc już dłużej wytrzymać przenikliwego spojrzenia markiza. - Jednak prawda wygląda tak, że jesteśmy zupełnie inni. Byłabym nieszczęśliwa. On również. Nie interesuje mnie ślub z Matthew. Nie sądzę też, by on pragnął mnie poślubić. Dlatego prosiłabym, żebyś zaniechał tego pomysłu.

- Ależ to niedorzeczne!

Jessie zrobiła wielkie oczy i zaczęła wpatrywać się w markiza ze zdumieniem, jakby nie rozumiała, jakby nie słyszała jego gorzkiej kłótni z synem tamtej nocy.

- Dlaczego?

Papa Reggie wiercił się przez chwilę, próbując oprzeć się wyżej o ramę łóżka.

- Dlatego... dlatego, że ty i Matthew idealnie do siebie pasujecie. Musielibyście zobaczyć was razem, żeby się o tym przekonać. Nawet głupiec zauważyłby, że jesteście dla siebie stworzeni.

Jessie wysiliła się na uśmiech.

- Nie pragnę wychodzić za mąż, przynajmniej jeszcze nie teraz. Jestem szczęśliwa z tobą, papo Reggie. Matthew mnie nie interesuje i nigdy nie będzie. Jestem pewna, że on również nie jest zainteresowany mną.

Delikatny hałas skierował ich uwagę na drzwi wiodące do salonu. W przejściu stał sztywno wyprostowany Matthew. Na jego pięknej twarzy malował się grymas niezadowolenia.

- Jest pani aż tak pewna, panno Fox?

Serce Jessie zaczęło bić jak oszalałe.

- Jak... jak długo pan tu stoi?

- Dość długo, żeby dowiedzieć się, jak kiepsko do siebie pasujemy. Dziękuję, za zwrócenie mi na to uwagi.

Spojrzenie papy Reggiego przewędrowało z Jessie na Matta, który wciąż miał wściekłą minę. Markiz milczał przez dłuższą chwilę, aż w końcu westchnął z rezygnacją.

- Tak, cóż, myślę, że Jessica ma rację. Nie pasujecie do siebie. Byłem głupcem uważając inaczej.

Matthew uniósł brew na ten przejaw uległości ze strony ojca, ale nie powiedział ani słowa.

- Jednak to nie rozwiązuje naszego problemu.

- Jakiego problemu? - spytała Jessie.

- Moja droga, rozumiem, że jesteś szczęśliwa w Belmore i, oczywiście, twoja obecność tutaj cieszy mnie niezmiernie. Jednak nie będę tu zawsze. Mój czas dobiega końca i...

- Nie mów tak! - Zacisnęła dłoń jeszcze mocniej wokół ręki papy Reggiego. Kochała go. Nie mogła znieść myśli, że on również może ją zostawić. - Nie pozwolę ci mówić w ten sposób.

Markiz poklepał delikatne palce, które tak kurczowo ścisnęły jego dłoń.

- Moja droga, jestem już stary i schorowany. Ty natomiast jesteś młoda, energiczną kobietą. Potrzeba ci męża i własnej rodziny.

Jessie nie odpowiedziała. Było to marzenie tak słodkie, że aż ścisnęło ją w gardle. Kochała dzieci.

Nic nie uszczęśliwiłoby jej bardziej, niż własne małżeństwo.

- Dlatego też - ciągnął markiz - skoro Matthew nie pasuje na męża dla ciebie, musimy znaleźć mężczyznę, który pasuje.

- Co? - Jessie zerwała się na równe nogi.

- Zapewniam cię, że to nie będzie trudne. Kobieta z twoją urodą... W okamgnieniu połowa złotej młodzieży w Londynie padnie do twoich stóp.

- Londyn! - rzekł Matthew, wchodząc w głąb pokoju. - Chyba nie mówisz poważnie?

- Oczywiście, że mówię poważnie. Zapewnię Jessice wystarczająco duży posag. Gdy tylko wejdzie na salony, będzie mogła wybierać do woli.

- Nie., nie mogę jechać do Londynu, papo Reggie.

- A czemuż to?

- Co... co będzie z dziećmi? Kto pomoże im w nauce? Potrzebują mnie. Muszę...

- Dzieci to nie problem. Po prostu zatrudnimy nauczycielkę, która będzie z nimi pracować pod twoją nieobecność.

- Ale... ale ja nie mogę jechać do Londynu, - Przygryzła wargę, a jej ręce zaczęły się nagle trząść.

- Jessico, przecież to absurd.

Uniosła dumnie głowę. Zwalczyła ogarniającą ją panikę.

- To wcale nie absurd. A co będzie, jak ktoś odkryje prawdę? Co będzie, jak wyjdzie na jaw, kim na prawdę jestem? - Zamrugła, powstrzymując łzy, które nagle napłynęły jej do oczu. - Nie mogę do tego do puścić. Gdyby ktoś odkrył prawdę, dobre imię Belmore byłoby zszargane. Nie pozwolę na takie ryzyko.

Markiz spojrział na nią surowo.

- Obawiam się, moja droga, że nie masz tu nic do gadania. Jestem twoim prawnym opiekunem. Do-

póki nie osiągniesz pełnoletności, do mnie należy decyzja o tym, co masz, a czego nie masz robić. W tej kwestii zrobisz dokładnie to, co ci powiem.

Jessie otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Taki ton w rozmowach z nią przybierał bardzo rzadko. Zawsze, gdy to robił, miała nieodparte wrażenie, że to po nim Matthew odziedziczył swój nieprzystępny i surowy sposób bycia.

- Tak, papo Reggie - szepnęła potulnie, opadając znów na krzesło.

- Po raz pierwszy dziewczyna ma rację. - Ku jej wielkiemu zaskoczeniu Matthew wziął jej stronę. - Nie możesz przedstawić jej w towarzystwie jako arystokratki.

Markiz uniósł głowę i rzucił synowi groźne spojrzenie spod grzywy śnieżnobiałych włosów.

- Przyjrzyj się jej, Matthew! Dobrze i wnikliwie. Czy naprawdę jesteś aż tak ślepy?

Matthew zacisnął szczękę.

- Cóż, dziewczyna jest wyjątkowa. Chyba tylko ty zdajesz się tego dostrzegać. Zapewniam cię, że reszta towarzystwa nie będzie miała z tym problemu.

Markiz jeszcze przez chwilę patrzył w ciemne oczy syna, a następnie znów opadł na łóżko.

- Ojczy! - Matthew rzucił się do przodu.

- Papo Reggie! - Jessie znów zerwała się z krzesła. - Czy wszystko w porządku?

Markiz westchnął ciężko. Jego twarz poczerwieniała, a serce biło jak oszalałe.

- Obawiam się, że trochę za dużo wrażeń, jak na jeden raz. Jeśli pozwolicie, chciałbym teraz odpocząć.

- Oczywiście - powiedział Matt i spojrział z niepokojem na ojca.

Jessie tylko skinęła potakująco głową. Miała wyrzuty sumienia, że w ogóle doprowadziła go do takiego stanu.

- A tymczasem - rzekł markiz - możecie zacząć się pakować. Matthew, mam nadzieję, że będziecie nam towarzyszyć. Do powrotu na statek pozostało ci jeszcze kilka tygodni. Będziemy potrzebować z Jessicą twojego wsparcia.

Matthew potulnie skinął głową.

- Poproszę, by przygotowano miejską rezydencję na nasz przyjazd. Pojutrze wyruszamy do Londynu.

* * *

Matthew rozsiadł się wygodnie na aksamitnym, miękkim siedzeniu w powozie. Jessie i ojciec usiedli naprzeciwko, rozmawiając wesoło. Za nimi podążał kolejny powóz, wiozący Lemuela Greena, starego pokojowego markiza, kamerdynera Samuela Osgooda, który często towarzyszył rodzinie w podróży, oraz pokojówkę Jessie, Violę Quinn.

Matthew pamiętał jak przez mgłę tę tęgą kobietę jeszcze z czasów, gdy pracowała jako kucharka w „Czarnym Knurze”. Wciąż nie mógł zrozumieć, jak Jessica zdołała przekonać ojca, żeby zatrudnił w Belmore kobietę z taką przeszłością. Z drugiej jednak strony nie pojmował też, jak ojciec mógł zacząć zwracać się do Samuela Osgooda per „Ozzie”, tak samo, jak zwykła nazywać go Jessie. Markiz zmienił się bardzo, odkąd w jego życiu pojawiła się Jessie Fox. Matthew nie był jeszcze do końca pewny, czy to zmiana na lepsze.

Spojrzał w jej stronę i zauważył, że przygląda mu się spod słomkowego kapelusza. Uśmiechnął się le-

niwie, dając jej do zrozumienia, że ją na tym przyłapał. Zarumieniła się, lekko zmieszana.

Znów spojrzął za okno i uśmiech zniknął z jego twarzy. Nie mógł przestać myśleć o tym, co czuł, gdy usłyszał jej rozmowę z ojcem i błagalne prośby, by nie naciskać na ich małżeństwo. Coś ścisnęło go w piersi i z trudem mógł łapać powietrze. Wiedział, dlaczego to zrobiła. Słyszała go tamtej nocy w salonie, gdy zareagował wściekłością na sugestię ojca i nazwał ją córką ladacznicy.

Później poznała Caroline Winston, kobietę, którą chciał poślubić. Caroline miała bogactwo i pozycję, coś, czego Jessie mieć nie mogła. Obracała się w tym samym towarzystwie, co on, miała podobne spojrzenie na życie. Jessie uważała pewnie, że bardziej do siebie pasują, co zresztą on sam powiedział.

Chciał pojąć Caroline za żonę i wyglądało na to, że Jessica nie chce stawać mu na przeszkodzie.

- Przed nami jeszcze co najmniej dwie godziny jazdy, zanim zatrzymamy się na noc - rzekł markiz, przerywając panującą ciszę. - Co powiecie na grę w karty?

Jessie wyglądała tęsknie przez okno, jakby się bała, że coś ważnego umknie jej uwadze.

- Dobrze - zgodziła się niechętnie.

- Matthew?

- Czemu nie. - Może to nawet lepiej. Siedzenie naprzeciwko ponętnej Jessie Fox i obserwowanie jej piersi, poruszających się zmysłowo pod jedwabną suknią, stawało się cholernie niewygodne. Wciąż pamiętał, jak wyglądała na jarmarku, z dzikim spojrzeniem swych błękitnych oczu, rozwichrzonymi włosami i pięknymi, odsłoniętymi piersiami. Pamiętał ich kształt i rozmiar, że były jędrne, uniesione lekko do góry, zwieńczone jasnoróżowymi sutkami.

Starał się nie myśleć o oslepiającej wściekłości, którą czuł, gdy zobaczył ją dotykaną przez innego mężczyznę. Zastanawiał się, czy jej piersi są tak miękkie i jędrne w dotyku, na jakie wyglądają, jednak wystarczająco dobrze znał kobiety, żeby wiedzieć, że tak jest w istocie.

Bryczesy zaczęły go niewygodnie cisnąć i przesunął się na siedzeniu, wdzięczny za planszę do gry, którą ojciec umieścił na jego kolanach, gdy przygotowali się do małej partyjki pikiety. Do diabła, ta dziewczyna może nie nadawała się na żonę, ale jako kochanka stanowiłaby spełnienie marzeń każdego mężczyzny.

Choć wiedział, że to bezsensowna myśl, ze względu na uczucia, jakimi darzył ją ojciec, towarzyszyła mu ona nieprzerwanie w zajeździe, w którym się zatrzymali na nocleg, oraz przez cały następny dzień, kiedy przejeżdżali przez przedmieścia Londynu, by w końcu wjechać do miasta.

Myśl pojawiła się znowu, gdy siedział naprzeciwko niej i widział jej rozpromienioną twarz, zachwyconą widokami roztaczającymi się za oknem.

- Przysięgam, papo Reggie, Londyn jest nawet lepszy niż jarmark - rzekła Jessie, złapała za parapet otwartego okna powozu i wystawiła głowę na zewnątrz. Kołysząc się i podskakując, pojazd toczył się po zatłoczonych brukowanych ulicach miasta w stronę posiadłości rodziny Belmore przy Grosvenor Square.

- Pójdziemy do teatru? Zawsze tak bardzo pragnęłam zobaczyć jakąś sztukę!

- Pójdziemy, kiedy tylko zechcesz, moja droga. A może interesowałby cię wieczór w operze?

Jej oczy zaiskrzyły.

- O tak! Pragnę tego nad życie!

- Przydałby się też dzień lub dwa zakupów - dodał ojciec. - W Ludgate Hill jest bardzo dobry jubiler. Chciałbym ci kupić...

- Niczego mi nie potrzeba, papo Reggie. I tak mnie już rozpieszczasz niemiłosiernie.

Ojciec uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Dla kobiety kosztownych błyskotek nigdy za wiele. Zapewniam cię, moja droga.

Żadnych nowych sukien? - pomyślał Matthew. Żadnych wizyt w ekskluzywnych sklepach, od Charing Cross po White Chapel, w poszukiwaniu niezliczonych drobiazgów pożądanym przez większość kobiet, rzeczy, które uważały za niezbędne w modnym arystokratycznym świecie?

Wydawało mu się to wręcz niemożliwe. Może jednak Jessica Fox reprezentowała sobą coś więcej, niż mu się początkowo wydawało? Uczucie, jakie okazywała ojcu, zdawało się prawdziwe. Może wcale nie chodziło jej jedynie o tytuł Belmore, jak myślał wcześniej?

Nie należy jednak zapominać, że jako dwunastolatka Jessie Fox była najlepszym kieszonkowcem, jakiego spotkał. Potrafiła wylewać morze łez na zawołanie i nawet najbardziej bezduszni podróżni zatrzymywali się, by rzucić jej jakąś monetę „na jedzenie dla biednej, umierającej matki”, która w rzeczywistości nie mogła ustać na nogach z powodu nadmiernej ilości wypitego dżinu.

No i sama Eliza Fox, ładna lecz wyrachowana prostytutka, która za sześć pensów gotowa była powalić mężczyznę na ziemię i uciec z zawartością portfela nieszczęśnika, zostawiając go nieprzytomnego w alejce. Była znacznie starsza od Matta, zbyt dojrzała jak na jego młodzieńczy gust, choć jej piersi i biodra wciąż pozostawały jędrne, a gdy wracał

do domu po całych tygodniach na morzu, bardzo potrzebował kobiety.

Być może w rzeczywistości żadna z rzeczy, którą Jessie Fox powiedziała lub zrobiła, nie była bardziej prawdziwa niż przed laty. Może ta ciepła, troskliwa dziewczyna, którą ojciec tak ceni, to tylko zwykła iluzja?

Wydawało się to bardzo prawdopodobne. Aż za bardzo.

Matt odchylił się do tyłu na siedzeniu, przyglądając się swoim kartom i dziewczynie siedzącej naprzeciwko. Poprzysiągł sobie, że prędzej czy później odkryje całą prawdę o Jessice Fox.

Rozdział 7



W końcu papa Reggie postawił na swoim. Kupił Jessie śliczny perłowy naszyjnik przetykany małymi brylancikami, kolejny przedmiot do kolekcji prezentów, którymi obdarzał ją przez lata. Następnie uparł się, by udała się na zakupy z Violą w poszukiwaniu „drobiazgów potrzebnych każdej młodej damie”.

Wypełnił jej torebkę monetami na nieprzewidziane wydatki, pozwolił obciążać każde z jego licznych kont i zmusił Matthew, by dotrzymywał im towarzystwa, wcześniej również zaopatrzwszy go w pieniądze. Najprawdopodobniej był świadomy, że każdego pensa ze swojego miesięcznego kieszonkowego odkładała na czarną godzinę.

A jeśli stanie się coś strasznego? - myślała, zachowując świeżo w pamięci wspomnienia tych okropnych nocy po opuszczeniu gospody „Pod Czarnym Knurem”, nocy, które spędziła skulona na strychach, umierając z zimna i głodu.

Na szczęście na Regents Street Matthew pozostawił je z Violą same.

- Wrócę za jakieś dwie godziny - oznajmił. - Zostawię powóz do waszej dyspozycji. Spotkamy się na-

przeciwko sklepu Pivera z perfumami i rękawiczkami dokładnie o czwartej - dodał i rzucił Jessie ostrzegawcze spojrzenie. - I jeszcze jedno, panno Fox. Byłbym wdzięczny, gdyby nie pakowała się pani w żadne kłopoty. Proszę nie oddalać się z tej ulicy.

Jessie wyprostowała się i zasalutowała mu na pożegnanie.

- Tak jest, kapitanie!

Matt uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Zachowuj się, Jessie. Do zobaczenia za kilka godzin.

Patrzyła przez chwilę, jak się oddala, nie mogąc oderwać wzroku od tej smukłej, dumnie wyprostowanej sylwetki, szerokich ramion, nieprzyzwoicie wąskich bioder i długich umięśnionych nóg.

- Cóż, kochanieńka, to gdzie teraz idziemy? - Głos Violi sprowadził ją w końcu na ziemię.

Jessie spojrzała na przejeżdżające ulicą modne powozy, eleganckie sklepy, przechadzających się wytwornych panów i towarzyszące im damy w kosztownych ubraniach.

- Może po prostu pochodzimy i poprzyglądamy się wszystkiemu? Kto wie, co zobaczymy.

Ruszyły wzdłuż pasażu, zaglądając po kolei do każdego sklepu, teraz już bez skrępowania, ponieważ Matthew pokazał jej dyskretnie, jak to się robi. W sklepie z parasolami kupiła małą błękitną parasolkę z frędzlami, której po prostu nie mogła się oprzeć, choć gdy nadeszła pora płacenia, zadrżała jej ręka.

Minęły sklep z owocami, zegarmistrza i pasmantię. Jessie zatrzymała się w pobliżu małego sklepiku prawie niknącego między dwoma dużymi, znanymi sklepami. Należał do tych kilku nielicznych, które prezentowały swoje towary na wystawie. Pozostałe uważały się za zbyt ekskluzywne na coś takiego.

Jessie przykleiła nos do szyby.

- Spójrz, Vi, czy widziałaś kiedyś coś równie uroczego?

Był to sklep specjalizujący się w wyrobach dla dzieci. Obok małej dziecięcej sukieneczki do chrztu i pary maleńkich bucików leżała pięknie wyszywana żółta kołderka.

- Odkąd sięgam pamięcią, zawsze miałaś słabość do dzieci. - Zauważyła trafnie Viola. - I założę się, że jak myślałaś o swoim własnym, to jako tatusia widziałaś tego przystojnego kapitana.

Twarz Jessie zalała się rumieńcem.

- Może i o tym marzyłam, ale nigdy tak naprawdę nie wierzyłam, że mogę mieć prawdziwą rodzinę. W głębi serca zawsze miałam przeświadczenie, że skończę, jak moja matka. - Spojrzała na Violę i uśmiechnęła się delikatnie. - I pewnie by tak było, gdyby nie ty, kochana Vi.

Starsza kobieta oblała się rumieńcem i machnęła pulchną ręką, dając do zrozumienia, że to głupstwo...

- Pomogłam ci tylko uciec, to wszystko. Potem o mały włos nie umarłaś z głodu. Gdyby nie jego lordowska mość, nie wiem, co by się z tobą stało.

- Byłaś przy mnie, gdy umarła mama. Chroniłaś mnie przed bratem. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Vi - rzekła Jessie ze wzruszeniem i rzuciła się Violi na szyję. Wtedy przyszła jej do głowy pewna myśl i oczy zaiskrzyły z podniecenia.

- Wiem już, co kupimy! Kilka rzeczy dla ciebie!

Vi zachichotała cichutko.

- Nie gadaj bzdur.

- To wcale nie bzdury, Vi. Przydałby ci się jakiś nowy kapelusz, prawda? Albo buty?

Viola zaśmiała się i skinęła siwą głową.

- Jeśli tego właśnie chcesz, chętnie skorzystam z odrobiny dobroci jego lordowskiej mości. Zdaje się, że ma jej aż nadto.

Jessie uśmiechnęła się.

- Pójdziemy do modystki, jak tylko skończymy tutaj. - Złapała Vi za rękę i wciągnęła ją do sklepu. - Najpierw chcę kupić kilka rzeczy dla dzieci.

Wybór był tak wielki, że Jessie miała nie lada problem, żeby się na coś zdecydować. W końcu kupiła po ślicznej porcelanowej lalce dla Amandy Jane, Penelope i Fanny, a następnie zaczęła wypatrywać prezentu dla pozostałych dzieci. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio wydawanie pieniędzy sprawiało jej tyle przyjemności.

* * *

- Hej, Connie. Spójrz na to, stary.

Tyczkowaty mężczyzna przecisnął się przez tłum, śledząc wzrokiem dwie obładowane pakunkami kobiety, które właśnie opuściły modystkę i ruszyły wzdłuż ulicy. Gdy tylko zauważył, że wchodzi do sklepu za rogiem, przylgnął do ściany jednego z budynków i zwrócił się w stronę uśmiechniętego od ucha do ucha Danny'ego Foksa.

- Ona nawet kupuje prezenty tej cholernej starej babie - rzekł Danny, widząc nowy kapelusz na głowie wychodzącej ze sklepu Violi Quinn. - Torebka tej dziwki musi być nabita forszą.

- Zgarniamy ją, Danny? Możemy mieć z tym problem, bo wszędzie kręcą się tu ci wystrojeni bogacze. Ale przynajmniej nie będzie się nas spodziewać. Na pewno nie przyszło jej nawet do głowy, że tacy jak my mogą kręcić się po Londynie.

Danny potrząsnął przecząco głową. Miał na sobie swój miejski strój: ciemnoszare bryczesy, białą koszulę z żabotem i kremowy frak - ubrania, które ukradł klientowi jednej ze swoich prostytutek. Bryczesy zaczęły się już świecić na siedzeniu, a mankiety koszuli były lekko wystrzępione ze starości, ale te mankamenty nie rzucały się jakoś szczególnie w oczy.

- Wszystko w swoim czasie, Connie. Siedzimy ją już tak długo, że nie zaszkodzi poczekać jeszcze trochę. Poza tym polujemy na większy łup niż te kilka głupich monet, które nosi w torebce. No a już na pewno nie chcemy, żeby nadbiegł jej cholerny jaśniepan i znów pokrzyżował nam szyki.

Connie pokiwał głową, a jego grdyka poruszała się przy tym rytmicznie w górę i w dół.

- Masz całkowitą rację, Danny. Lepiej poczekać aż sytuacja się wyklaruje i dopiero potem wykonać jakiś ruch.

- Mam rację, Connie. Możesz być pewny, że Danny Fox już zadba o to, żeby twój portfel był zawsze wypchany, a potrzeby twojego małego zaspokojone.

Roześmiali się obaj, nie odrywając wzroku od idących ulicą kobiet. Nie było potrzeby ich teraz śledzić. Danny wiedział, że kierowały się w stronę luksusowej miejskiej posiadłości lorda. Wiedział, gdzie znajdzie swoją siostrę, gdy nadejdzie odpowiednia pora.

Roześmiał się znowu, tym razem do siebie. Kto jak kto, ale Danny Fox potrafi o siebie zadbać.

* * *

Matthew uchylił lekko ramieniem drzwi do salonu. Scena, którą ujrzał, wywołała w nim jednocześnie lekki niesmak i rozbawienie. Jessie stała obok

ojca ubrana w wieczorową błękitną suknię wyszywaną małymi brylancikami. Jej złote włosy zaczesane były w koronę i również przyozdobione lśniącoymi szkiełkami. Smukłą szyję okalał imponujący brylantowy naszyjnik, prezent od ojca, a małe, zgrabne uszy zdobiły kolczyki od kompletu.

Zauważył, że drżały jej ręce. Jej mina przypominała bardziej minę skazańca idącego na szubienicę, niż dziewczyny, którą czeka właśnie debiut towarzyski.

Być może onieśmielała ją obecność prawdziwej damy, Cornellii Whinterspoon, lady Bainbridge. Tal owdowiała hrabina, choć niewielkiej postury, miała w sobie niewyczerpane pokłady energii. Ojciec zawsze darzył szczególnym szacunkiem tę kobietę, której, jak zresztą powiadano, od dawna nie pozostawał obojętny.

- Tak, dziewczyna z pewnością się nadaje - oznajmiła lady Bainbridge, lustrując Jessicę wzrokiem od stóp do czubka głowy pod kilkoma różnymi kątami. - Już kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, wiedziałam, że twoja Jessica jest dobrze ułożona. Ale teraz muszę przyznać, Reggie, że stworzyłeś prawdziwe dzieło sztuki. Duża w tym zasługa Akademii pani Seymour... i oczywiście twoja, mój drogi.

Twarz markiza rozpromieniła się, a na policzki Jessie wpłynął rumieniec zawstydenia.

- Jest cudowna, prawda, Corney?

- Cudowna, Reggie. Idę o zakład, że ta dziewczyna powali wszystkich na kolana.

Wzrok Matta spoczął na twarzy na ojca, która wyrażała troskę, czułość i dumę, jak zawsze, gdy stary markiz patrzył na podopieczną. Ta dziewczyna zawładnęła jego sercem całkowicie. Reginald Seaton nie widział w niej podstępnej złodziejki, którą kiedyś

była, ale piękną, inteligentną młodą kobietę, którą stała się dzięki własnemu wysiłkowi.

Być może ojciec ma rację, a jego zaślepiły wspomnienia o tej dawnej Jessie. Może aż do ostatniego tygodnia, kiedy ujrzał, jak dumnie pokazuje wszystko, co kupiła: prezenty dla dzieci ze swojej małej prowizorycznej szkółki, upominki dla pani Quinn i papy Reggiego i tylko jedną, skromną rzecz dla siebie - nie dostrzegał jej prawdziwej natury.

Możliwe też, że opanowała swoje rzemiosło do tego stopnia, iż potrafiła owinać sobie wokół palca jego i resztę towarzystwa równie łatwo, jak starego markiza.

Prawda jednak nie miała znaczenia. Przyszłość Matthew została już zaplanowana. Caroline Winston to kobieta, którą chciał za przyszłą markizę. Była idealną damą. I będzie idealną żoną. Modlił się jedynie, żeby wielkie plany ojca dotyczące Jessie Fox nie zagroziły ich pozycji w towarzystwie zanim zdoła zrealizować swoje zamiary.

Stary markiz odchrząknął.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo cenię sobie twoje wsparcie, Cornelio - uśmiechnął się do lady Bainbridge, spuszczać wzrok z jej obfitych piersi, które tak entuzjastycznie wznosiły się ponad dekoltem czarno-srebrnego gorsetu. Jej włosy również lśniły srebrem, przetkane pojedynczymi nitkami, będące jedynie bladym wspomnieniem dawnej kruczej czerni.

Markiz spojrział na nią ponownie, i choć tego nie dostrzegła, w oczach starego pojawił się dziwny błysk.

- Ośmielę się powiedzieć, Corney, że u twojego boku Jessica zrobi furorę u Almacka, a potem wszystkie drzwi staną już przed nią otworem.

Lady Bainbridge uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Bez obaw, Reggie. Zadbam o to osobiście.

Jak na swój wiek była przystojną kobietą i wyglądało na to, że ojciec chyba wreszcie to dostrzegł. Był już żonaty dwa razy, ale kochał tylko raz i krótko, gdyż matka Matta zmarła bardzo młodo.

Matthew obserwował, jak starsza para ocenia Jessie Fox krytycznym okiem. Razem znajdują dla niej męża, ale nie będzie to Matt Seaton. O dziwo, świadomość ta sprawiła, że poczuł nieprzyjemne ukłucie w sercu.

Spojrzał na Jessie i zauważył, że patrzy w jego stronę. Przyłapaną, zaczerwieniła się z zażenowaniem. Nie mógł zapomnieć burzącego krew pożądania, które zalało go, gdy ją całował, słodkiego smaku jej ust i palącego gorąca w podbrzuszu.

Piersi Jessie unosiły się kusząco ponad dekoltem sukni i poczuł, że twardnieje.

Do diabła, potrzebował kobiety! Kilka kufli grogu - strawy marynarza - również by mu nie zaszkodziło. Obiecał jednak ojcu, że będzie go wspierał w jego misji i miał zamiar dotrzymać słowa.

Postarał się opanować i wszedł do pokoju.

- Robi się późno, ojcze. Chyba już czas na wielkie wejście panny Fox.

- Tak... tak, oczywiście - przytaknął markiz i zwrócił się do Jessie. - Jesteś gotowa, moja droga?

Zwilżyła lekko miękkie, koralowe wargi.

- Tak, papo Reggie.

- Panno Fox - rzekł Matthew odrywając wzrok od jej ust i podał jej ramię. Jej dłoń spoczęła na rękawie granatowego surduta. Wyraźnie czuł, że drży.

- Cornelio, moja droga. - Markiz chwycił rękę hrabiny i wsunął ją sobie pod ramię. Wymienili spojrzenie, a po chwili markiz odwrócił się i ruszył

po marmurowej podłodze ku masywnym, rzeźbionym drzwiom frontowym.

Gdy zeszli po stromych kamiennych schodach miejskiej posiadłości Bainbridge, Jessie znieruchomiała na chwilę, zatrzymując Matta przy ogromnym marmurowym posagu Iwa. Delikatne żółte światło lampy ulicznej podkreślało jeszcze jej bladość.

Jej dłoń zacisnęła się mocniej wokół jego ramienia.

- B... b... boję się, Matthew.

Zaskoczyło go, że się do tego przyznaje, zwłaszcza jemu. To wyznanie sprawiło, że coś w nim stopniało.

- Nie ma się czego bać, Jessie. Ojciec ma rację, wygląda pani dziś cudownie. Wszyscy mężczyźni w mieście padną do pani stóp.

- A... a co będzie, jak powiem coś nie tak? Jeśli popełnię jakiś błąd? - Jej oczy zaszklily się od łez. - Domyśla się, że jestem oszustką. Będą mnie za to nienawidzić i znenawidzą też pańskiego ojca. Nie mogę do tego dopuścić. Nie mogę podjąć takiego ryzyka. Nie mogę...

- Przestań, Jess... - Matt schwycił ją za ramiona. Czuł, jak bardzo jest spięta. - Nie popełnisz żadnego błędu. Nauczyłaś się ogłady towarzyskiej, masz pewnie lepsze wykształcenie niż którakolwiek z debiutantek. Będiesz świetna, bo pracowałaś na to bardzo ciężko. - Delikatnie zadarł jej brodę. - Będę cały czas przy tobie. Tak jak mój ojciec. Nie pozwolimy, byś popełniła jakikolwiek błąd.

Przymknęła oczy. Matthew koniuszkiem palca otarł łzę z jej policzka i napięcie częściowo opuściło jej zeszywniałe ciało. Gdy ponownie na niego spojrzała, jej oczy wyrażały nieokreśloną słodycz i pragnienie.

- Dziękuję, Matthew.

Nie potrzebował jej podziękowań. Jego pożądanie wzrosło przez ten jeden krótki, zwykły dotyk. Pragnął wziąć ją w ramiona, przycisnąć do siebie jej pojętne ciało, poczuć miękkie piersi pod swoimi dłońmi i słodki smak jej ust. Chciał, by znów ogarnęła go ta doskonale mu znana, głęboka fala rozkoszy.

Puścił ją jednak, ignorując nagłe wrzenie krwi i narastający żar w podbrzuszu. Ponownie wziął jej rękę pod ramię i poprowadził Jessie w kierunku czekającego powozu.

* * *

Zebrała się tu cała elita Londynu. Luksusowe czarne karety, faetony, powozy z opuszczanymi dachami, eleganckie dwukółki ustawiły się wzdłuż oświetlonego latarniami podjazdu naprzeciwko ogromnej podmiejskiej posiadłości, londyńskiej rezydencji hrabiego Pickeringa, dalszego kuzyna lady Bainbridge.

Mimo że minęło kilka godzin, Jessie wciąż pozostawała napięta. Najgorsze miała już jednak za sobą. Z powodzeniem przetrwała formalne prezentacje i przez ostatnie trzy godziny tańczyła w złoconej, zdobionej lustrami sali balowej. Z sufitów zwisały imponujące kryształowe żyrandole, a bukiety białych róż w złoconych dzbanach roztaczały naokoło cudowną woń. Cały dom lśnił jak brylant w promieniach zachodzącego słońca.

Jessie pochłaniała wzrokiem przepiękne kinkiety, marmurowe posągi, kunsztowne orientalne dywany i starała się, żeby cały ten przepych jej nie przytłoczył. Choć była już przyzwyczajona do luksusów Belmore, na widok tak bogatych wnętrz nie mogła nie wspomnieć o przeszłości, o zadymionym barze,

o półnagich kobietach i lubieżnych mężczyznach, o jej obskurnej, dusznej norze „Pod Czarnym Knu-rem”.

Siłą woli odepchnęła od siebie te przykre myśli, uśmiechnęła się i przylgnęła do umięśnionego ramienia Matthew w geście cichej desperacji. Miał być jej pierwszym partnerem tego wieczoru, prowadził ją na parkiet do kontredansa.

- Uśmiechnij się - powiedział łagodnie. - Przecież wiesz, jak to się robi. Wszystko będzie dobrze.

Znalazła pociechę w jego ciemnoniebieskich oczach i uśmiech sam pojawił się na twarzy. Taniec trwał prawie dwadzieścia minut, ale z Mattem przy boku, który swoją obecnością dodawał jej siły i odwagi, nie czuła upływającego czasu.

Resztę wieczoru pamiętała jak przez mgłę. Tańczyła z wieloma młodymi mężczyznami, zaskoczona, że ustawiają się do niej całe kolejki chętnych. Z początku Matthew trzymał się blisko, tak jak obiecał, na wypadek gdyby potrzebowała jego pomocy. Później zjawiał się papa Reggie w towarzystwie lady Bainbridge i Matthew zniknął gdzieś niezauważony.

Zobaczyła go znów trzy godziny później, tańczącego z ekstrawagancką brunetką, Madeleine, hrabiną Fielding, wdową, jak mówiono.

Musi być samotna, stwierdziła w duchu Jessie, jeśli sędzić po sposobie, w jaki uwiesiła się na ramieniu Matthew, i jej szerokim uśmiechu. Jessica ze zdziwieniem złapała się na tym, że w duchu pragnie, żeby te jędrne, mlecznobiałe piersi, które z taką determinacją wystawały znad wiążącego je dekoltu, wreszcie dopięły swego i wydostały się na wolność.

Była piękną kobietą, starszą od Jessie, być może około trzydziestki, z zielonymi oczami i pełnymi, zmysłowymi ustami. Minęli ją w tańcu i do Jessie do-

tarła woń jej intensywnych perfum. Mattowi zdawał się nie przeszkadzać ich mdły, przesłodzony zapach. Zbyt zajmowały go ewidentne gesty zachęty ze strony kobiety. Tylko raz spojrzął w stronę Jessie. Gdy to zauważyła, obdarzyła swojego partnera, księcia Milton, najjaśniejszym, najbardziej czarującym uśmiechem.

Zdawało jej się, że na przystojnej twarzy hrabiego dostrzegła cień irytacji. Gdy znów zerknęła w jego stronę, uśmiechał się zapatrzony w oczy ponętnej brunetki.

Opuścili przyjęcie natychmiast po wystawnej kolacji o północy, by markiz nie przemęczył się zanadto, ani Jessie przeforsowała podczas swego debiutu towarzyskiego. A może dlatego, żeby Matthew mógł udać się na schadzki z hrabiną?

Myśl ta pozostawiła ciemną plamę na gładkim i lśniącym wspomnieniu o sukcesie tego wieczoru.

* * *

- Tyle miesięcy na zatęchłej starej łajbie.

Madeleine, hrabina Fielding, wyciągnęła się naga u wezgłowia swojego ogromnego, wyściełanego aksamitem łoża. Przesunęła smukłym palcem po małym cherubinku wyrzeźbionym w gładkim drewnie i schodząc coraz niżej, do obnażonego ramienia Matta, jego klatki piersiowej, okrążyła delikatnie płaski, męski sutek.

- Minęło tak wiele czasu, kochany. Zbyt wiele.

Złapał jej nadgarstek, uniósł go i przycisnął sobie do ust.

- Masz cholerną rację, hrabino. Jeszcze przed twoim ostatnim mężem. Który to był? Drugi czy trzeci?

Z drobnego, bladego ciała, kontrastującego z czernią bujnych loków opadających na nagie ramiona, wydobył się stłumiony, szorstki śmiech.

- Trzeci, ale kto by ich liczył? Teraz mam wystarczająco dużo pieniędzy. Nie potrzebuję już mężczyzny w moim życiu. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - No, chyba że dla przyjemności.

Pochyliła się nad nim, uszczypnęła małą, płaską wypukłość koloru miedzi i pocałowała go głęboko i namiętnie w usta.

Matthew odwzajemnił pocałunek. Zanurzył dłoń w jej gęstych, czarnych włosach, zaciągnął ją na czerwona aksamitną narzutę, przykrył swym ciałem i zanurzył język w jej ustach. Posiadł ją już dwa razy, a mimo to znów był twardy. Chciał jak najszybciej uwolnić napięcie, a jednocześnie pragnął przedłużyć ten moment do ostatniej chwili.

- Nie powinienem tu być - rzekł, ssąc delikatnie płatek jej ucha. - Oboje wiemy, że nie będę mógł tu więcej przychodzić.

Wydała z siebie gardłowy pomruk i odchyliła głowę do tyłu.

- Dlaczego? Ze względu na twoją Caroline? Może jeśli będziemy dyskretni...

Potrząsnął przecząco głową.

- Wiesz, że tego nie zrobię - obsypał jej skórę małymi, delikatnymi pocałunkami. - Nie zhańbię jej rodziny plotkami o moich eskapadach z piękną hrabiną, bez względu na to, jak bardzo jest kusząca.

Madeleine westchnęła i pocałowała go w ramię.

- Nic się nie zmieniłeś, mój kochany. Wciąż jesteś stanowczo zbyt porządny... Ale może właśnie to czyni cię tak pociągającym... Nieustępliwy i sztywny na salonach, i tak niegodziwy i niepohamowany w łóżku.

Jego usta wykrzywiły się w bladym uśmiechu.

- A ty, moja kochana, nie myśl, że sama się tak bardzo zmieniłaś. Wciąż jesteś pożądliva aż do granic przyzwoitości i jeszcze bardziej gorsząca.

Zaczęła się śmiać, ale zamknął jej usta swoimi i zdołała wydobyć z siebie jedynie głuchy jęk. Jej piersi nabrzmiały w jego dłoniach, sutki stwardniały w pożądlwym oczekiwaniu. Szczypał je delikatnie, otaczał językiem i przygryzał, a następnie odchylił głowę, by na nią spojrzeć.

- Niegodziwy? Jeśli właśnie tego pragniesz, moja droga, może będę w stanie spełnić twoje zachcianki.

Znał jej upodobania. Kiedyś, pomiędzy jej pierwszym i drugim mężem, łączył ich burzliwy romans. Pieścił ją jeszcze przez chwilę, dopóki nie zaczęła widać się na łóżku, a potem wycofał się, stawiając długie, smukłe nogi na podłodze.

Nagi, twardy i pulsujący utkwiał wzrok w jej ustach.

- Chodź do mnie - rzekł tonem, jakim zwykł wydawać polecenia swoim marynarzom i dostrzegł błysk pożądania w jej zielonych oczach.

- Powiedziałem, chodź do mnie.

Wahała się tylko przez chwilę. Ruszyła z gracją w jego stronę, przechodząc przez gruby perski dywan, i stanęła naprzeciw niego. Jej wilgotne usta lśniły w przyćmionym blasku świec, a oczy rozświetlała żądza tego, co zamierzał zrobić.

- Na kolana! - rozkazał, wiedząc, jak bardzo lubi potulnie spełniać polecenia władczych mężczyzn.

- Nie dostaniesz ode mnie nic więcej, dopóki mnie nie zadowolisz. Radzę, moja droga, żebyś dobrze się spisała, bo jeśli nie, to odejdę i pozostawię cię w stanie, w jakim jesteś teraz. Wątpię, żeby dogadanie samej sobie było tym, co wymarzyłaś sobie na ten wieczór.

Skinęła posłusznie głową, cała drżąc z podniecenia. Spojrzała w dół na jego męskość, sterczącą w twardym pożądaniu. Madeleine ruszyła na nią zawięcie, a Matt zamknął oczy, pozwalając, by gorące doznania zawładnęły nim całkowicie. Jego ciało pulsowało żarem, ale myślami odpłynął od kobiety kłęzącej u jego stóp. Powędrował ku innej, złotowłosej, z ponętnie sterczącymi piersiami, kształtem i wielkością idealnie pasującymi do jego dłoni. Wyobrażał sobie jej wąską talię, długie, kształtne nogi i smukłe kostki.

Jęknął na samo jej wyobrażenie. Czuł na sobie dotyk wilgotnych warg i gwałtowne ruchy języka. Zalała go nagła fala gorąca, obraz jasnej, delikatnej skóry i złotych włosów wprawiły jego męskość w pulsowanie. Powstrzymując nagłą potrzebę uwolnienia narastającej żądz, przytrzymał Madeleine, chwycił ją za pośladki i uniósł do góry. Owinął sobie jej nogi wokół talii i zanurzył się w niej gwałtownie, aż jęknęła z bólu przemieszanego z rozkoszą. Odchyliła głowę, gdy zacisnęła dłonie na jej pośladkach. Uniósł i wbił się w nią po raz kolejny.

Długie czarne włosy, które miał przed sobą, w wyobraźni miały kolor złota. Do jego ust przywarły słodsze, drżące wargi, a oczy kochanki nie były już zielone, ale miały odcień najczystszy błękitu.

Zanurzał się w nią coraz mocniej, coraz głębiej i coraz szybciej. Czuł, jak kobieta w jego ramionach sztywnieje i wykrzykuje jego imię. Jeszcze kilka gębokich ruchów i trysnęła z niego gorąca fala rozkoszy. Zacisnął zęby, powstrzymując słowo, które cisnęło mu się na usta.

Nie było to bowiem imię kochanki, ani też Caroline Winston, jego przyszyłej żony.

Jessie Fox zawładnęła jego myślami i zmysłami do tego stopnia, że zdawało mu się, iż to właśnie w nią się zanurza, to ona odwzajemnia jego pocałunki, ona gości go w swoim łóżku.

Biorąc pod uwagę długie godziny spędzone w towarzystwie hrabiny, Matt był ogromnie zaskoczony tym, jak bardzo pragnął urzeczywistnienia swoich fantazji.

* * *

- Cóż, mój chłopcze, a nie mówiłem? Nie mówiłem, że ta dziewczyna jest wyjątkowa? Myślę, że w ciągu tygodnia całe miasto oszaleje na jej punkcie - rzekł Reginald Seaton, obserwując swoją uroczą podopieczną w tańcu w sali balowej posiadłości miejskiej lorda Montague. W blasku żyrandoli jej włosy lśniły jak prawdziwe złoto, a pełne gracji ruchy przyprawiły go o skurcz serca.

Był z niej naprawdę dumny. Nie znał nikogo, kto dałby z siebie tak wiele. Oczywiście, pomógł jej w tym. Gdyby nie on, to biedne małe stworzenie umarłoby z głodu lub wylądowało na resztę życia w więzieniu w Newgate.

Ale to Jessie wykonała całą robotę, to Jessie spędzała niekończące się godziny na nauce, do upadłego ćwiczyła poprawne wystawianie się i opanowywała maniery wysoko urodzonych panien. To Jessie pracowała na to, żeby jej sen się ziścił.

Reggie uśmiechnął się do siebie. Była prawdziwą damą, wybijała się spośród wszystkich kobiet w jej wieku. Na sam jej widok jego stare serce aż puchło z dumy, oczy zachodziły mgłą, a miłość do niej rozpiekała go od środka.

Widział, że irytuje to jego upartego jak osioł syna, co zachęcało tylko, by prowokować go jeszcze bardziej.

- Tylko popatrz na to, Matthew! Ustawili się do niej w kolejce. W ciągu ostatniego tygodnia aż trzech mężczyzn prosiło o jej rękę, dwóch wicehrabiów i księżę Pickering. Wicehrabiów nigdy nie będzie na nią stać, ale może warto byłoby rozważyć propozycję księcia.

Matthew spojrzał ostro na ojca.

- Pickering? - burknął. - On mógłby być jej ojcem. Zwykła oślizgła ropucha, na której korzyść świadczy jedynie wypchany portfel i nikłe pokrewieństwo z lady Bainbridge. Jeśli ma szczęście, w jego żyłach płynie jedynie nieco błękitnej krwi staruszki.

Reggie uśmiechnął się pod nosem.

- Wcale nie jest taki stary. Raptem osiem lat starszy od ciebie. Pickering jest szlachetnie urodzony, ręczę za to. To prawdziwy mól książkowy, spokojny, nie porzuca dziewczynie w głowie. Nie należy do zbyt wymagających i będzie zasypywał ją prezentami. Hrabia jest hojny z natury. Uchyliłby Jessie nieba.

- Nie dałby jej jednak tego, czego potrzebuje. Ona potrzebuje męża, który da sobie z nią radę. Mężczyzny, który będzie w stanie zapanować nad jej nieokiełznanym charakterem i lekkomyślnością oraz zaspokoi ją w łóżku.

Reggie uśmiechnął się w duchu, delektując się ja-dem wyraźnie wyczuwalnym w głosie syna.

- Tak... cóż... pewnie masz rację. Jessica to kobieta z charakterem. Może ktoś inny będzie lepiej do niej pasował, ktoś taki jak, powiedzmy, twój dawny szkolny kolega St. Cere.

- St. Cere?!

- Czemu nie? Jest przystojny jak diabli, wystarczająco bogaty i jeśli plotki o nim są choć w połowie prawdziwe, nie ma się co obawiać o jego sprawność w łóżku. Jessica uwielbia dzieci, a ja chciałbym dożyć narodzin choć jednego wnuka. St. Cere z chęcią zapewni całą ich gromadkę.

Twarz Matta pozostała niewzruszona.

- Nie wierzę, że poważnie myślisz o Adamie Harcourcie. Przecież to hulaka. Zapomniałeś już o skandalu związanym z jego nazwiskiem? Poza tym większość czasu spędza albo z kochanką, albo oddaje się hazardowi. A możesz być pewny, że wicehrabia gra ostro.

- I, z tego co słyszałem, zwykle wygrywa. Poza tym ludzie się zmieniają. Zanim poznałem twoją matkę, sam uchodziłem za drania.

- Tak, cóż, St. Cere to jednak co innego. Jest zgorzkniały i bezlitosny jeśli chodzi o kobiety. Poza tym to zatwardziały kawaler. Jego małżeństwo skończyło się katastrofą i poprzysiągł sobie, że nie da się ponownie zakuć w kajdany.

Reggie skinął głową w stronę parkietu.

- Może zmienił zdanie?

Matthew zeszywniał. Wysoki, ciemnowłosy wicehrabia St. Cere delektował się właśnie tańcem z Jessie, która z uśmiechem wpatrywała się w jego oszałamiająco przystojną twarz. Markiz nie był wcale zadowolony, chociaż za wszelką cenę próbował nie dać tego po sobie poznać. Wicehrabia miał okropną reputację, więc nawet przez chwilę nie rozważałby jego kandydatury na męża dla swojej uroczej podopiecznej, jednak wściekłość malująca się na twarzy Matta warta była każdej chwili tego podstępu.

Kątem oka zerknął na syna i uśmiechnął się do czarującej pary ze złośliwą satysfakcją.

- Widzisz, mój chłopcze, przy takiej dziewczynie jak Jessie wszystko jest możliwe.

Matthew zachmurzył się jeszcze bardziej.

- Jeśli nie chcesz jej zguby, radzę, żebyś zakończył tę znajomość z St. Cere'em zanim na dobre się zacznie.

Reggie udał zmartwienie.

- Może masz rację. Może nie jest to odpowiedni człowiek, ale teraz, gdy już się poznali, nie bardzo wiem, jak położyć temu kres. - Westchnął dramatycznie. - Jeśli Jessice spodoba się ten mężczyzna, piekielnie trudno będzie wybić jej go z głowy. Gdy już coś sobie postanowi, potrafi postawić na swoim.

- Nie śmiem w to wątpić ani przez chwilę - rzekł Matthew ponuro. Z pewnego rodzaju ulgą zauważył, że taniec wreszcie dobiega końca.

- Nie martw się o St. Cere'a - oznajmił. - Przy najbliższej okazji osobiście z nim porozmawiam. Jestem pewny, że gdy zrozumie, że dziewczyna jest pod moją opieką, zostawi ją w spokoju.

Spojrzenie Matta mówiło, żeby lepiej tak się stało, bo inaczej słono za to zapłaci.

Reggie poczuł, że na jego twarz wpływa kolejny triumfalny uśmiech, tym razem jednak postanowił się pohamować i rozważnie zachować go dla siebie.

Rozdział 8



Jessie stała na patio prowadzącym do małego tradycyjnego ogrodu na tyłach posiadłości miejskiej lorda Montague'a. Chłodna wieczorna bryza owiewała jej ciało, roztaczając wokół woń róż. Nie wypadało, żeby tak znikąca, nawet na krótko, ale tak bardzo pragnęła pobycć choć przez chwilę sama.

Przyjęcia i bale, wieczór w operze, fajerwerki w ogrodach Vauxhall, teatr na Dury Lane - to wszystko było cudowne, dokładnie takie, jak to sobie wyobrażała. Cudowne, ale jednocześnie wyczerpujące.

Po kilku dniach przestała się już tak bardzo przejmować tym, że ktoś może odkryć jej tożsamość. Markiz Belmore to człowiek bardzo wpływowy. Opowieść o opiece roztaczanej nad córką dalekiego kuzyna została zaakceptowana bez żadnych wątpliwości, zupełnie jak wtedy, gdy wyjechała do Akademii pani Seymour. A wsparcie lady Bainbridge stłumiło w zarodku nawet najbledsze podejrzenia.

Lista starających się o jej rękę rosła z każdym dniem. Oczywiście, przekonywała się w myślach, któryś z nich na pewno będzie dla niej odpowiednim

mężem. Wszyscy byli usłużni i bogaci, większość posiadała tytuł arystokratyczny.

Nie ulegało wątpliwości, że wyjdzie za męża. Takie było życzenie papy Reggiego, a ona zrobiłaby wszystko, by go zadowolić. Przygarnął ją, gdy nie miała dokąd pójść, opuszczoną, głodną, marzącą o choć jednej nocy w ciepłej pościeli. Wszystko, co miała, należało do niego, to czego się nauczyła, to kim się stała.

Kim jest...

Kochała go i była gotowa zrobić tę jedną rzecz, o którą prosił.

Jednak jakże to było trudne z Matthew przy boku! Próbowwała go ignorować, zapanować jakoś nad skurczami żołądka, pojawiającymi się za każdym razem gdy wchodził do pokoju lub gdy brał ją za rękę, by zatańczyć pierwszy taniec wieczora, który zawsze zachowywała dla niego. Próbowwała zapanować nad żalem ogarniającym ją, gdy okazywał względy innej kobiecie i poświęcał jej całą uwagę.

Próbowwała skupić się na zalecających się do niej dżentelmenach, jednak żaden z nich nie mógł się równać urodą z Matthew, z jego idealnie rzeźbioną twarzą, szerokimi ramionami, imponującym wzrostem, intrygującymi niebieskimi oczami i ciemnozłotymi włosami pirata. Wybijął się z tłumu jej adoratorów elegancją, siłą i opanowaniem.

Do diabła z nim!, pomyślała.

Matthew Seaton tkwił w jej wnętrzu jak cierń już od czasów, gdy była małą dziewczynką.

-Jessie! Jessie Fox?! Jessie, to naprawdę ty?

Czuła, że oblewa ją zimny pot i robi się jej słabo. Nikt w Londynie nie zwracał się do niej inaczej niż Jessica. Dobry Boże, czyżby zdemaskowano ją tak szybko? Zmusiła się, by odwrócić głowę w stronę, z której dobiegł niepokojący głos. Gdy jej oczom

ukazała się Gwendolyn Lockhart, jej najlepsza przyjaciółka z Akademii pani Seymour, doznała tak wielkiej ulgi, że o mały włos nie zemdląca.

- Jessie! - Gwen rozłożyła szeroko ramiona i dziewczyny objęły się serdecznie - jedna jasna, wysoka i smukła, druga ciemna i drobniutka. Były od siebie tak różne, a jednak łączyło je coś, czego żadna z nich nie umiała do końca zdefiniować.

- Wielkie nieba! Gwen, jak cudownie znowu cię zobaczyć!

Mała brunetka uśmiechnęła się szeroko.

- Nie mogę uwierzyć, że tu naprawdę jesteś. Myślałam, że markiz niedomaga. W najskrytszych marzeniach nie przypuszczałam nawet, że mogłabyś zjawić się w tym roku w Londynie.

- Ostatnio rzeczywiście z nim nie najlepiej, ale nalegał na przyjazd. Wierz lub nie, ale postanowił znaleźć dla mnie męża.

Kruczoczarna brew uniosła się do góry w wyrazie zdumienia.

- Tak często mówiłaś o jego synu. Myślałam, że ty i hrabia...

Jessie zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

- Myślę, że papie Reggiemu podobałoby się takie rozwiązanie, ale Matthew i ja... nie pasujemy do siebie. Zresztą ma zamiar starać się o rękę lady Caroline Winston. Są już prawie zaręczeni.

Gwen spojrzała przenikliwie na przyjaciółkę. Trudno było cokolwiek przed nią ukryć.

- Czy on jest tu z tobą, w Londynie?

- Pomaga papie Reggiemu wprowadzić mnie do towarzystwa.

Gwen wykonała zamaszty ruch ręką, dając do zrozumienia, że Matthew Seaton to ostatni problem, którym powinna się przejmować.

- Cóż, do niczego ci nie jest potrzebny. Domyślam się, że już masz całą kolejkę adoratorów. Zdecydowałaś się na kogoś?

Jessie zaśmiała się radośnie.

- W twoich ustach wszystko wydaje się takie proste.

- Dla mnie by nie było. Ale ja nigdy nie wyjdę za mąż.

- Dla mnie też nie jest, ale wkrótce coś musi się stać. Jak już mówiłam, papa Reggie ma problemy ze zdrowiem. Nie przestanie się martwić, dopóki nie doprowadzi tej sprawy do końca, a ja chcę, żeby był szczęśliwy - rzekła i zdobyła się na uśmiech. - A co z tobą, Gwen? Jak ci się układa? - Jessie zrezygnacyjnie zmieniła temat.

Wielkie zielone oczy Gwen, do tej pory pełne blasku, teraz nieco przygasły. Jej piękne rysy, rubinowe usta i idealna, kobieca figura niejednemu mężczyźnie zawróciłyby w głowie. Jednakże małżeństwo było ostatnią rzeczą, jakiej Gwen pragnęła.

- Bez zmian. Mój ojczym nic się nie zmienił. Jest podły jak zawsze. Matka próbuje załagodzić konflikt między nami, ale na kogoś takiego jak lord Waring po prostu nie wystarcza jej sił - rzekła ponuro, ale po chwili uśmiech znów powrócił na jej piękną twarz. - Na szczęście teraz, kiedy jesteśmy w mieście, jest trochę lepiej. Hrabiego pochłaniają kochanki i wyprawy do klubów. Rzadko go widzujemy, na co, przyznam szczerze, nie narzekam.

Jessie odwzajemniła uśmiech.

- Nic się nie zmieniłaś, dzięki Bogu!

Gwen Lockhart nigdy nie owijała w bawełnę. Możliwe właśnie dlatego stały się sobie tak bliskie. Gwen mówiła wszystko to, co Jessie powtarzała uparcie w zamierzczłej przeszłości, a czego teraz starała się za wszelką cenę nie mówić. W Akademii pani Seymour Gwen zawsze pakowała się w kłopoty. Nie po-

trafiła przestrzegać panujących tam zasad. Jessie natomiast była wzorową uczennicą. Wiedziała, czego chce - zostać prawdziwą damą. Zrobiłaby wszystko, by papa Reggie był z niej dumny i nic nie mogło jej w tym przeszkodzić.

Pod wieloma względami dziewczyny były jak dwie strony medalu. Gwen miała niewielu przyjaciół, a Jessie bała się dopuszczać kogokolwiek zbyt blisko siebie w obawie, że w jakiś sposób zdradzi swoją prawdziwą tożsamość. W końcu między dziewczynami nawiązała się nić porozumienia, której najwyraźniej czas i odległość nie były w stanie zerwać.

- Wciąż piszesz swoją książkę? - spytała Jessie.

Gwen przytaknęła.

- Pracuję nad nią prawie codziennie. - Było to jej wielkie marzenie. Chciała zostać pisarką, pisać powieści i doczekać się ich wydania. - Wiem, że jak już skończę, będę musiała wysłać rękopis do wydawcy pod męskim nazwiskiem, ale nie obchodzi mnie to. Ważne, że ja będę wiedziała, kto jest autorem - oznajmiła i uśmiechnęła się figlarnie, ukazując małe, białe zęby. - A skoro o tym mowa, zgadnij, dokąd idę jutro wieczorem?

Jessie zmarszczyła lekko brwi. Wiedziała, że ten błysk w oczach Gwen nie wróży nic dobrego.

- Na wieczorek do lady Dartmouth? - zapytała z nadzieją, wiedząc, że lord Warding wraz z rodziną z pewnością zostanie zaproszony.

Gwen rozejrzała się dookoła, by się upewnić, że nie ma nikogo w pobliżu. Gdy rozbrzmiała orkiestra, przysunęła się do swojej rozmówczynie i szepnęła jej do ucha:

- Idę do jaskini hazardu przy Jermyn Street.

- Co?! - rzekła Jessie głośniejszym głosem, niż planowała. Dziękowała w duchu za głośną muzykę w tle.

- Muszę, Jess. Jeśli chcę być pisarką, muszę wiedzieć, na czym polega życie. Muszę zobaczyć pewne rzeczy, aby je zrozumieć. Jeśli chcę odnieść sukces, muszę doświadczyć wszystkiego na własnej skórze.

Jessie rozumiała te marzenia lepiej niż ktokolwiek. A jednak były rzeczy, których damom robić nie przystoi.

- Nie możesz tego zrobić, Gwen, nie tym razem. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby ktoś się o tym dowiedział? Dobry Boże, byłabyś skończona!

Gwen wydeła wargi.

- Myślałam, że mnie zrozumiesz. Tak przynajmniej było jeszcze w szkole. Wiedziałaś, jak ważna jest dla mnie moja powieść. Pomogłaś mi, kiedy chciałam pójść zobaczyć walkę kogutów i...

- Tak, i Bóg mi świadkiem, że przez cały czas potwornie się bałam, że nas złapią. Obie byliśmy znie-smaczone taką ilością krwi. Ten wieczór wcale nie należał do najprzyjemniejszych.

- No tak, ale ci ludzie! Tak niesamowicie ciekawi ludzie. Nigdy wcześniej nikogo takiego nie widziałam.

Za to Jessie wiedziała. Szulerzy i oszuści, szalbierze i szarlatani. Nigdy nie odczuwała bardziej wyraźnej ulgi niż wtedy, gdy znów znalazła się w swoim skromnym pokoju w internacie, w czystej, pachnącej pościeli, z dala od miejsc, które pamiętała aż za dobrze. Gwen namówiła ją jeszcze na kilka innych ryzykownych ekspedycji, na które Jessie godziła się tylko dlatego, że dobrze znała prawa rządzące tym światem i sposoby, by uchronić przyjaciółkę od kłopotów.

- W każdym razie - kontynuowała Gwen - przebiegam się za mężczyznę i idę do jednego z domów gry.

Jessie przełknęła głośno ślinę, oczami wyobraźni widząc już miejsca jeszcze gorsze od gospody „Pod Czarnym Knurem”.

- Skąd weźmiesz męskie ubranie?
- Pożyczę od kuzyna. Zatrzymał się u nas na jakiś czas, ale teraz odwiedza znajomych na wsi. Niedawno skoczył piętnaście lat, jest trochę wyższy ode mnie, ale myślę, że jego ubrania się nadadzą.

Jessie nerwowo zwilżyła usta. Po drugiej stronie sali stało kilku mężczyzn bacznie się im przyglądając, prawdopodobnie w oczekiwaniu na moment, gdy dziewczęta powrócą do tańca. Orkiestra nieco przycichła, więc Jessica zniżyła głos prawie do szeptu.

- Czy mogę cię jakoś powstrzymać?

Jednak zanim Gwen zdążyła choćby potrząsnąć przecząco głową, Jessica знаła odpowiedź na to pytanie. Westchnęła z rezygnacją.

- Żałuję, że mi o tym powiedziałaś.
- A to niby dlaczego?
- Bo teraz będę musiała pójść z tobą.

Gwen aż klasnęła w ręce z podniecenia i uśmiechnęła się triumfalnie. Jessie spojrzała na nią krzywo. Jej przyjaciółka nie wiedziała nic o takich miejscach jak domy gry przy Jermyn Street, a Jessica owszem. Mężczyźni nosili tam nieco droższe ubrania, ale mieli podobne cele - picie, hazard, prostytutki.

To z pewnością nie miejsce dla damy, nawet tak żadnej przygód jak Gwen.

Jednak Jessie kochała Gwen Lockhart. Była dla niej jak siostra. Może tym razem też uda się jej uchronić ją od kłopotów.

* * *

Unosząc swoje szerokie plecy znad oparcia kanapy, Matthew zamrugał kilka razy z niedowierzaniem. Wyrzał jeszcze raz przez okno, ale obraz nie zniknął.

Z pewnością miał omamy wzrokowe. Jessica Fox nie mogła właśnie zrzucić z okna swojej sypialni prowizorycznej liny z prześcieradeł. To na pewno tylko wyobraźnia płata mu figła.

Matthew z nieukrywanym, acz niestosownym w tej sytuacji zachwytem obserwował łątwość, z jaką Jessica ześlizgnęła się na dół. Kiedy miała czternaście lat, była zwinna jak akrobatka. Nie dostrzegłby jej, gdyby nie zgasił lampy i nie pozostał w gabinecie w ciemności.

Kontemplował ciszę, obserwował dogasające węgle w kominku i myślał o swoim statku. Zastanawiał się, jak załoga radzi sobie bez niego, tęsknił za zapachem morza i wilgotnego, przesiąkniętego solą powietrza, za tą szczególną więzią łączącą oficerów i marynarzy.

Zaprzagnął nagle znów poczuć kołysanie pokładu pod stopami, zamiast męczyć się w Londynie na wieczorkach, prześladowany przez stado szukających męża kobiet, spragniony tylko jednej, której mieć nie mógł.

Kiedy pomyślał o Belmore, ogarnął go dziwny spokój. Wtedy właśnie wyrzał przez okno i ku swemu ogromnemu zaskoczeniu i przerażeniu dostrzegł Jessie.

To była Jessie, nie miał żadnych wątpliwości, mimo że miała na sobie męskie ubranie. Nie był to jednak ten sam strój, który nosiła wcześniej. Dziś wdziała na siebie ciemne spodnie, białą lnianą koszulę i purpurowy frak, typowy strój młodego dandysa. Zastanawiał się, skąd go wytrzasnęła. Wstał i cicho przeklął pod nosem.

A niech to diabli! Ta głupia dziewczyna jeszcze sprowadzi na nich nieszczęście.

Nie zatrzymał jej jednak. Chciał się dowiedzieć, co knuła. Śledził ją do wynajętego powozu, który czekał

za rogiem. Jessie rozejrzała się wokół, otworzyła drzwi i weszła do środka. Matt zatrzymał kolejny powóz i kazał stangretowi jechać w ślad za nią. Zgubił ją przy Berkeley Square, ale zauważył powóz ponownie na Picadilly i odetchnął z ulgą.

Tak było, dopóki nie zobaczył, że pojazd skręca w Jermyn Street, zatrzymuje się za rogiem, wychodzą z niego dwaj bardzo drobni i delikatni „młodzieńcy” i kierują się do jednego z najsłynniejszych miejsc rozpusty o dość trafionej nazwie „Upadły Anioł”.

- A niech to szlag! - Serce zaczęło bić mu szybciej w piersi. Sam nie wiedział, czy ze strachu o dziewczyny, czy ze złości, że Jessie wystawia się na takie ryzyko, czy też przez rodzące się w nim podejrzenia co do celu wizyty Jessie Fox w miejscu cieszącym się tak złą sławą.

Dlaczego tam poszły? Czego, do diabła, szukały w jaskini hazardu pokroju „Upadłego Anioła”, miejscu, w którym swoje potrzeby zaspokajają mężczyźni znajdujący rozkosz w bólu? Może były z kimś umówione? A może się mylił, może Jessie wcale nie jest taka niewinna, jak mu się wcześniej wydawało, może jej preferencje znacznie wybiegają poza zwykłe uniesienia w ramionach kochanka.

Trudno mu było jednak w to uwierzyć. Znacznie realniejsze wydawało się, że znów wplątała się w jakąś niebezpieczną historię. Mimo to poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Jeśli to prawda, czas najwyższy ją powstrzymać. Matt zdecydowanym ruchem otworzył drzwi powozu i wyszedł na zewnątrz.

* * *

Upiorny zgrzyt zamykających się za nimi drzwi przyprowadził Jessie o zimny dreszcz. W przejściu pano-

wał mrok, rozświetlony jedynie przyćmionym światłem lamp oliwnych, które tworzyły upiorną poświatę wokół ogromnego, oprawionego w pozłacaną ramę obrazu na ścianie. Był to portret zmysłowej, różowionej kobiety w pozycji półleżącej. Jej jedyne okrycie stanowił kusy szal owinięty wokół bioder. Ogromne, jędrne piersi sprawiały wrażenie, jakby miały zaraz wyskoczyć z obrazu.

- Do diabła, Gwen - mruknęła Jessie - nie powinniśmy tu być.

Mała brunetka spojrzała ze zdumieniem na przyjaciółkę. Jessie nigdy nie klęła.

- Zostaniemy tylko przez chwilę, jak obiecałam.

Drzwi do głównego salonu pilnował rosły, czarnoskóry mężczyzna. Przyglądał się im przez chwilę, ale nie próbował zatrzymać.

- Ojejku! - pisnęła cicho Gwen. - Spójrz tylko na te kobiety!

Kobiety z „Upadłego Anioła”, umalowane, z różem na policzkach, odsłoniętymi bladymi nogami i piersiami sterczącymi znad mocno zaciśniętych gorsetów, łąsiły się lubieżnie do mężczyzn, śmiejąc się głośno z ich wulgarnych żartów. Nawet ladacznice z gospody „Pod Czarnym Knurem” nie były tak wyzywające. I ograniczały swoją działalność do zacisznych pokojów na piętrze.

- Powinniśmy stąd wyjść - rzekła Jessie, ale Gwen po prostu popchnęła ją do przodu. Przyłgnęły do tylnej ściany i usiadły przy stoliku w najbardziej zaciemnionym rogu. Po chwili podeszła do nich śliczniutka blondynka, wydymając uwodzicielsko usta.

- Dobry wieczór. Czego panowie sobie życzą? - spytała i prawie wetknęła piersi w twarz Jessie. - Jak widać, mam całkiem sporo do zaoferowania.

Policzki Jessie spąsowiały z zawstydzienia.

- Dwa piwa proszę - wycodziła przesadnie niskim głosem, zastanawiając się, co džentelmen z wyższych sfer zwykle pije w takim lokalu. - I nie ociągaj się, mała. Trochę nam się spieszy - dodała. Miała nadzieję, że to wystarczająco dobry pretekst, żeby nie musiały zdejmować z głów meloników.

Była cała opatulona. Halsztuk zakrywał nawet jej uszy. Gwen przykleiła sobie śmieszne sztuczne wąsy, zrobione z obciętego pukla jej czarnych włosów. Jessie zerknęła na przyjaciółkę, a następnie spojrzała w dół, na swoje własne męskie odzienie. Nigdy w życiu nie czuła się bardziej idiotycznie.

Dziewczyna z lokalu wciąż jeszcze stała nad nimi.

- Tacy piękni panowie. Na pewno nie mogę zrobić nic, by was zadowolić? - rzekła wypinając uwodzicielsko ogromny biust. - Może pójdziemy na piętro? Pozwoliłabym się zabawić wam obu...

- Nie dziś - odrzekła szybko Jessie, wdzięczna, że pomieszczenie jest tak zadymione, i że ich stolik stoi w najciemniejszym kącie. - Daj nam tylko piwa i zmykaj.

- Jak panowie sobie życzą.

Dygnęła grzecznie, a jej śmieszna spódniczka ze skąpej wersji czarno-białego mundurka pokojówki uniosła się przy tym lekko, ukazując prawie obnażone pośladki.

- Mój Boże! - wyszeptwała Gwen. - Możesz w to uwierzyć?

Jej wzrok przewędrował z oddalającej się wyzywającej pokojówki ku grupie półnagich kobiet, uwieszonych na eleganckich mężczyznach przy stole do gry.

- Mogę - odparła Jessie.

Jedna z kobiet zaśmiała się, gdy jakiś mężczyzna zanurzył rękę w głąb jej gorsetu i uszczypnął sterczący sutek. Co chwila do uszu dziewcząt dochodziły

obelgi i sprośne uwagi. W pomieszczeniu unosił się mdły zapach intensywnych perfum.

- Rozrywki mężczyzn nigdy nie przestaną mnie zdziwiać - stwierdziła Gwen oszołomiona.

- Mam nadzieję, że zobaczyłaś już dość. - Jessie rozejrzała się po zadymionej sali, modląc się w duchu, żeby nikt nie widział, jak tu wchodziły. - Z każdą minutą rośnie prawdopodobieństwo, że nas zdemaskują. Będzie po nas, jeśli ktoś się domyśli, kim jesteśmy.

Gwen nie odpowiedziała. Jej uwagę całkowicie pochłonęła hałaśliwa sala. Próbowwała zapamiętać każdą fałdę na czerwonej tapecie, każdą zmarszczkę na wymalowanych twarzach kobiet.

- Gwen, czy ty mnie słuchasz? Zobaczyłaś już to, co chciałaś. Czas na nas.

Ich uwagę zwrócił jakiś ruch. Duże męskie ręce chwyciły za oparcie jednego z wolnych krzeseł przy ich stoliku i Jessie podniosła wzrok.

- Uważam, że to świetna rada - rzekł lord Strickland, patrząc na nie surowo. - Radzę pani posłuchać przyjaciółki, panno Gwendolyn.

Jessie tylko wpatrywała się w niego bez słowa.

- Do jasnej cholery! - mruknęła Gwen pod nosem i spojrzała na Jessie. - Chyba mu nie powiedziałaś?

- Oszalałaś?! - zawołała Jessie oburzona, cała drżąc.

- Mówcie ciszej - ostrzegł Matthew ostro. - Udało się wam wybrać miejsce cieszące się najgorszą sławą przy Jermyn Street, jak widzę, by zaspokoić ciekawość. Niestety, taki cel wizyty nie zostały tu uznany. Gdyby ktoś wykrył, że jesteście kobietami, musiałbym użyć siły, żeby was stąd wydostać.

W tym momencie ponownie pojawiła się lubieżna pokojówka, stawiając przed nimi dwa kufle piwa. Matthew rzucił na stół monetę w ramach zapłaty.

- Dobry wieczór, przystojniaku. - Kobieta pochylała się ku niemu i zanurzyła rękę w jego ciemnozłotych włosach. - Chciałbyś udać się ze mną na górę?

Złapał ją za nadgarstek i odciągnął od siebie z uśmiechem, ale na jego twarzy wciąż malowało się napięcie.

- Nie dziś, dziękuję. Może innym razem.

Jego ostre spojrzenie sprawiło, że zniknęła, nie mówiąc już nic więcej. Po chwili równie surowo spojrział na Jessie, która aż skuliła się ze strachu.

- Podnieście się po cichu. Nie patrzcie na nikogo. Kierujcie się prosto do wyjścia. Wasz powóz wciąż jeszcze stoi na zewnątrz. Wsiądźcie do niego i poczekajcie tam na mnie.

- Dobrze, wasza lordowska mość - odparła Jessie potulnie. Serce biło jej tak mocno, że czuła je każdym fragmentem ciała. Nawet Gwen wyglądała na onieśmiałoną.

Zasłoniły oczy rondami meloników i odsunęły krzesła. Wychodząc, trzymały się blisko ściany aż wydostały się na ulicę. Matthew zjawił się za nimi zanim zdążyły cokolwiek powiedzieć.

Otworzył przed nimi drzwi powozu.

- Do środka.

Jessie drżała na całym ciele, żałując, że nie może nasunąć sobie kapelusza bardziej na oczy. Jechali w milczeniu hałaśliwymi, zatłoczonymi ulicami Londynu. Żelazne koła stukały dźwięcznie o bruk. Dobry Boże, dlaczego ze wszystkich ludzi na świecie to właśnie musiał być on?

Bez względu na to, jak bardzo był wściekły i jak bardzo pragnęła, by nie był, w duchu cieszyła się, że im towarzyszył. Po raz pierwszy tego wieczora czuła się bezpiecznie.

Atmosfera w powozie była tak gęsta, jak londyńska mgła. Gwen odczepiła swoje śmieszne wasy i zwinęła je w dłoni.

- To moja wina, wasza lordowska mość - rzekła, przerywając pełną napięcia ciszę. - To ja chciałam tam pójść. Nie może pan winić Jessie.

Matt skierował wściekłe spojrzenie na Gwen.

- Sugerowałbym, panno Gwendolyn, żeby trzymała pani język za zębami i zachowała swoje myśli dla siebie, jakkolwiek by były interesujące.

Oczywiście nie posłuchała go.

- Jessica próbowała mnie odwieść od tego pomysłu. Wiedziała, że pójde tam z nią, czy bez niej. Chciała mi tylko pomóc dowiedzieć się rzeczy, których musiałam się dowiedzieć.

Surowe, niebieskie oczy spoczęły na Jessie.

- Jeśli pani sposobem na pomaganie przyjacielom jest narażanie ich na niebezpieczeństwo, panno Fox, nigdy nie będzie ich pani miała zbyt wielu.

Jessie nie odpowiedziała. Próbowała chronić Gwen, pilnować, by nie wpakowała się w kłopoty. Ale Matthew nigdy by tego nie zrozumiał.

Jego twarz przybrała jeszcze surowszy wyraz.

- Powinienem sprawić pani lanie. Nie byłby to pierwszy raz, jeśli pani pamięta. A jeśli nie, to ostre cięgi z pewnością by pani o tym przypomniały.

Jessie oblała się rumieńcem. Jak mogłaby zapomnieć najbardziej upokarzający dzień w swoim życiu?

- Wtedy też miała pani na sobie spodnie - zauważył okrutnie. - Dałem pani lanie, na jakie pani zasługiwała, ale najwyraźniej nie przyniosło pożądanых skutków. Może tego wieczora nauczka byłaby bardziej skuteczna.

Zbladła, ale zadarła głowę dumnie do góry.

- Nie jestem już dzieckiem, wasza lordowska mość. Nie może mi pan mówić, co mam robić. Jak pan w ogóle ośmiela się mi grozić?!

W odpowiedzi Matthew spojrział znacząco na jej pośladki, odznaczające się wyraźnie w modnie przylegających do ciała bryczesach.

- Jest niewiele rzeczy na tym świecie, panno Fox na które bym się nie ośmielił.

- Cóż, pan... - próbowała się sprzeczać, ale napotkawszy surowe spojrzenie niebieskich oczu, zamilkła. Widziała po jego twarzy, że naprawdę był gotów to zrobić, gdyby kłóciła się z nim jeszcze przez chwilę. Był wystarczająco silny... i wściekły. Odchyliła się na siedzeniu, chcąc zapaść się po prostu pod ziemię.

Uwaga Matta skierowała się teraz w stronę drugiej winowajczyny.

- A co do pani, panno Gwendolyn, to chyba zdaje sobie pani sprawę, że będę musiał poinformować o wszystkim lorda Waringa?

Piękna twarzyczka Gwen spochmurniała, a jej brawura rozpułnęła się w powietrzu w ułamku sekundy.

- Wasza lordowska mość, błagam pana. Zrobię wszystko, co pan tylko zechce. Tylko proszę nie mówić o niczym ojczymowi.

- Obawiam się, że nie pozostawiła mi pani wyboru. Muszę odstawić panią do domu, a gdy to zrobię, będę zmuszony powiedzieć mu o wszystkim.

Wydawało się, że Gwen usycha na oczach Jessie. Znając tego przyczynę w przyпіływie współczucia Jessica złapała desperacko Matta za ramię.

- Wasza lordowska mość, proszę. Gwen chciała tylko zobaczyć, jak wygląda tego typu miejsce. Widzi pan, ona pisze książkę. Pragnie zostać pisarką. Nie chciała nikogo skrzywdzić. Czy mógłby pan choć ten jeden raz...

- Nie, Jessie, obawiam się, że to niemożliwe. Skoro jestem już w to zamieszany, odpowiadam za dobro Gwendolyn. Moim obowiązkiem jest...

- Obowiązek! Tylko o tym pan zawsze myśli! Obowiązek i ten cholerny honor! Nigdy nie miał pan marzenia. Nie rozumie pan, co to znaczy pragnąć czegoś całym sercem!

- Jessie, lord Waring musi się o wszystkim dowiedzieć. Tak będzie lepiej dla Gwen.

- Ale pan nie rozumie. Jeśli pan mu powie, on ją zbije. Będzie ją bił do nieprzytomności! Ma już bliźny na całych plecach i pośladkach. On się tym upaja. Jak pan myśli, skąd Gwen dowiedziała się o istnieniu takiego miejsca, jak „Upadły Anioł”? Słyszała, jak opowiadał, co tam się dzieje. On jest taki sam, jak mężczyźni z „Czarnego Knura”. Robili to samo mamie! - Jessie westchnęła z przerażenia, gdy zdała sobie sprawę, że właśnie niechcący zdradziła swój najbardziej haniebny sekret. Jej wzrok powoli przewędrował z surowej twarzy Matta ku drugiemu krańcowi powozu, gdzie siedziała Gwen.

Przyjaciółka patrzyła tylko na nią, trawiając w myślach nowo usłyszane informacje, brakujące elementy niepasującej dotąd układanki. Pochyliła się w stronę Jessie i uściśnęła ją za rękę.

- Nigdy nie mówiłaś o swoich rodzicach - rzekła Gwen. - A ja nigdy nie pytałam. Nie miało to dla mnie wtedy znaczenia i nie ma teraz. Dziękuję; że próbowałaś mnie chronić. Jeśli lanie będzie jedyną ceną, jaką za to zapłacę, będę uważała się za szczęściarę. Jakoś to zniosę wiedząc, że mam taką przyjaciółkę, jak ty.

Matthew poruszył się nerwowo. Napiął kurczowo mięśnie, gdy jego nogi niechcący przywarły do nóg Jessie.

- Nie będzie żadnego lania - powiedział łagodnie.
- Nie powiem o niczym lordowi Waringowi.

Wyprostował się na swoim siedzeniu i rzucił Gwen surowe spojrzenie.

- Ale proszę mi obiecać, panno Gwendolyn, że więcej nie będzie pani próbowała niczego równie głupiego.

Skinęła potulnie głową.

- Obiecuję.

Ale Jessie kątem oka zauważyła, jak Gwen krzyżuje palce za plecami.

- Panno Fox? - To samo surowe spojrzenie zwrócone było teraz na nią.

- Mogę to obiecać z łatwością, wasza lordowska mość. Dom gry to ostatnie miejsce, w którym pragnęłabym się znaleźć.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę.

- A więc więcej nie będziemy o tym rozmawiać - rzekł w końcu.

Odchylił się wygodnie do tyłu i obserwował ją w milczeniu. Jessie zastanawiała się, o czym może teraz myśleć.

* * *

- Dlaczego tak chodzisz, Matthew? Jeśli masz coś do powiedzenia, po prostu to powiedz, na litość boską!

Znajdował się w gabinecie ojca w jego posiadłości w Londynie. Było już późno. Jessie udała się na spacer.

- Martwię się, to wszystko. Mój urlop skończy się za niecałe dwa tygodnie, a ty zostaniesz z Jessie w Londynie sam.

- Jakoś nie do końca przekonują mnie twoje słowa.

- Po prostu się martwię i tyle. Wciąż nie czujesz się najlepiej, a nawet gdyby tak było, bez niczyjej pomocy trudno ci będzie mieć na nią oko, dopilnować, żeby wszystko poszło gładko.

- Cornelia mi pomaga i na razie sprawy idą dokładnie po naszej myśli. Twoja obecność tutaj nie robi już praktycznie żadnej różnicy.

Matthew oparł dłonie o skórzane krzesło stojące przy biurku, pomyślał o Jessie i jej nocnej wizycie w „Upadłym Aniele” i zastanawiał się, jak odpowiednio dobrać słowa.

- Wiem, co czujesz do tej dziewczyny. Muszę niechętnie przyznać, że sam czuję dla niej lekki podziw - *Oraz rosnące z każdym dniem pożądanie*, dodał w duchu. - Biorąc pod uwagę jej pochodzenie, dziewczyna dokonała cudu.

Markiz uśmiechnął się promiennie.

- Bezsprzecznie.

- Tak, cóż, nie należy jednak zapominać o pewnym fakcie: Jessie Fox wciąż pozostaje Jessie Fox.

- To znaczy?

- To znaczy, że jej przeszłość wciąż stanowi problem. Nawet w domu czasem zdarzało się jej zapomnieć. Wczoraj znów miał miejsce tego typu incydent. Wspomniała o swojej matce w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości. Na szczęście była przy tym jedynie Gwen Lockhart, która, muszę z radością przyznać, okazała się dobrą przyjaciółką.

- Nikt nie jest doskonały, Matthew.

- Nie w tym rzecz. Równie dobrze może się to stać raz jeszcze. Jedno potknięcie wystarczy, by zdradzić jej tajemnicę i zhańbić dobre imię Belmore. To szlachetne nazwisko, z którym nigdy nie był związany żaden skandal.

Markiz wyjął korek ze szklanej karafki z brandy i napełnił dwa kieliszki.

- Skandal, o którym by ktoś słyszał - poprawił.
- Co masz na myśli?
- To, że nic nigdy nie jest tylko czarne lub białe, jak ci się chyba zdaje. Zawsze istnieją jakieś ciemne plamy. Nie sądzę, żeby nasi przodkowie byli tak doskonali, jak ich przedstawiłeś. Mieli po prostu szczęście, że udało im się zachować swoje mroczne sekrety w tajemnicy. Nawet ty, Matthew, z twoim honorowym kodeksem, z pewnością robiłeś rzeczy, z których nie jesteś dumny. Lub przynajmniej je rozważałeś.

Tb prawda. Daleko mu było do ideału. A ostatnio najwięcej czasu spędzał na rozmyśleniach, jak by to było zaciągnąć Jessie Fox do łóżka.

- Przepraszam, nie chciałem, żeby to zabrzmiało protekcyjnie.

Ojciec podszedł do niego i wręczył mu kieliszek brandy.

- Pochodzenie Jessie stanowi pewien problem, nie przeczę, ale z chwilą gdy stanie u ołtarza, jej przeszłość ostatecznie pójdzie w zapomnienie.

Przed oczami Matta pojawił się obraz Jessie przebranej za mężczyznę, siedzącej w burdelu przy Jermyn Street. Choć nie poszła tam na żadną schadzkę, co wcześniej przemknęło mu przez głowę, wciąż była równie nierozważna i szalona jak dawniej. Bez względu na to, co mówił ojciec, stanowiła zagrożenie dla Reginalda Seaton, dla niego samego i dla całego rodu Belmore.

Była również najbardziej pociągającą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział. Stwardniał na wspomnienie tego, jak obcisłe bryczesy opinały jej pośladki, a biała lniana koszula przylgnęła do piersi.

Po chwili oczami wyobraźni ujrzał Caroline Winston, uosobienie niewinności i czystości, z jej słodkim uśmiechem i nienagannymi manierami. Miała się zjawić w mieście lada dzień i już cieszył się na to spotkanie. Może ona będzie w stanie ostudzić jego żądzę. Przy najbliższej sposobności musi porozmawiać z jej ojcem i ogłosić oficjalne zaręczyny. Obiecał jej to podczas ich ostatniego spotkania i miał zamiar dotrzymać słowa.

Upił łyk brandy.

- Mówię tylko, że im szybciej wyjdzie za mąż, tym lepiej. - Lepiej dla ojca, lepiej dla Belmore, a w szczególności dla niego samego. - Znajdź dla niej męża i wywieź ją bezpiecznie z Londynu. Skoro udało ci się zachować sekret tak długo, może ten twój szalony plan faktycznie się powiedzie. Do tego czasu jednak musimy mieć się na baczności.

Markiz westchnął i opadł na ogromne, tapicerowane krzesło.

- Pewnie masz rację - rzekł. - Nie dbam o siebie, ale gdyby przeszłość Jessiki wyszła na jaw, oznaczałoby to jej koniec. Dołożę wszelkich starań i wybiorę jej dobrego męża. To musi być mężczyzna, który pokocha ją na tyle, że nawet najgorsza prawda nie będzie miała dla niego znaczenia. W każdym razie, gdy dojdzie do zaręczyn, ciebie i tak już tu nie będzie.

Matt zignorował dziwne ukłucie w sercu. Chciał mieć tę dziewczynę za kochankę, a nie za żonę." Nie ufał jej do końca i nigdy nie stworzyliby udanej pary. Mimo to myśl o Jessie z innym mężczyzną przeszkadzała mu bardziej, niż powinna.

Rozdział 9



Jessie otworzyła ręcznie malowany wachlarz, by osuszyć z twarzy delikatne smużki potu po ostatnim tańcu. Uczestniczyła właśnie w wieczorku towarzyskim u księcia Milton w luksusowej rezydencji przy St. James's Square.

Po wpadce zeszłej nocy z Gwendolyn starała się zachowywać jak najlepiej. Uśmiech nie schodził z jej twarzy przez cały wieczór. W pewnym momencie obawiała się nawet, że popękają jej usta. Machała wdzięcznie wachlarzem, trzepotała słodko rzęsami i wabiła każdego mężczyznę, który mógłby być potencjalnym kandydatem na męża.

Kiedy poczuła, że dłużej już nie wytrzyma, udała się na chwilę do pokoju karcianego i obserwowała w milczeniu graczy siedzących przy obłożonych zielonym suknem stołach. Ogromne sumy, dziesiątki tysięcy funtów, wędrowały z rąk do rąk. Obstawianie wydało jej się niezmiernie ciekawe i ekscytujące, być może dlatego, że sama nigdy nie podjęłaby takiego ryzyka.

- Może udamy się już na kolację, panno Fox? Specjalnie przygotowany stół w jadalni już na nas czeka. - U jej boku stanął Jeremy Codrington, księżę

Milton, nienagannie odziany w purpurowy frak, białą pikowaną kamizelkę i czarne bryczesy. Delikatny uśmiech rozświetlał jego twarz o delikatnych rysach, prostym nosie i kształtnych ustach. Jasne włosy i brązowe oczy sprawiały, że nie wyglądał na swoje dwadzieścia cztery lata.

Skinęła głową, odwróciła się od graczy przy stolikach i próbowała wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu. W końcu sam księżę zaprosił ją na wieczorny posiłek do swojego stolika. Uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Mam nadzieję, że nie kazałam panu długo czekać. Zaczęłam przyglądać się grze i nie zauważyłam nawet, kiedy minęło tyle czasu. - Przyjęła ramię, które jej zaoferował. - Z chęcią bym czegoś skosztowała.

Księżę zerknął na grę w wista, którą tak uważnie obserwowała.

- Lubi pani grać, panno Fox?

- Nie... - *Dostaję zawrotów głowy na samą myśl o stracie tak dużych sum*, chciała dodać, ale ugryzła się w język. - Lubię się przyglądać grze, ale... obawiam się, że nie jestem zbyt dobra w kartach - skłamała.

Nauczyła się grać jako dziecko i umiała oszukiwać nawet lepiej od brata. Może to był właśnie prawdziwy powód, dla którego nie grała.

Gdyby zaczęła przegrywać, mogłoby ją zacząć kuścisć.

- Któregoś dnia mógłbym panią nauczyć - zaproponował młody księżę. - Wydaje mi się, że gram znośnie.

No właśnie. Znośnie. Biedak przegrywał znacznie częściej, niż wygrywał. Choć, z drugiej strony, było go na to stać.

Wysiliła się na uśmiech.

- Byłabym zaszczycona, wasza książęca mość. Chętnie doksztalcę się we wszystkim, czego mógłby mnie pan nauczyć.

Zaczerwienił się na tę przypadkową dwuznaczność, a Jessie prawie się roześmiała. Ze wszystkich młodych kawalerów, których poznała, księcia polubiła najbardziej. Był wygadany i inteligentny, a rozmowy z nim nie ograniczały się jedynie do teatru, opery lub pustych uwag o najnowszej modzie.

Dyskutowali o inwazji Francuzów, której wszyscy tak się obawiali, o otwarciu nowego portu w Londynie i o tym, jaki może to mieć wpływ na handel zagraniczny. Komentowali najnowsze wieści z Marsylii, to, że flota tulońska przejęła angielską fregatę niedaleko wyspy Maria, rozmawiali o admirałach Nelsonie, o wojnie, o Napoleonie Bonaparte, o rzeczach, które często omawiała z papą Reggie, nie do końca odpowiednich dla młodych niezamężnych kobiet, a w zasadzie dla żadnej kobiety.

Książę jednak sprawiał wrażenie zaintrygowanego, gdy niechący wymknęło jej się coś, co przeczytała w porannej gazecie. Z przyjemnością omawiał z nią najważniejsze wydarzenia i nie uważał wcale za obraźliwe, że jakaś kobieta faktycznie mogła interesować się tym, co dzieje się na świecie.

Mimo to ucieszyła się, gdy wykwintna, dziesięciodaniowa kolacja dobiegła końca i książę powrócił do swoich gości. Przez ostatnie dwa dni starała się zachowywać tak nienagannie, że należała jej się chwila wytchnienia. Papa Reggie udał się już do swojej posiadłości na spoczynek, ale hrabina pozostała u jej boku. Miała z Mattem odstawić potem Jessie bezpiecznie do domu.

Na myśl o tym aż jęknęła w duchu. Od czasu pamiętnej nocy w „Upadłym Aniele” prawie się do niej

nie odzywał. A gdy już to robił, słyszała wyraźną naganą w jego głosie.

Dobrze, że przynajmniej nie powiedział o niczym lordowi Waringowi. Była tego pewna. Matthew zawsze dotrzymywał danego słowa.

Nieświadomie zaczęła go szukać wzrokiem. Zauważyła hrabinę Fielding, ale Matta nie było nigdzie w pobliżu, co jej zresztą nie zdziwiło, gdyż piękna wdowa skupiła całą uwagę na baronie Densmore.

Ganiąc się w duchu za myślenie o Stricklandzie, Jessie przestała się rozglądać i zaczęła przepychać przez tłum ku wyjściu.

Zatrzymała się w przyciemnionym rogu patio. Zdjęła rękawiczki, odchyliła głowę do tyłu i wpatrywała się w gwiazdy. Powietrze było świeże i orzeźwiająca po niedawnym deszczu. Ziemia wciąż pachniała wilgocią, a na roślinach i równo przyciętym żywopłocie osiadły delikatne kropelki wody, mieniając się jak brylanty w przyćmionym świetle latarni.

- Nie powinna pani tu być. Przynajmniej nie sama.

Jessie odwróciła się gwałtownie na dźwięk głębokiego męskiego głosu. Po plecach przeszedł ją nieprzyjemny dreszcz. Adam Harcourt, wicehrabia St. Cere. Tańczyła z tym ciemnowłosym mężczyzną tylko raz, a przy innych okazjach zamieniła z nim jedynie kilka zdawkowych zdań.

- Dobry wieczór.

Bezwiednie cofnęła się o krok. Było w nim coś niepokojącego, jakaś surowość i mroczna siła, która przerażała ją nieco za każdym razem, gdy spoglądała na jego ostre rysy.

- Nie planowałam tu pozostać. Po prostu... Potrzebowałam chwili samotności. - Ponownie spojrzała na gwiazdy, rzędy błyszczących perełek na niebie czarnym jak włosy wicehrabiego. - Czasem te tłumy lu-

dzi... to trochę ponad... - Oblała się delikatnym rumieńcem na myśl o tym, czego o mały włos nie wypowiedziała.

- Trochę ponad pani siły? - dokończył, typowym dla siebie, cynicznym tonem. - Mam podobne wrażenie.

Przysunął się nieco bliżej, ale tym razem pozostała na swoim miejscu.

- Niezupełnie... Niezupełnie to miałam na myśli.

- Nie? - Uniósł ledwie dostrzegalnie jeden koniuszek zmysłowych, a jednocześnie bezwzględnych ust. - A ja myślę, że dokładnie to ma pani na myśli.

Odwzajemniła uśmiech. Miał rację.

- Cóż... chyba tak.

Przyglądał się jej spod grubych, czarnych rzęs.

- Od czasu do czasu przyjeżdżam do Londynu i siedzę tu, dopóki cała ta hipokryzja nie zaczyna mnie przytłaczać. Wtedy wracam do Harcourt i tam się na jakiś czas uspokajam. Później znów staje się niespokojny, nie mogę sobie znaleźć miejsca. Myślę o wszystkich przyjemnościach, które mnie omijają, i wracam do Londynu, gdzie ponownie oddaję się hazardowi i rozpuście.

Na twarzy Jessie pojawił się cień zaskoczenia, że mówił do niej tak otwarcie.

- Czy to panią szokuje, panno Fox? Jakoś śmiem w to wątpić.

Przeszedł ją dreszcz niepokoju. Czy wiedział coś o jej przeszłości? Podejrzywał prawdę?

- Dlaczego... dlaczego pan w to wątpi?

Wzruszył ramionami, prawie równie szerokimi jak ramiona Matthew. Był jego wzrostu i w inny, mroczny sposób prawie tak samo przystojny.

- Ponieważ w pani twarzy widzę pewną mądrość. Tę, którą zdobywa się jedynie poprzez trudne do-

świadczenia życiowe. Ciekawe, co zostawiło takie piętno na pani twarzy. Zastanawiam się, jakie sekrety pani skrywa.

Gwałtownie nabrała powietrza.

- Nie... nie skrywam żadnych sekretów.

- Nie?

- Oczywiście, że nie. - Ścisnęła w rękę rękawiczki i zebrała się w sobie. Nie podobało jej się przenikliwe spojrzenie wicehrabiego.

- Jeśli pan wybaczy, powinnam już wracać do środka.

Próbowała go wyminąć, ale złapał ją za ramię, zatrzymując dosłownie kilka centymetrów od swojego silnego ciała. Gdyby pochylił lekko głowę, mógłby ją pocałować, przeszło jej przez myśl, i przez moment była pewna, że to zrobi. Poczuła zalewającą ją nagłą falę strachu, zmieszaną z chwilową chęcią doświadczenia czegoś nowego, sprawdzenia, czy inny mężczyzna jest w stanie rozpaścić w niej taki ogień, jaki wywołał w niej pocałunek Matta.

W tym momencie usłyszała głos lorda Stricklanda, zupełnie jakby go wywołała myślami.

- A więc... panno Fox... Wreszcie panią znalazłem.

Matthew stał w świetle latarni kilka kroków od nich, prawie drżąc z wściekłości.

- Właśnie... właśnie wracałam do środka, wasza lordowska mość.

Na twarzy Adama Harcourta nie drgnął ani jeden mięsień. Zabrał dłoń z jej ramienia.

- Strickland. Słyszałem, że zjawiłeś się w tym roku w Londynie - rzekł i uśmiechnął się kącikiem ust. - Powiedziałbym, że dobrze cię widzieć, ale sądząc po nastroju, w jakim się znajdujesz, wątpię, żebyś mi uwierzył.

Matthew nie odpowiedział.

St. Cere spojrział kątem oka na Jessie.

- Wiedziałem, że urocza panna Fox jest podopieczną twojego ojca. Nie wiedziałem jednak, że coś dla ciebie znaczy.

Matthew zacisnął pięść.

- Cóż, to teraz już wiesz.

Wicehrabia przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, jakby próbował wyczytać coś z zimnych oczu Matta. Nieoczekiwanie St. Cere uśmiechnął się szeroko. Uśmiech złagodził jego ostre rysy i odmłodził go o dobrych kilka lat.

- A więc pozostawię ją twojej opiece... i Matthew... naprawdę cieszę się, że cię widzę. Mam nadzieję, że nasze drogi jeszcze się skrzyżują.

Zniknął równie cicho, jak się pojawił, pozostawiając ją sam na sam z ponurym mężczyzną naprzeciwno.

- Co, do diabła, robiła pani tu z St. Cere'em?

- Nie byłam z nim. Przyszłam tu sama.

- I przypadkiem natknęła się pani na Adama? Na litość boską, ten człowiek to łotr. Chyba zauważyła pani, że myśli tylko o jednym. Wie pani, co by się stało, gdyby ktoś tu was zauważył?

- Tylko rozmawialiśmy. Nie widzę w tym nic gorszego.

- St. Cere'owi z pewnością nie rozmowa chodziła po głowie.

Jessicę ogarnęła nagła złość. Zadarła dumnie głowę.

- Skąd może pan wiedzieć, co chodziło po głowie wicehrabiemu?

Wzrok Matta ześlizgnął się ku zaokrąglonym pierśsiom, unoszącym się nad dekoltem z każdym jej oddechem.

- Ponieważ jestem mężczyzną. Rozmowa jest ostatnią rzeczą, o jakiej myślałby mężczyzna, stojąc tu z panią.

Uniosła głowę jeszcze wyżej.

- To nie pańska sprawa. Zamiary Adama Harcourta nie powinny pana interesować.

Próbowała go wyminąć, ale złapał ją wpół i zatrzymał przy sobie.

- Mylisz się, Jessie. Udajesz moją kuzynkę. W grę wchodzi reputacja mojego ojca i dobre imię Belmore. A to jest moja sprawa.

- Idź do diabła!

Z jego oczu biła wściekłość. Wykrzywił usta w cynicznym uśmiechu.

- Cóż, a może chciałaś, żeby sobie pozwolił na więcej? Jeśli tak, to może będę potrafił go zastąpić?

Ręka Matta zacisnęła się boleśnie wokół jej talii, gdy przyciągnął ją do siebie, wytrącając rękawiczki z dłoni. Wygiął ją do tyłu i wpił się w jej usta w mocnym, karcącym pocałunku, oddającym całą jego złość. Jessie oparła dłonie o jego ramiona i próbowała go odepchnąć, ale tylko wzmocnił uścisk. Czuła smak brandy, którą musiał niedawno wypić i dotyk jego silnie umięśnionych ud ocierających się o jej suknię. Piżmowy zapach wody kolońskiej mieszał się z jego własną, męską wonią. Szorstki materiał fraka drażnił jej palce.

Nagła fala gorąca przeszła przez całe jej ciało i zatrzymała się gdzieś w dole brzucha. Jego wargi nie były już brutalne, ale ciepłe i miękkie, a język wędrował delikatnie coraz głębiej, powodując, że krew popłynęła jej szybciej w żyłach i parzyła jak ogień.

Przycisnął ją mocniej do siebie, tak że mogła poczuć na udach jego podniecenie. Pogłębił jeszcze pocałunek, smakując, przesuwając językiem po jej drżącej dolnej wardze. Nogi ugięły się pod nią, czuła mrowienie w brzuchu, gorące dreszcze przechodziły falami jej ciało.

Matthew!

Ogień zdawał się palić ją od środka. Zrobiła się wilgotna między nogami, czuła napięcie w każdym mięśniu. Usłyszała, jak Matt wydaje z siebie cichy jęk i wpiła się mocno palcami w jego ramiona.

Nagle dotarły do nich jakieś głosy. Szuranie nóg i śmiechy po drugiej stronie tarasu spowodowały, że oderwał się od niej i uniósł jasną głowę. Oddychał ciężko i sprawiał wrażenie lekko zdezorientowanego, jakby niezupełnie świadomego, gdzie się znajdują.

- Do diabła - wyszeptał, próbując się opanować. Gdy Jessie zachwiała się w jego ramionach, przeklął pod nosem i odsunął ją delikatnie od siebie. - Chyba oszalałem.

Mamrocząc coś, czego nie była w stanie zrozumieć, przeczesał ręką swoje ciemnozłote włosy. Kątem oka Jessie dostrzegła, że drży.

- Matthew... - rzekła cicho i było to jedyne, co przychodziło jej w tym momencie do głowy. Przycisnęła palec do drżących ust i próbowała zapanować nad ognistymi falami, które wciąż przeszywały jej ciało.

Schylił się i podniósł jej rękawiczki. Wyprostował się dumnie, prezentując swą wysoką, mocną sylwetkę godną admirała, i wręczył je Jessie.

- Proszę o wybaczenie, panno Fox. To ja zawiniłem, nie pani. Bardzo żałuję. Proszę przyjąć moje najszersze przeprosiny... Obiecuję, że więcej się to nie powtórzy.

- Matthew... - wyszeptała błagalnie. Nie chciała, żeby żałował. Nie chciała, żeby czuł się winny. Chciała, żeby znów ją pocałował.

- Przestań, Jessie. Do jasnej cholery, czy nie rozumiesz, jak bardzo jest to niewłaściwe?

Skinęła tylko głową.

- Już nic nie rozumiem. - Łzy napłynęły jej do oczu. Dobry Boże, nie chciała, żeby rozumiał. - Chciałam, żebyś mnie pocałował. Tylko tyle wiem. Jeśli to jest niewłaściwe, to ja powinnam przeproszać, a nie ty.

Odwróciła się od niego i odeszła w stronę wejścia do domu, mrugając intensywnie, by powstrzymać płacz.

Za jej plecami Matthew rzucił kilka przekleństw, ale nie ruszył za nią.

Jessie dziękowała w duchu za to, że pierwszą osobą, jaką zobaczyła po wejściu do salonu, była lady Caroline Winston.

Wielkie nieba! Upokorzona, rozdarta między poczuciem winy a ogromnym pożądaniem do Matta, popędziła w przeciwnym kierunku, w stronę salonu wypoczynkowego dla dam na pierwszym piętrze.

Zastanawiała się, czy Matthew też żałowałby tego pocałunku, gdyby dzielił go nie z nią, a z Caroline Winston.

* * *

Henry Winston, hrabia Landsdowne, poklepał Matta przyjaźnie po ramieniu.

- Miałem nadzieję zobaczyć cię znacznie wcześniej, mój chłopcze, ale sądząc po tym, ile miesięcy spędziłeś na morzu, rozumiem, jak bardzo musisz być zajęty, żeby doprowadzić wszystkie sprawy do porządku.

Hrabia był niskim, przysadzistym mężczyzną z pasmem siwych włosów okalających łysiejącą głowę. To oczywiste, że lady Caroline odziedziczyła swą drobną budowę po matce.

- Przykro mi, że nie udało nam się spotkać w Winston House - odparł Matt. - Nie sądziłem, że ojciec będzie chciał spędzić trochę czasu w Londynie.

Stali w salonie miejskiej posiadłości Landsdowne' na Berkeley Square. Przebywał z hrabią, Caroline i jej matką już od kilku godzin. Rozmawiał o czasie, jaki mu pozostał na morzu, prowadził uprzejmą wymianę zdań z Caroline i lady Landsdowne. Ta ostatnia przed chwilą opuściła ich towarzystwo i udała się z wizytą do przyjaciół rodziny. Teraz wychodził hrabia, dając jemu i Caroline kilka chwil sam na sam.

O ile można mówić o jakimkolwiek sam na sam, ze wszystkimi drzwiami do salonu rozwartymi na oścież i krzątającą się wszędzie służbą.

- Caroline, moja droga? - Hrabia spojrzał czule na córkę.

- Tak, ojczu?

- Pozostawiam naszego gościa twojej opiece. Mam nadzieję, że zadbasz o niego należycie.

Caroline uśmiechnęła się słodko.

- Oczywiście, ojczu.

Cmoknął córkę w policzek, uściśnął Mattowi dłoń i opuścił salon głównymi drzwiami.

Matthew usiadł obok Caroline na sofie z końskiego włosa.

- Na więcej prywatności chyba nie możemy liczyć, dopóki się oficjalnie nie zaręczymy. - *I niewiele więcej aż do ślubu.* Uśmiechnął się. - *Czy zdajesz sobie sprawę, że nigdy cię jeszcze nie pocałowałem?*

W odpowiedzi rozbrzmiał uroczy kobiecy śmiech.

- To nieprawda, wasza lordowska mość. Pocałowałeś mnie raz, gdy byliśmy dziećmi. Pod żywopłotem w ogrodzie.

Gdy się zjawił, zachowywała się nieco nieswojo. Wydawała się czymś zdenerwowana. Teraz jednak, gdy cała jego uwaga skupiła się na niej, znów czuła się swobodnie.

Matt również się zaśmiał próbując przypomnieć sobie dzień, o którym mówiła.

- Pocałowałem cię? Naprawdę?

- Tak. Powiedziałeś, że widziałeś, że twoja macocha całuje się z ojcem. Chciałeś przetestować na własnej skórze, jak to jest.

- I pozwoliłaś na to? Zaskakuje mnie pani, lady Caroline.

Z małych kobiecych ust znów wydobył się melodyjny śmiech.

- Trudno tu mówić o moim przyzwoleniu. Skradłeś mi ten pocałunek. Czy przypominasz sobie w ogóle dzień, w którym nie dostałeś tego, czego pragnałeś?

Tak, pomyślał, widząc oczyma wyobraźni piękną twarz Jessie. Pragnał Jessie Fox. Chciał kochać się z nią tak bardzo, że granoczyło to prawie z obsesją. Tego jednego mieć jednak nie mógł.

Wysilił się na uśmiech.

- Czas sam na sam z tobą, najdroższa, jest tym, czego pragnę i czego, najwyraźniej, nie mogę mieć.

- Już wkrótce będzie to możliwe. Jak tylko doprowadzi się do końca sprawę oficjalnych zaręczyn. - Zmarszczyła lekko brwi. - To chyba nie potrwa długo, prawda, Matthew?

Chrząknął delikatnie.

- Trudno powiedzieć, ale mam nadzieję, że stanie się to jak najszybciej.

Na jej twarzy pojawiła się wyraźna ulga.

- Ojciec będzie znacznie spokojniejszy, gdy termin ślubu zostanie już ustalony. Ufa ci, Matthew, bezwarunkowo. Chce po prostu uniknąć bezpodstawnych plotek.

Jego myśli znów powędrowały ku Jessie, siedzącej w domu gry przy Jermyn Street. Zupełnie nie obcho-

dziły jej plotki. Ale może był niesprawiedliwy w swojej ocenie. Może, jak powiedziała Gwen Lockhart, Jessie po prostu towarzyszyła swej przyjaciółce, by ją chronić. Już wcześniej zauważył w niej silnie rozwinięty instynkt opiekuńczy.

Po raz pierwszy przyznał, że w przebraniu dandyśa wyglądała bardzo pociągająco. Tym razem zamiast wściekłości z powodu jej zachowania, poczuł jedynie lekkie rozbawienie. Do cholery, ta kobieta miała czasem więcej odwagi, niż najbardziej arogancki marynarz w jego załodze.

- Matthew, słyszałeś, co właśnie powiedziałam?

Uniósł gwałtownie głowę i jego uwaga znów powróciła do Caroline, na której powinna była być skupiona przez cały czas.

- Przepraszam, kochanie. Zamyśliłem się.

- Powiedziałam, że twój urlop chyba dobiega końca. Zastanawiałam się, czy będziesz na przyjęciu w posiadłości wiejskiej lorda Pickeringa w ten weekend? Ojciec rozmawiał z lordem Belmore. Markiz powiedział, że panna Fox zjawi się tam z pewnością.

Słyszał już o tym wypadzie za miasto. Próbował zniechęcić do niego ojca, ale markiz z uporem obstawał przy swoim. A jako że nie ufał do końca zachowaniu Jessie, oznaczało to, że musi się udać z nimi.

- Planuję się tam zjawić. Nie sądziłem, że też tam będziesz. - Uśmiechnął się. - Przynajmniej będę miał miłe towarzystwo. - Ujął jej dłoń przyodzianą w elegancką rękawiczkę. - Może spróbuję ci skraść kolejny pocałunek.

Na policzki Caroline wpłynął delikatny rumieniec. Była urocza i w inny, mniej spektakularny sposób równie piękna jak Jessie. Pogładził ją po policzku i delikatny rumieniec stał się bardziej intensywny, zdradzając tym samym jej uczucia. W ciągu tych

wszystkich lat nie spędzał z nią wiele czasu, ale w jej towarzystwie zawsze czuł się swobodnie. Caroline Winston miała wszystko, czego pragnął w kobiecie. Była słodka, dobrze wychowana, delikatna. Z łatwością widział ją jako swoją żonę.

Mimo to patrząc teraz na nią, nagle poczuł, jakby czegoś mu brakowało. Nigdy wcześniej nie myślał o tym, że kobieta, którą ma poślubić, powinna wzbudzać w nim takie pożądanie, jakie Jessie rozpałała w nim jednym ciepłym spojrzeniem. Teraz złapał się na tym, że chciałby pragnąć Caroline Winston równie silnie, jak pragnął Jessie.

Próbował wyobrazić sobie Caroline w swoim łóżku, naga, wijącą się pod nim, błagającą, by ją posiadał, lecz zamiast kasztanowych włosów rozsypanych wokół poduszki zobaczył jasnozłoty blond. Zamiast delikatnych różowych ust Caroline ujrzał pełne, korallowe wargi Jessie, wilgotne od jego pocałunków.

- Czy wiesz, ile czasu będziesz teraz na morzu? - spytała Caroline, ponownie budząc go ze snu na jawie. Przeklął się w duchu za swoje rozkojarzenie.

- Niestety, nie jestem pewien. Prowadzimy blokadę statków Napoleona już dwa lata. W końcu coś musi się stać i myślę, że nastąpi to wkrótce. Po zakończeniu walk porzucę marynarkę na dobre.

Zakładając, oczywiście, że przeżyje. Możliwość śmierci w walce była głównym powodem, dla którego tak zwlekał z podjęciem ważniejszych decyzji.

- Och, Matthew, już nie mogę się doczekać dnia, kiedy wrócisz do domu na zawsze. - Przynęła się bliżej. Poczł dyskretny zapach jej perfum, delikatną woń lili. - Stworzymy cudowną parę. Wszyscy tak mówią. Będziemy mieć prześliczne dzieci i zamieszkamy w przepięknym domu. - Uśmiechnęła się szeroko. - Zawsze bardzo lubiłam Belmore. Po śmierci

twojego ojca cały dom wraz z tym wspaniałym wyposażeniem będzie nasz. Już myślałam o zmianach, jakie tam wprowadzę. Będzie nawet piękniej niż...

- Mojego ojca czekają jeszcze długie lata życia - warknął gwałtownie. - Zamieszkamy w Seaton Manor. Jeśli to cię nie zadowala...

Zawstydzenie malujące się na twarzy Caroline zamknęło mu usta. Do diabła, co się z nim dzieje?!

- Przepraszam... - rzekła ze skruchą. - Nie miałam nic złego na myśli. Ja tylko...

- To ja przepraszam. Nie powinienem tak na ciebie naskakiwać. Chodzi o to, że ojciec ostatnio niedomaga. Martwię się o niego, a niedługo będę musiał go opuścić - odparł Matthew, wstając z sofy. - Chyba powinienem już iść. - Jego usta wykrzywiły się w delikatnym uśmiechu. - Nie chcemy chyba niepotrzebnych plotek?

Caroline zmarszczyła brwi, wyczuwając zmianę jego nastroju.

- Tak... Cóż, w takim razie do zobaczenia w Benhamwood.

- Tak - odparł Matt, schylając się w pożegnalnym ukłonie. - Już się cieszę na nasze ponowne spotkanie.

Faktycznie jednak odkrył, że wcale się nie cieszył.

Caroline odprowadziła go do drzwi, gdzie kamerdyner wręczył mu kapelusz i rękawiczki.

- Dziękuję za wizytę - rzekła słodko.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Pocałował ją w rękę i zaczął się zastanawiać, dlaczego nigdy nawet nie próbował pocałować jej w usta. Przez ostatnie pięć lat planował przyszłość z Caroline Winston. Teraz przyszłość ta wydała mu się mglista.

Matthew przeklął w duchu siebie i... Jessie Fox, za to, że tak bardzo jej pragnął.

Jasne promienie słońca przebijały się przez gałęzie wysokiego platanu przy ścieżce, którą Jessie szła ku ogrodom w Benhamwood. Delikatny wietrzyk orzeźwiał jej twarz, liście szumiały cicho nad głową, a w powietrzu unosiła się woń bzu.

Posiadłość wiejska hrabiego Pickeringa wręcz porażała swoim ogromem. Znajdowało się w niej ponad sto sypialni, kilkanaście eleganckich salonów i okazała jadalnia, która mogła pomieścić dwustu gości. Jednak Jessie najbardziej urzekła przepiękną okolicą.

Jeziro otoczone wierzbami komponowało się idealnie z zielonym, pagórkowatym krajobrazem. Na zboczach porośniętych gęstymi lasami, w wysokiej trawie co jakiś czas przemykała sarenka. Odkąd tu przyjechała, ogromne zielone przestrzenie stały się jej schronieniem. Tu znajdowała wyciszenie, mogła odpocząć od ludzi, od plotek i intryg bogatych elit, które zebrały się w posiadłości lorda Pickeringa. Pragnęła, by była tu z nią Gwen, ale lord Waring rzadko gościł z rodziną na tego typu imprezach, a Gwen nie mogła przybyć bez niego.

Przechadzając się po ogrodach, Jessie zerwała kwiat czerwonej róży i w zamyśleniu obracała ją między palcami. Zawsze chciała być damą i z pozoru nią była. Jednak w głębi duszy zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie potrafiła całkowicie zaakceptować rygorystyczny kodeks postępowania narzucany przez wyższe sfery.

Całe to bogactwo, biżuteria, piękne suknie okupione były ogromnym kosztem. Każdy jej ruch, każde słowo poddawano surowej ocenie. Nawet jej ukochany taniec rządził się swoimi sztywnymi prawami, których nie można było złamać. Złapała się na tym,

że tęskni za wolnością, za dawnymi, spokojnymi dniami w Belmore, za dziećmi, oczekującymi od niej jedynie ciepłego uśmiechu i kilku słów pochwały.

No i był jeszcze Matthew, oczywiście.

Przebywał tu z lady Caroline i spędzał większość czasu w jej towarzystwie. Dla nikogo nie stanowiło już żadnej tajemnicy, że planował ją poślubić. Mimo to bywały chwile, gdy Jessie czuła na sobie jego spójrzenie. Widziała, że jej się przygląda. W dzień starała się za wszelką cenę jej unikać, ale nocą... nocą, gdy zdawało mu się, że nie widzi, jego palący wzrok wędrował ku niej. Był tak intensywny, że niemal czuła, jakby ją dotykał.

Podczas pobytu w Benhamwood liczba jej adoratorów wzrosła. Z wujem rozmawiał już Jeremy Codrington, księżę Milton. Jakkolwiek niewiarygodnie to brzmiało, wyglądało na to, że chce starać się o jej rękę.

Jessie Fox żoną księcia. Przecież to śmieszne.

Papa Reggie wcale tak nie uważał. Wraz z lady Bainbridge nie posiadali się wprost z radości i podniecenia, gdy intencje księcia stawały się coraz bardziej oczywiste.

Na dzisiejszy wieczór zaplanowano wykwintny bal maskowy. Jessie miała przebrać się za boginię Afrodytę. Jej tunika, zaprojektowana przez madame Dumont, najbardziej rozchwytywaną krawcową w Londynie, uszyta została ze śnieżnobiałego jedwabiu. Okalała zmysłowo biust i biodra, a u dołu rozsuwała się na dwie części, odsłaniając delikatnie kostki. Elegancka brosza wysadzana topazami i brylantami spinała materiał nad jednym ramieniem, drugie pozostawiając obnażone. Na stopach Jessie miała mieć złote sandały, a we włosach deszcz lśniących brylancików.

Był to strój dość wyzywający i nie spodziewała się, że lady Bainbridge zamówi coś podobnego. Z dru-

giej jednak strony, miał to być bal maskowy. Dzięki tej odrobinie anonimowości, którą zapewnia maska, każdy z pewnością pozwoli sobie na nieco więcej ekstrawagancji.

Z tym przekonaniem Jessie po raz ostatni rzuciła okiem na spokojny krajobraz i ruszyła ścieżką w stronę ogromnego pałacu, licząc w duchu na odrobinę wypoczynku przed wieczornym bale. Właśnie wchodziła na taras, gdy jej oczom ukazał się Matthew z lady Caroline.

- Och... To znaczy... Dzień dobry, lady Caroline... Lordzie Strickland.

Jego zmysłowe usta wykrzywiły się w uśmiechu. Przypomniała sobie dokładnie ich smak i poczuła ciepło i mrowienie w żołądku.

- Dzień dobry, panno Fox - odparł.

- Właśnie... delektowałam się pięknem ogrodów.

- Tak... - rzekła Caroline przyglądając się prostej różowej sukni Jessie i jej rozpuszczonym włosom, opadającym luźno na ramiona. - Są cudowne o tej porze roku.

Matthew spojrzał poza nią, na ścieżkę, po której szła, jakby się zastanawiał, czy jest tu sama. St. Cere również przebywał w Benhamwood, ale teraz był na polowaniu z kilkoma innymi mężczyznami. Poza tym od czasu konfrontacji z Matthew na tarasie, zwracał się do niej jedynie w sposób nad wyraz uprzejmy i oficjalny.

Jessie spojrzała na lorda Stricklanda i dostrzegła, że odziana w elegancką rękawiczkę ręką lady Caroline spoczywa nienagannie na jego ramieniu. Żołądek zaczął podchodzić jej do gardła.

- Właśnie wracałam - rzekła, siłąc się na uśmiech.

- Papa Reggie będzie się zastanawiał, gdzie jestem. Życzę udanego spaceru.

- Dziękujemy - odparła Carołine.

Matthew nie wyrzekł ani słowa. W jego oczach dostrzegła coś dziwnego, coś ciemnego i zwodniczego, czego nie mogła do końca zrozumieć. Może gniewał się za to, że udała się na samotny spacer. Może oczekiwał, że będzie bardziej formalnie ubrana, a może wciąż jeszcze był zły przez ten pocałunek na tarasie.

Cokolwiek to było, nie miało już znaczenia. Matthew podjął decyzję, jego przyszłość została zaplanowana. Nie było w niej miejsca dla Jessie Fox. Przełknęła gorycz porażki i weszła do domu.

Rozdział 10



Wygładasz olśniewająco, moja droga - papa Reggie puścił do niej oko i uśmiechnął się promiennie. - Prawda, Corney?

Lady Bainbridge wyglądała na usatysfakcjonowaną. Przebrana za madame de Pompadour, z imponującą srebrną peruką przykrywającą jej własne, szpakowate włosy, przyglądała się bacznie greckiej sukni Jessie.

- Masz całkowitą rację, drogi Reggie - przytaknęła i przekrzywiła głowę nieco na bok. - Elegancka i pełna gracji. Wyzywająca, ale nieprzesadnie. Z pewnością wszyscy będą ją podziwiać za wyjątkowość.

Jessie uśmiechnęła się pod nosem. Skrycie marzyła o tym, by czuć się bardziej wyjątkową. Choć z drugiej strony, może lady Bainbridge mimo wszystko miała rację - w Benhamwood nie było nikogo choćby w najmniejszym stopniu podobnego do niej.

Wyszli ze swoich pokoi gościnnych na drugim piętrze i skierowali się ku schodom, do sali balowej. Hrabina trzymała pod rękę papę Reggiego, przebranego za Henryka V. Jessie uśmiechnęła się w duchu. Nawet mimo utraty wagi po ostatnim napadzie cho-

roby markiz Belmore, ze swoją lwią grzywą i imponującą sylwetką, był wspaniałym królem.

Nie dostrzegła nigdzie Matthew. Pojutrze miał udać się do Belmore po resztę swoich rzeczy, a następnie do Portsmouth na statek. Na samą myśl o tym poczuła ukłucie w sercu, ale może tak będzie dla niej lepiej. Łatwiej o nim zapomni, gdy będzie daleko.

Ogromne, pozłacane drzwi otworzył im lokaj odziany w granatowo-złotą liberię, z szarą peruką na głowie. W imponującej, lustrzanej sali balowej dominowały intensywne, krzykliwe kolory. Pod ścianami ustawiono bukiety czerwonych i żółtych róż.

Bal już się rozpoczął. Najpierw do tańca poprosił ją hrabia Pickering jako Juliusz Cezar, a potem rząd adoratorów zdawał się rosnąć bez końca. Książę Milton nie przestawał okazywać jej względów i nawet Adam Harcourt porwał ją do tańca.

Trafili na walca, którego Pickering otwarcie darzył szczególnym uwielbieniem, choć słabość ta mogła go kosztować reputację. W teorii Jessie wiedziała jak się go tańczy, jednak w towarzystwie walc uznawano za taniec skandalizujący, dlatego nie miała jeszcze okazji sprawdzić swoich umiejętności w praktyce. Wiedziała, że powinna odmówić, zwłaszcza takiemu hulace jak St. Cere, ale pokusa zatańczenia cieszącego się złą sławą walca była zbyt wielka.

Nie mogła go dostrzec w tłumie tańczących. Po chwili poczuła jednak jak chwyta jej rękę, mocno i pewnie. Gdy się odwróciła, jej oczom ukazał się nie St. Cere, ale lord Strickland. Patrzył na nią przenikliwie.

- To tylko taniec - zaczęła, pewna, że próbuje ją powstrzymać. - Powinnam spróbować tylko ten jeden raz.

Uśmiech Matta zaskoczył ją.

- I spróbuje pani, panno Fox... Jeśli nie ma pani nic przeciwko zatańczeniu ze mną.

Poczuła nieopisaną radość. Uśmiechnęła się, gdy otoczył ramieniem jej talię i porwał na parkiet. Czowała ciepło jego dłoni, jego udo ocierające się o jej, gdy rozbrzmiały pierwsze takty walca i zawirowali w tańcu.

Patrzył jej prosto w oczy, nie spuszczać wzroku. Serce zaczęło bić jej w piersi jak szalone. Miał na sobie granatowo-biały mundur komandora Marynarki Królewskiej, którym był w rzeczywistości. Złote epolety lśniły mu na ramionach tym samym odcieniem co włosy.

- Afrodyta. Bardzo trafnie, muszę przyznać. Czy dobrze się pani bawi, panno Fox?

Jessie oblała się rumieńcem.

- Teraz tak - rzekła miękko, wiedząc, że nie powinna.

Jego spojrzenie stało się mroczniejsze. Przynął ją nieco bliżej do siebie. Ogarnął wzrokiem całą jej twarz zatrzymał się na ustach. Poczuła mrowienie w brzuchu. Czowała się cudownie w tym mocnym uścisku, tańcząc zakazanego walca z Matthew.

- Świetnie pan tańczy, wasza lordowska mość. I teraz, gdy już spróbowałam, wcale nie uważam, by walc był taki skandalizujący. Mogłabym go tańczyć z panem bez końca.

Spojrzał na nią jeszcze intensywniej.

- Czyżby?

- Tak...

Czuła pod palcami, jak napinają się mięśnie jego ramion.

- Czy ty wiesz, co ze mną robisz?

Jessie nie odrzekła ani słowa. Serce waliło jej jak szalone.

- Rozpalasz ogień w moich żyłach, Jessie Fox. Gdyby nie ojciec, zrobiłbym wszystko, by mieć cię w moim łóżku.

Zesztywniała nieco w jego ramionach. Nie mówiła o małżeństwie. To zarezerwowała dla innej.

- Chyba raczej, gdyby nie papa Reggie i lady Caroline? - poprawiła go.

Kryształowe żyrandole wirowały nad ich głowami. Obok przepływały inne pary, ale w tym momencie liczyli się tylko oni. Matt wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę, a po chwili złagodził nieco uścisk, zwiększając dystans między nimi.

- Ojciec mówił mi, że księżę Milton stara się o pani rękę. Jeśli tak się stanie, przyjmie pani jego oświadczenie?

Do tej chwili starała się w ogóle o tym nie myśleć. Wciąż miała nadzieję, że coś się zmieni, że Matthew zrozumie, że pragnie właśnie jej, a nie Caroline Winston.

Uśmiechnęła się sztucznie.

- Co pan mi radzi? Uważa pan, że powinnam poślubić księcia? - Wstrzymała oddech w oczekiwaniu na odpowiedź. Głośne bicie jej serca zagłuszało muzykę. Modliła się, żeby powiedział, że nie, że nie chce, by poślubiła kogoś innego niż on sam.

Taniec wciąż trwał i wykonali zgrabny obrót. Na skraju parkietu stała lady Caroline z papą Reggie. Dostrzegła na twarzy Matta nerwowy skurcz i zrozumiała, że on też ją zobaczył.

- Jeremy to szlachetny człowiek - rzekł, a jego głos stał się szorstki. - Jest bogaty i wpływowy. Jeśli poprosi o rękę, zdecydowanie powinna pani go przyjąć.

Jessie z trudem utrzymała uśmiech.

- Dobrze, wasza lordowska mość. Jeśli Jeremy poprosi mnie o rękę, tak właśnie zrobię.

Matt zacisnął nerwowo szczękę. Nie powiedział już nic więcej, ale gdy taniec wreszcie dobiegł końca, odprowadził ją nie do papy Reggiego, któremu towarzyszyła lady Caroline, ale do lady Bainbridge, stojącej po przeciwległej stronie parkietu.

Nie zobaczyła go już więcej i wieczór stał się długi i nużący. O północy rozpoczęła się kolacja, wykwintne dania, których prawie nie tknęła. Towarzyszył jej lord Pickering. Wkrótce potem papie Reggiemu zaczęła dokuczać podagra i udał się na spoczynek.

Jessie pozostała przez chwilę sama. Korzystając z okazji, opuściła salę balową. Postanowiła, że nie będzie więcej myśleć o słowach Matta. Poprzyglądała się chwilę grze w licznych salonach Benhamwood, a następnie udała się do biblioteki i wzięła do ręki oprawiony w skórę tom *Poprawa edukacji klas pracujących*.

Zaczęła przeglądać książkę, żałując, że nie ma więcej czasu, by ją przeczytać. Pulsowały jej skronie, bolały stopy. Była zmęczona i pragnęła, by ten wieczór już się skończył. Tęskniła za wygodnym, ciepłym łóżkiem, ale lady Bainbridge na pewno nie będzie chciała nawet o tym słyszeć. Wiedziała, że nie może liczyć na więcej, niż ta krótka chwila wytchnienia.

Właśnie usiadła na ślicznej małej kanapie, gdy do jej uszu dotarł czyjś krzyk. Po chwili rozległ się przerażający wrzask, któremu zawtórował rosnący chór innych głosów, przyprawiając ją o zimny dreszcz. Jessie zerwała się gwałtownie z kanapy i wybiegła przez wysokie, rzeźbione drzwi do holu.

- Pożar! Pożar we wschodnim skrzydle! - rozległ się krzyk. Towarzyszył mu dziki tłum, w panice wylęgający się z sali balowej i zbiegający schodami na dół.

Wschodnie skrzydło! Dobry Boże, przecież to skrzydło dla gości! Był tam papa Reggie i Viola! Jessie pobiegła w stronę imponujących, marmurowych scho-

dów, i torując sobie drogę przez tłum, ruszyła na górę. Jednak na każde dwa schody, po których udało jej się wspiąć, dzika fala spychała ją o kilka stopni w dół.

- Gdzie idziesz, oszalałaś? - ktoś krzyknął. - Przecież tam się pali!

- Markiz jest na górze! - odkrzyknęła. - Muszę iść po niego.

Płomienie rozsiane przez wiatr wdzierający się przez otwarte okna objęły już zasłony i piękne złote tapety w głębi korytarza. Panował żar prawie nie do zniesienia. Jessie spojrzała w górę i zwilżyła lekko wargi. Czuła narastający strach. Właśnie miała kierować się w tamtą stronę, gdy dostrzegła korpu-lentną kobiecą sylwetkę z wysoką, srebrną peruką, w sukni z szeroką turniurą.

- Lady Bainbridge!

- Jessica! Tak się martwiliśmy! Musimy się stąd wydostać!

- Papa Reggie - odetchnęła z ulgą gdy dostrzegła markiza w długiej białej bawełnianej koszuli nocnej i szlafmicy z pomponem.

- Chodź, moja droga - rzekł. - Najwyższy czas, żebyśmy stąd wyszli.

- A co z Vi? Spała w moim pokoju, żeby pomóc mi się rozebrać po balu.

- Rozmawiałem z nią w holu. Martwiła się o ciebie. Odesłałem ją na dół i powiedziałem, że osobiście zadbam o twoje bezpieczeństwo.

Markiz rozejrzał się uważnie wokół, gdy skierował się ku masywnym drzwiom frontowym.

- Gdzie jest Matthew? Myślałem, że jest z tobą.

- Nie.

- Ojejku, jejku! - zapiszczała lady Bainbridge. - Mówił coś o grze w karty na górze, ale to było już jakiś czas temu. A może poszedł już spać?

- Dobry Boże! - Jessie przygryzła wargę, gdy porwał ich przerażony tłum i wypchnął przez drzwi, na chłodne, wieczorne powietrze, gęste od sadzy i dymu.

- Musimy znaleźć Matthew! - zawołała. - Nie możemy go tam tak po prostu zostawić.

- Na pewno nic mu nie jest - rzekł pocieszająco papa Reggie. - Pewnie wydostał się już na zewnątrz.

Na jego bladej twarzy, podobnie jak na twarzy hrabiny, malował się jednak niepokój.

- Czy wszyscy są już bezpieczni? - wrzasnął lord Pickering, wybiegając z tłumy zgromadzonego w ogrodzie nieopodal domu, wpatrującego się z przerażeniem w płomienie ogarniające budynek. Zaczęto już akcję gaszenia pożaru. Służba i goście gorączkowo próbowali stłumić gwałtownie rozprze-strzeniający się ogień.

- Na górze wciąż są ludzie! - rozległ się krzyk i jakaś kobieta zaczęła płakać. - Niektórzy uwięzieni są w pokojach na pierwszym piętrze. Kilka osób pewnie jest jeszcze w swoich sypialniach.

- Wielkie nieba! - Jessie zwróciła się w stronę tłumu. - Matthew! - krzyknęła ile sił w płucach, rozglądając się dookoła w panice. - Matthew, gdzie jesteś?

Hrabina i papa Reggie wbili się w tłum z nadzieją, że ktoś go widział, ale nigdzie nie było ani śladu Matta.

Jessie rzuciła wzrokiem na budynek.

- Na pewno jest jeszcze w środku. - Podwinęła swą grecką suknię do kolan i ruszyła pędem w stronę posiadłości.

- Jessica! - zawołał za nią markiz. - Jessica, nie możesz tam wrócić!

Było już jednak za późno. Jessica biegła co sił w nogach, ledwie łapiąc oddech. Zatrzymała się dopiero pod schodami i spojrzała ku górze, na piekło szalejące w holu na pierwszym piętrze. Pokój Mat-

thew znajdował się na drugim, naprzeciwko jej sypialni, ale schody już dawno zajął ogień.

Może był już na zewnątrz, a oni po prostu go nie zauważyli, myślała gorączkowo, ale serce podpowiadało jej, że to nieprawda.

- Boże, dopomóż.

Pobiegła przez hol na zaplecze domu. Dym był tak gęsty, że ledwo mogła oddychać. Krztusząc się od sadzy, która osadzała się jej w płucach, zatrzymała się w jadalni, złapała lnianą serwetkę, wylała na nią wodę ze srebrnego dzbana i obwiązała sobie moką tkaninę wokół nosa i ust.

Schody dla służby były również pełne dymu, a w niektórych miejscach płonęły żywym ogniem, jednak udało jej się wyminąć płomienie i wspiąć się na górę. Zatrzymała się na pierwszym piętrze, krzyknęła, ale nikt nie odpowiedział. Gdy dotarła na drugie piętro, z trudem łapała oddech. Przystanąła na chwilę, żeby odetchnąć i ruszyła w głąb korytarza. Zaczęła otwierać wszystkie drzwi, gorączkowo wykrzykując jego imię. Oczy piekły ją od dymu i łzy za Matthew zaczęły spływać jej po policzkach. Na końcu korytarza wybuchła nagle ściana ognia. Wciąż ani śladu Matta.

- Matthew! - krzyczała, cofając się w kierunku tylnych schodów. - Matthew, gdzie jesteś?

Wtedy usłyszała jego głos. Dobiegał gdzieś z dołu. Odwróciła się i zobaczyła, że schody prawie całkowicie zajął już ogień.

- Matthew!

- Jessie!

Wspinał się jak szalony po płonących stopniach, owinięty moką tkaniną. Przedzierając się przez pomarańczowe i czerwone płomienie wyglądał jak wid-

mo. Brzeg materiału zajął ogień. Zrzucił z siebie tkaninę nie zwalniając ani na chwilę.

- Jessie!

Nagle znalazła się w jego ramionach. Tuliła się do niego z całych sił, chaotycznie powtarzając jego imię. Po policzkach spływały jej łzy ulgi.

- Musimy się stąd wydostać - rzekła, ale Matthew już skierował się w stronę jednej z komnat, której jeszcze nie zajął ogień.

- Nie mogę uwierzyć, że tu weszłaś.

Płomienie otoczyły ich ze wszystkich stron.

- Płoną obie klatki schodowe. Matthew, co my teraz zrobimy?

- Dach - rzekł otwierając drzwi. - To jedyna droga ucieczki.

Jessie poczuła ucisk w żołądku.

- Przecież nie możemy zeskoczyć z tak wysoka.

Jednak on zaciągnął ją do pustej komnaty i zamknął drzwi, odgradzając ich od ognia. Zatrzymał się dopiero przy oknie.

- Spójrz. Poniżej tamtego pokoju niższa część dachu łączy się z sąsiednim budynkiem. Będziemy musieli tam zeskoczyć. Potem pobiegniemy na tyły domu i tam już zobaczymy, jak zejść na ziemię.

Jessie nie sprzeczała się z nim, gdy pociągnął ją z powrotem do holu i do sąsiedniego pokoju. We wschodnim skrzydle panowało prawdziwe piekło. Żółtoczerwone płomienie pochłaniały ściany, temperatura była tak wysoka, że każdy oddech niemal wypalał im płuca. Pobiegli do okna. Jessie wystawiła głowę na zewnątrz i zobaczyła poniżej dach pierwszego piętra.

- Dasz radę? - zapytał.

- Dam.

- Muszę iść pierwszy. Spróbuję wylądować na dachu lub przynajmniej uchwycić się jego krawędzi. Potem będę mógł cię złapać.

Jessie skinęła potakująco głową. Matt uściśnął jej dłoń, a następnie rzucił się do przodu. Przymknęła oczy, gdy wylądował na sąsiednim dachu i przez chwilę walczył rozpaczliwie, by złapać równowagę i nie spaść.

Odczuła ogromną ulgę, gdy zobaczyła, że jest już bezpieczny. Matt spojrzał do góry i wyciągnął ku niej rękę.

- Skacz! - krzyknął. - Złapię cię.

Nie wahała się ani przez moment. Nie było na to czasu. Pokój wypełniał dym i płomienie mogły się tu wdrzeć w każdej chwili. Przeżegnała się szybko, zdjęła sandały i skoczyła. Poczowała nagły powiew chłodnego powietrza i ostry ból w kostce, gdy stopy zetknęły się z twardą powierzchnią dachu. Potem czuła już wokół siebie tylko bezpieczne ramiona Matta.

- Mam cię - wyszeptał. Czuła jak się trzęsie i wiedziała, że jej ciało drży równie mocno.

Pogłaskała ją po policzku i nieco unióśł jej głowę.

- Nie możemy tu zostać. Musimy uciekać, zanim ogień wdrze się na dach. Jesteś gotowa?

Zdobyła się na delikatne skinienie głową.

Matt chwycił jej dłoń i ruszyli przed siebie. Zbiegli po niewielkim, stromym spadzie na tę część dachu, która znajdowała się najbliżej ziemi.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Jessie przełknęła ślinę i zwilżyła usta.

- Jak dotąd tak.

- Dobrze. - W końcu dotarli do tylnej krawędzi. Bliżej ziemi już być nie mogli.

- Już prawie jesteśmy. Wytrzymaj jeszcze trochę.

Choć była przerażona, poczuła w środku jakieś dziwne ciepło. Nigdy jeszcze nie zwracał się do niej w ten sposób. Podeszła do samej krawędzi i zerknęła w dół.

- Skoczysz pierwszy i mnie złapiesz?

Uśmiechnął się do niej szeroko. Jego białe zęby kontrastowały z czernią umazanej sadzą twarzy.

- Obiecuję.

Skoczył i poturlał się po ziemi. Po chwili wstał i wyciągnął ku niej rękę.

- Chodź, kochanie. Jesteś już prawie bezpieczna.

Uśmiechnęła się do niego i rzuciła odważnie do przodu. Wylądowała w jego ramionach, przewracając ich oboje na ziemię. Leżała na nim przez chwilę, próbując złapać powietrze w płuca. Czuła pod sobą jego twarde mięśnie, gdy przyciskał ją mocno do siebie, ale żar płomieni przypominał im, że wciąż są jeszcze zbyt blisko, więc szybko zerwali się na nogi.

Matthew złapał ją za rękę i zaczęli biec, ale Jessica zachwiała się, gdy ostry ból przeszył jej kostkę.

- Do diabła, pewnie skręciłaś ją podczas lądowania.

Wsunął jej ramię pod kolana, unióśł ją delikatnie i oddalił się od ognia na bezpieczną odległość. Dotarł wyczerpany do rosnącego w pobliżu drzewa, oparł plecy o szorstką korę pnia i opadł na trawę, wciąż tuląc Jessie w ramionach.

Jej głowa spoczywała mu na ramieniu. Czuła jego ciężki oddech i mocne bicie serca. Pogłaskała ją delikatnie po włosach.

- Wróciłaś po mnie - rzekł czule.

Jessie spojrzała na ukochaną, piękną twarz.

- Musiałam.

Ręka Matta zadrżała, gdy przesunął nią po policzku Jessie.

- Rzykowałaś życiem...

Wciąż jeszcze nie mógł w to uwierzyć. To szaleństwo z jej strony, by narażać się na takie niebezpieczeństwo. Odchylił delikatnie jej głowę. W tych jasnych oczach dostrzegł coś dziwnego, coś niepokojącego i tak zachwycającego, że aż zaparło mu dech. Odgarnął kosmyk jasnych włosów z policzka, przechylił głowę i delikatnie przywarł ustami do jej warg.

Wiedział, że nie powinien, że dotykanie Jessie Fox jest zabronione, ale widmo śmierci było tak blisko. O mały włos jej nie stracił.

Myślał o tym, jak wielką wykazała się odwagą, jak dzielnie stawiała czoło niebezpieczeństwu. Głaskał ją po policzku, a jasne kosmyki włosów owinęły mu się wokół palców. Pachniała dymem, a jej skóra była gorąca od żaru płomieni. Jeszcze tylko chwilę, powtarzał sobie w duchu, wpijając się mocniej w jej usta, ale nie mógł się od nich oderwać. Czuł narastające podniecenie. Wyszepiała jego imię i sięgnął językiem jeszcze głębiej.

Odnalazł rękami jej piersi, gniótł je, pieścił przez zimny, gładki jedwab sukienki. Jej sutki stwardniały pod jego palcami. Wydała z siebie cichy jęk rozkoszy.

Powinien był przestać, wiedział o tym doskonale, ale na samo wspomnienie o pożarze zalewało go gorące pożądanie. Tak bardzo chciał ją posiadać. Mogła przecież zginąć. Zginać, próbując go uratować.

Na myśl o jej stracie poczuł dziwny skurcz serca. Pogłębił pocałunek i zawładnęło nim nagłe pragnienie, by jej dotykać. Zamiast wypuścić Jessie z objęć, odpiął ozdobną broszkę z jej ramienia, zsunął niżej suknię i objął dłońmi jędrne piersi.

Zalała go fala pożądania. Pieścił jej piersi, gniótł je delikatnie i gładził dłońmi. Były tak samo piękne,

jak je pamiętał, lekko zaróżowione w blasku płomieni, sterczące ponętnie do góry.

- Jessie - wyszeptał. Pragnął jej każdą najmniejszą częścią ciała, chciał poczuć ją pod sobą, zagłębić się w jej miękkie wnętrze. Pochylił głowę i ścisnął wargami twardy sutek. Poczuł, jak jej palce wrzynają mu się w mięśnie ramion. Odchyliła głowę. Pieścił sutek językiem, a potem zacisnął na nim wargi i ssał delikatnie, dopóki nie usłyszał jak jęczy z rozkoszy i wymawia na głos jego imię.

Rozkosz pulsowała mu w podbrzuszu. Grecka sukienka podsunęła się jej nad kolana. Uniósł ją nawet nieco wyżej, odsłaniając część bladokremowych ud. Przesunął rękę po jej ciele. Dotyk gładkiej skóry coraz bardziej go rozpalał. Pragnął jej. Boże, jak bardzo pragnął!

Co by było, gdyby zginęła? Nie był w stanie trzeźwo myśleć, nie mógł sięgnąć rozumem poza ten żar, dym i płomienie, które mieszały się teraz z ogniem jego pożądania.

Znów ją pocałował, głęboko, namiętnie, nie przestając jej dotykać. Chciał wejść w nią, poczuć jej gorące wnętrze i dać jej rozkosz, ale powoli zaczęły docierać do nich jakieś stłumione głosy, mieszające się z trzaskiem płonącego drewna. Jessie zeszywniała w jego ramionach.

- Matthew? - Uniosła głowę oszołomiona, jakby znajdowała się w transie. Jej cichy, nieco zachrypły głos wydał mu się pociągający jak nigdy. - Wielkie nieba! Co myśmy zrobili?!

Drżał cały z pożądania.

- Spokojnie, kochanie - powiedział miękko, próbując się opanować. Przeklinał się w duchu, sam nie mogąc uwierzyć, że do tego dopuścił, że tak dał się ponieść. Drżącą ręką zapiął jej sukienkę. Nie mógł

do końca zrozumieć tego, co się stało. Dlaczego zachował się tak nieodpowiedzialnie? Jednak mętnik pozostał, a myśli kłębiły mu się w głowie tak samo chaotycznie, jak dym w ciemnych korytarzach domu.

Zdawał sobie sprawę z tego, że między nimi coś się wydarzyło. Coś ważnego. Nie potrafił jednak do końca określić, co to jest. Wiedział jedynie, że od tam nic już nie będzie takie samo.

- Idą tu, Matthew. Twój ojciec i lady Bainbridge. Książę i lord Pickering... Caroline Winston - wyszeptwała i zbladła w jednej chwili.

Wiedział, że powinien ją uspokoić, powiedzieć, że to co się stało, to nie jej wina, że wszystko będzie dobrze. Ale wszystko działo się tak szybko. Potrzebował czasu, by to przemyśleć, znaleźć jakieś rozwiązanie. W ciągu zaledwie kilku krótkich minut jego życie wywróciło się do góry nogami.

- Matthew! - w powietrzu rozbrzmiał głos jego ojca. - Dzięki Bogu, nic wam nie jest.

Uwolnił Jessie z objęć, upewnił się, że jej suknia jest dobrze zapięta i podniósł się na nogi.

- Ledwie uszliśmy z życiem. Przez chwilę myśleliśmy, że to już koniec. Na szczęście dach się nie zawalił, dopóki z niego nie zesliśmy.

Ojciec wyglądał blado. Zwrócił się do Jessie, która wciąż siedziała pod drzewem.

- Jessico, najdroższa - markiz pochylił się nad nią. - Na pewno nic ci nie jest?

Jessie spojrzała do góry, na jego zmartwioną twarz, i natychmiast wybuchnęła płaczem.

Przeszyło go poczucie winy. Jak mógł tak wykorzystać sytuację? Ta biedna dziewczyna była sparaliżowana ze strachu i szoku, cudem uniknęła śmierci w ogniu. Chrząknął.

- Skreśliła nogę i nałykała się dymu - rzekł, starając się, by jego głos był równy i opanowany. - Ale powinna wrócić do siebie, jak tylko zabierzesz ją bezpiecznie do domu.

Jessie zamruwała i spojrzała na niego swoimi wielkimi, błękitnymi oczami.

- Nie mogliśmy cię znaleźć. Pomyślałam, że pewnie wciąż jeszcze jesteś na górze. Bałam się, że zasnąłeś, i że się nie obudzisz w porę.

- Gdy wybuchł pożar, byłem w swoim pokoju. Zacząłem schodzić na dół, ale usłyszałem głosy ludzi uwięzionych w jednym z pokojów do gry na pierwszym piętrze. Pomogłem im się wydostać schodami dla służby. Gdy wyszedłem, spotkałem ojca. Powiedział mi, że wróciłeś na górę, żeby mnie szukać.

Wciąż nie mógł jeszcze w to uwierzyć. To niewiarygodny gest.

Książę Milton podszedł do drzewa, pochylił się nad Jessie i uklęknął obok niej.

- Jest pani najodważniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek dane mi było spotkać. - Chwył jej dłoń i uściśnął ją swymi smukłymi, delikatnymi palcami. - Zdecydowanie najodważniejszą.

- Tak... to prawda - rzekła Caroline Winston, która stała zaledwie kilka kroków od nich. Kątem oka Matt zauważył, że na jej idealnej kreacji nie było ani śladu sadzy. Najwyraźniej opuściła dom jako jedna z pierwszych. Zastanawiał się, czy Caroline choć w najmniejszym stopniu martwiła się o niego.

- Najważniejsze, że nikomu nic nie jest - oznajmiła lady Bainbridge, która już dawno straciła perukę, a skrawki oderwanego materiału z kostiumu madame Pompadour zwiisały swobodnie poniżej szerokiej spódnicy z turniurą.

- Tak mi przykro. Dom spłonął doszczętnie - rzekł markiz. - Niestety, na więcej się tu nie zdamy. Skoro stajnie pozostały nietknięte przez ogień, a nasz powóz i konie ocalały, powinniśmy zwołać służbę i ruszać do domu.

Książę złapał Jessie pod ramię. Oparła się na nim delikatnie.

- Zgadzam się. Powrót do Londynu to jedyne rozsądne rozwiązanie. - Jego pełne podziwu spojrzenie wciąż utkwione było w Jessie. - Panna Fox wycierpiała aż za dużo, jak na jeden wieczór.

- Miałem na myśli Belmore - poprawił go markiz. - Syn musi wracać na statek, a myślę, że ja i Jessica mamy dość wrażeń na dłuższy czas.

Zerknęła na Matta, a na jej blade policzki wstąpił delikatny rumieniec.

- Tak... bardzo chciałabym już wrócić do domu.

- Oczywiście - rzekł książę z galanterią, pomagając Jessie wstać z ziemi. Jego uwaga skupiła się na markizie. - Za pańską zgodą, jak tylko Jessica dojdzie do siebie, chciałbym złożyć wizytę w Belmore.

Matt starał się zignorować narastającą irytację. Książę miał szlachetne intencje. A swoich własnych nie był jeszcze pewien. Potrzebował czasu, żeby wszystko przemyśleć, zrozumieć uczucia, które owładnęły nim w momencie, gdy dowiedział się, że ryzykowała dla niego własne życie.

- Oczywiście, wasza książęca mość - odparł markiz. - Będziemy zaszczycceni, jeśli raczy nas pan odwiedzić - dodał, nie odrywając jednak oczu od syna, jakby próbował czytać w jego myślach. - Teraz jednak chciałbym ruszać już w drogę.

Matt w duchu zgodził się z ojcem. Im szybciej wydobędzie się z Benhamwood i związanego z nim kłę-

bowiska emocji, tym szybciej będzie w stanie spokojnie pomyśleć. Nie należał do tych, którzy działają pochopnie. A już na pewno nie w sprawach tak ważnych, jak ta. Skupił całą siłę woli, by nie patrzeć teraz na Jessie i odszedł w stronę stajni.

Rozdział 11



Jessie przechadzała się po ogrodach Belmore, kierując się ku małej szklarni. Odkąd wróciła do Belmore i wyleczyła zwichniętą kostkę, zaczęła spędzać tam mnóstwo czasu. W pocie czoła przygotowywała glebę pod różne egzotyczne rośliny. Próbowiała zając czymś długie, puste godziny i odciągając myśli od Matthew.

Nie było go już trzy tygodnie. Wyruszył do Portsmouth kilka godzin po powrocie z Benhamwood. Pozostał głuchy na prośby ojca, żeby zostać choć dzień dłużej.

Przez całą drogę powrotną do Belmore był dziwnie nieobecny. Nie wspomniał nawet słowem o pożarze ani o tym, co stało się między nimi. Tylko na jedną chwilę zdjął z siebie tę zimną maskę. Stał już na zewnątrz, z bagażem spakowanym i przymocowanym do siodła na końskim grzbiecie. Wyciągnął do ojca rękę na pożegnanie, a następnie uściśnął jego ramiona w tak rzadkim dla niego czułym geście.

- Dbaj o siebie, ojczu - rzekł.
- Modlę się, byś ty tak samo dbał o siebie, synu.

Matthew skinał tylko głową. Zwrócił się do Jessie, ujął delikatnie palcami jej podbródek i spojrzał prosto w oczy.

- A ty, moja mała łobuzico, jeśli jeszcze raz wystawisz się na takie niebezpieczeństwo, dla mnie lub dla kogokolwiek innego, największa kara czeka cię z mojej strony.

To rzekłszy, odwrócił się, wsiadł na konia, którego wypożyczył na podróż do Portsmouth, i najzwyczajniej w świecie odjechał.

Tym razem nie przeprosił za swoje pocałunki. Może nie żałował tego, co się stało. A może wierzył, że wina leżała po jej stronie, że powinna była go powstrzymać, jak zrobiłaby każda przyzwoita dama.

A już na pewno Caroline Winston.

Jessie poczuła uścisk żalu na wspomnienie tamtej chwili. Przerwanie płomiennych pocałunków Matta nawet nie przyszło jej do głowy. Razem walczyli z ogniem i byli bliscy śmierci w płomieniach. Życie nigdy nie wydawało jej się cenniejsze niż wtedy. Jej miłość do niego nigdy nie była gorętsza.

Miłość. Nigdy nie dopuszczała do siebie tego słowa, choć w głębi serca od początku wiedziała, że właśnie to czuje. Kochała Matta Seatona praktycznie od zawsze. A jednak to, co wtedy zrobili, było zdecydowanie niewłaściwe.

Matthew należał do innej. Pragnął jej, to prawda. Nigdy temu nie przeczył. Jednak prawdziwa dama potrafiłaby utrzymać jego żądze na wodzy. Zemdlałaby pod dotykiem jego ust na piersiach, jego rąk gładzących pożądliwie jej uda.

Dama byłaby zszokowana i przerażona.

Jessie zadrzała z zimna, gdy przez ogród przeszedł chłodny powiew, zrywając kilka płatków z pobliskiej róży. Jaka matka, taka córka, nie mogła pozbyć się

myśli. Mając w pamięci ten nieprzyzwoity żar, który poczuła, gdy Matthew jej dotykał, bała się, że to prawda.

Mimo to nie będzie żałować tej nocy. Nigdy wcześniej nie był tak bardzo opiekuńczy, tak przejmująco delikatny, tak zawzięty i waleczny. W tamtym momencie zdawało się jej, że coś do niej czuje. Gdyby jednak tak było, na pewno by przemówił, powiedziałby jej, że zależy mu na niej choć trochę. Matthew nie powiedział nic. Jasne więc było, że wciąż planuje poślubić lady Caroline.

Pamiętała doskonale jego słowa podczas walca: *Jeremy to szlachetny człowiek. Jest bogaty i wpływowy. Jeśli poprosi cię o rękę, zdecydowanie trzeba go przyjąć.* Na myśl o tym, że chce, by poślubiła innego mężczyznę, pękało jej serce.

W zeszłym tygodniu zjawił się z wizytą książę, tak jak obiecał. Poprosił papę Reggiego o jej rękę, a potem oświadczył się jej w ogrodzie.

Jessie grała na zwłokę, prosiła, by dał jej trochę czasu, oznajmiła, że nie do końca doszła jeszcze do siebie po pożarze w Benhamwood. Książę jednak nalegał, wygłaszał peany na cześć jej urody i odwagi, chwalał jej inteligencję i dowcip. Chce, by została jego księżną, powiedział. Nie widzi lepszej kandydatki. Nie wspomniał o miłości, ale mówił o swym głębokim uwielbieniu i o tym, że jeśli mu odmówi, zrani jego serce na wieki.

Na początku papa Reggie zachowywał dziwne milczenie w tej sprawie, biorąc pod uwagę fakt, że w Londynie wraz z hrabiną marzyli wprost o takim kandydacie. Dzień po wyjeździe księcia znów dostał silnej gorączki i Jessie, zmartwiona, nie opuszczała jego sypialni. Tym razem mówił długo o księciu i jego oświadczeniach, podkreślając zalety małżeństwa

z tak bogatym i wysoko usytuowanym mężczyzną. Jessie czuła, że robi jej się słabo, dlatego uśmiechała się tylko i potakiwała grzecznie.

Teraz, zerwawszy długą, czerwoną różę, która rosła przy wąskiej ogrodowej ścieżce, zastanawiała się, kiedy markiz zacznie ją naciskać, by zgodziła się na ślub z księciem.

* * *

- Widzisz ją?

Danny Fox, przycupnięty za zielonym żywopłotem, patrzył na siostrę i uśmiechał się szeroko.

- Widzę tę małą idiotkę.

- Mówiłem ci, że tu będzie.

- Faktycznie, mówiłeś, Conny, chłopie. Myślałem, że zostanie trochę dłużej w Londynie.

I zostałyby, był tego pewny, beztrąsko wydając pieniądze markiza, gdyby nie ten cholerny pożar. Historie o potwornej nocy w Bethamwood, o śmierci dwóch sług Pickeringa i spalonym pałacyku za miastem, krążyły po całym Londynie, podobnie jak opowieści o odwadze Jessie.

W każdym zajeździe i w każdej gospodzie mówiono o lordzie Pickeringu i kobiecie, która wbiegła do płonącego domu na ratunek swojemu dalekiemu kuzynowi. Trzy dni temu ukazał się nawet o tym artykuł w „Morning Post”.

- Ogrodnik sobie poszedł - rzekł wyższy mężczyzna sprowadzając Danny'ego na ziemię. - Jest zupełnie sama - burknął z satysfakcją.

- A więc chodźmy porozmawiać sobie z tą smarkulą, zanim ktoś się zjawi.

Jessie odwróciła się gwałtownie na odgłos kroków i zeszywniała na widok surowej twarzy brata.

- Danny, co... co ty tu robisz?
- Proszę, proszę, czy to tak się wita dawno zaginionego brata?

Jessie zadarła wysoko głowę. Tym razem nie dopuści, by znów ją onieśmielił.

- Czego chcesz? Jesteśmy daleko od Eylesbury, a w Belmore nie ma jarmarków. Co tu robisz? Skąd wiedziałeś, jak mnie znaleźć?

- Mam swoje sposoby. Powinnaś chyba o tym wiedzieć?

- Zapytałam, czego chcesz?

Danny zmarszczył lekko usta.

- Przykro mi to mówić, ale mam pewien problem.
- Ty zawsze masz jakiś problem, Danny.
- Tak, cóż, sprawy trochę się pozmieniały przez ostatnie lata. Teraz jestem żonaty. Nie wiedziałaś o tym, prawda? Jestem też ojcem. Mam małą blondyneczkę. Wygląda zupełnie jak ty, gdy byłaś mała.

- Nie wierzę ci.

- Dlaczego? Nie wierzysz, że jakakolwiek kobieta by mnie zechciała?

- Nie, jeśli ma choć odrobinę zdrowego rozsądku.
- Mam żonę. Bóg mi świadkiem, że to prawda. Przecież wiesz, że zawsze umiałem sobie radzić z kobietami.

Tak było w istocie. Obiecywał im gwiazdkę z nieba, nie dawał im zupełnie nic, a one i tak same pchały mu się do łóżka.

- Nawet jeśli masz żonę, co to ma wspólnego ze mną?

Danny podszedł bliżej i pogłaskał ją delikatnie po policzku.

- Potrzebuję forsy, siostrzyczko - uśmiechnął się przebiegle i Jessie zebrało się na mdłości. - Masz jej znacznie więcej, niż ci potrzeba. Nic się nie stanie, jak podzielisz się z bratem.

- Nic z tego.

Odwrociła się, by odejść, ale ostre słowa Danny'ego sprawiły, że zwolniła kroku.

- Zapłacisz mi, mała. Jeśli nie, to pożałujesz.

Jessie zatrzymała się. Po plecach przeszedł jej zimny dreszcz.

- Grozisz mi, Danny?

Wyciągnął przed siebie ręce w uspokajającym geście.

- Nic takiego nie powiedziałem. Chyba nie podejrzewałaś mnie, gdyby pewne informacje wyszły na jaw? To nie mogłaby być wina dobrego, starego Danny'ego, prawda, mała?

Rany boskie, powinna była przewidzieć, że coś podobnego się stanie. Dlaczego pojechała wtedy na ten jarmark? Dlaczego ją znalazł?

- Markiz to wpływowi człowiek, Danny. Nie pozwoli ci mnie skrzywdzić.

- Z tego, co słyszałem, stary jest poważnie chory. Plotki o tym, że jego ukochana Jessie to córka la-dacznicy roznoszące się po całym Londynie mogłyby wpędzić biedaka do grobu.

Dobry Boże, Danny miał rację. Wpatrywała się w jego oczy koloru piwa, a właściwie ciemnej żółci, która zawsze budziła w niej grozę. Żołądek podchodził jej do gardła. Gorączkowo próbowała znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

- Dobrze, pomogę ci. Ale wcale nie mam tak dużo, jak ci się wydaje. Mogę ci dać moje oszczędności. Nie będę prosić markiza o więcej, bo może nabrać podejrzeń. Musisz zadowolić się tym, co mam.

Podrapał się w brodę, która nosiła ślady zadrapań po goleniu.

- A ile to jest?

- Prawie dwieście funtów. Tyle odłożyłam przez ostatnie kilka lat.

Wzruszył ramionami, szeleszcząc przy tym swym frakiem z nieco przykrótkimi rękawami.

- Będzie musiało mi to wystarczyć - uśmiechnął się. - W końcu muszę czymś karmić rodzinę.

Zastanawiała się, czy rzeczywiście jest żonaty. Jeśli tak, żal jej było tej biednej dziewczyny.

- Dam ci pieniądze pod jednym warunkiem. Musisz przysiąc na grób mamy, że po raz ostatni przychodzisz tu i prosisz o pieniądze.

Zauważyła, że szczupła twarz Danny'ego nieco zbladła. Miłość do Elizy to jedyny przejaw przyzwyczajenia, jaki kiedykolwiek w nim dostrzegła.

- Powiedz to, Danny. Przysięgnij na grób mamy, że więcej nie poprosisz mnie o pieniądze.

Uniósł ręce do góry i westchnął z rezygnacją.

- Dobrze, przysięgam.

- Na grób mamy. Powiedz to, Danny.

- Na grób naszej biednej zmarłej mamy. Zadowolona?

- Zaczekaj na mnie za żywoplotem. Wrócę tu za moment. Potem masz sobie pójść.

Zabranie monet zabrało jej tylko chwilę. Sakiewka ciążyła jej w rękach, gdy schodziła po schodach do ogrodu. Oszczędzała tak długo... Drżącą ręką wręczyła pieniądze bratu.

- Dziękuję, kochana siostrzyczko. Masz dobre serce. Prawda, że ma dobre serce, Connie?

Jego pełen zadowolenia uśmiech nie poprawił jej humoru. Patrzyła, jak odchodzi, ale nie uspokoiła się, dopóki jego szczupła postać nie zniknęła zupełnie na horyzoncie.

* * *

Matt chodził po pokładzie rufowym statku. Orzeźwiająca bryza wyduła białe żagle nad jego głową. W chłodnym powietrzu czuć było smak soli, a z dolnego pokładu dochodziły odgłosy chrapania marynarzy.

Byli zakotwiczeni przy francuskim brzegu. Blokowali port w Breście. Plymouth służył im teraz za port bazowy, ale do następnego uzupełnienia zapasów muszą czekać jeszcze dwa miesiące.

- Czy jest pan gotowy do rozpoczęcia ćwiczeń?

Matt zatrzymał się.

- Tak, poruczniku Bunsen. Może pan zaczynać, kiedy pan zechce.

Rudowłosy porucznik, jego zastępca, dał sygnał do oczyszczenia pokładów. Pięćsetosobowa załoga „Norwich” natychmiast rozpoczęła doskonale zsynchronizowane ruchy, mające na celu przygotowanie dział sześćdziesięciometrowego okrętu bojowego do zderzenia z wrogiem.

Okręt liniowy mógł być gotowy do ataku w niecałe sześć minut. Tyle czasu zajmowało otwarcie furt armatnich, przyniesienie prochu ze składu i pociągów z ładowni. Spora część załogi spała na pokładzie działowym, wszystkie rzeczy osobiste musiały więc być starannie poukładane. W innym wypadku zaginęłyby w zorganizowanym chaosie, panującym przy zwijaniu hamaków i podnoszeniu stołów mesy. Po chwili pokład był uprzątnięty od dziobu do rufy, a działa naładowane i gotowe do strzału.

Rekord „Norwich” to pięć minut i dwadzieścia siedem sekund.

Matt spojrział na złoty zegarek zwisający na delikatnym łańcuszku z jego kieszeni.

- Pięć minut, trzydzieści pięć sekund. Nie pobiliśmy rekordu, ale to i tak świetny czas. Poruczniku, pan i załoga nie tęskniliście chyba za mną zbyttnio.

Porucznik Bunsen uśmiechnął się.

- Proszę wierzyć lub nie, kapitanie, ale wszyscy bardzo się cieszymy, że znów jest pan tu z nami.

Po niewielkim remoncie statek powrócił na morze jeszcze przed końcem urlopu Matta. W czasie, który spędzał na lądzie, zwykle szybko zaczynał się niecierpliwić, tęsknić do morza i swojego statku.

Tym razem, zamiast spokoju, który zwykle odnajdywał po powrocie na pokład, był dziwnie apatyczny i rozkojarzony. Nie mógł przestać myśleć o Jessie. Analizował jej zachowanie podczas pożaru, jak wbiegła do płonącego budynku. Przecież to było głupie, wręcz szalone posunięcie. Wystawiła się na takie ryzyko. Ale po kim mógłby spodziewać się takiego braku rozważań, jeśli nie po Jessie Fox?

Dziwiło go natomiast, że zrobiła to dla niego. To wiele zmieniało i w jakiś sposób zmusiło go do zajrzenia w głąb tej dziewczyny, zastanowienia się nad tym, co tak naprawdę nią kieruje.

Przekonał się, że Jessie jest opiekuńcza z natury. Zauważył to w jej kontaktach z Violą Quinn, z ojcem, a potem z Gwendolyn Lockhart. Jessie robiłaby wszystko dla ludzi, na których jej zależało. Jeśli ryzykowanie własnego życia miałoby być jakąś wskazówką, najwyraźniej zależało jej również na nim. I to bardzo.

Ale co on czuł do niej?

Zadawał sobie to pytanie wielokrotnie od swojego wyjazdu. Pragnął jej. Nie mógł temu zaprzeczyć. Pożądał jej nawet we śnie. To właśnie czuł tej nocy podczas pożaru - żądzę - tak przynajmniej sobie powtarzał przez całą drogę z Belmore do Portsmouth. Jed-

nak od tamtej chwili upłynęło już wiele tygodni. Wiele długich dni i nocy, wiele czasu na rozmyślanie.

- Ach, tu pan jest, kapitanie. Tak myślałem, że tu pana zastanę. Ćwiczenia przebiegły dobrze, jak sądzę? - Graham Paxton, lekarz pokładowy, drobny mężczyzna po trzydziestce, był jednym z najlepszych przyjaciół Matta.

- Lepiej, niż myślałem. Porucznik Bunsen dobrze się sprawował podczas mojej nieobecności.

- Zarekomendujesz go na swoje stanowisko, gdy sam odejdziesz z marynarki?

- Tak. Myślę, że będzie świetnym kapitanem.

- Ale ten dzień może wcale tak szybko nie nadejść, jeśli faktycznie planujesz pozostać na stanowisku, dopóki nie pokonamy Francuzów.

- Wiesz przecież, że to mój obowiązek.

- Ostatnio nie było żadnych wieści o jakichkolwiek ruchach floty francuskiej. Okręty Ganteaume'a tkwią w pułapce, a Villeneuve jest za słaby, by sam zaatakować.

- To prawda, nie mogą nas jeszcze zaatakować, ale bardzo tego pragną. Villeneuve niecierpliwi się coraz bardziej, walcząc w Indiach. Prędzej czy później otrzyma polecenie powrotu od Napoleona i spróbuje sprzymierzyć się z Ganteaume'em. Myślę, że tym razem Nelson mu na to pozwoli. Chce tej konfrontacji. Chce, by groźba inwazji skończyła się raz na zawsze.

Lekarz spojrzął na horyzont. Był człowiekiem rodzinnym, miał żonę, którą uwielbiał, trzyletnią córeczkę i czteroletniego synka.

- Będzie też sporo okrętów hiszpańskich. W sumie ich flota jest równa naszej, a może nawet liczniejsza. Bitwa z pewnością przyniesie wiele strat, zarówno w sprzęcie, jak i w ludziach.

Lekarz wzruszył ramionami.

- Ja sam nie boję się śmierci. Martwię się tylko na myśl, że moje dzieci będą dorastać bez ojca.

Matt też o tym myślał. Dlatego właśnie tak zwlekał z zaręczynami z Caroline. Tym razem jednak, świetnie zdając sobie sprawę z ryzyka, wreszcie postanowił działać. Podjął decyzję tego ranka po długiej bezsennej nocy. Nie stawił się na porannym posiłku. Zamiast tego zasiadł przy biurku i układał jeden list za drugim, dopóki nie znalazł odpowiednich słów do wyrażenia tego, co chciał powiedzieć. Pisał do ojca, w którym prosił markiza o rękę Jessie, jeśli ta mała łobuzica w ogóle go zechce.

Nie był pewny, kiedy będzie mógł go wysłać. Czasem mijało wiele miesięcy zanim mieli możliwość posłania bliskim kilku słów. Jednak przy pierwszej nadarzającej się okazji miał zamiar wysłać list i dowiedzieć się przynajmniej, na czym stoi.

Nawet jeśli Jessie się zgodzi, będzie musiał działać rozważnie. Najpierw porozmawia z Caroline, pozwoli jej zachować twarz. Niech to ona zerwie ich nieoficjalne zaręczyny. Nie cieszył się na tę rozmowę. Czuł się winny za to, że tak ją zwodził, za łamanie obietnic, które złożył jej i jej ojcu, ale prawda była taka, że nie miał ochoty jej poślubić.

Być może popełniał błąd. Jessie zupełnie nie przypominała żony, jaką sobie wymarzył, ale teraz tego typu kobieta wydawała się mu jedynie marną imitacją pełnej werwy dziewczyny, która ryzykowała własne życie, by uratować go z pożaru.

Matthew uśmiechnął się do siebie. Z pewnością da mu popalić, ale od ostatniego rozstania odkrył, że tęskni za jej uporem, niezależnością, a nawet za jej niechcianymi opiniami na tematy do tej pory zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn.

Z czasem doprowadzi ją do porządku. Zadbaj o to osobiście. Jessie potrzebuje męża, który potrafiłby ją okiełznać, a on nadawał się do tego idealnie. I wprost nie mógł już się doczekać tego wyzwania.

Matthew przechylił się nad tylną burta i spojrzął w dół na wyszorowany piaskowcem pokład, na marynarzy rozwijających żagiel, obsługujących kabestan i potężne liny kotwicy. Dowodził wielkim statkiem. Dlaczego więc miałby sobie nie poradzić z jedną małą, buntowniczą kobietką?

Niepokój powrócił. Lekarz przyjrzał mu się kątem oka. Zastanawiał się, czy jego przyjaciel domyśla się, jak bardzo marzy o powrocie do Anglii, do domu.

* * *

Jessie siedziała pochylona przy biurku w swojej prowizorycznej szkółce. Dzieci poszły już do domu, pozostawiając ją samą na samą z pracami, które napisały. Uśmiechała się przy czytaniu wypracowań o tym, co dzieci robiły podczas jej pobytu w Londynie. Cieszyły ją widoczne postępy.

Nagle jej uwagę zwróciło głośne pukanie do drzwi. Stał w nich lokaj.

- Jego lordowska mość życzy sobie widzieć panienkę. Prosi, by zjawiła się panienka w jego komnatach o wpół do trzeciej.

Ogarnął ją nagły niepokój.

- Wszystko z nim w porządku? Chyba mu się nie pogorszyło?

- Nie, panienko. Po prostu jest teraz u niego radca prawny. Powiedział, że skończą o wpół do trzeciej.

Odetchnęła z ulgą, ale ten stan nie trwał zbyt długo. Domyślała się, czego od niej chciał. Wspominał o księciu już kilka razy, a sam, choć czuł się coraz le-

piej, nie wracał zdrowia tak szybko, jak by oboje pragnęli.

Jessie spojrzała na prace dzieci, ale niebieskie litery zlewały się jej przed oczami. Pracowała jeszcze pół godziny, nie wkładała jednak w to już całego serca, zupełnie nie mogła się skupić. W końcu dała za wygraną. Postanowiła wrócić do domu i odświeżyć się trochę przed spotkaniem z markizem. Gdy to zrobiła, spojrzała na mały zegar tykający na kominu. Prawie druga trzydzieści.

Ze ściśniętym żołądkiem udała się do apartamentów papy Reggiego.

* * *

- Wasza lordowska mość, przyszła panienka Fox, tak jak pan prosił. Pokojowy markiza, Lemuel Green, stanął przy jego łóżku. Służył mu już ponad czterdzieści lat. - Czy mam ją poprosić?

- Tak, Lemuelu, poproś ją, by weszła.

Poprawił poduszkę, wyprostował się nieco i zebrał paprochy z czerwonego szlafroka.

- I otwórz okno. Okropnie śmierdzi tu lekarstwami.

Siwowłosa pokojowy skinął posłusznie głową, zrobił, co mu polecono, i opuścił pokój. Po chwili weszła Jessica. Ubrana dziś była w błękity, idealnie pasujące do koloru jej oczu. Zawsze lubił ją w niebieskim.

Wskazał jej krzesło obok łóżka, niedawno zwolnione przez jego radcę prawnego z Londynu, Wendella Coreya, z którym omawiał sprawy testamentu. Wendell odrzucił zaproszenie na kolację. Jessica będzie dziś znów jadła w samotności.

- Usiądź, moja droga.

Pochyliła się, ucałowała go w policzek, a następnie usiadła i wygładziła prostą, muślinową suknię.

- Jak się dziś czujesz, papo Reggie?

- Dobrze... cóż, nieco lepiej. Jestem pewny, że za dzień lub dwa znów stanę na nogi.

Taką miał nadzieję, ale wcale nie był tego pewny. A gdyby coś mu się stało, Jessica będzie musiała sama o siebie zadbać.

- Poprosiłem cię tu - rzekł - ponieważ dziś rano otrzymałem kolejny list od księcia.

Spojrzeła na dłonie zaciśnięte mocno na kolanach.

- Obawiałam się, że właśnie o tym będziesz chciał rozmawiać.

- Sama nie raz mi mówiłaś, że jego książęca mość to kandydat, który najbardziej ci odpowiada.

- Tak... Jeremy to bardzo miły mężczyzna.

- Będę z tobą szczery, moja droga. Przez ostatnie tygodnie miałem nadzieję, że otrzymam jakąś wiadomość od Matta. Oczywiście, niełatwo mu korespondować, zważywszy, że przebywa na statku. Lecz prawda jest taka, że Matthew, jak czegoś chce, zawsze znajduje jakiś sposób. Dlatego też nie sądzę, by jego plany na przyszłość się zmieniły.

Wpatrywała się w bliżej nieokreślony punkt nad głową markiza.

- Mówiłam ci już wcześniej, że nie pasujemy do siebie z Matthew.

- Nie uwierzyłem w to wtedy i nie wierzę teraz. Uważam, że stanowisz świetną partię dla mojego syna, a jemu w jakimś stopniu zależy na tobie. Ale Matthew należy do ludzi, którzy dwa razy pomyślą, zanim coś zrobią. Jak już coś sobie postanowi, trudno zmieniać zdanie.

Jessica milczała.

- Dlatego - ciągnął markiz - skoro moim największym marzeniem jest ujrzeć cię wreszcie ustatkowaną, proszę cię, byś przyjęła oświadczyzny księcia. Wierzę, że bardzo mu na tobie zależy i myślę, że z czasem będzie w stanie cię uszczęśliwić.

Przez chwilę nie odpowiadała. Mrugnęła szybko kilka razy i otarła dyskretnie łzę spływającą po policzku.

- Przepraszam - próbowała się uśmiechnąć. - Kobiety płaczą w najdziwniejszych sytuacjach, prawda?

Stary markiz poklepał czule jej rękę. Miała zimną skórę.

- Wiem, że nie jesteś do tego przekonana, że wolałabyś jeszcze nie wychodzić za męża. Gdyby sprawy wyglądały inaczej, nie byłoby potrzeby tak się spieszyć.

- Gdyby moje pochodzenie było inne? To masz na myśli? Gdyby nie istniało ryzyko, że cała prawda wyjdzie na jaw?

- Obawiam się, że tak, moja droga.

- Papo Reggie, muszę wiedzieć, co by się stało, gdyby ktoś odkrył prawdę. Gdyby książe był moim mężem...

- Widzisz, moja droga, o to właśnie chodzi. Książe Milton może jest młody, ale jego bogactwo i pozycja nie mają sobie równych. Nawet gdyby prawda wyszła na jaw, mógłby cię ochronić. Nikt nie odważyłby się kwestionować jego wyboru żony lub powiedzieć czegoś niewłaściwego na twój temat.

Poruszyła ustami, ale przez dłuższą chwilę nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

- Jeśli... jeśli przyjmę oświadczyzny księcia - wydukała w końcu - jeśli zgodzę się zostać jego żoną... kiedy odbędzie się ślub?

Reggie westchnął głąboko. Chciał dać jej więcej czasu, pozwolić oswoić się z sytuacją, ale nie mógł się na to zdobyć.

- Obawiam się, że im wcześniej, tym lepiej. Gdyby coś mi się stało przed twoim ślubem, nie zaznałbym spokoju po śmierci.

- Nic się nie stanie. Nie dopuszczę do tego!

Delikatnie uściskał jej dłoń, którą zacisnęła w pięść.

- Na pewno masz rację. Prawdopodobieństwo jednak zawsze istnieje. Podczas ostatniej wizyty księcia mówiliśmy o konieczności pośpiechu, jeśli przyjmiesz jego propozycję. Zgodził się ze mną całkowicie.

Jessica spuściła wzrok. Czuł przechodzące przez jej ciało dreszcze. Gdy znów na niego spojrzała, oczy miała pełne łez.

- Jeremy jest inteligentny i dobry - rzekła miękko.

- Z radością zostanę jego żoną. Nieprzyjęcie oświadczyzny księcia Milton byłoby bezmyślnością z mojej strony.

Napięcie częściowo zniknęło z jego twarzy.

- Masz całkowitą rację, moja droga. Cieszę się, że rozumiesz wagę tej decyzji.

Uwolniła rękę i podniosła się z krzesła.

- Nie znam się za bardzo na tego typu rzeczach, papo Reggie, dlatego zostawię wszelkie planowanie tobie. Może lady Bainbridge mogłaby użyzyć ci pomocnej dłoni.

- Z pewnością to zrobi. Corney będzie zachwycona nowiną.

Szeroki, nieco sztuczny uśmiech zamarł na jej twarzy.

- Pójdę już. Chciałabym powiedzieć tym Violi. Jestem pewna, że ucieszy się równie mocno - pochyliła się i pocałowała markiza w policzek. - Odpocznij trochę, papo Reggie. Zajrzę do ciebie wieczorem.

Markiz skinął w odpowiedzi głową. Zrobił to, co było najlepsze w tej sytuacji, do czego zmusiło go podupadające zdrowie. Sprawy ułożyły się inaczej,

niż tego chciał i winić za to należało przede wszystkim upór Matta.

Powędrował myślami ku synowi i przyszło mu do głowy, że może się okazać, że to właśnie Matthew zapłaci najwyższą cenę.

* * *

Wzburzone morze rzucało statkiem na wszystkie strony. Ciemnoszare chmury przysłoniły słońce, zwiastując bliski sztorm. Delikatna mgła zmoczyła pokłady, przywarła do wełnianych ubrań marynarzy. Matthew przebywał w sterowni. Gdy do pomieszczenia wszedł Graham Paxton, uniósł głowę znad steru.

- Słyszałem, że nadeszła wiadomość. Podobno możemy się spodziewać towarzystwa.

Matt przytaknął.

- Dostaliśmy sygnał. Jedna z naszych korwet kieruje się do nas z Plymouth.

- Może niesie dla nas jakieś wieści o najświeższych działaniach wojennych.

Mniejsze statki obsługiwały większe okręty, przekazywały im informacje, korespondencję, zapasy.

- Może - odparł.

Nie wspomniał Grahamowi o tym, że w drodze powrotnej do Plymouth statek będzie wiozł wiadomości od niego. List, który napisał do ojca. Trzymał go na dnie szuflady jego biurka od dnia, kiedy go napisał, czekając cierpliwie na pierwszą nadarzącą się sposobność, by go wysłać.

Teraz wreszcie będzie miał tę możliwość.

- Myślisz, że Francuzi kierują się w naszą stronę?

- Nie wiem - odparł Matthew. - Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było.

W pewnym sensie chciał, żeby tak się stało. Tak czy inaczej, jego służba dobiegłaby wtedy końca.

Statek nadpłynął koło południa, dostarczając świeżych zapasów na oficcerski stół, warzyw, jaj i serów, ale wiadomość, z jaką przybywał, nie dotyczyła działań wojennych. Był to prywatny list do niego.

Żołądek podchodził Mattowi do gardła, gdy schodził listem po drabince na niższy pokład. Wszedł do swojego gabinetu i zamknął drzwi. Zrzucił mundur i usiadł, by przeczytać wiadomość zapieczętowaną herbem Belmore.

Gdy ją otwierał, trzęsły mu się ręce. Marynarka wysyłała specjalnych kurierów tylko w nagłych wypadkach. Czy coś stało się ojcu? Opuścił Anglię prawie dwa miesiące temu. Podczas podróży z Benhamwood do Belmore ojciec wyglądał na słabego i przemęczonego, ale było to zrozumiałe po przeżyciach związanych z pożarem. Matt był pewny, że po powrocie do domu ojciec od razu poczuje się lepiej.

Rozdzielił delikatne kartki papieru i zaczął nerwowo czytać. Poczul wyraźną ulgę na widok pewnego pisma ojca. Markizowi najwyraźniej nic nie jest. Chodzi więc o Jessie? Znow ogarnęło go napięcie. Czy coś jej się stało? Znając jej odwagę...

Myśli wirowały w zawrotnym tempie. Wraz z dalszą lekturą czuł coraz większy niepokój, przeradzający się w niedowierzanie, bolesne rozczarowanie, aż w końcu w prawdziwą wściekłość.

- A niech go! A niech go szlag! - Tak naprawdę przeklinał ich oboje. Jessie, za działanie zgodne z jej chciwą naturą, i ojca, za wykorzystanie swojego wpływu, by podporządkować go swojej woli.

Wpatrywał się ogłupiały w list.

Drogi Matthew,

Z ogromną radością chciałbym Cię poinformować, że nasza ukochana Jessica przyjęta oświadczyny Jego Księżęcej Mości, księcia Milton. Zobawy o moje zdrowie ślub odbędzie się za miesiąc w Londynie, w Katedrze Świętego Jakuba. Twoi przełożeni zgodzili się na krótki urlop, byś mógł stawić się na uroczystości. Dla dobra Jessiki Twoja obecność na ślubie jest konieczna. Musimy pokazać Jego Księżęcej Mości i reszcie towarzysstwa, że nasza Jessica może liczyć na wsparcie Belmore.

Jak zawsze, czekam z utęsknieniem na Twój powrót.

*Całuję mocno,
Twój ojciec, markiz Belmore*

Matthew zgniół list i wrzucił go do kosza na śmieci, stojącego pod małym, dębowym biurkiem. Połowa załogi widziała jego twarz, gdy odbierał list. Byli przekonani, podobnie jak on, że stało się coś bardzo poważnego.

Zacisnął szczękę tak mocno, że aż mięśnie skurczyły się z bólu. Może właśnie się stało. Może właśnie został ocalony przed popełnieniem największego głupstwa w swoim życiu!

Wstał energicznie z krzesła, prawie je przewracając. Złapał je, zanim zdążyło uderzyć o ziemię i wsunął pod biurko. Zaczął nerwowo chodzić po kajucie. Pomieszczenia kapitana na okręcie były zwykle eleganckie, wygodne i przestronne. Teraz wydawały się mu ciasne i tak duszne, że z trudem łapał powietrze.

Przemierzył kajutę i otworzył jedno z okienek, ale orzeźwiająca bryza, która wdarła się do środka, nie

była w stanie ostudzić jego gniewu. Wrócił do biurka, sięgnął po kosz, wyciągnął z niego list i wygładził go. Sprawdził datę wypisaną w nagłówku i zobaczył, że list ma już prawie trzy tygodnie.

Korweta wciąż czekała na odpowiedź kapitana, powinien wysłać ojcu wiadomość, że oboje z Jessie mogą iść do diabła, że on nie jest jej potrzebny do poślubienia kogoś innego.

Wiedział jednak, że tak nie robi. Prośba ojca o obecność na ślubie nie była bowiem wcale prośbą. Między wierszami ukryty był bezpośredni rozkaz od jego zwierzchników. Kazano mu stawić się na ślubie księcia Milton. Wpływy ojca i księcia były ogromne. Przeciw takiemu tandemowi komandor Marynarki Królewskiej nie miał najmniejszych szans.

Otworzył szufladę i wyciągnął z niej list, który planował wcześniej wysłać do ojca, list, w którym prosił o rękę Jessie. Rozdarł go na pół, potem jeszcze na pół, i jeszcze raz, zanim w końcu wrzucił go do kosza.

Spod koi wyciągnął walizkę. Kapitan korwety pewnie już się niecierpliwi. Matthew był pewny, że otrzymał rozkaz, by przytransportować kapitana Searona do Londynu.

Matt nie był pewny, czy przeklinać swojego pecha, czy dziękować Bogu za ocalenie od Jessie Fox i jej podobnych.

Rozdział 12



Przebywali już w Londynie dwa tygodnie, pochłonięci przez wir przygotowań.

- Jessica nie może wyjść za mąż tak prędko - oznajmiła lady Bainbridge. - Na miłość boską, Reginaldzie, co ty sobie myślałeś?

Widząc jednak, że decyzja została już podjęta, a księżę najwyraźniej na nią przystał, możliwe nawet, że nawet z ulgą, w końcu uległa i zgodziła się pomóc. Dokładnie tak, jak markiz przypuszczał.

Od tamtej pory Jessie nie miała nawet chwili dla siebie. Jeśli nie biegła, próbując nadążyć za hrabiną, i nie wybierała wszystkiego, począwszy od kapelusików z piórami, a na rzadkich perfumach skończywszy, stała całymi godzinami w bezruchu, gdy krawcowa szyła dla niej wyprawę - zestaw sukni elegantycznych nawet niż te, które już posiadała. Księżna musiała przecież nosić najlepsze stroje.

Z każdym ukłuciem szpilki, z każdym bólem mięśni zdrętwiałych już od tak długiego stania, była coraz bardziej przekonana, że jej piękny sen o byciu prawdziwą damą staje się koszmarem.

Podczas podróży z Belmore i kilka dni po przyjeździe do Londynu bardzo martwiła się o zdrowie pa-

py Reggiego. W końcu to było przyczyną przyspieszenia ślubu. Na szczęście jego stan się nie pogarszał. Wręcz przeciwnie. Markiz zaczął odzyskiwać siły. Znow przebywali w posiadłości miejskiej, uczęszczali na bale, wieczorki, chadzali do teatru i do opery, głównie w towarzystwie lady Bainbridge i, oczywiście, księcia.

Był to prawdziwy młody dżentelmen, miły, uczynny. Zawsze starał się ją zadowolić. Niestety, „młody” to słowo, które opisywało go najlepiej. Choć Jeremy był od niej o pięć lat starszy, praktycznie żył pod kloszem i bardziej przypominał chłopca niż mężczyznę, co tylko czyniło porównanie między nim a Matthew jeszcze bardziej przygnębiającym. Próbowwała tego nie robić, zachować ich obrazy oddzielnie w umyśle, widzieć delikatną, młodzieńczą postać Jeremy'ego w zupełnie innym świetle, niż surowe, męskie rysy twarzy Matta. Czasami jej się to udawało.

Czasami.

Bywały jednak chwile takie jak ta, trzy dni przed ślubem, gdy stała przed lustrem obok Vi, przygotowując suknię do kolacji, i nie mogła przestać myśleć o Matthew, marząc, żeby to on był panem młodym.

Mogła też w ogóle nie wychodzić za mąż.

- Nie będzie tak źle, kochanieńka. - Viola poklepała ją pocieszająco po ramieniu. - Pamiętaj, żeby myśleć o tych wszystkich cudownościach, które masz, a nie o tym, czego ci brak.

Jessie uśmiechnęła się smutno.

- Czy moje myśli są aż tak oczywiste?

- Tylko dla mnie, rybko. Znam cię zbyt długo, żebyś mogła coś przede mną ukryć.

Jessie westchnęła.

- Wiem, że masz rację. Mam szczęście, że biorę ślub z kimś takim, jak książe. To dobry, miły i wielko-

duszny człowiek... Nie ma chyba niczego na świecie, czego by dla mnie nie zrobił.

- Właśnie. To bardzo przystojny młodzieniec. Te jego brązowe oczy, jasne włosy i śliczne, perłowe zębki. Cud-miód.

- Niestety, na tym polega problem. Księżę to chłopiec, nie mężczyzna.

Vi roześmiała się głośno.

- Prędzej czy później wszyscy dorastają. Jednym z twoich głównych obowiązków żony będzie pomóc mu wyrosnąć na wspaniałego, uczciwego mężczyznę.

- Naprawdę? Jakoś nie tak sobie to wszystko wyobrażałam.

Nagle powróciło wspomnienie gorących pocałunków i delikatnych pieśczoł Matta. Matthew Seaton w niczym nie przypominał małego chłopca. Hrabia Strickland był stuprocentowym mężczyzną.

- Głowa do góry, kochanieńka. Bycie księżną jest z pewnością lepsze niż życie na ulicach.

Jessie uśmiechnęła się delikatnie.

- W jakimś stopniu masz rację, Vi, i wierz mi, że nie zapomniłam, jak to jest. Od dziś postaram się myśleć tylko o dobrych rzeczach, które mnie spotkały, jak mi radziłaś.

Jednak wcale nie było to takie łatwe.

A już zwłaszcza nie wieczorem, gdy weszła do salonu i ujrzała Matthew Seaton siedzącego na ogromnym, tapicerowanym krześle. Jessie zamarła, gdy powstał powoli na jej widok. Wysoki, zgrabny, masywny.

- Czyżby była pani zaskoczona, panno Fox? A ja myślałam, że sprowadzenie mnie tu to częściowo pani pomysł.

- Co pan robi w Londynie? Myślałam, że wciąż jest pan na morzu... na swoim statku.

Ruszył w jej stronę zdecydowanym krokiem. Na jego twarzy rysowała się lekka kpina.

- Przybyłem na pani ślub, oczywiście. Małżeństwo z księciem, no proszę. Powinna być pani z siebie dumna.

Jessie zadrżała. Dobry Boże, Matthew tu jest! Wyglądał jeszcze piękniej niż zwykle, opalony, z włosami rozjaśnionymi przez słońce, z szerokimi, umięśnionymi ramionami. Z nerwów zrobiło jej się słabo. Ślub z księciem i tak był dla niej wystarczająco ciężkim przeżyciem. Teraz, zamiast o nowo poślubionym mężu, będzie nieustannie myślała o synu markiza.

- Skąd wiesz o ślubie?

Podszedł jeszcze bliżej i spojrzał jej głęboko w oczy. Poczwała delikatny zapach jego wody kolońskiej.

- Ojciec wysłał mi list. Miło z jego strony, prawda? Oczywiście, sam wszystko załatwił. Rozmawiał z samym admirałem Cornwallisem. Ojciec jest w stanie zrobić wszystko, jeśli tylko się na coś uprze.

Jessie przełknęła ciężko ślinę.

- Ale dlaczego...? Dlaczego to zrobił?

- Dlatego, moja droga Jessico - rozległ się głos markiza, który właśnie stanął w drzwiach. - Jako twój opiekun uznałem, że potrzebujesz wsparcia rodziny, całej rodziny, a zwłaszcza mojego syna, dziedzica Belmore.

Jessie nerwowo zwilżyła usta i zwróciła się do Matthew:

- Jak długo przebywa już pan w Londynie?

- Przyjechałem dziś po południu. Porozmawiałem sobie trochę z ojcem. Cieszę się, że czuje się znacznie lepiej.

- Tak... - odparła Jessica. - Martwiłam się, jak zniesie podróż. Proponowałam, żeby poczekać tro-

chę, przełożyć ślub, ale markiz nalegał. Pański ojciec jest nawet bardziej uparty niż pan, gdy już coś sobie postanowi.

Kąciki ust Matta uniosły się w ledwie dostrzegalnym uśmiechu.

- I nie mniej niż pani, panno Fox... Gdy jest pani zdeterminowana, by poślubić księcia.

Jessie zamarła. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że za tą zimną niewyraźną żadnymi emocjami twarzą krył się gniew. Był wściekły. Ale dlaczego? Przecież jej nie chciał. Poza tym, to on jej poradził, by przyjąć oświadczenie księcia.

- Jeremy będzie wspaniałym mężem. Pański ojciec życzy sobie, bym wyszła za męża i nie mam zamiaru sprawić mu zawodu. Jeśli sobie dobrze przypominam, było to również pańskim życzeniem. Powiedział pan, że jeśli Jeremy mi się oświadczy, powinienem go przyjąć. Powinien się więc pan cieszyć, że tak właśnie uczyniłam.

Uśmiechnął się drapieżnie.

- Och, ależ cieszę się ogromnie, panno Fox. Ma pani moje najszczęśliwsze błogosławieństwo - rzekł z udawaną uprzejmością i spojrzał kątem oka w stronę drzwi. - A teraz proszę wybaczyć, ale mam plany na wieczór. Zobaczymy się jutro.

- Miałem nadzieję, że zjesz z nami - wtrącił ojciec. - Nie widzieliśmy cię od tygodni.

- Nie dziś.

- A więc jutro? To ostatnia okazja przed ślubem. Planowałem zorganizować na cześć Jessie małe przyjęcie. Nic oficjalnego, tylko najbliżsi znajomi, ale księżę już zapowiedział swoją obecność, podobnie jak jego matka. Oczywiście, będzie też Cornelia i Gwendolyn Lockhart. Miałem nadzieję, że też się zjawisz.

Matthew przez chwilę nie odpowiadał i Jessie obawiała się, że odmówi. Po chwili skinął lekko głową.

- Jak sobie życzysz, ojczu. Kolacja jutro wieczorem.

Po tych słowach opuścił pokój.

Jessie opadła ciężko na sofę.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jest.

- Oczywiście, że jest. To dziedzic Belmore. Nie mogłoby nie zjawić się na twoim ślubie.

Jessie spojrzała na twarz markiza. W jej oczach malowało się cierpienie.

- Jak mogłeś zrobić coś takiego, papo Reggie? - wyszeptała. - Nie wiesz, jak trudne będzie dla mnie to wszystko? Teraz, gdy Matthew jest obok.

- Jessico...

- Przepraszam - przerwała Jessica, powstając z sofy. - Wiem, że chciałeś dobrze. Szkoda tylko... Szkoda, że mi o niczym nie powiedziałaś.

Opuściła szybko salon i skierowała się na górę do sypialni.

* * *

Następny dzień zdawał się trwać wieki. Na drzwiach szafy wisiała suknia ślubna z białego jedwabiu, ozdobiona brokatem i obszyta srebrną nicią, ze skromnym dekoltem i bufiastymi rękawami. Górna część sukienki miała błękitne wykończenie, a z tyłu za panną młodą miał się ciągnąć błękitno-srebrny tren. Tak piękna suknia pogarszała jeszcze humor Jessie.

Dobry Boże, Matthew tu jest.

Myślała, że nie zobaczy go jeszcze przez wiele miesięcy, a może nawet lat. Do tego czasu miała być już ustatkowana, pogodzona z losem. A teraz okazu-

je się, że będzie siedział z nią dziś wieczorem przy jednym stole. Będzie musiała się do niego uśmiechać, prowadzić grzeczną rozmowę, marząc w duchu jedynie o tym, by rzucić mu się w ramiona, całować go i mówić, jak bardzo go kocha.

Oczywiście, nie zrobi nic takiego. Matthew jej nie chce. No chyba że w swojej sypialni. Z księciem będzie miała dzieci. Raz na zawsze uwolni się od przeszłości i z czasem będzie szczęśliwa.

Jessie chodziła po pokoju, próbowała czytać, haftować, ale nic nie pomagało. Godziny ciągnęły się niemiłosiernie. Nawet Viola nie mogła jej niczym zainteresować. Odetchnęła z ulgą gdy wreszcie nadszedł zmierzch. Po kąpieli zaczęła ubierać się na przyjęcie. Wdziała ciemnoniebieską jedwabną suknię z dość dużym dekoltem, wykończoną czarnym tiulem i błyszczącymi czarnymi koralikami. Wyglądała w niej bardzo kobieco i uwodzicielsko. W duchu liczyła na to, że rozpali Matthew do czerności.

- Lepiej idź już na dół - poradziła Vi, klepiąc ją po ramieniu. - Zwlekanie niczego tu nie ułatwi.

Zegar przypominał jej swym złowieszczym tykaniem, że jest już spóźniona. I dobrze, pomyślała, wiedząc jak Matt nie znosi spóźnień. Spojrzała po raz ostatni w lustro i opuściła sypialnię. Lokaj otworzył przed nią drzwi do salonu ocieplonego delikatnym światłem palących się lamp.

- Jessico, moja droga, chodź do nas. Wszyscy tu już na ciebie czekamy.

- Dobry wieczór, papo Reggie. - Uśmiechnęła się, gdy pocałował ją w policzek, ale wewnątrz drżała jak liść. - Nie chciałam się spóźnić.

- Nic się nie stało, moja droga. Panny młode powinny sobie dogadzać - rzekł z szerokim uśmiechem.

- Twój narzeczony przybył już ze swą uroczą matką, księżną Milton.

Jessie dygnęła grzecznie.

- Dobry wieczór.

- Wyglądasz uroczo - oznajmił ksiązę, pochylając się nad jej ręką. - Prawda, mammo?

Starsza kobieta uśmiechnęła się do niej ciepło.

- Jessica będzie przepiękną panną młodą.

Jessie wciąż nie mogła się nadziwić, jak chętnie księżna zaakceptowała te zaręczyny. Nie przeszkadzał jej fakt, że nie ma żadnego tytułu, a przecież gdyby nawet historia zmyślona przez markiza była prawdą, czyniłoby to z niej ledwie jego bardzo daleką kuzynkę. Podejrzewała, że to Jeremy przekonał matkę do tego małżeństwa. Pragnął jej bowiem za żonę, a młody ksiązę zawsze dostawał wszystko, czego chciał.

Każdy inny mężczyzna wyrósłby na rozpieszczonego egoistę.

Jessie uśmiechnęła się do niego i starała się, by jej wzrok nie wędrował w kierunku Matta. Mimo to go zobaczyła. Stał obok Gwen, śmiejąc się z czegoś, co powiedziała właśnie jej mała czarnowłosa przyjaciółka. Na sam widok tego miękkiego spojrzenia skierowanego w stronę Gwen poczuła silne ukłucie zazdrości.

Wielkie nieba, przecież Gwen nie była zainteresowana ani Matthew, ani żadnym innym mężczyzną. Jej niechęć do płci przeciwnej była tylko znacznie mniejsza niż nienawiść, którą żywiła do ojczyma.

- Matthew - rzekł markiz - skoro Jessica już przyszła, może zasiądziemy do kolacji?

Jego ciemnoniebieskie oczy spoczęły na niej na chwilę.

- Dobry pomysł - odparł i natychmiast odwrócił wzrok. Na jego twarz powrócił delikatny uśmiech. Zaproponował Gwen ramię i ruszył w stronę lady Bainbridge, podczas gdy markiz towarzyszył matce Jeremy'ego, majestatycznej, ciemnowłosej kobiecie pod pięćdziesiątkę.

Jessie próbowała zachować zimną krew, gdy Matthew przechodził obok. Odwróciła się w stronę księcia i przyjęła jego ramię.

- Suknia jest urocza - rzekł Jeremy. - Podkreśla błękit twoich oczu.

Kątem oka zerknął na jej biust, a po chwili utkwiał ciepłe spojrzenie w jej twarzy. Chciała móc odwzajemnić to ciepło, ale zamiast tego czuła przeszywające ją zimne dreszcze i lekkie nudności.

Kolacja dłużyła się równie niemiłosiernie, jak cały dzień. Wystawny posiłek składał się z soli w sosie śmietanowym, przepiórki i sarniny podanych w złoczonej sewskiej porcelanie. Srebrne półmiski wypełniały wykwintne potrawy: jaja bażancie w sosie ostrzegowym, grasica cielęca, bukiet duszonych jarzyn i ciastka w kształcie serduszek na deser.

Wszystko to miało dla Jessie smak trocin.

Z szacunku do toczącej się wojny każdemu posłukowi towarzyszyły portugalskie, a nie francuskie wina, a Jessie piła nieco więcej, niż powinna. Starła się nie odrywać wzroku od Jeremy'ego, który wpatrywał się w nią, jakby była gwiazdkowym prezentem, który będzie mógł niedługo rozpakować.

Twarc Matta nie wyrażała najmniejszych emocji. Odpowiadał grzecznie na pytania, śmiał się w odpowiednich momentach, a jego uwaga podzielona była równo między lady Bainbridge i Gwen.

Tylko raz się zawahał i ich spojrzenia na krótki moment się spotkały. Wyglądał na wściekłego, jakby

czymś urażonego, mimo że zupełnie nie rozumiała dlaczego.

Jej własne spojrzenie wyrażało żal i może odrobinię tęsknoty. Zastanawiała się, czy Matthew zdoła to dostrzec.

Po kolacji mężczyźni udali się na cygaro i kieliszek porto, a panie zasiadły w sąsiednim saloniku. Gwen musiała zauważyć napięcie Jessie, gdyż kilka razy w ciągu ostatniej godziny wspomniała o nerwach panny młodej z powodu zbliżającego się ślubu i zawsze szła jej na ratunek, gdy rozmowa się nie kleiła.

Z powodu zbliżającego się ślubu kolacja zakończyła się dość wcześnie. Goście udali się do domów, a Jessie powróciła do sypialni na górę. Leżąc w łóżku, słyszała jeszcze odgłos kroków Matta, dochodzący z sąsiedniego pokoju. W końcu wszystko ucichło. Zmęczona pogrążyła się w głębokim śnie.

Matthew spędził rano u radcy prawnego. Wendell Corey pracował dla ojca oraz zajmował się sprawami związanymi z jego własnym majątkiem, Seaton Manor. Matt chciał się upewnić, że wszystko jest w porządku. Spotkanie trwało nieco dłużej, niż planował. Były jakieś problemy z niektórymi dzierżawcami, kilka niewyjaśnionych kradzieży i kilka niezapłaconych czynszów. Chciałby być już w domu i mieć możliwość samemu zająć się tymi wszystkimi sprawami.

Po zakończeniu spotkania przywołał powóz na Threadneedle Street i kazał się zawieźć do St. James. Wysiadł na rogu ulicy i kilka minut później wchodził już do Brooksa, jednego z najstarszych i najbardziej prestiżowych klubów dla dżentelmenów

w Londynie. To miejsce z czarno-białymi marmurowymi podłogami, malowanymi sufitami i rzymskimi popiersiami miało niepowtarzalny klimat. Dla Matta było jednak dobre jak każde inne na chwilowe oderwanie się od problemów.

Rozejrzał się wokół. Dostrzegł kilku znajomych siedzących przy stołach do gry, ale sam udał się w stronę baru. Szukał chwili spokoju i może odrobiny rozrywki. Niestety, już po chwili zrozumiał, że nie znajdzie tu pocieszenia.

Połowa mężczyzn przy stołach do gry omawiała bowiem właśnie nadchodzące zaślubiny księcia Milton i zastanawiała się, czy urocza panna Fox obdarzy księcia potomkiem w czasie krótszym niż dziewięć miesięcy.

Robiono nawet o to zakłady. Pięć tysięcy funtów. St. Cere i baron Densmore.

Matt uśmiechał się chłodno patrząc na grubą księżkę, rejestr zakładów. Jego stary znajomy Adam Harcourt znacznie zyskał w jego oczach obstawiając, że dziecka nie będzie przedwcześnie.

- A co ty o tym myślisz, Strickland? - Lord Montague podszedł do Matta, sączącego właśnie dzin. Zwykle nie pił dużo i nigdy w ciągu dnia, jednak dziś potrzebował porządnej dawki mocnego płynu bardziej niż kiedykolwiek. - Znasz tę małą lepiej niż ktokolwiek z nas. Kto wygra? Densmore czy St. Cere?

Nigdy nie przepadał za Montague'em. Uważał go za zadufanego w sobie chwalipiętę, zwykłego gburę, który uwielbiał wprawiać innych w zakłopotanie.

- Przypominam panu, lordzie Montague, że dama, o której mowa, to podopieczna mojego ojca. Nie spodobałyby mu się pańskie ordynarne insynuacje. Mnie również się nie podobają.

Potężny mężczyzna zaśmiał się tylko w odpowiedzi.

- Całkiem urocze dziewczę. Niektórym z nas przyszło nawet do głowy, że sam możesz być nią zainteresowany. Ach, ale zaraz, zapomnieliśmy przecież o Caroline Winston.

Zacisnął szczękę, próbując zachować spokój. Przyszedł do Brooksa, żeby nie myśleć o Jessie, zapomnieć, jak się czuł, będąc blisko niej zeszłego wieczora. Każda minuta była dla niego torturą. W każdej sekundzie cierpiał męki zazdrości i nieodpartej żądz. Nigdy nie wyglądała bardziej pociągająco i kobieco, nigdy nie była bardziej kusząca.

Cały wieczór próbował odpędzić od siebie wspomnienia pożaru, ognistych pocałunków i jędrnych piersi pod palcami. Nie mógł pozbyć się myśli, że gdyby działał szybciej, lub gdyby Jessica trochę poczekała, teraz należałaby do niego, a nie do księcia. Pragnienie widoczne w oczach Jeremy'ego powodowało, że żołądek podchodził mu do gardła. Gdyby kolacja się nie skończyła, pewnie by oszalał.

Spojrzał surowo na Montague'a.

- Mój ojciec troszczy się o przyszłość panny Fox. Ostatnio poważnie niedomagał, dlatego chciałby, żeby się ustatkowała. Zakład wygra St. Cere.

Przypomniał sobie minę Jessie, gdy zorientowała się, że przyjechał do Londynu. Przez chwilę obawiał się, że zemdleje na jego widok. Nie cieszyła się, to było aż nazbyt jasne.

A mimo to dostrzegł w jej oczach coś dziwnego, pewną słodycz i tęsknotę. Może dlatego zrobiła uwagę o tym, że to właśnie on przekonał ją do przyjęcia oświadczyn. Złość uleciała z niego wtedy jak wiatr z rozdartego żagla.

- Choć z drugiej strony - oznajmił hrabia - może jednak wygra Densmore. Przecież dzieciak wcale nie

musi być potomkiem księcia. - Wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu. - Kobiecie musi chyba bardzo zależy na mężczyźnie, żeby wbiec po niego do płonącego budynku.

Matt nie wytrzymał. Złapał Montague'a za kłapę marynarki i uniosł go w powietrze. Drugą dłoń zacisnął w pięść, którą trzymał teraz kilka centymetrów od żyłatego, kartoflanego nosa mężczyzny.

- Niestety, panna Fox ma czasem więcej odwagi niż zdrowego rozsądku. Pewnie wbiegłaby do tego budynku nawet po tak podłą kreaturę jak ty, gdyby wiedziała, że może cię uratować. Mając to na uwadze, radziłbym zatrzymać oszczerstwa na temat damy dla siebie.

- Tak, tak, oczywiście. Proszę wybaczyć, Strickland. Nie chciałem powiedzieć nic niestosownego. Nie powinienem był mówić ani słowa.

Matt powoli puścił go na ziemię.

- Masz rację, nie powinieneś być.

Zdając sobie sprawę z ciszy, jaka zapadła w pomieszczeniu i z wpatrzonych w niego ciekawskich spojrzeń grupy mężczyzn, Matt wypił do końca dżin, postawił pustą szklankę na pobliskim stole i skierował się do wyjścia.

Na ulicy przystanął na chwilę, by wziąć głęboki, uspokajający oddech. Przeszedł jeszcze całą przecznicę, zanim zatrzymał powóz. Mimo to gniew nie opadł z niego przez całą drogę do domu.

Złość i ogromny ból w piersi, którym towarzyszyło ciche postanowienie, że nie weźmie udziału w ślubie Jessie.

Istnieją rzeczy, które mężczyzna jest w stanie znieść, i inne, których nie jest. Patrzenie jak Jessie bierze ślub z księciem, wyobrażanie sobie jej w łóżu Milтона, było nawet gorsze niż wcześniej przypusz-

czał. Wolał już raczej zmierzyć się sam z całą flotą francuską.

Z takim zamiarem posłał na górę lokaja, by poprosił o rozmowę z ojcem. Było jeszcze dość wcześnie, choć na niebie pojawił się już srebrny księżyc, a purpurowy zmierzch zaczął powoli opadać nad horyzontem. Lokaj powiedział mu, że Jessie jadła kolację w swoim pokoju, ale ojciec wciąż był na nogach. Powrócił z wiadomością, że markiz chętnie wypije z nim kieliszek brandy w swoim gabinecie.

Matthew bardzo odpowiadał ten pomysł. Choć nie był jeszcze pijany, po zakończeniu rozmowy planował upić się do nieprzytomności. Wynajmie najpiękniejszą ladacznicę w mieście - z długimi blond włosami i mlecznobiałymi piersiami. Posiadzie ją ostro, będzie rozpałał się między jej bladymi udami dopóki ten piekielny ślub nie dobiegnie końca. Wtedy powróci na statek i będzie się cieszył, że nigdy oficjalnie nie składał rezygnacji ze służby.

Stojąc przy kredensie, odetkał właśnie szklaną karafkę z brandy, gdy do gabinetu wszedł ojciec.

- Matthew, chłopcze. Myślałem, że wyszedłeś na wieczór.

- Jeszcze nie, choć taki mam zamiar. Brandy?

- Chętnie, chociaż pewnie nie powinienem tak dużo pić, skoro jutro wielki dzień. - Wziął od Matthew pełny kieliszek. - Może ty też powinieneś dziś zostać w domu i porządnie się wyspać przed ślubem?

Matt zacisnął mocno rękę wokół kieliszka.

- Obawiam się, że o tym właśnie chciałbym porozmawiać.

Markiz wziął łyk płynu.

- No więc słucham.

- Postanowiłem, że nie pójdę na ślub.

- Nie wygłupiaj się. Oczywiście, że pójdziesz.

- Nie, ojcze, nie pójdę. Jessica bierze ślub z Jeremym, a nie ze mną. W mojej obecności, czy beze mnie, zostanie księżną Milton. Nie jestem potrzebny, by oglądać ją przy ołtarzu, a już tym bardziej, gdy księżę weźmie ją do łóżka. - Przechylił kieliszek, upił duży łyk brandy i poczuł kojące palenie w gardle. - Chciałem tylko, żebyś wiedział, że mnie tam nie będzie.

Ojciec odstawił kieliszek z takim impetem, że odrobina brandy wylała się na stół, a dźwięk uderzanego o blat szkła rozniósł się głośnym echem po całym gabinecie.

- Powiem to tylko raz. Pójdiesz na ślub tej uroczej dziewczyny. Jesteś dziedzicem Belmore, a ona jest moją podopieczną. Wstępuje do jednej z najbardziej wpływowych rodzin w Anglii. Będziesz świadkiem tego zdarzenia. Nie mam zamiaru dłużej na ten temat dyskutować.

Coś ścisnęło go w środku. Oczyma wyobraźni widział księcia, jak schyla się, by ją pocałować, jak pojmuje ją za żonę i bierze w ramiona.

- Proszę cię, byś wytłumaczył jakoś moją nieobecność. Nigdy nie prosiłem cię o wiele, ojcze. Dziś proszę cię o to.

Pochmurne, wnikliwe spojrzenie markiza spoczęło na twarzy syna.

- Dlaczego? Dlaczego to dla ciebie takie trudne?

Matt nie odpowiedział. Sącył w milczeniu drinka. Po chwili nabrał ciężko powietrza w płuca.

- Przepraszam, ojcze - powiedział miękko. - Nie chcę sprawić ci zawodu, ale nie zjawię się na tym ślubie. Przekaż Jessice ode mnie najszczerze życzenia i, oczywiście, pogratuluj księciu moim imieniu.

Odstawił kieliszek na kredens i skierował się do wyjścia. Zza pleców dobiegł go głos ojca.

- Do diabła, chłopcze! Nie chciałem, żeby sprawy tak się potoczyły.

Matt nie zwolnił kroku.

- A niech to diabli! Jeśli tak ci zależy, pójdz po rozum do głowy i zrób coś z tym!

Matt się nie zatrzymał. Na to było już za późno. Za późno od momentu, gdy pozostawił ją w Belmore. Być może, było za późno od samego początku.

Wziął kapelusz i rękawiczki od kamerdynera i wyszedł na werandę, w sam środek chłodnej londyńskiej nocy.

* * *

Jessie wpatrywała się w stojącą przy łóżku tacę z nietkniętym jedzeniem. Sos zastygł już na kotlecie z baraniny, na cynaderkach zrobiła się skorupa i nawet budyń śliwkowy wyglądał dość mało apetycznie. Myśl o najmniejszym choćby kęsie sprawiała, że żołądek podchodził jej do gardła.

Odwrociła wzrok od przyprawiającego o nudności widoku i podeszła do okna. Poniżej, na ulicy, dostrzegła strażnika miejskiego. Jego smukła sylwetka odznaczała się wyraźnie w przyćmionym świetle latarni ulicznej. Obok przejechał elegancki powóz, pewnie w drodze na jakiś wytworny bal.

Nieświadomie dotknęła pierścionka zaręczynowego z karneolem, symbolem marca, miesiąca urodzenia księcia. Był to wspaniały klejnot, odzwierciedlający cały przepych, do jakiego upoważniał tytuł księżnej. Z niepokojem myślała o rządzącym się ścisłymi zasadami życiu, które czeka ją w przyszłości. Nie dawała jej spokoju myśl, że to, co robi, może być nie w porządku w stosunku do księcia.

Z drugiej jednak strony papa Reggie powiedział, że większość małżeństw jest planowana przez rodziców. Jeremy wybrał ją, a ona miała zamiar być dla niego jak najlepszą żoną.

Jessie odeszła od okna i usiadła na łóżku. Chciała zasnąć, ale nawet kieliszek sherry, którą wypija, nie zdołała uspokoić jej skołatanych nerwów. Czuła pulsowanie w głowie, a ręce trzęsły jej się tak, że musiała zacisnąć je w pięści.

Jutro będzie już mężatką. Ceremonia rozpocznie się o dziesiątej. Po niej nastąpi uroczyste, weselne śniadanie, które skończy się pewnie dopiero po południu. Zaproszono siedmiuset gości, całą śmietankę londyńskiego towarzystwa. O dziwo, wszystko było już przygotowane.

Powinna teraz skakać z radości, chodzić z głową w chmurach, upojona swym szczęściem. Tymczasem czuła ogromne przygnębienie. Serce rozrywało jej się z żalu.

Och, Matthew, dlaczego nie mogłeś mnie pokochać? Oczywiście, to nie była jego wina. Miłość jest kapryśna. Nie mogła zmusić Matta, by ją pokochał, tak jak nie mogła przestać kochać jego.

Owinęła się mocniej szlafrokiem i zwinęła się w kłębek. Łzy zatykały jej gardło i piekły pod powiekami.

Zacisnęła zęby i próbowała nie płakać. Nie miała przecież powodu do łez.

Żadnego.

Bierze ślub ze wspaniałym młodym człowiekiem, który będzie ją dobrze traktował i da jej rodzinę, którą zawsze chciała mieć. Z mężczyzną, który zasługuje na dobrą, lojalną żonę. Poprzysięgła sobie, że nią będzie. Zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby uszczęśliwić Jeremy'ego Cordingtona.

Miała tylko nadzieję, że robiąc to zapomni o Matthew Seatonie i znajdzie trochę własnego szczęścia.

* * *

Wybiła dwunasta, gdy Matthew przestępował próg „Kogucika i Kurki”, słynnego burdelu na Sloane Street, do którego zwykł kiedyś chadzać dość często. Pił już od wielu godzin, w „Królewskiej Podwiązce” przy Chancery Lane, w „Białej Gołębiczy” i w kilku innych obskurnych barach przy Drury Lane.

Przyszedł do „Koguta i Kurki” ponieważ znał Sophie Stephens, właścicielkę, a biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajdował, uznał, że jeśli szybko nie znajdzie jakiegoś łóżka, skończy pobity i okradziony w ciemnym zaułku.

Poza tym chciał kupić sobie jakąś małą ślicznotkę i spędzić pozostałą część nocy w jej towarzystwie.

Przeszedł obok wyrosniętego strażnika, czuwającego przy potężnych drzwiach wejściowych i wszedł do zadymionego wnętrza. Po jednej stronie sali stały w połowie puste stoły do gry, gdzie mężczyźni grywali w wista, faraona lub robili zakłady. Obstawiali wyniki loterii albo po prostu siedzieli i popijali. Pozostali klienci flirtowali z paniami lub tarzali się w ramionach nagich ladacznic na piętrze.

Właśnie to chciał zrobić też Matthew. Albo tak sobie tylko powtarzał. Na razie wszystko, co zdołał zrobić, ograniczało się do picia.

Skierował się w stronę baru, potracając po drodze jakieś krzesło. Zauważył rudą głowę Sophie. Uśmiechnął się do niej krzywo, gdy do niego podeszła, kręcąc zmysłowo biodrami.

- Proszę, proszę, kogo my tu mamy. - Zlustrowała go od góry do dołu. Jej uwagi nie uszedł jego za-

niedbany wygląd: rozpięty płaszcz, krzywo ześlizgujący się mu z ramion, i odpięty kołnierz, zwisający luzem z szyi.

- Dawno już nas pan nie odwiedzał, milordzie. Witamy ponownie.

- Dziękuję, Sophie.

- Czego się napijesz, kochanieńki?

- Dżinu. I to migiem. Planuję się dziś porządnie upić.

- Jak sobie życzysz, kochanieńki. Sophie się wszystkim zajmie.

Obserwował, jak się oddala. Usiadł przy jednym ze stołów i zaczął przyglądać się pozostałym osobom na sali. Pod sufitem unosiły się kłęby dymu z cygar, mieszając się z nikłą, piżmową wonią seksu. Ponieważ był pijany, trochę więcej czasu niż powinno zajęło mu odkrycie, że w jego stronę kieruje się jakiś mężczyzna ze skąpo odzianą brunetką uczepioną ramienia.

Jeszcze więcej czasu zajęło mu rozpoznanie w tym mężczyźnie St. Cere'a, zwłaszcza że wicehrabia nie miał na sobie fraka, jego włosy były w nieładzie, a rozpięta koszula odsłaniała nagi tors. Był równie wstawiony jak Matt, tylko że zdawał się nieco szczęśliwszy z tego powodu.

Matt z trudem uniósł się na nogi i uściśnął rękę przyjaciela.

- Zapomniałem, że to jedno z twoich ulubionych miejsc. Dobrze cię widzieć, Adamie.

Wicehrabia uniósł ciemną brew.

- Ja też się cieszę, że cię widzę. Obawiałem się, że mój niewinny występki podczas twojego ostatniego pobytu w Londynie mógł kosztować mnie przyjaciela.

Matt uśmiechnął się krzywo w odpowiedzi.

- Nie mam ich zbyt wielu. Cenię tych nielicznych, którzy mi zostali.

Przebywał poza domem tak długo, że jego najbliższymi przyjaciółmi stali się teraz oficerowie, z którymi służył w marynarce, nie licząc St. Cere'a i kilku innych mężczyzn, których znał jeszcze z Oksfordu.

- To nie powinno się tak skończyć - rzekł wicehrabia, mając na myśli ich zagrożoną przyjaźń. - Nie wolno dopuścić do tego, by jakaś kobieta stanęła między dwoma mężczyznami. - Uśmiechnął się szeroko, ukazując śnieżnobiałe zęby. - Ale ta... twoja panna Fox... Rozumiem, dlaczego mogło się tak stać.

Matt odstawił pusty kieliszek, marząc w duchu, by Sophie pospieszyła się trochę z kolejnymi drinkami.

- Byłem świadkiem twojego zakładu. Pięć tysięcy funtów w obronie honoru Jessie. Mam nadzieję, że Densmore dostanie nauczkę.

- Jaką nauczkę?

Matt uśmiechnął się blade.

- Żeby więcej się z tobą nie zakładać... zwłaszcza jeśli zakład dotyczy kobiety.

Adam zaśmiał się miękko.

- Zastanawia mnie jednak, czemu jesteś tak pewny wygranej - ciągnął Matthew.

St. Cere wykrzywił usta.

- Chyba z twojego powodu. Zauważyłem, jak walecznie stanąłeś w jej obronie. Nigdy wcześniej cię takim nie widziałem. Wiedziałem, że ty byś jej nie tknął, skoro jest podopieczną twojego ojca, a z tobą w pobliżu nie miałyby szansy na jakiegokolwiek złe prowadzenie się.

Matt prawie się uśmiechnął.

- No i nie wolno zapominać o samej damie. Jest w niej coś takiego... To kobieta, która wie, czego chce. Nie da się nikomu wykorzystać.

W tym momencie podeszła do nich prawie naga blondynka. Jej czerwone, stwardniałe sutki wystawały ponad ciasno zaciśniętym gorsetem.

- Przyniosłam coś, co zaspokoi wasze pragnienie, panowie.

Postawiła na stole butelkę dżinu i kilka mokrych jeszcze kieliszków, a potem przylgnęła całym ciałem do piersi Matta.

- Mam na imię Hanna - rzekła. - Co powiesz na to, żebyśmy wzięli butelkę i poszli na górę?

Była dokładnie tym, czego teraz pragnął. Zmysłowa prostytutka, z którą mógłby przeczekać cały ten koszmar ślubu Jessie.

- Może później. Teraz jestem zajęty upijaniem się.

Wicehrabia leniwie ścisnął pierś dziewczyny uwieszanej na jego ramieniu.

- O ile sobie przypominam, nigdy nie piłeś za dużo. Czyżby to za sprawą ślubu panny Fox?

Matthew jednym zamaszystym ruchem włożył sobie do gardła zawartość kieliszka i podniósł butelkę, by ponownie go napełnić.

- Chcesz się przyłączyć?

- Czemu nie? - odparł wicehrabia.

Usiedli. St. Cere posadził sobie brunetkę na kolanach. Chichotała, gdy od niechcienia pieścił ją po brzuchu.

Matt odchylił się na krześle, badając uważnie zawartość kieliszka. Kręciło mu się w głowie, wszystko rozmazywało mu się przed oczami. Śmiech przy stołach do gry zdawał się docierać do niego i odchodzić falami.

- A niech to diabli - wymamrotał. - Sam planowałem ją poślubić. Napisałem do niej list, ale nie zdążyłem go wysłać na czas. - Czuł jak zalewa go fala gorzkości. - Mogła poczekać, ale, oczywiście, tego nie

zrobiła. Bo niby dlaczego? Skoro nadarzała się okazja, by poślubić księcia.

Adam wzruszył ramionami.

- Jesteś hrabią i dziedzicem Belmore. Całkiem niezła partia dla dziewczyny z prowincji. Z tego co słyszałem, to twój ojciec naciskał na ten ślub. Milton był na miejscu. Ty nie. A powiedziałeś jej w ogóle, że ją chcesz?

Matt wychylił kolejną porcję dżinu jednym haustem i ponownie napełnił kieliszek.

- Wiedziała, że jej chcę. Nie wiedziała tylko, że myślę o małżeństwie.

- A to cholerna różnica, mój drogi. - Uśmiechnął się do czarnowłosej prostytutki. - Na przykład Janie wie, że jej chcę. Wie, że do rana posiadę ją na wszystkie możliwe sposoby. Ale wcale nie mam zamiaru jej poślubić. Jak zresztą żadnej innej kobiety.

Matt podparł łokcie na stole i przecesał palcami włosy.

- Teraz nie ma to już znaczenia. Jessie należy do Milтона. Jutro to on będzie mężczyzną w jej łóżku.

Adam napełnił ponownie puste kieliszki.

- Jak bardzo jej pragniesz?

Matt wpatrywał się przed siebie, zaciskając stanowczo usta.

- Bardziej niż cegokolwiek na świecie.

Adam z brzękiem odstawił kieliszek.

- Do diabła, Strickland.

- No właśnie.

- I co teraz zrobisz?

- Niczego nie mogę zrobić. Jutro w południe Jessica będzie już żoną księcia i nic już tego nie zmieni.

St. Cere potrząsnął głową, aż zakołysały się gęste czarne loki nad jego czołem.

- Nigdy jeszcze nie było kobiety, której bym pragnął i nie mógł jej mieć. Gdyby taka istniała, sam nie wiem, co bym zrobił.

Brunetka zaczęła wić się na jego kolanach.

- Chcesz mnie, prawda, kochanieńki? Może pójdziemy na górę i pokażesz mi jak bardzo? - Zatrzepotała uwodzicielsko rękami, ale zamiast wstać, St. Cerę klepnął ją z całej siły w pośladek.

- Siedź spokojnie - rozkazał. - Powiem ci, kiedy będę chciał iść na górę.

Dziewczyna nadaśana, wydeła usta, ale jej oczy błyszczały z podniecenia.

Matt nalał sobie kolejną porcję dżinu.

- Chciałbym móc cofnąć czas, ale to niemożliwe. Teraz mam zamiar się upić i zabrać tę cycatą blondynkę na piętro. Nie zejść, dopóki Jessie Fox nie będzie mężatką i nie zniknie z mojego życia raz na zawsze.

- No to zdrówko - rzekł Adam, unosząc w toaście kieliszek dżinu. - Zresztą żona to tylko kula u nogi. Kiedyś już tego próbowałem i mówię ci, że od momentu zaślubin człowiek nie ma ani chwili spokoju. - Wychylił napój jednym haustem i zaczął obracać pusty kieliszek w dłoni, przyglądając się ostatniej kropli płynu na dnie. - Choć z drugiej strony, Milton to jeszcze szczeniak... nie ma zielonego pojęcia, czego tak naprawdę chce w życiu. Takiej kobiecie, jak twoja Jessie, potrzeba prawdziwego mężczyzny.

Matthew nie odrzekł ani słowa. Zaschło mu w ustach, czuł się otumaniony, a mimo to wciąż był zbyt trzeźwy. Pomyślał o Jessie i Miltonie i coś ścisnęło go w gardle. Jessie należała do niego - do niego, a nie do Milтона. Wiedział o tym, podobnie zresztą jak ona.

Ale było już za późno. Za późno dla nich obojga. Napełnił po raz kolejny kieliszek.

Rozdział 13



Katedra Świętego Jakuba, wysoki barokowy budynek w Ludgate Hill, została zaprojektowana przez Christophera Wrena w dzielnicy gotyckiej, zniszczonej w wielkim pożarze 1666 roku. Jej smukła iglica górowała nad horyzontem.

Tego szarego, mglistego poranka zebrała się tu cała śmietanka towarzyska, by uczestniczyć w ceremonii zaślubin jednego z nich, przystojnego księcia Milton z jego niewiarygodnie piękną, jasnowłosą narzeczoną, podopieczną markiza Belmore, Jessicą Fox.

To ślub stulecia, mówiono, może nie największy, ale z pewnością najszerzej dyskutowany. Tylko nieliczni mogli sobie wyobrazić, jak takie ogromne przedsięwzięcie można było zorganizować w tak krótkim czasie. I dlaczego. Krążyły różne plotki na temat przyczyn takiego pośpiechu, ale książę i markiz mieli ogromne wpływy. W tłumie przelewającym się przez główne wejście katedry słychać było jedynie pomruk gratulacji i najlepszych życzeń.

Jeszcze przed przybyciem Jessie kościół był pełen ludzi gotowych do uczestniczenia w wielkim wydarzeniu. Już tylko nieliczni spóźnialscy przemykali

w pośpiechu do środka i po cichu zajmowali ostatnie wolne miejsca.

Jessie siedziała naprzeciwko papy Reggiego przed katedrą, w powozie Belmore, przystrojonym błękitno-srebrnymi girlandami, zaprzęgniętym w cztery siwe konie. Lady Bainbridge poszła przodem, by dokonać ostatnich przygotowań. Violi również już nie było. Poszła zająć miejsce w rzędzie zarezerwowanym dla najbliższej służby rodziny.

Jessie wyglądała z napięciem przez okno. Papa Reggie uściśnął jej rękę w pocieszającym geście.

- Jesteś najpiękniejszą panną młodą na świecie. Jestem z Ciebie dumny.

Jessie spojrzała na markiza i łzy zakręciły jej się w oczach. Czuła, jak palają pod powiekami i starała się za wszelką cenę je powstrzymać. Obiecała sobie, że łzy wylane zeszłej nocy będą ostatnimi, na które sobie pozwoli.

- Dziękuję, papo Reggie. - Uśmiechnęła się ciepło do staruszka. - Nawet nie wiesz, jak bardzo doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Zawsze byłeś dla mnie jak ojciec i chcę, żebyś wiedział, jak bardzo cię kocham.

Markiz chrząknął niewyraźnie i jego oczy również zasłzy mgłą.

- Jesteś wyjątkowa, moja droga. Wniosłaś radość do mojego pustego życia, napełniłaś moją duszę młodzieńczą świeżością. Nigdy ci tego nie zapomnę, moja droga, kochana Jessico. - Przechylił się i pocałował ją w policzek. Zauważyła, że drżą mu ręce. - Książę Milton jest najszczęśliwszym mężczyzną w Anglii.

Przełknęła z trudem ból minionej nocy. Przecież jej życie tak bardzo się zmieniło. Myślała o szczęśliwych chwilach spędzonych w Belmore, o wszystkich

urodzinach i świętach, o drogocennych klejnotach i wspaniałych sukniach... o tym, jak wspaniale się czuła, zakładając je dla Matthew. Przez moment oczami wyobraźni ujrzała jego ukochaną twarz o surowych rysach i niesamowite niebieskie oczy.

- Czas, żebyśmy weszli do środka - powiedział markiz łagodnie. - Jesteś gotowa?

Jessie wyjrzała przez małe okienko za tylnym siedzeniem i zerknęła na drogę, szukając wzrokiem Matthew.

- Naprawdę nie przyjdzie?

Papa Reggie dopiero dziś rano powiedział jej, że go nie będzie.

- Nie, kochanie. Nie przyjedzie. Ale może tak będzie lepiej.

Częściowo zgadzała się z tym. Hrabia Strickland był ostatnią osobą, której potrzebowała na własnym ślubie. Jednak czuła też żal, że nie będzie go tu, by ją wspierać. Dlaczego? Zadawała sobie pytanie. Czy był zły? Zawiedziony? Rozgoryczony? A może jednak coś do niej czuł?

Nabrała głęboko powietrza.

- Gwen i pozostali będą na mnie czekać. Masz rację, chyba już najwyższy czas, żebyśmy do nich dołączyli.

Lady Bainbridge oraz druhny, Gwen Lockhard i dwie kuzynki Jeremy'ego, jej rówieśniczki, które niedawno poznała.

Skinął potakująco głową.

- Idziemy?

Przyjęła jego ramię i pozwoliła mu pomóc sobie wyjść z powozu, a następnie rozprostowała długi, srebrny tren upewniając się, że każda jedwabna różyczka spoczywa na swoim miejscu i nie odczepiła się od gładkiego białego tiulu. Jej głowę zdobiła koro-

na z białych satynowych różyczek, a tiulowy welon opadał na tren, prawie dotykając ziemi.

Ruszyli po specjalnie przygotowanym czerwonym dywanie, przekroczyli próg ogromnych drzwi wejściowych, minęli stojących w rzędzie lokajów w liberiach. Dwóch wysokich jasnowłosych mężczyzn, tak dobranych, że wyglądali prawie jak bliźniacy, otworzyło przed nimi wrota do przedsionka, gdzie Gwen, dwie pozostałe druhny i lady Bainbridge czekały nerwowo na ich przyjście.

- Och, Jessie, wyglądasz wspaniale! - zawołała przyjaciółka i uściśnęła ją mocno. - Księżę będzie cały czas płonął z pożądania, dopóki nie weźmie cię do łóżka.

Na policzki Jessie wstąpił delikatny rumieniec. Uśmiechnęła się delikatnie. Ach, ta Gwen!

- Ty też wyglądasz uroczo. Tak się cieszę, że jesteś przy mnie. Bez ciebie chyba nie dałabym rady.

Druhny miały na sobie niebieskie jedwabne suknie ze skromnym dekoltem, wykończone takimi samymi srebrnymi nićmi, jak jej własna kreacja. Kuzynki Jeremy'ego złożyły jej najlepsze życzenia, wychwalając jej suknię i włosy. Dopiero lady Bainbridge zamknęła im usta.

- Czas zaczynać - oznajmiła hrabina. - W środku stoi pewien zdenerwowany młody człowiek, który pragnie ujrzeć swoją pannę młodą. Chyba czekał już wystarczająco długo.

Potem wszystko zdawało się następować po sobie albo tak szybko, że nie mogła tego ogarnąć, albo tak wolno, że każda sekunda dłużyła się w nieskończoność.

Kolejni lokaje otworzyli przed nią główne drzwi do katedry. W rytm podniosłej muzyki organowej dziewczęta rozpoczęły długi pochód wzdłuż nawy

głównej. Ponad ich głowami wisały ogromne żyrandole, a na ścianach migotały srebrne kandelabry.

W powietrzu unosiła się woń kwiatów. Lilie, pomyślała Jessie ustawiając się obok papy Reggiego przy wejściu. Wtedy zauważyła kwiaty ustawione przy ołtarzu w wysokich, srebrnych wazonach. Delikatne żółte światło świec rzucało cienie na ludzi stłoczonych w długich, drewnianych ławach.

Kątem oka Jessie dostrzegła kilka znajomych twarzy: lorda Pickeringa, księcia Chester z żoną, lady Dartmoor siedzącą obok lorda i lady Waring, hrabinę Fielding i barona Densmore. Byli też inni, których znała, ale ledwie mignęli jej w przelocie. Nie licząc Caroline Winston, której uśmiech, jak zdawało się Jessie, wyrażał wielką ulgę.

Następnym, co zobaczyła, była jasnowłosa głowa pana młodego. Nie mogła przypomnieć sobie, kiedy złapał ją za rękę. W jednej chwili stała obok papy Reggiego, a już w następnej - w cieniu księcia.

Msza była długa i nużąca. Nie pamiętała niczego, co zostało powiedziane, a jedynie to, że kilka razy klęknęła, i że smukły mężczyzna obok pomagał jej się podnieść. Chór śpiewał wspaniałe pieśni po łacinie. Ceremonię odprawiał arcybiskup. Wysoki, chudy, robiący wrażenie mężczyzna odziany w mieniącą się złotem sutannę. Przemawiał do nich teraz mocnym, niskim głosem.

- Małżeństwo to zaszczytny, święty stan - rzekł - ustanowiony przez Boga, zatwierdzony i uznany przez obecność Chrystusa na weselu w Kanie Galilejskiej oraz przyrównany przez Świętego Piotra do mistycznego związku, który istnieje między Jezusem Chrystusem i Jego Kościołem.

Próbowała zrozumieć dalszy ciąg, ale nie mogła się skoncentrować. Było jej słabo, a zapach wosku

i słodka woń kwiatów przyprawiły ją o mdłości. Serce ledwo biło jej w piersi. Miała problemy ze skupieniem się na kazaniu, z trudem nabierała powietrze w płuca.

- Te oto dwie osoby - ciągnął arcybiskup - pragną połączyć się teraz w świętym związku. Dlatego też, jeśli ktoś zna powód, dla którego małżeństwo nie może być zawarte, niech powie to teraz lub zamilknie na zawsze.

Przez długą, pełną napięcia chwilę wstrzymała oddech, w duchu modląc się o ratunek, ale nie zjawiał się żaden rycerz na białym rumaku, by ją ocalić. Mrugnęła i moment minął. Pulsowały jej skronie, szum w uszach zagłuszał nudną przemowę arcybiskupa.

- Módlmy się - rzekł i Jessie pochyliła głowę.

Serce waliło jej teraz jak oszalałe, w dziwnym, nieregularnym rytmie. Palce trzęsły się jej w dłoni młodego księcia. Gdy na niego spojrzała, na jego twarzy zobaczyła dobrze znany już sobie wyraz zadowolenia. Wyglądał jak chłopiec, który zaraz ma dostać nową zabawkę. Zaschło jej w ustach. Miała ochotę uciec z kościoła i wrócić do Belmore.

- Panie - ciągnął arcybiskup - spójrz na te dzieci. Poprowadź i pobłogosław je, ześlij im...

Odgłos masywnych drewnianych drzwi otwierających się z hukiem sprawił, że arcybiskup urwał w pół zdania. Przez ból głowy i ucisk w piersi Jessie potrzebowała trochę czasu, żeby się zorientować, że coś zakłóciło ceremonię. Duchowny spoglądał w stronę wejścia z szeroko rozdziawionymi ustami i z oczami wybałuszonymi ze zdziwienia. Jessie odwróciła się, podobnie jak księżę, i dostrzegła stojącego w drzwiach hrabiego Strickland. Na jego twarzy malowała się zawziętość i determinacja.

Serce waliło Jessie boleśnie, poczuła ucisk w żołądku.

- Matthew... - wyszeptała.

Oczywiście, nie mógł jej słyszeć przez głośny pomruk, który podniósł się wśród zebranych i przez odgłos własnych kroków, gdy ruszył w stronę ołtarza, unoszący się echem pod samą kopułę katedry. Zdażyła zauważyć, że włosy ma w nieładzie i idzie dość chwiejnym krokiem, zataczając się nieco na boki.

- Dobry Boże... - Jessie patrzyła na jego rozchyloną marynarkę, zapiętą krzywo tylko w kilku miejscach, odczepiony kołnierz zwisający luzem z płaszcza, odpięte mankiety koszuli wystające z rękawów marynarki oraz zabłocone buty. Biała lniana koszula odsłaniała kawałek muskularnego torsu.

- A niech mnie - rzekł księżę, lekko podenerwowany. - Do cholery, co ten gość wyprawia?

Jessie nie odpowiedziała. Wpatrywała się jedynie w Matthew z przerażeniem, rozjaśnionym zakazanym promyczkiem nadziei. Arcybiskup wyglądał tak, jakby miał zaraz dostać apopleksji. Przez tłum przeszedł pomruk niedowierzania i oburzenia.

Hrabia kontynuował niepewny marsz wzdłuż nawy głównej i zatrzymał się dopiero przy ołtarzu.

- M... Matthew? - wyszeptała Jessie znowu, wpatrując się w jego ciemnoniebieskie oczy.

Wyszczerzył zęby w pijackim uśmiechu.

- Moja - wymamrotał i zachwiał się tak, że obawiała się, że zaraz upadnie. Matthew nie upadł jednak. Pochylił się do przodu, objął ją wpół i przerzucił sobie przez ramię, obejmując rękami białą suknię ślubną i długi niebiesko-srebrny tren.

Księżę zaczął bełkotać.

- Na litość boską, człowieku, czyś ty kompletnie oszalał? Nie możesz...

Matthew uderzył go prosto w szczękę i książkę opadł bezwładnie na posadzkę. Jessie zachłysnęła się ze zdumienia, podobnie jak cały tłum zebranych, którzy powstali teraz z ław. Matthew po prostu ich ignorował. Był zajęty odplątywaniem trenu, który owinął mu się między nogami, i ratowaniem ich obojga przed upadkiem. W końcu zdołał się uwolnić i nie zwracając uwagi na okrzyki oburzenia pod jego adresem, rozpoczął marsz w stronę wyjścia.

Przez cały ten czas Jessie zwiślała po prostu z ramienia Matta. Sytuacja, w jakiej się znalazła, była tak szokująca i niespodziewana, że zupełnie nie wiedziała, jak się zachować. Serce dudniło jej jak oszalałe, ale w głowie miała zupełną pustkę. Nie robiła więc nic. Wisiała na nim jak worek kartofli, pozwalając, by jego jedna dłoń zaciskała się na jej pośladkach, a druga na udach. Wokół zapanowało nerwowe poruszenie, ludzie krzyczeli, ale nikt nie próbował ich powstrzymać.

Płoneży jej policzki. Ze swojej pozycji do góry nogami dostrzegła przerażenie na twarzy Caroline Winston oraz bladą jak ściana lady Bainbridge. Ku jej największemu zdziwieniu stojący obok niej papa Reggie uśmiechał się radośnie od ucha do ucha.

Poczuła, jak przechodzi ją ciepła fala, a zdenerwowanie powoli uchodzi z jej ciała. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że rycerz na białym rumaku jednak przybył i choć był nieco wstawiony, poczuła nagłą ulgę. Papa Reggie się uśmiechał, chciał tego od samego początku. Jeśli pójdzie z Matthew, nie zawiedzie go.

Uczucie ulgi narastało mieszając się z kietkującą nadzieją. Żeby tylko nie upadł, zanim dotrą do wyjścia.

Matthew chwiejnym krokiem przestąpił przez drzwi, które powoli zamknęły się za nimi. Niestety,

robiąc to przycięły jej tren i kawałek welonu. Następny krok Matta spowodował, że piękny tren rozdarł się na pół, a srebrzysty welon spadł jej z głowy i zawisł na drzwiach. Złote loki Jessie opadły luźno w dół. Tym razem Matthew się nie zatrzymał.

Przystanął dopiero na ulicy, żeby odszukać wzrokiem powóz Belmore. Następnie minął osłupiałego ze zdziwienia lokaja, powiedział coś stangretowi, otworzył drzwi do powozu i wniósł do niego Jessie, upychając za nią to, co pozostało z trenu.

Po chwili sam zaczął się wspinać, ale nie trafił nogą na schodek i upadł z hukiem na podłogę powozu. Stękając podniósł się na nogi i dał sygnał stangretowi, by ruszali. Pojazd zaczął powoli toczyć się po drodze. Jessie zauważyła, że ledwie mógł usiedzieć prosto na siedzeniu. Był bardziej pijany, niż początkowo myślała.

Mimo to poczuła delikatny dreszcz, gdy wciągnął ją sobie na kolana. Gdy ścisnął jej twarz między palcami i złożył na jej ustach delikatny, głęboki pocałunek, zupełnie nie przeszkadzała jej woń alkoholu bijąca mu z ust i zapach tytoniu, którym przesiąkło jego ubranie. Objęła go mocno za szyję i odpowiedziała na pocałunek równie długo i namiętnie.

Przepełniało ją szczęście. Cokolwiek by się teraz stało, Matthew po nią przyjechał, i to było najważniejsze. Jessie wiedziała, że nie istnieje żadne inne miejsce na świecie, gdzie wolałaby teraz być.

* * *

Oczywiście, wcale nie była już tego taka pewna, gdy kilka godzin później dojechali do małego zajazdu na południe od Londynu. Matthew od czasu do czasu zapadał w sen. Właściwie to stracił przy-

tomność z przepicia, ale ocknął się, gdy dotarli do zajazdu, który najwyraźniej obrał sobie za cel.

- Poczekaj tu - zachrypiał. - Zaraz wracam.

Jego krok wciąż jeszcze był nieco chwiejny, a ubranie i włosy w nieładzie.

Patrzyła, jak zatacza się przestępując próg zajazdu i po raz pierwszy od opuszczenia kościoła poczuła się nieswojo. Matthew jej pragnął. Powiedział jej to nieraz. Zeszłej nocy upił się, a dziś wtargnął na jej ślub i wziął, czego chciał. Co teraz zamierza zrobić?

Nerwowo gryzła wargę, dopóki nie zjawił się znowu, a potem wyszła z powozu i ruszyła w ślad za nim do hotelu. Ludzie oglądali się za nimi ze zdziwieniem. Tworzyli dość dziwną parę - Matt w swoim pogniecionym, niedopiętym ubraniu, a Jessie w podartej sukni ślubnej i z rozczochranymi włosami, opadającymi w nieładzie na ramiona.

Przynajmniej w pokoju mogli liczyć na nieco prywatności. Koniec z potępiającymi spojrzeniami. Czekąca, aż zamknie drzwi i spojrzała mu w oczy. Znowu trzęsła się ze zdenerwowania.

- No dobrze, Matthew. Przywiozłeś mnie tu i co chcesz teraz zrobić?

Matt uśmiechnął się szelmowsko.

- To, co chciałem zrobić od momentu, gdy ujrzałem cię w kałuży pełnej błota u moich stóp. - Przysunął się bliżej ze złowieszczym błyskiem w oku. Śmierdział dżinem i cygarami.

Przyszedł po nią, uratował ją przed małżeństwem z księciem. Gdyby był choć trochę bardziej trzeźwy, może pozwoliłaby, żeby ją posiadł. Ona też tego chciała. Oboje pragnęli tego od bardzo dawna. Mimo to, gdy zacisnął wokół niej ramiona i przyciągnął do siebie, Jessie złapała pusty dzban, stojący na toa-

letce. Gdy przyciągnął jej wargi do swoich i zaczął ją namiętnie całować, lekko drżącą ręką uniosła naczynie nad jego głowę.

Zawahała się, czując na sobie dotyk jego miękkich warg. Były takie ciepłe i delikatne, że po plecach przeszły jej tysiące gorących iskier. Dzban zadrżał jej w ręce. Nie chciała zrobić mu krzywdy. Przecież go kochała. Przyszedł po nią, nieważne dlaczego, i za to kochała go jeszcze bardziej.

Położył rękę na jej talii, wsunął delikatnie kolano między jej nogi, popchnął ją do tyłu tak, że opadła na łóżko. Sam powalił się na nią, przygniatając ją swoim ciałem. Mimo że pod jego ciężarem powietrze prawie całkiem odpłynęło jej z płuc, nie wypuściła dzbana. Jego muskularny tors miażdżył jej pierś tak bardzo, że z trudem mogła oddychać. Twarz zanurzył w jej szyi, którą pokrywał delikatnymi, ciepłymi pocałunkami. Wielką dłońią gniótł jej pierś i czuła, jak pod sukienką twardnieje jej sutek.

- Niech cię szlag, Matthew Seaton. - Odepchnęła go z całej siły, ale ani drgnął. Ani o centymetr. - Nie pozwolę ci na to. Nie kiedy jesteś pijany.

Popchnęła go znowu, bez rezultatu, i wtedy odkryła, że mimo jego ciężaru podoba jej się to uczucie, ciepło jego oddechu na skórze, muskularne udo między jej nogami, coś twardego uciskającego jej brzuch.

- Matthew... - szepnęła, przeczesując palcami jej włosy. W odpowiedzi usłyszała ciche pochrapywanie. Zesztywniała. Wielkie nieba! Ten łajdak po prostu zasnął!

Leżała przez chwilę nieruchomo, próbując zapanować nad narastającą wściekłością. Gdy się nieco uspokoiła, poczuła ulgę, choć musiała przyznać, że była nieco zawiedziona. Wypuściła z ręki dzban, który potoczył się po materacu, ale nie spadł na podłogę.

- Do diabła, Matthew, musisz ważyć chyba ze sto kilo.

Złapała go za ramiona, pchnęła z całej siły i zdołała się częściowo uwolnić. Pchnęła znowu i znowu, i jeszcze kilka razy, dopóki w końcu nie wyczołgała się spod niego. Spał na materacu twarzą do dołu, błogo nieświadomy całego poruszenia, którego był przyczyną.

Prawie zrobiło się jej go żal. Kapitan Matthew Seaton, zawsze przyzwoity hrabia Strickland, zachował się dziś bardzo niestosownie i wywołał niesamowity skandal. Pewnie czułaby się nawet trochę winna, gdyby nie to, że arogancki hrabia prawdopodobnie zrujnował jej życie.

Co robić? - zastanawiała się Jessie, stojąc nad nim. Matthew przyszedł po nią, ale nie mówił nic o małżeństwie. Po prostu chciał ją zaciągnąć do łóżka. Porwał ją tylko w tym celu i gdyby nie był tak pijany, pewnie dostałby, czego chciał.

Z drugiej jednak strony kapitan Matthew Seaton z Marynarki Królewskiej nigdy nie zachowywał się tak irracjonalnie. Raczej stronił od alkoholu i nigdy się nie upijał, a mimo to wtargnął bezceremonialnie na ślub księcia Milton, porwał pannę młodą i zagrał na nosie całej śmietance towarzyskiej Londynu. Konsekwencje jego czynów będą poważne.

Dla niej konsekwencje te będą jeszcze gorsze. Jeśli Matthew jej nie poślubi, będzie skończona. Po takim ekscesie żaden przyzwoity mężczyzna jej nie zechce. Nigdy nie doczeka się domu i dzieci, o których zawsze marzyła.

Jessie przemierzała nerwowo pokój. Znowu czuła pulsowanie w głowie, a serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Istniało tylko jedno rozwiązanie. Matthew musi się z nią ożenić. Na pewno zrozumie, że nie ma innego wyjścia.

Dumała nad tym, dopóki nie dotarła do przeciwległej ściany małego pokoiku i zawróciła, by przemierzyć go znowu. Przerwał jej ślub, to prawda, ale to wcale nie musi oznaczać propozycji małżeństwa. Nie posiadał jej, jak zamierzał. Wciąż jest dziewicą, co łatwo da się udowodnić. Matt miał już plany na życie i na razie nie było w nich miejsca dla Jessie Fox.

Lord Strickland to dziedzic Belmore i człowiek bardzo wpływowy. Być może po prostu ją zwróci, zrekompensuje jakoś księciu swoje winy, zapewni go, że jej cenne dziewictwo pozostało nienaruszone i przystąpi do realizacji własnego planu na życie.

Nie wątpiła w to, że prędzej czy później Caroline Winston mu wybaczy.

Jessie poczuła nagły skurcz w żołądku. Matthew zależało na niej. Dowiodły tego wydarzenia dzisiejszego ranka. Nie kochał Caroline. A Jessie kochała go tak bardzo, że będzie potrafiła uszczęśliwić go tak, jak żadna inna kobieta na świecie.

Przyglądała się mężczyźnie rozwalonemu na łóżku. Gdyby był przekonany, że ją posiadał, z pewnością by się z nią ożenił. Musiałby, jeśli chciałby kiedykolwiek znów spojrzeć w twarz ojcu. Słyszała jego ciężki oddech. Powinna czy nie powinna?

Jessie przygryzła wargę. Dokonywała już w życiu trudnych wyborów - uciekła z gospody „Pod Czarnym Knurem” bez pieniędzy i bez dachu nad głową, udała się do wpływowego, zimnego markiza Belmore i poprosiła go o pomoc, poszła do szkoły, żeby zostać prawdziwą damą, pojechała do Londynu, żeby znaleźć męża i zapewnić sobie pozycję w arystokratycznym świecie.

Wszystko to nauczyło ją jednego: kto nie ryzykuje, ten nic nie ma.

Matthew Seaton był wart wszelkiego ryzyka.

Jessie przyjrzała się wnikliwie jego potężnym ramionom, muskularnym plecom i wąskim biodrom. Podwinął mu się surdut, odsłaniając widoczne pod spodniami kształtne, napięte pośladki i umięśnione uda. Patrzyła, jak napinają się i rozluźniają, gdy wiercił się na łóżku i poczuła nagły żar palący ją od wewnątrz. Spociły jej się dłonie i zaschło jej w gardle. Przełknęła ślinę.

Jej plan mógł nie wypalić, ale istniały duże szanse powodzenia. To nie będzie takie trudne. Widziała już wcześniej nagich mężczyzn w gospodzie i przy kilku innych okazjach. Wiedziała, co zachodzi między kobietą i mężczyzną. Cóż, prawie wiedziała. Przyuważyła kilka razy kochające się pary i słyszała rozmowy kobiet na ten temat, choć zwykle przyjaciółki Elizy Fox w stosunku do jej córki były ostrożne i opiekuńcze. Tu jednak chodziło o całą przyszłość Jessie. Decyzja została podjęta - zrobi, co musi zrobić.

Pochyliła się nad łóżkiem i zaczęła zdejmować z hrabiego Stricklanda pomięte ubranie.

* * *

Gorące i jasne promienie słońca ostrożnie wdzierały się do małego pokoiku sprawiając, że Matt ostrożnie uniośł powieki. Zamknął je ponownie wobec bólu, który wdarł się do jego głowy przy tym pierwszym kontakcie ze światem zewnętrznym.

Pod czaszką waliło mu tysiąc młotów, uderzając o mózg jak rozłoszczone fale o kadłub statku. Próbował zwilżyć usta, ale zaschło mu w gardle tak bardzo, że nie był w stanie nawet przełykać. Zmienił pozycję, uciekając przed jasnym, porannym słońcem i ponow-

nie otworzył oczy. Ból głowy zdawał się narastać. Język miał suchy jak wiór, skręcało go w żołądku.

Przez kilka dłuższych chwil leżał nieruchomo i czekał, aż pulsowanie w głowie nieco ustanie. Cholerny dzin. Wpatrywał się w sufit i wydobywał z siebie bolesne syczenie. Właśnie zdał sobie sprawę, że nie wie, gdzie się znajduje. Nie na pokładzie statku, tego był pewien, ponieważ kołysanie czuł jedynie w swoim żołądku. Nie był również w Belmore, gdzie każdy pokój miał pięknie zdobione sufity.

Znów się poruszył, delikatnie odwracając głowę i poczuł, że obok również coś się ruszyło. Gdy poczuł na swym udzie dotyk delikatnej, gładkiej skóry, zerwał się jak oparzony i jęknął z bólu, który zapulsował mu pod czaszką.

Odrzucił się w stronę nierówności ukrytej pod pościelą i zauważył długie, złote włosy rozrzucone wokół sąsiedniej poduszki. Nie widział jej twarzy, ale poczuł nagłą ulgę. Mała blondyneczka z „Kogucika i Kurki”. Przynajmniej wiedział, gdzie jest.

Kobieta wydała z siebie słodkie pojękiwanie i poruszyła się, odsłaniając jedną ze swych jędrnych nagich piersi. Była blada i kształtna. Ciemnoróżowy sutek sterczał zachęcająco ku górze. Choć czuł się fatalnie, czuł, że twardnieje pod kołdrą i przypomniał sobie marynarskie porzekadło. Na kaca najlepszy jest poranek z kobietą. To wysysa truciznę z organizmu, mawiali marynarze. Kusząca, mała dziwka świetnie się do tego nada.

Przysunął ją do siebie, odgarniając jej włosy z twarzy. Odkrył drugą pierś, zaczął ją masować i pieścić... i zamarł.

Matko Przenajświętsza! Ta zmysłowa blondyneczka to nie dziwka z „Kogucika i Kurki”! To Jessie Fox!

Otworzyła oczy i zamruła. Zauważyła jego przeżone spojrzenie, spojrzała w dół i dostrzegła swoje obnażone piersi. Krzyknęła i naciągnęła sobie kołdrę pod szyję. Purpurowy rumieniec wstąpił na jej policzki.

- Cóż... - rzekła i nerwowo zwilżyła usta. - Przy najmniej wreszcie się obudziłeś. Spałeś od wczorajszego popołudnia.

Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby teraz rzec. Dobry Boże, co ona tu robiła? Przeczesała drżącą ręką potargane włosy i prawie marzył o szklance alkoholu.

- Wiem, że to pewnie bardzo głupie pytanie, ale co, do diabła, robisz w moim łóżku?

Błękitne spojrzenie spoczęło na jego nagim torsie i niżej, na zakrytych biodrach.

- Chcesz powiedzieć, że nie pamiętasz?

- Czego nie pamiętam? Do cholery, ja nawet nie pamiętam, jaki dziś dzień.

- Niedziela. Niedziela rano.

- Niedziela - powtórzył tępo, starając się odszukać w myślach brakujących godzin. - Wczoraj wziąłeś ślub.

Jej smukłe palce zacisnęły się na kołdrze.

- Niezupełnie. Wczoraj miałam wziąć ślub. Twoje przybycie skutecznie temu zapobiegło.

Matt opadł bezwładnie na łóżko.

- Powiedz mi, że to sen.

- Jeśli tak, to chyba koszmar, a przynajmniej na pewno się w niego zamieni, gdy wrócimy do Londynu.

Dudnienie w głowie nie ustawało ani na chwilę. Umierał z pragnienia, a mimo to po czole spływały mu krople potu. Walcząc z falami nudności przerzucił nogi na jedną stronę łóżka, obwiązał sobie prześcieradło wokół bioder i wstał.

- Daj mi minutę. Gdy skończę, może wyjaśnisz mi dokładnie, o co w tym wszystkim chodzi.

Jednak pewne obrazy już zaczęły powracać. Picie i gra z St. Cere'em aż do świtu, opuszczenie „Kogucika i Kurki” w faetonie Adama i podróż do Ludgate Hill.

Udał się za parawan, żeby się załatwić i umyć twarz. Przywołał w pamięci obraz Jessie w katedrze świętego Jakuba, stojącej przy ołtarzu z księciem Milton.

Jęknął, próbując przypomnieć sobie, co stało się potem. Słyszał za plecami, jak Jessie krząta się po pokoju, najwyraźniej się ubiera, jednak oczami wyobraźni widział jej ponętne ciało całkiem nagie, leżące obok niego w łóżku.

- Może będziesz ich potrzebował? - rzekła, podając mu nad parawanem pogniecione spodnie.

- Dzięki. - Założył je, zapiał rozporek i wyszedł zza parawanu. Zatrzymał się na widok Jessie w samej halce.

Zarumieniła się zmieszana, gdy obserwował jej zgrabną figurę, zaokrągloną dokładnie tam, gdzie trzeba.

- Przepraszam... Mam tu tylko suknię ślubną. Jest piekielnie niewygodna. Pomyślałam, że się nie obrażysz, jeśli pochodzę tylko w tym przez chwilę... To znaczy... Po tym, co się między nami wydarzyło...

Matt usiadł ciężko na krawędzi łóżka. Po plecach przeszedł mu zimny dreszcz.

- Boże, Jessie, powiedz mi, że pamięć mnie zawodzi, i że nie wyciągnąłem cię z twojego własnego ślubu.

- Obawiam się, że tak, wasza lordowska mość.

- A potem? Co było potem?

Rumieniec spłynął z twarzy na szyję i dekolt.

- Zacząłeś mnie całować. Powiedziałeś, że zrobimy to, co chciałeś zrobić od momentu, gdy wylądowałam w kałuży błota u twoich stóp. Zacząłeś mnie rozbierać i następnie, co pamiętam, to że wylądowaliśmy razem w łóżku.

Matt skinął tylko głową, nie będąc w stanie niczemu zaprzeczyć.

- Cholera. - Wtedy do głowy przyszła mu okropna myśl. - Chryste, ale chyba cię nie zmuszałem? Nie zrobiłbym czegoś takiego... przynajmniej tak mi się wydaje.

Jessie spuściła wzrok.

- Nie zmusiłeś mnie do niczego - powiedziała miękko.

- No, ale to był twój pierwszy raz. Mam nadzieję, że nie sprawiłem ci bólu.

Potrząsnęła tylko głową. Zaczął mówić coś jeszcze, gdy nagle coś sobie uświadomił. Odwrócił się i przebiegł wzrokiem po prześcieradle, ale nie było na nim najmniejszego śladu krwi.

- Jak przypuszczam, kochaliśmy się...

Rumieniec ponownie oblał twarz Jessie.

- Nie wiem... nie wiem, co dokładnie robiliśmy. Leżałeś na mnie, dotykałeś mnie, całowałeś...

- Nie ma krwi. Może my wcale nie...

- Krwi? - Jessie nagle zbladła.

- Krwi dziewicy. Jeśli byłaś dziewicą i kochaliśmy się, na prześcieradle powinna być krew.

Pomimo pulsowania w skroniach poczuł napływający gniew. Jeśli nie był jej pierwszym, z iloma mężczyznami spała? Na samą myśl o niej w łóżku z innym mężczyzną zazdrość przewiercała go na wylot.

Na twarzy Jessie malowało się napięcie.

- Czy sugerujesz, że nie jestem... nie byłam dziewczycą? - W błękitnych oczach zaskrzyła wściekłość. -

Nigdy nie miałam kochanka, jeśli właśnie to sugerujesz. To znaczy, do zeszłej nocy. - Zadarła dumnie głowę. - Już powiedziałam. Nie wiem dokładnie, co zrobiłeś. Może nie do końca...

- Nieważne. Myślę, że wiem, co mogło lub nie mogło się stać.

Jęknął w duchu. Był tak pijany, że Bóg jeden wie, co mógł jej zrobić tej nocy... lub nie zrobić. Jeśli zaś chodzi o jej niewinność, na obecną chwilę będzie musiał jej uwierzyć. Poza tym, gdyby chciała go oszukać, mogłaby sama poplamieć prześcieradło krwią.

- Nie ma znaczenia, do czego doszło lub nie doszło - rzekł. - Prawda jest taka, że jeśli odwożę cię z powrotem do Londynu, będziesz skończona. Ojciec będzie zdruzgotany, a to, co się stało z pewnością nie jest twoją winą. Weźmiemy ślub najszybciej, jak będzie to możliwe. Zajmę się wszystkim.

Jessie nie odpowiedziała. Wpatrywała się w niego w milczeniu i powoli skinęła głową.

- Na razie wrócimy do Belmore. Tam przynajmniej będziesz z dala od plotek. - Wolałby pojechać do własnego domu, do Seaton Manor, ale nie mógł zabrać tam Jessiki. Wiązało się to ze zbyt dużym ryzykiem.

- Matthew?

Przerwał zakładanie koszuli, pogniecionej i cuchnącej piwem.

- Tak?

- Wiem, że nie tak sobie to wszystko planowałeś, ale obiecuję, że cokolwiek by się stało... będę dla ciebie dobrą żoną.

Spojrzał na nią i pomyślał, jak pięknie wygląda w tej prostej halce, jak krucho i delikatnie. Czy naprawdę jest kobietą, którą zdawała się być, czy może zwykłą słodką, zwodniczą dziwką? Podszedł do niej, złapał za podbródek i uniósł delikatnie jej głowę.

- Jestem pewny, że będziesz. - Pogładził palcem jej drżące usta. Będzie dobrą żoną. Zadba o to osobiście, bez względu na to, jaką prawdę o niej odkryje.

- Teraz najważniejsze jest, żebyśmy się jak najszybciej i jak najdyskretniej wydostali. Mam znajomego w Weybridge. Możemy się tam odświeżyć i pozyczyć czyste ubrania.

Przytaknęła i odwróciła się w poszukiwaniu sukienki. Zniosła ubranie za parawan, by się ubrać. Na jej twarzy malował się stoicki spokój. Wdziąka suknię i podeszła do Matta, żeby zapiął jej guziki. Z uwagi na to, że nie pamiętał wydarzeń zeszłej nocy, gest ten wydał się mu bardzo intymny, na nowo rozpałał w nim pożądanie. Pragnął zerwać z niej tę suknię, zamiast ją zapinać.

Matthew wziął uspokajający oddech. Wciąż trudno mu było uwierzyć, że żeni się z Jessie Fox, choć przecież jeszcze tak niedawno właśnie tego pragnął. Pogodził się ze swym losem, choć przeszkadzało mu, że wszystko się potoczyło w taki sposób. Splamił dobre imię Belmore skandalem i zmusił Jessie do małżeństwa, którego wcale nie chciała.

Z drugiej jednak strony, być może małżeństwo z dziedzicem Belmore było dokładnie tym, czego chciała, co planowała od samego początku. Ojciec powiedział, że Jessie kocha Belmore prawie tak samo jak Matt. Jako jego żona pewnego dnia odziedziczy tę posiadłość.

Właściwie sam nie wiedział już, w co wierzyć. W obecnej chwili jednak czuł takie pulsowanie pod czaszką, że miał to gdzieś.

Rozdział 14



Gdy Jessie kilka dni później zjawiła się w Belmore, była już kobietą zamężną. Cóż, prawie zamężną. Przysięga została złożona, lecz małżeństwo nie zostało jeszcze skonsumowane. Powtarzała sobie, że nie było na to czasu.

Jessie wkroczyła do swych nowych apartamentów w Belmore Hall, luksusowych wewnątrz wykończonych w kości słoniowej i złocie, które przylegały do eleganckich, wyłożonych drewnem pomieszczeń hrabiego, bardzo męskich w wystroju. Niestety, męża nie było w domu.

Jak obiecał, po wyjeździe z zajazdu zatrzymali się w Weybridge, w wiejskiej rezydencji kolegi Matta ze studiów w Oksfordzie, Adriana Kingslanda, lorda Wolvermont. Nie było go akurat w domu, mimo to przyjęto ich bardzo ciepło. Gospodyni, chuda jak strach na wróble kobiecina, pamiętała Matthew z wcześniejszych wizyt i przygotowała dla nich pokoje gościnne, gdzie mogli się odświeżyć.

Potem Matthew pojechał spotkać się z pastorem w miejscowym kościele parafialnym. Powiadomiono arcybiskupa, który za pięćdziesiąt gwinei - stawkę

dwa razy wyższą niż i tak już wygórowana zwykła opłata, wydał specjalną zgodę na ślub.

Jessie nie pamiętała prawie nic z samej ceremonii, która odbyła się następnego ranka w kaplicy małego, porośniętego bluszczem kościółka i niczym nie przypominała kosztownej, podniosłej uroczystości z katedry. Szybki, prosty ślub zwieńczony zimnym, krótkim pocałunkiem. Przez cały czas Matthew zachowywał się nienagannie, był szalenie uprzejmy i zatroskany oraz niepokojąco powściągliwy. Jessie natomiast czuła się przez większość czasu jak sparaliżowana.

Opuścili kościół zaraz po ceremonii i wyruszyli w dalszą podróż. Przez całą drogę do Belmore hrabia zachowywał tajemnicze milczenie, wyglądał z uporem przez okno i nie dotknął jej ani razu, jeśli nie zaszła taka potrzeba.

Nie wróżyło to dobrze.

Wiedziała, że rozmyślał o następstwach swojego czynu, zastanawiając się pewnie, czy powiedziała mu prawdę, i czuł się okropnie przez skandal, jaki wywołał. Przez czterysta lat dobrego imienia Belmore nie splamiło żadne, choćby najmniejsze oszczerstwo. Matthew był pierwszym z rodu, który dopuścił się takiej zniewagi i świadomość ta ciążyła nad nim jak wielka gradowa chmura.

Wiedziała, że winił za to ją, choć w żaden sposób nie mogła zrozumieć, jak mogłaby być odpowiedzialna za jego zachowanie w kościele. Mimo to, odkąd opuścili zajazd, był jakby nieobecny i obojętny, a teraz stała w oknie swojej eleganckiej sypialni i marzyła się, że oschłość, którą zaczęło się ich małżeństwo, wcale nie minie.

Jessie pragnęła, żeby papa Reggie był w domu. On z pewnością wiedziałby, co robić. Oczywiście, posła-no już po niego do Londynu, ale odmówił powrotu.

Postanowił dać nowożeńcom trochę czasu dla siebie. Podejrzewała, że prowadził też rozmowy z księciem; w imieniu Matthew starał się dojść z nim do porozumienia i załatwić jakieś zadośćuczynienie. A było to nie lada zadanie.

Jeśli chodzi o samego Matthew, zamiast zająć się żoną, wyjechał. Pod jego nieobecność przechadzała się beczynn timer po komnatach, wyglądała co jakiś czas na drogę dojazdową do Belmore, przecinającą faliste, zielone wzgórza. Czekwała podenerwowana na jego powrót.

Wiedziała, że wróci. Prędzej czy później. Jednak godziny mijały i w sercu Jessie rodziły się coraz większe wątpliwości. Miętoszyła w dłoni belgijską koronkę, którą wykończona była jej niebieska satynowa suk-nia, łudząc się, wbrew wszelkiej nadziei, że wybrana przez nią kreacja spodoba się mężowi.

Chciała mieć do pomocy Violę, ale pokojówka pozostała w Londynie.

Najbardziej chciała jednak, żeby Matthew był tu teraz z nią.

Zamiast z Caroline Winston.

* * *

Starając się zachować spokój, Caroline Winston stała dumnie naprzeciwko ciemnozielonej kanapy w salonie i wpatrywała się w napiętą twarz hrabiego Strickland. Po upokarzającej scenie w katedrze, z przyszłym narzeczonym w roli głównej, jej rodzina natychmiast powróciła do Winston House.

- Doceniam pańską pobłażliwość, lordzie Lands-downe - rzekł hrabia do ojca Caroline, który stał sztywno kilka kroków od niego, z zaciśniętą ze wściekłości szczęką z powodu młodzieńca, który miał

wkrótce zostać jego zięciem. - Jestem ogromnie wdzięczny, że pozwolił mi pan pomówić z córką osobiście. Zdaję sobie sprawę, jak trudna jest dla niej cała ta sytuacja, nie wspominając już o panu i całej pańskiej rodzinie. Nie będę usprawiedliwiał swojego zachowania. Mogę jedynie powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że pańska rodzina najadła się przede mną tyle wstydu.

Wcześniej tego dnia Matthew wysłał posłańca z listkiem, w którym prosił o spotkanie z jej ojcem. Przeprosił za to, co stało się w Londynie i za poniżenie, którego doświadczyli Winstonowie. Poprosił o rozmowę z Caroline, jednak ojciec odmówił. Dopiero po długiej dyskusji i wielu ostrych słowach, jakie padły pod adresem hrabiego Strickland, ojciec ustąpił i zgodził się na jego spotkanie z córką.

Teraz Matthew zwrócił się w stronę Caroline i spojrzał w jej zimne niebieskie oczy, utkwione w jego twarzy. Miał na sobie mundur, składający się z granatowej marynarki ze złotymi epoletami i białych, obcisłych bryczesów.

- Lady Caroline... Przyszedłem, by złożyć moje najszersze przeprosiny z powodu tego, co zaszło. Nie ma słów, które mogłyby wyrazić, jak bardzo mi przykro. Poniżenie pani nigdy nie było moim zamiarem. Wciąż jeszcze sam zastanawiam się, jak do tego doszło. Być może nigdy tego do końca nie zrozumiałem.

Caroline uniosła głowę. Serce biło jej jak oszalałe. Wściekłość paliła ją od środka jak gorzka żółć. Planowała ślub z Matthew praktycznie przez całe życie. Był bogaty, utytułowany i tak przystojny, że zazdrościłaby jej każda kobieta w towarzystwie. Nigdy jeszcze nie była na nikogo tak zła, jak teraz. A mimo to potrafiła utrzymać nerwy na wodzy.

- Może wcale nie tak trudno to zrozumieć. Może po prostu zakochałeś się w niej.

Matthew stał przed nią sztywno, nie mówiąc ani słowa.

- Zależy mi na niej, to prawda - przyznał w końcu, a słysząc to, Caroline zeszywniała. - W pewnym momencie rozważałem nawet małżeństwo, ale nigdy pani kosztem. Pozwoliłbym pani wszystko odwołać, bez względu na to, czy zaręczyny byłyby oficjalne, czy nie. Odkąd pamiętam, była pani dla mnie prawdziwym i lojalnym przyjacielem, dlatego sprawienie pani przykrości jest ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnął.

Łzy wściekłości napłynęły jej do gardła, ale oczy przysłoniła jedynie niewielka mgiełka.

- Doceniam to, że pan się do nas pofatygował. Zdaję sobie sprawę z tego, że wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Każdy ma jakieś słabości i wady. - Wysiliła się na uśmiech, choć w środku kipiała ze złości. - Przyznaję, że wierzyłam, że ma pan mniej wad niż inni, uważałam pana za niedościgniony wzór dla pozostałych mężczyzn.

- Caroline...

Uniosła szczupłą dłoń, odzianą w białą rękawiczkę.

- Ale prawda jest taka, że jest pan żonaty i muszę się z tym pogodzić. Z czasem z pewnością tak się stanie. Teraz jednak powstrzymam się przed składaniem panu gratulacji. Może kiedyś będę mogła to zrobić ze szczerego serca. Do tego czasu modlę się tylko, żeby księżę panu wybaczył.

Chciała odejść, ale Matthew chwycił ją za rękę.

- A ty, Caroline? Też spróbujesz mi wybaczyć?

Jak mogła? Zrobił z niej pośmiewisko, zrujnował plany na przyszłość. Czekwała na niego, choć mogła mieć cały wianuszek adoratorów. Starła się zachować

wać obojętność. Zesztywniały jej chyba wszystkie mięśnie twarzy. W końcu skinęła potakująco głową.

- Spróbuję, wasza lordowska mość.

Odwróciła się i poszła na górę, zostawiając go sam na sam z ojcem. Cierpiała nieprzerwanie i kipiała ze złości już od wielu dni. Matthew upokorzył ją na oczach wszystkich. Zrobił z siebie głupca, zawstydził księcia i zaprzepaścił jej przyszłość. Jednak nie on jeden ponosił winę za to, co się stało - doprowadziła go do tego Jessie Fox.

Ta mała, pozbawiona sumienia intrygantka podpuściła go, zakradła się podstępem do jego serca i sprowadziła hańbę na szlachetny ród Belmore.

Kim jest ta kobieta, ta ladacznica, która ukradła jej Matthew? Caroline wrzała. Skąd ona się wzięła? Dlaczego nikt o niej wcześniej nie słyszał? Może Frances Featherstone miała rację? Od początku jej kuzynce wydawało się podejrzane, że nic o sobie nie mówiła. Być może nawet Matthew nie wiedział o niej wszystkiego.

W tym momencie Caroline przyszło do głowy mnóstwo sekretów uroczej, lecz pozbawionej sumienia panny Fox, które mogłaby wydobyć na światło dzienne. Oczami wyobraźni zobaczyła przerażonego Matthew, który właśnie poznał prawdę i klęczy przed nią, prosząc o wybaczenie, oraz Jessicę Fox, upokorzoną w oczach całego Londynu. Matthew przyzna się do popełnionego błędu i może nawet znajdzie sposób, by go naprawić.

Caroline uśmiechnęła się do siebie. Wizja ta złagodziła nieco ból spowodowany zranioną dumą. Jeśli na świecie istnieje jakakolwiek sprawiedliwość, Jessica Fox zostanie ukarana za cały ból, który spowodowała. Caroline Winston dopilnuje tego osobiście. Tak... poprzysięgła sobie, wchodząc powoli

po schodach, prędzej czy później hrabina Strickland odpowie za swoje winy.

* * *

Zapadał już zmierzch, gdy Matthew powrócił do Belmore. Mimo że scena w Winston House nie należała do najprzyjemniejszych i czuł się okropnie przez to, co zrobił Caroline i jej rodzinie, w pewien sposób mu ulżyło.

Od momentu, kiedy obudził się w zajeździe i zdał sobie sprawę, że porwał Jessie Fox sprzed ołtarza, pograżał się w gąszczu winy i żalu. Wysłał do księcia list z osobistymi przeprosinami, w którym proponował mu, między innymi, zadośćuczynienie finansowe oraz wydrukowanie publicznych przeprosin w prasie. Napisał też do ojca o pomoc i zostawił sprawę w jego rękach. Ostatecznie staruszek dostał to, czego chciał od samego początku, a poza tym znacznie lepiej radził sobie w tego typu machinacjach.

Kolejny krok, jaki przedsięwziął, był dość nieoczekiwany, nawet dla niego samego. Napisał do swojego bezpośredniego przełożonego, admirała Cornwallisa, i złożył zapowiadaną wcześniej rezygnację - oczywiście, z zapewnieniem, że stanie do walki, gdy tylko dotrze do niego wiadomość, że Francuzi zagrażają ojczyźnie.

Był teraz żonatym mężczyzną i stały przed nim nowe obowiązki. Nie planował tego w ten sposób, ale po tym, co się stało, po prostu będzie musiał się dostosować.

Wracał do Belmore w zupełnie innym nastroju, niż go opuszczał. Wszedł do wyłożonego marmurem holu i wręczył dwurożny kapelusz i białe bawełniane

rękawiczki kamerdynerowi, który stał nieruchomo przy drzwiach.

- Dobry wieczór, wasza lordowska mość.

- Dobry wieczór, Osgood. Szukam lady Strickland. Czy udała się już na spoczynek?

Dziś pogodził się z Caroline i jej ojcem. Napisał do księcia i do admirała Cornwallisa. Pozostawała tylko jedna osoba, z którą musiał ostatecznie wszystko wyjaśnić.

- Jej lordowska mość przebiera się do kolacji. Prosiła, by posiłek podano o ósmej... jeśli to odpowiada waszej lordowskiej mości.

Spojrzał na Samuela i dostrzegł na jego twarzy pewne zaniepokojenie. Jakimś cudem służba dowiedziała się, że nie spał jeszcze ze swoją świeżo poślubioną małżonką i nie był z tego zadowolony.

Matt pokręcił przecząco głową.

- Obawiam się, że zupełnie mi to nie odpowiada. Chciałbym, by podano kolację w moim prywatnym apartamencie. Coś wyjątkowego. Z kwiatami i świecami na stole. - Odwrócił się i ruszył po schodach na górę. - I proszę przynieść też butelkę szampana. Jej lordowska mość może być lekko zdenerwowana nocą poślubną.

Wysoki, postawny kamerdyner wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak jest, wasza lordowska mość. Zadbam o to osobiście.

- Dziękuję... - Matt odwzajemnił uśmiech - Ozzie.

Uszy starego kamerdynera zaczerwieniły się nieco, ale skinął potakująco głową i odszedł w pośpiechu. Matt wszedł do swojej komnaty i dostrzegł, że pokojowy rozłożył już jego ubranie na ogromnym łożu ze złotym baldachimem i przygotował miłą, gorącą kąpiel. Zrzucił więc szybko mundur i wskoczył

do wanny. Ułożył się w niej wygodnie i po raz pierwszy od ślubu pozwolił sobie na myślenie o Jessie.

Przez ostatnie kilka dni praktycznie ją ignorował. Wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju, a Jessie była ich przyczyną. Wiedział, że to nie jej wina, a mimo to w głębi serca winił ją za to, co się stało. Gdyby nie była tak cholernie piękna... gdyby jej tak nie pragnął...

Cóż, prawda była taka, że Jessie jest jego żoną, ale jeszcze nie do końca to do niego docierało. Dziś planował nadrobić stracony czas. Wątpliwości co do jej niewinności wciąż go nie opuszczały, ale prawda prędzej czy później i tak wyjdzie na jaw. Do tego czasu da jej kredyt zaufania.

Myślał o nocy spędzonej w zajeździe i miał nadzieję, że jeśli wciąż była nietkniętą dziewicą, jak twierdziła, jego pijackie obmacywanie nie napełniło jej aż takim wstrętem, by nie miała ochoty mu dziś ulec. Nawet jeśli czuła do niego niesmak, wierzył, że z czasem, przy odrobinie cierpliwości, polubi fizyczne akty miłości.

Samo myślenie o tym sprawiło, że stwardniał pod powierzchnią ciepłej wody. Pragnął teraz Jessie Fox nawet bardziej niż przed ślubem. Niemal czuł gładkość jej bladych, kremowych piersi i malinowych ust. Wyobrażał sobie ciepło jej wnętrza, gdy się w niej zagłębi, słodkie uczucie zaciskających się wokół niego mięśni.

Matt przeklął ostro. Jeśli tak dalej pójdzie, osiądzie ją za szybko, a przecież wcale tego nie chce. Pragnął zalecać się do niej, kochać się z nią powoli, pokazać jej radość namiętności i dostarczyć nieopisanej przyjemności.

Może w pewnych sprawach jest oficjalny i nadęty, ale nigdy w łóżku. Chciał, żeby się o tym przekonała.

Zerknął na zegar na ścianie, wyszedł z wanny, wytarł się ręcznikiem i z pomocą służącego zaczął wkładać strój wieczorowy - ciemnoszare bryczesy, srebrną kamizelkę i granatowy frak. Zastanawiał się, w co może ubrać się Jessie, choć skrycie marzył, by zastać ją dokładnie taką, jak owego pamiętnego ranka w zajeździe - całkiem naga.

Wykrzywił usta w bladym uśmiechu. Nieważne, co skłoniło go do porwania. Jessie jest teraz jego żoną. Pragnął jej od dnia, gdy galopowała na złamanie karku w stronę stajni i wylądowała w błocie u jego stóp. Małżeństwo to słona cena za tę żądzę, ale zapłacił ją. Dziś miał zamiar upomnieć się o nagrodę, która tyle go kosztowała.

Krew zawrzała mu na samą myśl o dzisiejszej nocy i o nagiej Jessie wijącej się pod nim, a spodnie nagle zrobiły się za ciasne. Próbował nie myśleć o tym, co zrobi, gdy odkryje, że Jessie kłamała, że jej niewinność to tylko podstęp, i że jest po prostu kolejnym z jej licznych kochanków.

Przestępując próg pokoju, próbował rozluźnić mięśnie dłoni, która bezwiednie zwinęła się w pięść.

* * *

Jessie stała przed wysokim zdobionym lustrem obrotowym, przyglądając się swojemu odbiciu. Miała na sobie błękitną satynową suknię, którą włożyła teraz, gdy była już mężatką - cóż, prawie mężatką - by modnie podkreślić biust. Chciała wyglądać uwodzicielsko. Minerva Tower, młodziutka chuda dziewczyna, która zastępowała Violę do czasu jej powrotu z Londynu, właśnie poinformowała ją, że intymna kolacja, którą planowała na wieczór, będzie odana w prywatnym salonie jego lordowskiej mości.

Wiadomość ta spowodowała, że Jessie zaczęły pocić się dłonie. Na życzenie hrabiego jej intymna kolacja będzie jeszcze bardziej intymna, niż zakładała.

Przez ciało przeszedł dreszcz niepokoju. Czy chciał się z nią kochać i uczynić z niej swoją prawdziwą żonę? A może po prostu chciał omówić coś ważnego na osobności?

Serce zaczęło bić jej szybciej w piersi. Dobry Boże, może odkrył, co zrobiła w zajeździe? Może dowiedziała się, że podstępem zmusiła go do ślubu? Lub, co gorsza, może stwierdził, że pragnie Caroline, a nie jej, i chce anulować małżeństwo?

Jessie wzięła głęboki, uspokajający oddech i starała się oddalić od siebie przykre myśli. Nie było powodu, by podejrzewać najgorsze. Lepiej stanąć przed nim z nadzieją w sercu. Lepiej nie nastawiać się na więcej niż wspólny posiłek i przyjemna rozmowa.

Z tym postanowieniem spojrzała po raz ostatni w lustro, wzięła kilka głębokich oddechów i otworzyła drzwi prowadzące do jego prywatnych apartamentów. Pomieszczenie oświetlone było jedynie przyćmionym blaskiem świec. Ciężkie jedwabne draperie, zdobione sufity, orzechowe panele, a nawet stół przykryty pięknym obrusem i zastawiony elegancką porcelaną - wszystko skąpane było w złocie.

Podobnie zresztą jak sam Matthew, począwszy od ciemnej skóry twarzy i ciemnozłotych włosów, a skończywszy na mocnej szyi i silnych, męskich dłoniach. Dobry Boże, i ona jest jego żoną!

Matt uniósł głowę na odgłos otwieranych drzwi, jednak przez dłuższą chwilę nie wykonał żadnego ruchu, obserwując jak Jessie wchodzi do pokoju. Gdy

jej twarz rozświetlił ciepły, niepewny uśmiech, on również się uśmiechnął.

- Dobry wieczór, moja pani - rzekł, wstał z miejsca i ruszył w jej stronę, jakby przyciągany przez jakąś magnetyczną siłę. Zauważył, że ubrana była w błękitny idealnie odpowiadające kolorowi jej oczu. Nigdy wcześniej nie nosiła też sukni z tak wyciętym dekoltem. Pełne piersi unosiły się wysoko i obraz ich obnażonych zakradł się do jego myśli, jakby kpiąc sobie z jego postanowienia, by się dziś nie spieszyć. Stwardniał, zanim jeszcze zdążył jej dotknąć. Uśmiechnął się delikatnie, ale w jego oczach płonęła żądza. Dziś Jessie będzie jego.

- Dobry wieczór, milordzie. Przepraszam, że kazałam ci czekać.

- Nawet gdybyś kazała mi czekać pół nocy, byłoby warto. - Uniósł jej rękę, obrócił ją i złożył pocałunek po wewnętrznej stronie dłoni. - To ja jestem spóźniony. Przez ostatnie kilka dni zaniedbałem obowiązki męża. Najmocniej za to przepraszam. Zresztą ostatnio nie robię właściwie nic innego. - Uśmiechnęła się i przez jego ciało przeszła fala podniecenia. - Dziś mam zamiar odpokutować za swoje winy.

Na policzki Jessie wpłynął delikatny rumieniec. Odwróciła wzrok.

- Rozumiem, że masz teraz mnóstwo problemów na głowie. Z pewnością uda ci się je rozwiązać pomysłnie.

- Na razie było to możliwe. - Pochłaniał wzrokiem jej złote włosy, delikatną wypukłość policzka, łuk szyi, u której podstawy ledwie dostrzegalnie bił puls. - Nie chciałbym jednak mówić dziś o przeszłości. - Wręczył jej szampana. Małeńkie bąbelki syczały cicho powyżej połżacanego brzegu wysokiego kielisz-

ka. - Właściwie to mam ogromną nadzieję, że wraz z upływem wieczoru będzie coraz mniej okazji do rozmowy.

Kryształowy kielich zadrżał Jessie w dłoni. Zwilżyła wargi koniuszkiem języka, żar wypełnił jej wnętrze. Matthew objął ją w pół, przysunął do siebie i pocałował. Jej usta były tak słodkie i delikatne, jakimi je pamiętał. Zadrżały delikatnie, gdy je rozdzielił i zaczął smakować Jessie językiem coraz głębiej i głębiej, aż poczuł ból i pulsowanie w podbrzuszu.

Tak bardzo jej pragnął. Pogłębił jeszcze pocałunek i przycisnął ją mocniej, niemal miażdżąc jej piersi o swój tors. Czuł jak jej palce wbijają mu się w ramiona, a sutki twardnieją pod sukienką. Chciał zerwać z niej ten delikatny jedwab, obnażyć dwa mlecznobiałe wzniesienia, wziąć je głęboko w usta, lizać je i ssać, dopóki nie usłyszałyby, jak jęczy.

Zamiast tego opanował się całą siłą woli i oderwał od niej. Gdy przemówił, jego głos był niski i ochrypły.

- Z tego co wiem, lady Strickland, kucharz przyrządził nam wspólną kolację. Mam dla nas na dzisiejszy wieczór konkretne plany, dlatego myślę, że powinniśmy już zaczynać.

- Jak sobie życzysz, mój panie - przytaknęła Jessie, a kolor jeszcze bardziej zabarwił jej policzki. Przyjęła ramię, które jej zaoferował i przeszli do małego stołu ustawionego obok kominka. Błękitna sukienka ocierała się o jego uda, sprawiając, że znów zawrzała w nim krew. Odsunął dla niej krzesło i sam usiadł naprzeciwko. Lokaj zaczął podawać posiłek, ale Matthew mógł myśleć jedynie o miękkości jej ust, jej wiotkiej kibici i jędrnych piersiach.

Nic dziwnego, że naraził się na gniew księcia, by ją zdobyć. Może Jessie Fox będzie tego warta.

Kolacja przebiegała zgodnie z planem. Każde danie podawano z kunsztowną starannością, potrawy zostały przyrządzone wysmienicie. Żadne z nich nie jadło zbyt wiele. Napięcie zbyt intensywnie wisało w powietrzu. Rozmowa ucichła, ograniczając ich kontakt do delikatnych uścisków dłoni i gorących spojrzeń. Tego wieczoru ze stołu ubyło więcej wina niż jedzenia.

Gdy podawano ostatnie danie, Jessie była już na skraju wytrzymałości. Matt zdawał się jeszcze bardziej napięty. Kazał podać deser, składający się z piernika i budyniu i zamknął drzwi na klucz za ostatnim wychodzącym lokajem.

- Chyba oszalałem - rzekł, odwrócił się w jej stronę i utkwiał wzrok w jej ustach. - Powinienem być zupełnie pominąć kolację.

To rzekłszy podszedł do niej, podniósł ją z krzesła i wziął w ramiona. Pocałunek, który złożył na jej ustach, wyrażał głód, pożądanie i nie pozostawiał wątpliwości co do jego intencji. Wilgotny, głęboki pocałunek, przesywający ją na wylot.

- Obiecałem sobie, że nie będę się spieszył - zachrypiał - ale jeśli w ciągu najbliższych dziesięciu minut nie pozbędziesz się tych ubrań, zedrę je z ciebie jedno po drugim.

Jessie spłonęła.

- Prze... przepraszam... Zaraz zawołam Minervę. - Odwróciła się, ale złapał ją za ramię.

Uśmiechnął się do niej uwodzicielsko.

- Nie potrzebujesz pokojówki. Dziś ja nią będę. - Jego wzrok przewędrował z ust na jej piersi. - Proszę się odwrócić, lady Strickland.

Jessie poczuła nagły skurcz w żołądku. Zrobiła, jak jej polecił, próbując nie zwracać uwagi na fale gorąca zalewające jej ciało. Z każdym perłowym gu-

zikiem, który rozpinał, serce dudniło jej coraz szybciej. Gdy zsunął jej suknię z ramion i opuścił na podłogę, puls bił jak oszalały, a całe ciało pokryła gęsia skórka.

- Czy wiesz, jak bardzo cię pragnę? - wyszeptał jej do ucha, pokrywając szyję wilgotnymi, delikatnymi pocałunkami. Objął rękami jej talię i przyciągnął ją do siebie. Czuła na pośladkach jego rosnące podniecenie. Ssał płatek ucha, odwrócił ją i pocałował namiętnie i głęboko, sprawiając, że żar ponownie zalał jej ciało.

- Matthew... - Nawet nie zauważyła kiedy zsunął jej halkę, pozostawiając na niej jedynie białe jedwabne pończochy i różowe, satynowe podwiązki.

Dotarło to do niej dopiero, gdy odsunął się o krok i zaczął pochłaniać ją wzrokiem.

Spłonęła rumieńcem, ale nie próbowała się zakryć. Spojrzała tylko na jego twarz. Dostrzegła żar, głód, pożądanie i coś jeszcze, czego nie umiała zdefiniować.

- Jesteś urocza - powiedział zachrypłym głosem. - Myślałem o tych cudownych piersiach setki razy.

Intensywnie niebieskie oczy wędrowały w dół po jej brzuchu, pępku, aż w końcu spoczęły na kępce złotych loków. Zalała ją fala gorąca, sprawiając, że każde obserwowane przez niego miejsce jej ciała płonęło.

- Chciałbym się z tobą kochać na tysiące sposobów - rzekł. - A mimo to myślę, że to i tak będzie za mało.

Żar palił ją z każdym wypowiedzianym słowem. Jego oczy wypalały ścieżkę na jej ciele.

- Chodź do mnie, Jessie. - W jego oczach błyszczał głód, dziki i niedwuznaczny.

Jakaś jej część chciała uciekać, obronić się za wszelką cenę przed tym mężczyzną, który się jej

domagał. Inna część chciała jednak, by to się stało, żądała przyjemności obiecywanej przez każde jego gorące spojrzenie, każdy pocałunek, każdy dotyk. Podeszła tak blisko, że szorstki materiał fraka zaczął drażnić jej sutki, które natychmiast stwardniały.

Zaczął całować ją znowu, głęboko zanurzał język w jej ustach, próbując zapanować nad jej wolą tak, jak miał zamiar zapanować nad jej ciałem. Gniótł dłonią jej pierś, przygotowując ją o kolejne fale rozkoszy. Delikatnie pieścił sutek, aż stwardniał, zmarszczył się i zaczął ją palić.

- Wielkie nieba, Matthew...

Kochała go od tylu lat. Teraz pragnęła go tak, jak nie pragnęła nigdy żadnego mężczyzny. Odwzajemniała namiętne pocałunki i odkryła, że to jej nie wystarcza. Chciała poczuć gładkość jego skóry, słony smak jego potu, dotykać go tak, jak on dotykał jej. Z nocy w zajeździe, gdy zdejmowała z niego ubrania, pamiętała, jak delikatną miał skórę, jak długie i piękne były jego mięśnie.

- Zdejmij... zdejmij ubranie. - Gorączkowo zrzuciła frak z jego ramion. - Proszę... Muszę cię poczuć... Muszę, Matthew. - Zdawało się jej, że jęknął. Zdjęła mu kamizelkę, zaczęła odpinać i ściągać z niego koszulę. W blasku świec jego ciemnozłote włosy połyskiwały delikatnie na opalonej piersi, a mocno zarysowane mięśnie odznaczały się wyraźnie na ramionach.

Przez chwilę stał przed nią nagi, a potem sięgnął po nią znowu, przysunął ją do siebie i pocałował. Uniósł ją w ramionach, zaniósł do sypialni i ułożył na środku ogromnego łóżka. Znow przykrył jej wargi swoimi, a po chwili już całował jej szyję i ramiona.

Wziął do ust sterczący, twardy sutek i Jessie jęknęła. Piersi puchły jej z rozkoszy, czuła pulsowanie

między nogami. Musiał się tego domyślać, gdyż tam właśnie powędrowała jego ręka, zanurzając się w jasnych lokach i rozdzielając jej nogi. Gdy wsunął w nią palec, musiała złapać powietrze przez nagłą falę rozkoszy, która przepłynęła przez jej ciało. Była gorąca, śliska i pulsująca, cała płonęła z pożądania. Za każdym razem, gdy jego palec wsuwał się i wysuwał, czuła gorąco napływające do jej brzucha. Wiedziała, co zamierza, ale nawet strach przed grubą męskością, którą chciał w nią zanurzyć, nie był na tyle silny, by ugasić jej palącą żądzę.

Wsunął drugi palec, zagłębiając się w nią coraz bardziej, badał i dotykał jej wnętrze, dopóki nie poczuła, że zaraz zacznie krzyczeć z rozkoszy. Straciła kontrolę nad własnym ciałem, wyprężyła je, gorączkowo szukając spełnienia.

- Proszę... Matthew... Już nie mogę...

- Spokojnie, kochanie. Zaufaj mi jeszcze przez chwilę.

Pocałował ją znowu i pochylił się nad nią.

- Otwórz się dla mnie, Jessie, daj mi cię kochać.

Zakwiliła cicho, uniosła się z trudem, a jej nogi jakby samoistnie rozchyliły się przed nim. Wsunął się delikatnie do jej gorącego, wilgotnego wnętrza. Gdy dotarł do błony dziewiczej, zatrzymał się, a jego głowa opadła jej na czoło.

- Dzięki Bogu. - Spojrzał na nią znowu, uśmiechając się tak ciepło, że w oczach Jessie zakręciły się łzy.

- Nie bój się - szepnął. - To będzie bolało tylko ten jeden raz.

Objęła dłońmi ukochaną twarz.

- Nie boję się, Matthew. Nie kiedy jestem z tobą.

- Jess... - Zakrył ustami jej wargi i całował ją dzioko, niemal boleśnie, próbując rozpalić jeszcze bardziej ogień płonący w jej żyłach. Jak jego język

przedzierał się ostro coraz głębiej, tak jego członek pokonywał ciekłą barierę jej dziewictwa, rozrywając ją na pół. Gorący pocałunek zdusił jej płacz, ale każdy mięsień jego ciała zdradzał napięcie.

- Przepraszam - powiedział, ale nie wyglądał na skruszonego. Właściwie to nigdy nie wydawał się bardziej zadowolony.

Oddechnęła głęboko kilka razy, ale ból już ustępował. Gdy Matthew zaczął się poruszać, czuła jedynie tarcie jego umięśnionego ciała, posuwiste ruchy przyprowadzające ją o dreszcze rozkoszy. Po chwili już przeżyła się w niecierpliwym oczekiwaniu na każde następne pchnięcie. Fale gorąca zalewały jej ciało, krew paliła ją w żyłach.

- Matthew... - wyszeptała, czując narastającą rozkosz. Zaszło jej w ustach, sutki stwardniały, a resztę ciała obezwładniła gorąca fala ognia. Jeszcze kilka głębokich ruchów i poczuła, że jego mięśnie sztywnieją. Znow wszedł w nią głęboko, wysunął się i wszedł ponownie, i napięta sprężyna w jej wnętrzu wreszcie pękła.

Jessie przyłgnęła do szyi Matta i wyszeptała jego imię. Zobaczyła przed oczami błyski białego światła i zalała ją tak gwałtowna rozkosz, że aż zaczęła pochlipywać. Czuła nieopisaną radość, głębokie i paraliżujące zmysły uczucie, które wreszcie przyniosło jej zaspokojenie.

- Jessie... kochanie... wszystko w porządku?

Mrugnęła i łzy spływały jej po policzkach. Potrząsnęła głową.

- Tak... nie... Nie jestem pewna. Matthew... to jest takie cudowne.

Z piersi Matta wydobył się delikatny śmiech. Pocałował ją czule, stoczył się z niej i położył obok, biorąc ją w ramiona.

- Masz rację, kochanie, to jest cudowne. - Dotknął palcem czubka jej nosa. - Najwyraźniej nie najlepiej się spisałem, próbując cię osiąść za pierwszym razem.

Jessie zeszywniała ze strachu.

- Co... Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, moja urocza hrabino, że wciąż byłaś dziewicą.

Jessie milczała niepewnie.

- Mogłam się tego domyślić - rzekła w końcu. - Gdybym...

Matthew zmarszczył brew.

- Gdybyś co, Jessie? - Odwrócił się na bok i spojrzął jej w oczy. Jego twarz nagle spochmurniała. - Gdybyś wiedziała, że wciąż jesteś dziewicą, wróciłabyś do Londynu, żeby poślubić księcia? - Usiadł na łóżku, nagi, doskonały pod każdym względem. - Posłuchaj mnie, mała spryciaro. Milton zniknął z twojego życia na dobre. Teraz ja jestem twoim mężem. Może chciałabyś, żeby było inaczej, ale trochę już na to za późno.

- Wcale nie o to mi chodziło. Miałam na myśli to...

- Nieważne, co miałaś na myśli. To już nie ma znaczenia. Jesteś moją żoną. Moją. Postaram się dopilnować, byś o tym nie zapomniała. - To rzekłszy, wciągnął ją pod siebie i pocałował. Był to pocałunek ostry, męski i zaborczy. Jessie rozkoszowała się nim. Gdy wsunął się w nią, zagłębiając się stanowczo i głęboko, uniosła się na spotkanie każdej nadchodzącej fali.

Myślał, że pragnęła księcia, a mimo to nie była jeszcze gotowa, by mu wyznać, że to on jest jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochała. Poddała się pulsującemu rytmowi jego namiętności i rozkoszy ponownie zalewającej jej wnętrze.

Rozdział 15



Matthew obudził się przed świtem. Jessie spała u jego boku, owinięta w pogniecione prześcieradło, spod którego wystawał różowy sutek oraz kawałek zgrabnej stopy. Samo patrzenie na tę półnagą dziewczynę w pomiętej pościeli sprawiało, że znów twardniał. Chciał jej znowu i wiedział, że zanim opuści łóżko będzie ją miał. Zapłacił za prawo do jej ciała swoim nazwiskiem i majątkiem, a mimo to przeszkadzał mu ten ciągły, niezaspokojony głód Jessie.

Przeszkadzała mu świadomość, że gotów jest posunąć się tak daleko, by trzymać ją z dala od Miltona. Obawiał się, że za bardzo mu zależy, a tego chciał za wszelką cenę uniknąć.

W jego życiowych planach nie było miejsca na miłość do kobiety. Wiedział aż za dobrze, z jakim bólem może się to wiązać. Był świadkiem rozpaczyci ojca po stracie żony, którą opłakiwał ponad dwadzieścia lat. Jego macocha też cierpiała. Kochała markiza z całego serca, ale on nigdy nie odwzajemnił tego uczucia. Nie potrafił zapomnieć kobiety swojego życia. W końcu druga markiza umarła będąc zgorz-

niałą, niecierpiącą mężczyzn kobietą, żałującą, że w ogóle wyszła za mąż.

Matthew przyglądał się Jessie śpiącej tak spokojnie w jego łóżku. Jego żona. Któregoś dnia da mu syna, kolejnego dziedzica Belmore. Zadbaj o nią, dokładnie tak, jak życzył sobie tego ojciec, będzie ją zaspokajał w łóżku, w miarę możliwości spełniał jej kobiece zachcianki i postara się być dobrym mężem. Poza tym będzie zachowywał dystans i panował nad emocjami, jak zwykł robić to do tej pory. Przez jakiś czas Jessie Fox była jego prawdziwą zmorą, ale te czasy już minęły. Chciał zacząć wszystko od początku.

Matthew wyciągnął rękę, założył jej złoty pukiel za ucho i pocałował delikatnie jego płatek. Jessie wyprężyła się przez sen, odsłaniając piersi i Matt poczuł, że jego podniecenie narasta. To jego żona i miał zamiar się nią cieszyć. Teraz, gdy miał już ustalony cały plan postępowania, myśl ta wydała mu się nawet jeszcze bardziej atrakcyjna.

Uśmiechnął się do siebie, schylił głowę i wziął w usta różowy sutek.

* * *

Pierwszy tydzień małżeństwa przerodził się w kolejny. Choć Jessie miała nadzieję, że będą spędzać cały czas razem, widywała męża sporadycznie. Zwykle wstawał jeszcze przed świtem i wracał dopiero po zmierzchu. Zawsze ciężko pracował. Nie powinna była się spodziewać, że małżeństwo to zmieni, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że dystansował się od niej celowo, że nie chciał za bardzo się zbliżyć.

Wmawiała sobie, że to jego oddalenie z czasem zmaleje. Pewnie był po prostu niepewny swoich

uczuciu, lub jej uczuć. Tak czy inaczej, jedyne przyjemne chwile, które spędzali razem, ograniczały się do łóżka, miejsca, w którym był ogromnie wprawny i pozbawiony choćby odrobiny pruderii.

Czasem pragnęła, żeby w ogóle nie musieli opuszczać prywatnych apartamentów.

Najwyraźniej Matthew nie podzielał tej opinii. Jeszcze przed świtem wyjechał na spotkanie z Jamesem Bartлетtem, by omówić z nim sprawę zwiększenia plonów zboża. Jessie wysłała Anne i dziecku koszyk świeżo upieczonego chleba, a gdy wzeszło słońce udała się do prowizorycznej szkółki.

Było późne popołudnie, dzieci już dawno wróciły do domów, gdy usłyszała kroki męża. Siedziała właśnie przy biurku, przygotowując lekcję na następny dzień. Wszedł do środka i zatrzymał się dopiero dwa kroki od niej, po przeciwległej stronie biurka.

- A więc tu się ukrywasz. - Wyglądał na nieco spiętego i zastanawiała się, co chodzi mu teraz po głowie.

- Dzień dobry, wasza lordowska mość.

- Tak, bardzo dobry - odparł nie odrywając wzroku od jej twarzy. Był w jego oczach jakiś dziwny blask, którego nie potrafiła zdefiniować.

- Jak udało się spotkanie z Jamesem Bartлетtem? - zapytała, gniotąc nerwowo skrawek sukni.

- Bardzo się udało. - Jego głos stał się nieco szorstki. - Kazał złożyć ci najszczerze podziękowania, że pomogłaś jego żonie przy skomplikowanym porodzie.

Jessie oblała się rumieńcem. Wielkie nieba, nic dziwnego, że wydawał się zdenerwowany. Młoda, niezamężna kobieta asystująca przy porodzie - miała nadzieję, że się o tym nie dowie.

- Tak... Cóż... Nie ma potrzeby dziękować. Cieszę się, że mogłam pomóc.

- Ja też się cieszę - rzekł miękko ku jej zaskoczeniu.

- Naprawdę?

- Tak. - Obszedł biurko i wziął w ręce jej dłoń. - I bardzo cię przepraszam.

- Przepraszasz? Za co?

- Za to, jak cię potraktowałem tamtego dnia, Jess. Za te wszystkie okropności, które powiedziałem. - Pocałował ją na przeprosiny w czubek dłoni. Wreszcie zdjął maskę, za którą krył się od ponad tygodnia. Spojrzał jej w oczy. - Gdyby ojciec o tym wiedział, pewnie kazałby mnie wychłostać.

Jessie zrobiło się ciepło w środku i poczuła nagły przypływ nadziei.

- Chciałam wtedy, żebyś zobaczył we mnie prawdziwą damę. Przygotowywałam się do tego spotkania od tygodni. W końcu wyszło z tego niezłe zamieszanie.

Uniósł jej dłoń i znów złożył na niej delikatny pocałunek.

- Może na początku tak, ale w słusznej sprawie. Szkoda tylko, że mi o niczym nie powiedziałaś.

Wpatrywała się w jego oczy, niebieskie jak wieczerne niebo.

- Bałam się, że będziesz zszokowany.

Uśmiechnął się i w kącikach oczu pojawiły się delikatne zmarszczki.

- Może byłem... troszeczkę. Ale to chyba zawsze najbardziej mi się w tobie podobało.

Jessie zaśmiała się, gdy przyciągnął ją do siebie. Pochylił głowę i złożył na jej ustach pocałunek, czuły, miękki, delikatny. Pocałunek, który sprawił, że ugięły się pod nią nogi.

- Kiedyś zastanawiałem się jak by to było kochać się z tobą właśnie tutaj - wychrypiał. - Na tym biurku i na tych wszystkich papierach.

Jessie zerknęła w stronę drzwi i zauważyła, że są zamknięte na klucz.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Znów rzuciła okiem na drzwi.

- Chyba nie zamierzasz...?

Matt uniósł ciemnożółtą brew.

- Nie zamierzam? Już chyba najwyższy czas na za-
dośćuczynienie za to, że spłoszyłem konia, który
zrzucił cię prosto w błoto.

Uśmiechnęła się szeroko i przycisnęła dłonie
do jego torsu.

- A więc wreszcie przyznajesz, że to twoja wina!

- Przyznaję - rzekł i przechylił ją sobie przez ra-
mię. - Jak powiedziałem, muszę ci to jakoś zrekom-
pensować.

Złapał wargami jej usta i równocześnie objął ją
w talii, uniósł i posadził na krawędzi biurka.

Jessie westchnęła, gdy rozpiął jej suknię, uwolnił
piersi i zaczął je delikatnie masować. Drażnił jej sut-
ki, ssał je, pieścił ustami. Jessie jęknęła, gdy poczuła
gorące iskierki tańczące w jej wnętrzu. Nawet nie za-
uważyła, że stał już między jej nogami i unosił jej
spódnicę i owijał ją wokół talii.

Odchylił do tyłu jej głowę, obsypywał deszczem
pocałunków szyję i ramiona, a po chwili uklęknął
przed biurkiem.

- Matthew...? - Jessie jęknęła, gdy pieścił dłońmi
jej podbrzusze i przycisnął usta do pulsującego
kwiatu jej kobiecości. - Dobry Boże... - Czuła jego
ciepły oddech, język penetrujący jej wnętrze. Sma-
kował ją tam i ssał, dopóki jej oddech nie przero-
dził się w urywane sapanie. Pojękiwała cicho i wy-
gięła się w łuk. Matt nie przestawał, pieścił ją deli-
katnie, sprawiając, że wiła się z rozkoszy. Czuła, jak

narasta w niej słodkie napięcie. Jej ciało naprężyło
się i wraz z ostatnią gorącą falą przyszło gwałtowne
rozładowanie.

Przycisnął ją do biurka, odpiął bryczesy i zagłę-
bił się w jej ciało. Był gruby i twardy, wypełnił ją
całkowicie, rozpalał ją tak, że krzyczała jego imię.
Przylgnęła do niego, gdy zanurzał się w nią ryt-
micznie. Z każdym pchnięciem wlewał w nią nowy
ogień. Szczytowali razem, ich ubrania były wilgot-
ne od potu, a ciała zmęczone i odrętwiałe. Mat-
thew pomógł zejść Jessie z biurka i przytulił moc-
no do siebie.

Przeczesał dłonią jej włosy.

- Mówiłem szczerze, Jess. Naprawdę przepraszam
za moje zachowanie tamtego dnia. Jestem z ciebie
dumny, że miałaś tyle odwagi, by pomóc Anne
przy porodzie.

Łzy zakręciły się jej w oczach. Otarła je wierzchem
dłoni. *Kocham cię*, chciała powiedzieć. *Zawsze cię
kochałam.*

Ale było jeszcze za wcześnie. Bała się jego reakcji.
Bała się, że może się domyślić, do czego się posunę-
ła, by doprowadzić do tego ślubu. Dlatego po prostu
wspięła się na palce i pocałowała go, szczęśliwa, że
jest jego żoną, że tak jej pożąda. Na razie musiało jej
to wystarczyć.

* * *

Minał kolejny tydzień. Viola przybyła dwa dni te-
mu, a teraz przyszła wiadomość od papy Reggiego,
że zjawi się lada dzień. Trzy dni później jego powóz
podjechał pod drzwi frontowe Belmore Hall.

- Widzę, że wyglądacie nie najgorzej - oznajmił
pierwszego dnia po powrocie podczas kolacji. - Nie

pozabijaliście się nawzajem. Pokojówka mówi, że nie miała wielu okazji, by ścielić łóżko swojej pani. Chyba więc jednak pasujecie do siebie bardziej, niż myśleliście.

Jessie spaşowiała. Gdy spojrzała kątem oka na Matthew, zauważyła na jego twarzy szelmowski uśmiech.

- Nie sądę, ojcze, by nasze dopasowanie pod tym względem kiedykolwiek było problemem. Myślę jednak, że zadowoli cię wiadomość, że odkryliśmy także inne wspólne zainteresowania.

Jessie uniosła głowę.

- Masz na myśli dzieci? Opowiesz im o życiu na pokładzie statku?

Pytała go już o to, ale jeszcze nie odpowiedział.

- Pomówię z nimi, jeśli takie masz życzenie. Ale miałem na myśli twoją szklarnię.

- Moją szklarnię? A o co chodzi?

- Nie wiedziałas, że gdy byłem małym chłopcem, sadzenie kwiatów należało do moich ulubionych rozrywek? Niezbyt męskie zajęcie, przyznaję, ale uwielbiałem to. Teraz, gdy cię obserwuję, stwierdzam, że wciąż to uwielbiam.

Papa Reggie odchrząknął i rzekł:

- Nie widzę nic dziwnego w tym, że syn właściciela ziemskiego kocha glebę. Cieszyły mnie twoje zainteresowania. Wciąż mnie cieszą.

- Jak się miewa lady Bainbridge? - spytał Matthew, zmieniając temat, i tym razem markiz wyglądał na zawstydzonego.

- Wspaniale, jak zwykle. Ta kobieta to skarb. Nie wiem dlaczego tyle czasu to do mnie docierało.

Matthew i Jessie uśmiechnęli się jednocześnie. Ich oczy spotkały się i przeszły między nimi jakieś ciepłe prądy.

Być może wieczór ciągnąłby się dłużej w tej przyjemnej atmosferze, gdyby w tym momencie nie zjawił się Ozzie.

- Przybył gość - ogłosił hrabiemu nieco zaniepokojony. - Właściwie to dwóch gości. Obaj wyglądają dość podejrzanie. Nie wpuściłbym ich, gdyby nie to, że jeden dżentelmen podaje się za brata jej lordowskiej mości.

Jessie znieruchomiała. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Zerwała się na nogi niemal równocześnie z Matthew. Zaraz po nich wstał papa Reggie.

- Ojcze, zostańcie tu z Jessie - nakazał Matthew. - Zajmę się Dannym Foksem.

- Idę z tobą - rzekła Jessie. - Danny to mój brat.

Matthew chciał zaprotestować, ale przemknęła obok niego i opuściła pomieszczenie.

Jej brat rozsiadł się wygodnie w salonie na kanapie, którą mu wskazano. Na widok siostry podniósł się ociężale.

- Cóż... Czyż to nie hrabina we własnej osobie?

Jessie zamarła, wytracona z równowagi, jak zawsze w jego obecności. W pierwszej chwili nie dostrzegła jego towarzyszkę skulonej w rogu sofy. Była to mała dziewczynka w pogniecionych, podartych ubraniach, z maleńkim przybrudzonym noskiem i paluszkami wystającymi z dziurawych rękawiczek. Na jej widok coś ścisnęło ją w gardle. Zmusiła się, by spojrzeć na brata.

- Witaj, Danny.

- Jestem zaskoczony, że cię widzę, Fox - rzekł Matt wchodząc do pokoju. - Wydawało mi się, że wyraziłem się jasno. Ostrzegałem cię, byś nigdy więcej nie zbliżał się do Jessiki.

Po raz pierwszy dostrzegła na twarzy brata cienką bliznę biegnącą od szczęki przez gardło i zagłę-

biającą się w kołnierzu. Pamiątka po bójce, którą stoczyli na jarmarku. To z pewnością poważne ostrzeżenie.

Wtedy Matthew dostrzegł dziecko. Choć wyglądała jak urwis, brudna, drżąca z zimna, jej jasne włosy i błękitne oczy wyraźnie czyniły z niej mniejszą, niemal lustrzaną kopię Jessie.

- Kto to jest? - zapytał, ale Jessie już wiedziała.

- Mała Sara. Moja córka. - Danny wskazał na dziewczynkę. Słodka mała. Jest ze mną, odkąd trzy tygodnie temu umarła jej mama. Taki ktoś jak ja nie nadaje się do wychowywania dzieci. Pomyślałem sobie, że może siostra mogłaby mi pomóc, w końcu jest teraz hrabiną... A wiem, jak zawsze świetnie radziła sobie z maluchami.

Dziewczynka siedziała nieruchomo na kanapie i patrzyła przed siebie wielkimi oczami. Danny pogłaskał ją po główce, wygładzając jej jasne włoski. Jessie zdawało się, że mała wzdrygnęła się przed tym gestem, ale odruch był tak niewielki, że nie miała pewności, czy rzeczywiście miał miejsce.

Bojąc się spojrzeć na Matthew, Jessie podeszła do dziewczynki.

- Ile ma lat, Danny?

Uklękła przy niej i owinęła ją mocniej brudnym, wełnianym kocykiem, ale dziecko nie przestawało drżeć.

- Chyba ze cztery - wyszczerzył się w uśmiechu. - To przez małą Sarę wplątałem się w całe to małżeństwo. Ojciec Mary przyłapał nas w stodole. Wtedy była już w trzecim miesiącu, no i musiałem zapłacić za tę przyjemność. - Przerazająco żółte oczy spoczęły na Matthew. - Dokładnie tak, jak pan hrabia.

Matthew zrobił ostrzegawczy krok do przodu, ale ojciec przytrzymał go za ramię.

- Rozumiem, że chciałbyś zostawić dziecko u nas - rzekł markiz i Jessie spojrzała na niego z nadzieją. Nie wyobrażała sobie zostawienia małej pod opieką Danny'ego Foksa. Nie nadawał się do wychowywania dzieci. Zbyt często uciekał się do przemocy. Jessie doświadczyła tego na własnej skórze.

- Miałem nadzieję, że siostra mi pomoże, w końcu jest jej ciotką, i w ogóle... Mała Sara nie sprawi dużo kłopotu. Będzie robić wszystko, co jej się każe, a poza tym niewiele mówi. Praktycznie wcale się nie odzywa.

Jessie zdążyła to zauważyć. W trakcie całej rozmowy dziewczynka siedziała w milczeniu i wpatrywała się w Jessie, jakby ujrzała większą wersję samej siebie.

- Mama? - powiedziała w końcu i wyciągnęła do góry małe rączki, próbując dotknąć jej złotych włosów. Jessie poczuła nagłe wzruszenie. Z trudem powstrzymała łzy napływające do oczu.

- Matthew? - rzekła zwracając się w jego stronę. Serce waliło jej boleśnie w piersi, jakby miało zaraz z niej wyskoczyć.

- Musimy porozmawiać, Jessie.

Skinęła w milczeniu głową, pełna nadziei i lęku jednocześnie. Gdy opuszczali salon, zerknęła kątem oka na papę Reggiego, ale nie potrafiła niczego wyczytać z jego niewzruszonej twarzy. Po powrocie z Londynu dał bardzo jasno do zrozumienia, że od teraz Matthew jest głową rodu. Jego postanowienia były święte. Markiz nie będzie w nie ingerował.

Taka decyzja wymagała ogromnej dojrzałości i mądrości. Szanowała go za to. Teraz jednak zdecydowanie bardziej wolałaby rozmawiać na ten temat z nim niż z własnym mężem. Nie miała pojęcia, co Matthew myślał o wychowywaniu cudzego dziecka.

Czuła jego pewną dłoń na swojej talii, gdy prowadził ją do gabinetu i zamykał za nimi drzwi. Przez dłuższą chwilę nie mówił nic. Przyglądał się tylko pełnej napięcia twarzy żony.

- Po raz pierwszy Fox mówi prawdę. Ta dziewczynka to z pewnością twoja bratanica. Podobieństwo jest niezaprzeczone.

- Tak... - Jessie zwilżyła usta. - Viola znała moją matkę. Powiedziała, że jako dziewczynka wyglądałam dokładnie jak ona.

- Jej obecność tutaj skomplikuje sprawę twojej przeszłości. Trzeba będzie wymyślić nowe kłamstwa. Trzeba będzie wtajemniczyć więcej osób... nie mówiąc już o odpowiedzialności, jaką weźmiesz na siebie jako zastępcza matka tej małej. - Spojrzył na nią surowo. - Bo właśnie o tym myślisz, prawda? Chcesz ją wychować sama?

Uniosła dumnie głowę. Napięcie nie opuszczało jej ani na chwilę.

- Brat będzie ją traktował strasznie. Jestem pewna, że już to robi. Bił mnie przy każdej sposobności. Kiedyś złamał mi żebro. Innym razem podbił mi oko. Często... - Przerwała, gdy dostrzegła przerażenie na jego twarzy, które szybko przerodziło się we wściekłość.

- Powinienem być użyć tego noża nie tylko jako ostrzeżenia - wycedził przez zęby, a jego dłoń zacisnęła się w pięść.

- Teraz nie ma to już znaczenia. Wspominam o tym tylko przez wzgląd na małą Sarę. Skręca mnie na samą myśl o tym, że ktoś traktuje w ten sposób małe dziecko. Zwłaszcza jeśli to dziecko jest moją bratanicą.

- Nie - rzekł Matthew, podchodząc do żony. Pogłaskał ją delikatnie po policzku. - Ta mała nie mo-

że zostać z twoim bratem. Ale istnieją inne sposoby, by jej pomóc. Pozostaje pytanie, czy chcesz ją zatrzymać tutaj?

Jessie spojrzała mu prosto w oczy z nadzieją i miłością.

- Dom jest taki duży, a ona taka maleńka. Nawet nie zauważysz, że tu jest. Może się bawić z dziećmi w szkole, a Vi pomoże mi się nią zająć. Dopilnuję, by nie wchodziła ci w drogę. Matthew, jeśli pozwolisz jej zostać, obiecuję, że nie pożałujesz tej decyzji.

Jak mógłby żałować? Matt spojrzał w te błagalnie wpatrzone w niego błękitne oczy i wiedział, że jeśli da to Jessie szczęście, on też tego pragnie.

Myśl ta wytrąciła go z równowagi. Nie chciał tego rodzaju zaangażowania z kobietą. Obiecał sobie, że zachowa dystans i miał zamiar dotrzymać danego sobie słowa.

Zależało mu na Jessie i to aż za bardzo. Teraz znów jej ustępował i godził się na wychowanie laturośli jej nic niewartego brata. Ludzie będą spekulować na temat małej, zaczną coś podejrzewać, skoro do tej pory nikt nie wspominał nawet słowem o żadnym dziecku.

Z drugiej jednak strony, nie jest to zwykłe dziecko, a nie licząc Danny'ego Foksa, Jessie to jej jedyna rodzina.

Matt chrząknął.

- Mała może zostać - powiedział ochryplym głosem - ale Fox ma stąd zniknąć raz na zawsze.

To rzekłszy otworzył z impetem drzwi i skierował się do salonu.

Markiz siedział obok dziewczynki i przemawiał do niej ciepło. Mattowi przemknęła przez głowę myśl, że może ojciec też będzie zadowolony z obecności małej. Utkwił bezlitosny wzrok w Dannym

Foksie, ale nie odzywał się tak długo, że chudy mężczyzna zaczął wiercić się niepewnie pod jego palącym spojrzeniem.

- Twoja córka może tu zostać pod jednym warunkiem.

- Zaraz, zaraz... - Fox zerwał się na równe nogi, a ton jego głosu stał się nagle agresywny. - Nic nie wspomniałem o tym, że chcę ją tu zostawić. Powiedziałem tylko, że liczę na siostrzaną pomoc.

Matt nie odrzekł ani słowa. Wpatrywał się tylko intensywnie w Danny'ego. Wiedział, że Fox przyszedł po pieniądze. Wiedział, że siostra ma dobre serce i jak tylko zobaczy dziecko, będzie chciała je chronić.

- Ile?

Oczy Danny'ego zabłyśły triumfalnie.

- Tysiąc funtów.

- Dam ci pięćset. Ani pensa więcej. Weźmiesz pieniądze, a twoja noga więcej nie przestąpi progę tego domu.

- Cóż, wasza lordowska mość... Prosi pan człowieka, by porzucił własne dziecko.

- Ja nie proszę, ja oznajmiam. Albo bierzesz pieniądze, albo małą. - Zignorował zduszony jęk, który wydobył się z gardła Jessie. - Tak czy inaczej, twoja noga więcej tu nie postanie. Wybór należy do ciebie. Jak więc będzie?

Na twarzy Danny'ego pojawił się zimny uśmiech.

- Forsa, wasza lordowska mość. Trzeba zrobić to, co najlepsze dla własnego dziecka. Bez względu na cierpienie.

Matt uśmiechnął się półgębkiem.

- Tak właśnie myślałem. - Skierował się ku wyjściu. - Zostaw dziecko i chodź ze mną.

Minał Jessie i udał się do swojego gabinetu. Wypisał czek i wcisnął go Foksovi do ręki. Kilka minut

później zatrzasnął za nim drzwi frontowe i obserwował przez okno jak chuda postać znika w mroku nocy, zastanawiając się, dlaczego wcale nie odczuwa ulgi.

* * *

Jessie siedziała na środku szkolnej sali. Naprzeciwko niej sześć główek pochylało się nad swoimi tabliczkami, a siódma, najmniejsza blond czuprynka, siedziała wpatrując się prosto przed siebie. Przez cztery godziny Sara nie wykonała żadnego ruchu.

Jessie obserwowała ją z żalem ściskającym serce. Dziewczynka była taka smutna, taka samotna. Podczas gdy pozostali rozwiązywali swoje zadania, Jessie podeszła do małej, wzięła ją za rączkę i wyprowadziła z budynku na słońce. W powietrzu unosiła się jeszcze chłodna poranna mgła, ale dzień zapowiadał się ciepło. Mimo to Sara obejmowała się kurczowo rączkami, ściskając nową, żółtą, muślinową sukienkę jak swój największy skarb.

- Pięknie tu, prawda, Saro?

Sara nie odpowiedziała. Od przybycia do Belmore wypowiedziała tylko to jedno słowo. *Mama?* Jakby to było pytanie, jakby nie rozumiała, dlaczego Jessie jest do niej tak podobna. Potem znów zamknęła się w swojej skorupce. Nie odzywała się do nikogo, udawała, że nie widzi, co dzieje się dookoła.

Ale widziała.

Od czasu do czasu Jessie dostrzegała w jej oczach iskierkę, która pojawiała się za każdym razem, gdy mała odkrywała coś nowego, coś cudownego. Tak jak tego ranka, gdy Matthew przywiózł dla niej od krawcowej pierwszą nową sukienkę. Jessie zamówiła ich kilkanaście, ale na razie tylko ta jedna została wy-

kończona. Do dziś Sara nosiła ubrania pożyczone od dzieci służby, czyste, choć już nieco znoszone.

Nawet te stroje zostały obdarzone kilkoma delikatnymi dotknięciami i ujmującymi uśmiechami - gdy mała była pewna, że nikt nie patrzy. Przez resztę czasu jej myśli pozostawały nieodgadnione.

- Jak ona się miewa, panienko Jessie? - Podszedł do nich Simon Steward, najstarszy z jej uczniów. Dzieci wciąż zwracały się do niej „panienko”, choć była pewna, że Matthew by tego nie pochwalał. - Skończyłem już zadanie. Zobaczyłem, że wychodzi pani z małą Sarą.

- To wszystko jest dla niej bardzo nowe. Pewnie tęskni za mamą. Chyba nie do końca rozumie, co się wokół niej dzieje.

- Dlaczego jej pani tego nie wyjaśni? Dzieci są mądrzejsze, niż się dorosłym wydaje.

Jessie uśmiechnęła się do niego.

- Powiedziałam jej, Simonie. Ale chyba mi nie uwierzyła.

Patykowaty młodzieniec uklęknął przy dziewczynce. Dzieci od razu ją polubiły, w jakiś sposób wzruszone strachem, który tak uparcie pielęgnowała w sobie.

- Panienska Jessie zawsze mówi prawdę, Saro. Ona bardzo kocha dzieci. Każde z nas chciałoby mieć taką mamę jak ona. Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście.

Jessie oblała się rumieńcem. Cudownie było usłyszeć, że im zależy.

- Dziękuję ci, Simon.

Patrzyła jak odchodzi i zastanawiała się, ile osiągnęła od momentu, gdy otworzyła tę szkółkę. Spojrzała w dół na dziewczynkę, której wielkie oczy wciąż wpatrywały się w chudą postać młodzieńca.

- To dobry chłopiec. Prawda, Saro?

Sara patrzyła jak znika, ale nie zareagowała na słowa Jessie.

- Co powiesz na jakąś przekąskę? - spytała i dostrzegła niewielką iskierkę zainteresowania w błękitnych oczach małej. - Pójdziemy do kuchni, jak tylko wszystkie dzieci skończą zadania.

Sara milczała. Jessie schyliła się, uniosła ją i oparła sobie na biodrze. Małe rączki objęły ją za szyję i serce Jessie ścisnął niewysłowny żal. Chyba po raz setny przekłęta w duchu brata. Myślała o bliznach na plecach i nogach dziewczynki, na które patrzyła co noc, kładąc ją do łóżka, i wiedziała doskonale, co Danny robił z małą, by ją nastraszyć.

Po plecach przeszedł ją zimny dreszcz. Przytuliła Sarę mocno do siebie, przejęta nagłym strachem na myśl o tym, co by było, gdyby Danny znów położył na niej swoje łapska. Poprzysięgła sobie, że nie pozwoli mu się zbliżyć do małej nawet na krok, ale strach nie mijał. Zawisł jak cień nad dopiero wstającym słonecznym dniem.

Rozdział 16



Nie mogli się wiecznie ukrywać przed skandalem. Tak przynajmniej twierdził papa Reggie.

Podczas pobytu w Londynie udobruchał księcia obietnicą pokrycia wszystkich wydatków związanych z przygotowaniem do ślubu, a była to okazała sumka. Następnie w imieniu Jessie markiz zwrócił pierścionek zaręczynowy, a w imieniu Matthew подарował księciu świetnie rokującego pięknego karego konia wyścigowego czystej krwi. Po tym wszystkim książę niechętnie zgodził się na zaniechanie pomysłu pojedynku, na który planował wyzwać Matta, a nawet obiecał, że nie będzie utrudniał życia nowożeńcom, gdy znów pokażą się na salonach.

- Teraz problem polega na tym - rzekł markiz, gdy siedzieli w pokoju śniadaniowym wychodzącym na ogrody - żeby znów dać się ponieść głównemu nurtowi. - Podrapał się w brodę. - Wesele w Belmore byłoby na początek świetną ku temu okazją.

Jessie spojrzała na Matthew, który nagle spochmurniał, a potem znowu na papę Reggiego po przeciwnym końcu stołu.

- To chyba nie jest dobry pomysł, papo Reggie. Może powinniśmy poczekać, aż emocje opadną i sprawy same się uspokoją.

- Bzdura. Im dłużej będziemy czekać, tym trudniejsze będziemy mieć zadanie. Urządzimy skromną uroczystość. Żadnej ekstrawagancji. Przyjęcie w ogrodzie dla dzierżawców, kolacja i bal dla właścicieli ziemskich, miejscowych dziedziców i tych spośród arystokracji, których zdołamy przekonać, by przyszli. Osobiście powiadomię lorda Lansdowne. Jeśli wraz z lady Caroline zgodzą się przyjść, powrót do łask będzie dla nas znacznie łatwiejszy.

Jessie poczuła, że robi jej się niedobrze.

- Winstonowie z pewnością odmówią - rzekła.

- Przyjdą - odparł markiz. - Możesz być tego pewna. - Uśmiechnął się z determinacją, która przypominała jej determinację Matthew. - Winston House jest obciążony u mnie drugą hipoteką. Hrabia zrobi wszystko, by nikt się o tym nie dowiedział. Nie ośmieli się odmówić.

- Matthew? - Jessie zwróciła się do męża. Wiedziała, że ostatnie słowo należy do niego.

Upił łyk kawy i odstawił filiżankę z brzękiem na spodek.

- Myślę, że ojciec ma rację. Musimy myśleć o przyszłości. W grę wchodzi reputacja Belmore. Zrobimy tak, jak proponuje.

Przygotowania do uroczystości ruszyły pełną parą już następnego dnia. Jessie nie była zaskoczona, gdy lady Bainbridge przyjechała, by im pomóc. Wręcz przeciwnie, nawet jej ulżyło.

Markiz zdawał się młodnieć w oczach, gdy hrabina była w pobliżu. Siedząc w salonie lady Bainbridge klepała pokrępiąco markiza po ramieniu.

- Jak zwykle, mój drogi, masz genialne pomysły. To w bardzo dobrym guście urządzić z okazji ślubu niewielką uroczystość na wsi dla sąsiadów i przyjaciół. To świetna okoliczność, by nowożeńcy zaczęli drogę powrotną do owczarni.

Jednak Matthew wyraźnie się z tego nie cieszył. Jessie przypuszczała, że był zażenowany skandalem, który wywołał. W końcu przez lata był przykładnym oficerem marynarki. Ale może chodziło o coś innego. Obawiała się, że mogło mieć z tym coś wspólnego niedawne spotkanie z lady Caroline. Może wciąż nie jest mu obojętna albo nawet ją kocha?

Kiedyś przyznał, że to nieprawda, ale wtedy jeszcze planował ją poślubić. Od tamtego czasu dużo się zmieniło. Może skrywane do tej pory uczucie do niej teraz dało o sobie znać.

Jessie przygryzła wargę, modląc się, żeby to nie była prawda. Matthew należał do tych mężczyzn, którzy nie okazują uczuć. Nie wiedziała, co tak naprawdę czuje, może tylko poza tym, że wciąż pozostawał uparty i zarozumiały.

Ot, na przykład, w sprawie strojów. Wyraźnie dał do zrozumienia, że pod żadnym pozorem nie zgodzi się, żeby którakolwiek z jej sukien miała za mocno wycięty dekolt.

- Nie interesuje mnie aktualna moda - upierał się.
- Nie pozwolę, by jacyś lalusie z Londynu gapili się na twoje piersi.

Jessie zeszywniała.

- Ależ to niedorzeczne, Matthew. Każda kobieta z towarzystwa...

- Nie obchodzi mnie, co robią inne kobiety. Do diabła z nimi! Obchodzisz mnie ty. Jestem panem tego domu, jestem też twoim panem i będziesz robiła to, co ci mówię. - Wymaszerował z pokoju,

pozostawiając Jessie sam na sam ze swoją wściekłością.

Nie odzywała się do niego przez resztę dnia, ignorowała go przy kolacji, ale gdy udała się na spoczynek, zastała go na górze, chodzącego po jej sypialni.

- Jak widzę, wciąż jesteś na mnie zła - rzekł, przyglądając się jej twarzy - ale nasze sprzeczki nie powinny mieć żadnego wpływu na to, co dzieje się między nami tutaj. - Chcąc udowodnić swoją rację przyciągnął ją do siebie i pocałował tak namiętnie, że kompletnie zapomniała o złości. Bezwiednie odwzajemniła pocałunek i nawet się nie zorientowała, gdy zaniósł ją do łóżka.

Po kilkunastu minutach miłosnych uniesień przytuliła się do niego i stwierdziła, że nie ma większego znaczenia, czy jej suknia będzie ostatnim krzykiem mody, czy nie.

Innym razem posprzecziali się o jej wycieczkę na wieś. Minęły tygodnie, odkąd Jessie odwiedziła dzierżawców Belmore. Tęskniła za nimi i chciała sprawdzić, jak im się wiedzie.

- A dokąd ty się wybierasz? - Matt podszedł do niej, gdy przygotowała w stajni konia.

- Przecież ci powiedziałam. Jadę odwiedzić kilku przyjaciół.

- Myślałem, że będzie ci towarzyszył stajenny. - Rozejrzył się wokoło. - Nie widzę tu żadnego.

- Nie jestem małym dzieckiem, Matthew. Potrafię sama utrzymać się na koniu.

- Może nie jesteś, ale zachowujesz się jak dziecko. Albo weźmiesz ze sobą stajennego, albo nigdzie nie pojedziesz.

- Matthew...

- Przykro mi, Jess. Nie wiesz nawet, jakie mogą na ciebie czyhać niebezpieczeństwa. Samotna kobie-

ta to zawsze świetny temat do plotek. A tych chyba nam już wystarczy.

Nawet się nie wysilała, by mu przypomnieć, że ostatnio to on dostarczał tematów do plotek.

- Każdy potrzebuje trochę czasu dla siebie, Matthew. Lubię samotne przejażdżki po Belmore. Mam zamiar kontynuować ten zwyczaj.

To rzekłszy, wspięła się szybko na damskie siodło. Równie szybko Matthew wyciągnął ręce i ściągnął ją na dół.

- Pojedziesz ze stajennym albo wcale. Jak będzie?

Zalała ją wściekłość tak wielka, że aż szpicruta zadrażała jej w dłoniach.

- Jesteś moim mężem, Matthew, a nie strażnikiem więziennym.

Matthew pozostał niewzruszony.

- Wybór należy do ciebie, Jessie.

- Niech cię szlag!

Kącik jego ust uniósł się w uśmiechu.

- Myślałem, że już nie przeklinasz.

- Przez ciebie nawet święty zacząłby kłać.

Nagle zrobił krok do przodu i przycisnął się do niej całym ciałem.

- Może najlepiej będzie, jak zostaniesz w domu. W siodłami zauważyłem świeże siano. Jeśli zamkniemy drzwi, moglibyśmy je wykorzystać do ściśle niemoralnych celów.

- Matthew!

Przycisnął się do niej jeszcze bardziej i poczuła na udach, jak rośnie jego podniecenie.

- A na belce - rzekł po chwili - widziałem przewieszzone siodło. Z łatwością mógłbym cię na nie posadzić, podwinąć suknię i...

- Och... Jesteś podły!

Pocałował ją w szyję.

- Zapomnij o przejażdżce, Jessie. Zostań ze mną.

Wiedziała, do czego zmierza, a mimo to zadrzała, prawie gotowa mu ulec. Chciała zobaczyć Anne i jej dziecko...

- Dobrze, Matthew. Wygrałeś. Jimmy możejechać ze mną.

Uśmiechnął się szelmowsko i musnął wargami jej usta.

- Czy jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

Serce waliło jej w piersi jak oszalałe, na policzki wstąpił gorący rumieniec. Spojrzała w dół, dostrzegając twarde wybrzuszenie w jego bryczesach i wcale nie była taka pewna.

- Jestem pewna, wasza lordowska mość.

Matthew zaśmiał się cicho, jakby czytając w jej myślach. Pozwoliła mu pomóc sobie wsiąść na siodło i patrzyła jak odchodzi, by przywołać Jimmy'ego Hopkinsa, najmłodszego ze stajennych w Belmore.

- Matthew? - zawołała za nim.

- Tak, kochanie?

- Jesteś podły.

Zaśmiał się triumfalnie, zadowolony, że udało mu się dopiąć swego. Jak zawsze.

Cóż, nawet mimo wad Matthew był dobrym mężem. Kochała go z każdym dniem coraz bardziej i nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłaby go stracić.

Nigdy jednak nawet słowem nie wspomniał, co do niej czuje i zawsze starał się utrzymywać między nimi dystans. Teraz znów spotka się z Caroline Winston. Caroline była jej dokładnym przeciwieństwem, kiedy więc Matthew zobaczy je obok siebie, różnica ta będzie aż nazbyt oczywista. Może wesele to powrót do towarzystwa konieczny dla hrabiego i hrabiny Strickland, ale Jessie obawiała się tej uroczystości z całego serca.

Popędziła konia i poczuła na twarzy chłodny, nieprzyjemny wiatr.

* * *

Długo wyczekiwany dzień w końcu nadszedł. Uroczystości rozpoczęły się wczesnym popołudniem rozrywkami w jednym z pobliskich miasteczek. Na festynie zjawiono się ponad pięciuset mieszkańców okolicznych wsi. Wieczorem przygotowano wykwintną kolację i rozpoczęła się wspaniała bal. Gości obsługiwało sześćdziesięciu służących. Orkiestra przygrywała do tańca w pozłacanej, wyłożonej lustrami sali balowej Belmore.

Większości gości Jessie nie znała, ale przybył też lord Pickering, kuzyn lady Bainbridge, oraz jej syn, hrabia, wysoki, postawny, srebrnowłosy mężczyzna, który ostatnimi czasy przebywał za granicą. Obecny był również Adam Harcourt, wicehrabia St. Cere, oraz hrabina Fielding, co znaczyło, że się zjawił również baron Densmore.

Na przyjęciu stawiało się także nieliczne grono wojskowych: admirał Dunhaven, starszy mężczyzna o surowych rysach twarzy, pod którego rozkazami Matthew służył kilka lat temu, kapitan Eustace Bradford, którego statek remontowano właśnie w Portsmouth, młody porucznik Wescott oraz kilku innych oficerów marynarki, przyjaciół Matthew.

Późnym wieczorem przybył Adrian Kingsland, baron Wolvermont, postawny mężczyzna, którego Jessie znała z widzenia, ale któremu nie została jeszcze przedstawiona, i po raz pierwszy tego wieczora Matt uśmiechnął się ze szczerą radością.

- Adrian! - Jej mąż wyszedł gościowi naprzeciw, szczerze uradowany na widok przyjaciela. - Ucieszy-

ła mnie wiadomość, że wróciłeś już z walk na kontynencie. Miałem nadzieję, że się zjawisz.

Urodzony jako drugi syn, podobnie jak Matthew, Adrian Kingsland był kapitanem kawalerii, już kilka razy odznaczonym za męstwo w walce. W zeszłym roku, po nagłej śmierci wuja matki, odziedziczył tytuł Wolvermont i ogromny majątek, ale jeszcze nie zrezygnował ze służby.

Przystojny baron uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Zdziwiłem się na wieść, że się ożeniłeś, ale chyba małżeństwo ci służy.

Matt się roześmiał.

- Pewnie wciąż byłbym kawalerem, gdyby nie ty. Nawet nie wiesz, jak jestem ci wdzięczny, Adrianie, tobie i twojej służbie, za pomoc. Dziękuję, Adrianie.

- Zawsze do usług, Matthew. Szkoda tylko, że mnie tam nie było.

Odwrócił się, gdy podeszła do nich Jessie, i para szmaragdowych oczu zlustrowała ją od stóp do głów. Baron był wysoki, postawny, miał ciemne gęste włosy i arogancki, zmysłowy uśmiech. Po raz pierwszy tego wieczora dziękowała w duchu, że dekolt jej sukni nie jest modnie wycięty.

Skierował swoje słowa do Matta, który jeszcze nie zauważył jej nadejścia, ale jego oczy pozostały w nią wpatrzone.

- Jeśli ta urocza istota to twoja młoda żona, przyjacielu, to rozumiem, dlaczego ukradłeś ją Miltonowi. - Po raz pierwszy ktoś ośmielił się wspomnieć farsę, którą odegrali w kościele. Matthew spojrzął na niego lekko zde gustowany.

- Podejrzywałem, że to zrozumiesz - mruknął, obejmując Jessie zaborczo w talii.

Z gardła Wolvermonta wydobył się głęboki, męski, nieco szorstki śmiech.

- Lady Strickland to sama przyjemność dla oka. - Ukłonił się szarmancko nad jej ręką. W swoim idealnie skrojonym czerwono-złotym mundurze kawalerii wyglądał pięknie i męsko.

Matthew musiał czytać w jej myślach, gdyż po kolejnych komplementach barona na jego twarzy wyraźnie pojawiło się napięcie i po krótkiej rozmowie odesłał ją do innych gości.

Jednego z nich już znała. Zamożny, młody dziedzic sir Thomas Perry, choć nie tak wysoki, w inny, nieco subtelniejszy sposób, był równie przystojny co Wolvermont. Miał jasnobrązowe włosy, orzechowe oczy, był inteligentnym młodym mężczyzną i choć Jessie nie znała go za dobrze, lubiła go i szanowała.

- Dobry wieczór - rzekł do Matthew. - Lady Strickland, cieszę się, że znów panią widzę.

- Cieszę się, że zechciał pan przyjść, sir Thomasie.

Matt zmarszczył brew, ściskając rękę młodzieńca.

- Nie sądziłem, że znacie się z lady Strickland.

- Spotkaliśmy się któregoś dnia na przejażdżce - oznajmił sir Thomas. - Lady Strickland odwiedzała właśnie niektórych dzierżawców Belmore. - Uśmiechnął się do niej ciepło. - Jej lordowska mość to naprawdę urocza kobieta.

Jessie uśmiechnęła się.

- Od tamtego czasu sir Richard już kilka razy składał wizytę w Belmore.

Surowy wzrok Matta spoczął na twarzy gościa.

- Ale nie ostatnio - stwierdził rzeczowo, zbyt rzeczowo. - Nie odkąd ja przebywam w posiadłości.

Jessie spłonęła rumieńcem, zauważając narastające rozdrażnienie męża. Sir Thomas również je wy czuł i uśmiechnął się lekko, nieco rozeźlony z powodu tej delikatnej insynuacji.

- Proszę mi wybaczyć, wasza lordowska mość. Ma pan rację. To zaniedbanie z mojej strony, że nie pojawiłem się w Belmore wcześniej. W przyszłości postaram się naprawić swój błąd. - Rzucił Jessie aż nazbyt ciepłe spojrzenie. - Przyjemnie było znów panią zobaczyć, lady Strickland. - Odwrócił się i odszedł.

Jessie spojrzała na Matthew i dostrzegła jego zaciśniętą szczękę.

- Nigdy nic nie wspominałaś o Perrym. Jak długo się znacie?

- Poznałam go zaraz po powrocie ze szkoły.

- I odwiedził cię w Belmore?

- Po prostu złożył wizytę... papie Reggiemu i mnie.

Matthew obserwował, jak zgrabna sylwetka gościa znika w tłumie.

- Ciekawy jestem, czy będzie kontynuował swoje wizyty... teraz, gdy jesteś już mężatką.

Jessie zdenerwowała złość, którą dostrzegła na twarzy męża.

- Sir Thomas zawsze był po prostu dżentelmenem. Nie zasługuje na oszczerstwa z twojej strony, podobnie zresztą jak ja. - Chętnie dodałaby coś jeszcze, ale nie był to najlepszy moment na kłótnie. - Przepraszam - rzekła. - Wydaje mi się, że lady Bainbridge idzie w naszą stronę. Chyba mnie szuka.

Matthew uśmiechnął się zimno.

- Może oboje pójdziemy pomówić z lady Bainbridge?

Caroline Winston stała obok wejścia do sali balowej i obserwowała Matthew z Jessie Fox. Obejmował ją zaborczo w tali i zaciskał szczękę za każdym razem, gdy tylko jakiś mężczyzna spojrzał w jej stronę.

Zrobiło jej się słabo. Wiedziała, że Matthew darzy uczuciem tę kobietę. Potworna scena w kościele była tego najlepszym dowodem. Mimo to bolało ją odkrycie, że od tamtej pory to uczucie nie osłabło, a wręcz przeciwnie, jeszcze się wzmocniło.

Do diabła z tobą, Jessico Fox! Obyś splotęła w ogniu piekielnym. Jak udało jej się do tego stopnia nim zawiązać? Za pomocą zmysłowego ciała, to nie ulega żadnej wątpliwości. Kusiła go jędrnymi piersiami i bardzo długimi, zgrabnymi nogami. Pewnie sama do niego poszła i oddała się mu jeszcze przed swoim planowanym ślubem. I może nawet podobobało jej się to, co Matt z nią robił... albo przynajmniej udawała, że jej się podoba.

Caroline знаła kobiety, które umiały poddawać się żądzy mężczyzn. Kobiety cielesne, ostre, ordynarne, odrażające istoty, jak Madeleine Fielding.

Choć błagała ojca, by nie przychodzili dziś do Belmore, uparł się, że córka oraz żona pojedą wraz z nim. Caroline przywitała się z Matthew i jego żoną z przesadną wręcz słodyczą, choć każde wypowiedziane słowo miało smak cierpkiej żółci.

Teraz wieczór prawie dobiegał końca i jakoś udało się jej go przetrwać. Pojutrze jej rodzina powróci do Londynu, na salony. Caroline znów poczuje się upokorzona, ale z czasem to uczucie minie. To Matthew zawinił, nie ona. Matthew i jego żona będą dźwigać brzemień tego skandalu.

Jak dotąd Caroline nie podjęła żadnych kroków przeciw kobiecie, która przysporzyła jej tyle bólu, lecz teraz, widząc Matta tak omotanego przez Jessicę Fox, po raz drugi poprzysięgła sobie działanie.

Gdy tylko wróci do Londynu, wynajmie kogoś, żeby trochę pogrzebał w historii Jessie Fox i odkrył ca-

tą prawdę. Chciała znać każdy szczegół, każdy możliwy sekret, którego można by użyć przeciwko rywalce. Musi istnieć coś takiego. Nie ma ludzi bez skazy.

Caroline obserwowała piękną blondynkę, zazdrośnie strzeżoną przez mężczyznę, który powinien być jej mężem, i czuła się tak, jakby ktoś wbijał jej w serce zimny sztylet. To niesprawiedliwe! Kiedyś znajdzie sposób, by zniszczyć Jessicę Fox.

* * *

W odczuciu Jessie wieczór stawał się coraz gorszy. Była zła na Matthew za jego zaborczość, a mimo to gdzieś w głębi serca czuła dziwne ciepło. Może zależy mu na niej bardziej, niż przypuszczała? Może zaczynał odczuwać coś więcej, oprócz czystego pożądania i męzowskiego obowiązku?

Wcześniej tego wieczora był przesadnie uprzejmy w stosunku do lady Caroline, ale nic więcej. Nie dostrzegła między nimi żadnych ciepłych spojrzeń. Oboje zachowywali się nad wyraz poprawnie.

Ale przecież Matthew i Caroline zawsze zachowywali się nad wyraz poprawnie.

Było już dobrze po północy, gdy do sali balowej wszedł ostatni gość - mała, ciemnowłosa kobietka, której rozbiegany wzrok od pierwszego momentu szukał Jessie. Gwen Lockhart promieniała w brzoskwiniowej jedwabnej sukni. Jej błyszczące loki otaczały pierścieniami śliczną twarz, a piersi wystawały z dekoltu nieco bardziej, niż przystało niezamężnej dziewczynie w jej wieku.

- Jessie! Już myślałam, że nigdy tu nie dotrę. - Spojrzała trochę nerwowo na Matthew, który stał obok żony, jak prawie przez cały wieczór. - Dobry wieczór, lordzie Strickland.

- Dobry wieczór, lady Gwendolyn - odrzekł Matthew rozglądając się dookoła. - Nie widziałem pani matki... ani lorda Waringa. Czy przybyła pani z kimś innym?

- Nie... niezupełnie. - Rzuciła Jessie błagalne spojrzenie. - Przepraszam, wasza lordowska mość czy mogłabym pomówić z Jessie na osobności? Muszę omówić z nią pewną bardzo ważną sprawę.

Matthew wciąż rozglądał się po sali, a Jessie podążała za jego wzrokiem. Ani śladu lorda ani lady Waring... ani nikogo innego, kto mógłby przyprowadzić Gwen.

- Z kim pani przyjechała, lady Gwendolyn? - Niebieskie oczy Matta przewiercały ją na wylot. Gwen zwilżyła wargi.

- Jessie? - wyszeptała.

- Matthew, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałybyśmy z Gwen...

- Obawiam się, że mam coś przeciwko temu. - Spojrzał w stronę tarasu, a jego szczeka zacisnęła się już po raz kolejny tego wieczora. Złapał Gwen za ramię i dość mocno pchnął Jessie przed siebie. - Myślę, że musimy porozmawiać. - Wyprowadził je na taras i zatrzymał się dopiero, gdy dotarli do przyziemionej części, gdzie nikt nie mógł ich usłyszeć.

- A więc, moja droga - zwrócił się do Gwen - chciałybym dowiedzieć się, z kim przyjechała tu pani z Londynu.

Gwen zeszywniała i uniosła zadziornie głowę do góry.

- Mówiłam już panu, że chciałybym pomówić z pańską żoną. Na osobności.

- Nie, dopóki nie odpowie pani na moje pytanie.

- Matthew - wtrąciła Jessie, kładąc mu rękę na ramieniu. - Może lepiej by było...

- Nie - odparł ostro i rzucił Gwen piorunujące spojrzenie. - Lady Gwendolyn, zadałem pani pytanie. Chciałbym usłyszeć odpowiedź.

- Jest pan... Jest pan tyranem, lordzie Strickland. Nie rozumiem, jak Jessica znosi ten pański despotyzm. Przysięgam, że nigdy nie wyjdę za męż... A już na pewno nie za kogoś takiego jak pan.

Matt uśmiechnął się lekko.

- Może i jestem tyranem. A teraz odpowiedz na moje pytanie.

- Dobrze. Jeśli już pan musi wiedzieć, przyjechałam sama. Wynajęłam powóz w Londynie, spędziłam noc w zajeździe i gdyby koło się nie popsuło, byłabym tu już wiele godzin temu, nie tracąc większej części wieczora. Czy jest pan teraz zadowolony?

Matthew zmarszczył brwi.

- Dlaczego? Dlaczego przyjechała tu pani sama?

- Bo wiedziałam, jakie to ważne dla Jessiki. Chciałam ją wesprzeć swoją obecnością, tak jak ona zawsze wspierała mnie. Ojczym nie chciał przyjechać, nie puścił też mojej matki, dlatego jestem tu sama.

Jessie aż zapało dech.

- Wielkie nieba, Gwen! Wiesz, jaki zły będzie lord Waring, gdy się dowie. Nie powinnaś była wystawiać się na takie ryzyko.

- Nie obchodzi mnie to. Mam już powyżej uszu lorda Waringa. Jestem dorosła. Chciałabym móc żyć własnym życiem.

- Lady Gwendolyn - rzekł Matthew łagodniej, niż Jessie się tego spodziewała. - To szlachetne z pani strony myśleć o przyjaciołach, ale też bardzo niesłowne dla młodej, niezamężnej kobiety, by podróżować po wsi bez opieki.

- Mówiłam już panu, że nic mnie to nie obchodzi.

- Ale mnie owszem. Jutro powiadomię pani rodzinę, że na razie zostanie pani u nas. Za kilka dni lady Bainbridge wyjeżdża z Belmore i może pani wrócić do Londynu pod jej opieką. Jeśli szczęście pani dopisze, być może hrabina wstawi się za panią u lorda Waringa.

Gwen skinęła sztywno głową.

- Jak sobie pan życzy, wasza lordowska mość.

Jessie uściśnęła rękę przyjaciółki. Ku jej zaskoczeniu Matt uśmiechnął się ciepło.

- Tymczasem życzę udanej zabawy. Jest tu dziś kilku młodych kawalerów. Z pewnością dostrzegli panią przy wejściu. Proszę o taniec, a potem zostawię panią do ich dyspozycji.

Tanec był sposobem na zaznaczenie, że Gwen znajduje się pod jego opieką. Serce Jessie puchło z wdzięczności do męża. Gwen uśmiechnęła się szczerze.

- Dziękuję, wasza lordowska mość. Może nie jest pan jednak takim tyranem.

Ależ oczywiście, że nim był. Gdy zaczął tańczyć z Gwen i Adrian Kingsland poprosił Jessie do tańca, ciepłe spojrzenie Matta ustąpiło miejsca z trudem skrywanej wściekłości.

- Chyba mój przyjaciel Strickland ma niewielkie problemy z przystosowaniem się do roli męża - rzekł lord Wolvermont.

- Co ma pan na myśli?

- To, że nigdy wcześniej nie widziałem Matta zazdrośnego. Nie sądziłem, że jest zdolny do takich uczuć.

Jessie zerknęła na kamienną twarz męża, gdy mijali go z baronem w tańcu.

- Jest bardzo zaborczy, ale żeby zaraz zazdrośny? To coś zupełnie innego. Czy naprawdę pan myśli, że to możliwe?

Twarz Wolvermonta rozświetlił promienny uśmiech, który powaliłby na kolana niejedną damę w Londynie.

- Dlaczego tak trudno w to pani uwierzyć?

Dlatego, że mnie pragnie, ale mnie nie kocha, pomyślała Jessie, ale nie zdążyła już nic odpowiedzieć, gdyż taniec właśnie dobiegł końca. Matt pozostawił Gwen pod opieką lady Bainbridge, złapał Jessie za ramię i wyprowadził z sali balowej.

- Matthew, co ty wyprawiasz? Nie możemy tak po prostu wyjść i zostawić gości samym sobie.

Mąż jednak nie zwolnił kroku. Zaprowadził ją po schodach na górę, wepchnął do swojego prywatnego apartamentu i zamknął drzwi.

- Od momentu, gdy przestąpiłaś próg sali balowej, każdy mężczyzna tylko marzył o tym, żeby wyciągnąć cię w jakieś ustronne miejsce. Skoro to prawo należy do mnie, mam zamiar z niego skorzystać.

- Matthew! - Uciszył ją pocałunkiem, z początku zaborczym, potem delikatnym, kuszącym, czułym. Po chwili już zrywał z niej ubranie, gładził dłońmi jej piersi. Myśli o balu zaczęły blaknąć. Ostatecznie są tam papa Reggie i lady Bainbridge. Poza tym dobre wychowanie nagle przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jak przez mgłę dotarło do niej, że jej formalny, sztywny mąż z każdym dniem traci te cechy coraz bardziej.

Złote poranne słońce oblało swoim blaskiem zielone, pofałdowane pola Belmore. Dojrzałe zboża zostały już skoszone, a w oddali majaczyły jedynie snopy żółtej słomy pozostawione na paszę dla zwierząt.

Adam Harcourt stal na tarasie, obserwując przez chwilę odległy horyzont, a po chwili jego wzrok powrócił do ogrodów Belmore, roztaczających się poniżej. W posiadłości pozostało co najmniej kilkunastu gości. Byli wśród nich ludzie z dość odległych miejscowości, znajomi z Londynu, przyjaciele Matthew z marynarki.

Późne śniadanie, na które podano szynkę, jaja, bazylię, ser wiejski, ozorki na zimno, czekoladę, herbatę, kawę i świeże bułeczki, odbyło się właśnie w ogrodzie, pod ogromnym baldachimem w biało-zielone pasy, ale to dziewczyna w zielonej sukni przykuła uwagę Adama.

- Ach więc tu jesteś. - Podeszedł do niego Matthew Seaton, odwracając jego uwagę od dziewczyny. - Zastanawiałem się, dokąd poszedłeś.

Adam uśmiechnął się delikatnie.

- Podziwiałem widoki. - Matthew podążył oczami za spojrzeniem przyjaciela i jego wzrok spoczął na pięknej drobnej brunetce. - Widziałem, jak wchodziła wczoraj wieczorem. To, że mnie nie przedstawiłeś, było z twojej strony czystym zaniedbaniem.

Matt zmarszczył brew.

- To Gwendolyn Lockhart. Pasierbica lorda Waringa. Jest czysta i niewinna, Adamie. Nie byłbyś nią zainteresowany.

Adam nie spuszczał wzroku z dziewczyny. Sprawiało mu przyjemność obserwowanie, jak się porusza - nie delikatnie, jak większość kobiet, ale energicznie, z życiem i entuzjazmem.

- Jej oczy są niesamowite... tak zielone, jak młodziutkie listki. Już ją gdzieś widziałem. Jestem tego pewny, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie to było.

- Zostaw ją w spokoju, Adamie. To przyjaciółka Jessiki. Jest tu sama, co znaczy, że jest pod moją opieką.

- Sama? Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że przyjechała tu sama?

Matt westchnął.

- Ta dziewczyna jest jeszcze gorsza niż Jessie. Ma istny dar do pakowania się w kłopoty i rodzinę, która w ogóle o nią nie dba. Ma zdecydowanie za dużo odwagi i zdecydowanie za mało zdrowego rozsądku. Poza tym jest zbyt naiwna, by poradzić sobie z takim mężczyzną, jak ty.

Adam tylko się uśmiechnął.

- Już wiem, gdzie ją widziałem. To ona była w „Upadłym Aniele”... Razem z twoją żoną.

Matthew zamarł.

- A niech to szlag! - zagrzemiał gniewnie. - Miałem nadzieję, że nikt ich tam nie widział.

- Nie sądzę, żeby ktoś jeszcze domyślił się, kim są. Sam niczego bym nie podejrzewał, gdybyś nie wpadł jak dzielny rycerz i nie wyprowadził ich stamtąd.

Matt spojrzał przyjacielowi w oczy i wpatrywał się w nie przez chwilę w milczeniu.

- Dziwię się, że odwiedzasz tego typu miejsca. Nie podejrzewałem cię o takie skłonności.

Adam wzruszył ramionami. Przez ostatnie osiem lat, odkąd skończyło się jego okropne małżeństwo, było niewiele rzeczy, których by choć raz nie spróbował.

- Prawie wszystko może sprawiać przyjemność... czasami. Zwykle jednak nie gustuję w bólu. Syn lorda Chasena, Filip, chciał się tam wybrać. A że nie miałem właśnie nic lepszego do roboty, postanowiłem mu towarzyszyć.

Matt nie odpowiedział.

- Przypuszczam, że nie zdradzisz mi, co robiła tam twoja żona i jej przyjaciółka?

Strickland spojrzał w dół, na dziewczynę w ogrodzie, która właśnie rozmawiała z Jessie.

- Lady Gwendołyn planuje zostać pisarką. Chce napisać książkę i w tym celu musi zdobyć odpowiednie doświadczenie życiowe, tak przynajmniej twierdzi. Jessie postanowiła jej towarzyszyć, by ją w jakiś sposób chronić.

Adam uśmiechnął się z rozbawieniem.

- A ty zjawiłeś się, by ochronić obydwie. Domyślam się, że gdy już je stamtąd wyprowadziłeś, sam byłeś dla nich najgorszym zagrożeniem tamtego wieczoru.

Matthew roześmiał się, już nieco bardziej rozluźniony.

- Chyba masz rację. Miałem ochotę przyłożyć im obu. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Jednak najwyraźniej Waring robi to aż nazbyt często. Dlatego Jessica jest tak opiekuńcza w stosunku do Gwen. - Spojrzał surowo na Adama. - Powiedziałem ci więcej, niż powinienem, ale chciałem, żebyś to wiedział i ufam twojej dyskrecji. Zostaw tę dziewczynę w spokoju, Adamie. Ma wystarczająco dużo problemów na głowie.

Adam nie odpowiedział. Jego wzrok znów powędrował ku uroczej brunetce. Zaśmiała się melodyjnie i ciepło, rozbawiona słowami Jessie. Przywołał w pamięci jej obraz w stroju mężczyzny, z ciemnymi lokami wystającymi z za dużego melonika.

Jaka kobieta zaryzykowałaby własną reputację, żeby się dowiedzieć, jak wygląda takie miejsce od środka? Bardzo interesująca kobieta - to na pewno. Gwen Lockhart szalenie go intrygowała i miał zamiar się z nią zapoznać. Zszedł z tarasu do gości i skierował się w stronę damy w zielonej sukni, stojącej obok hrabiny Strickland.

Rozdział 17



Jessie stała w ogrodzie z Gwen i patrzyła jak podchodzi do nich przystojny wicehrabia St. Cere. Elegancki St. Cere zawsze traktował wszystkich z rezerwą, a jego mroczny, zagadkowy temperament działał Jessie na nerwy.

- Lady Strickland - pochylił się z wdziękiem nad jej dłonią.

- Lordzie St. Cere... Bardzo ucieszyliśmy się z Matthew, że udało się panu przyjechać.

- Jeśli cieszy się pani, że tu jestem, to znaczy, że nie popełniłem błędu, podwożąc go tamtego ranka pod katedrę świętego Jakuba.

Jessie zrobiła wielkie oczy.

- A więc to pan go zachęcił. - Uśmiechnęła się do niego ciepło. - Będę panu wdzięczna do końca życia, wasza lordowska mość.

Wicehrabia odwzajemnił uśmiech, a Jessie przemknęło przez myśl, że może w głębi duszy to łagodny człowiek, bardziej przystępny niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Zwróciła się do Gwen, która zaczęła się już wiercić zniecierpliwiona.

- Chyba się państwo jeszcze nie znają - rzekła.

- Cała przyjemność po mojej stronie - uśmiechnął się wicehrabia i wykonał przed Gwen szarmancki ukłon.

Gwen również się uśmiechnęła, przyglądając się eleganckiemu strojowi, gęstym, czarnym, lekko kręconym włosom. W jej dużych zielonych oczach zabłyśło zaciekawienie i aprobata, co wzbudziło w Jessie lekki niepokój.

- Śniadanie przygotowane przez naszych gospodarzy wygląda obiecująco - zwrócił się St. Cere do Gwen. - Jeśli jest pani głodna, może zechciałyby pani mi towarzyszyć podczas posiłku?

Spuściła czarne, długie rzęsy, ale nie zdołała ukryć rumieńca wstępującego na policzki.

- Z miłą chęcią, wasza lordowska mość.

Jessie jakoś nie podzielała tego entuzjazmu.

Drogi wicehrabia St. Cere to największy hulaka w Londynie, pozbawiony sumienia drań, który uwiódł połowę kobiet z towarzystwa. Gwen natomiast była młoda i, jeśli chodzi o mężczyzn, wciąż bardzo naiwna. Co prawda miała swój rozum i nie dałaby się tak łatwo nabrać, ale chciała za wszelką cenę doświadczać życia i Jessie nie miała pewności, jak daleko jej przyjaciółka gotowa była się posunąć w zdobywaniu tego doświadczenia.

Razem ładnie się prezentowali - oboje ciemnowłosi, ona niziutka, a wicehrabia wysoki, ale nie pasowali do siebie zupełnie. St. Cere był dość ponury i cyniczny, nawet jak na standardy arystokracji, podczas gdy Gwen charakteryzował niepoprawny optymizm i nigdy nie opuszczała jej chęć odkrywania wciąż nowych radości życia. Jedyna rzecz, która naprawdę ich łączyła, to widoczny od pierwszej chwili pociąg do siebie nawzajem i fakt, że żadnego z nich nie interesowało małżeństwo.

Była to niebezpieczna mieszanka, która napawała Jessie niepokojem. Widziała, jak St. Cere przygląda się Gwen jakby była soczystym kawałkiem mięsa, pognała więc do domu w poszukiwaniu męża.

* * *

Matthew usiadł na obitym brązową skórą krześle w swoim gabinecie. Naprzeciwko niego zasiedli admirał Dunhaven i kapitan Bradford. Każdy z nich miał przed sobą filiżankę mocnej czarnej kawy.

- A więc Villeneuve wreszcie wypłynął z Ferrolu. - Francuski admirał już jakiś czas temu wymknął się admirałowi Nelsonowi pod Tulonem i popłynął w stronę Indii Zachodnich. Po nierozstrzygniętej potyczce z eskadrą dowodzoną przez sir Roberta Caldera w końcu przybił do portu w Hiszpanii.

- Podejrzewamy, że wzmocnił się o co najmniej piętnaście hiszpańskich okrętów - rzekł admirał Dunhaven - choć nie zostało to jeszcze oficjalnie potwierdzone.

Matt pochylił się do przodu. Nowe wieści wzbudziły w nim niepokój.

- I podejrzewacie, że płynie do Kadyksu?

- Tak sądzi admirał Nelson. Ja również podzielam to przypuszczenie. Może tam dotrzeć lada chwila.

Matt przyglądał się w napięciu zaniepokojonej twarzy admirała, jego orlemu nosowi, cienkim wargom i krzaczastym, szarym brwiom.

- Czy Nelson będzie szukał konfrontacji, gdy Villeneuve dotrze na miejsce?

Admirał przytaknął ponuro.

- Z pewnością. Jak tylko cel Francuzów zostanie potwierdzony, Nelson chce zacząć gromadzić okręty.

- A „Norwich”?

- Bez wątpienia znajdzie się wśród nich.

Matt wyprostował się na krześle. Przez jego głowę przebiegały tysiące myśli.

- Kiedy mam ruszać?

- Jeszcze nie teraz, ale z pewnością zostaniesz wezwany. Admirał Nelson chce wygrać tę bitwę. Planuje włączyć do walki najlepszych ludzi w Marynarce Królewskiej. Biorąc pod uwagę twoje doświadczenie i nienaganną reputację, kapitanie Seaton, bez wątpienia do nich należysz.

Matthew przytaknął. W jakimś stopniu chciał stanąć do walki. Znów poczuł tak dobrze sobie znany dreszczyk emocji, gwałtowne pragnienie, by stanąć na czele swoich ludzi i poprowadzić ich do zwycięstwa. Po chwili jednak pomyślał o Jessie, o małej Sarze, o Belmore, o ojcu i o wszystkich nowych obowiązkach i równie mocno zapragnął pozostać w domu. Niestety, miał do spełnienia wobec Anglii ostatnią powinność.

- Jestem na pańskie rozkazy, admiralu. Dałem to jasno do zrozumienia zanim złożyłem rezygnację. Gdy tylko dostanę odpowiednie polecenie, natychmiast udam się do Portsmouth.

Generał powstał, podobnie jak Matt i kapitan Bradford.

- Myślę, że masz jeszcze trochę czasu - rzekł admirał. - Poinformuj rodzinę. Przygotuj ich do twojego wyjazdu.

- Tak jest, sir.

Mężczyźni omówili jeszcze krótko kilka najważniejszych spraw i udali się do pokojów, by spakować swoje rzeczy przed podróżą do Portsmouth. Z jednej strony Matt bardzo chciał jechać z nimi. Czekał na tę bitwę, przygotowywał do niej ludzi i statek już ponad dwa lata.

Z drugiej jednak strony pragnął, by wojna się wreszcie skończyła. Wtedy mógłby osiąść w Belmore i nigdy więcej nie zaprzętać sobie głowy trudem i cierpieniami, które z pewnością czekają go na morzu.

* * *

Na kolacji w Belmore została zaledwie garstka gości. Gwen Lockhart siedziała w najbardziej oddalonym od Adama Harcourta krańcu stołu, obok lorda Pickeringa. Z pewnością był to pomysł lorda Stricklanda, myślała Gwen, a może nawet samej Jessie. Chcieli ją chronić przed St. Cere'em i w głębi duszy podejrzewała, że ich obawy nie są bezpodstawne.

Adam Harcourt to hulaka najgorszego gatunku. Z jego nazwiskiem związany był wielki skandal, mroczne opowieści o dawno zmarłej żonie i jej kochanku, Haroldzie Cavendishu, mężczyźnie, który ją zastrzelił. Gwen nie powinna była tego wiedzieć, ale po porannym spotkaniu cały dzień wyciągała strzępki informacji z różnych źródeł i w końcu obraz stawał się coraz bardziej klarowny.

Biedny lord Harry, zubożały syn markiza Haven-dale'a, nigdy nie miał szans w zetknięciu z tą kokietką Elizabeth Harcourt, lady St. Cere. Przekonała lorda Harry'ego, że jest w nim zakochana, a St. Cere to okrutny potwór, za którego wyszła zmuszona przez rodziców, że posiadał ją wbrew jej woli i że nienawidzi go z całego serca.

Czasami rzeczywiście go nienawidziła, gdy zamieniał jej łóżko na łóżko kochanki. Zwyczaju tego nabył, kiedy dowiedział się o jej namiętnych spotkaniach z jednym ze stajennych. Mimo to St. Cere pragnął potomka, dlatego nie zaniechał obowiązku małżeńskiego wobec żony. Był wspaniałym kochan-

kiem, a Elizabeth trawiła wiecznie nienasycona żądza.

W rezultacie najbardziej ucierpiał na tym biedny lord Harry. Pewnego dnia zastał kobietę, którą wyobrażał sobie jako cierpienicę, niemal dziewiczą żonę sadystycznego wicehrabiego, *in flagranti* z jej własnym mężem, wijącą się z zachwytu i rozkoszy.

Zastrzelił wicehrabinę, dźgnął St. Cere'a nożem w plecy, a następnie wbił sobie to samo ostrze w swoje własne, skrwawione serce.

Podobno od tamtej pory wicehrabia nie cierpiał kobiet, no chyba że w sypialni, i do dziś pozostała mu na plecach blizna po ostrzu lorda Harry'ego. Był znanym hulaką, który nadużywał alkoholu i spędzał całe dnie w jaskiniach hazardu lub domach publicznych. Krążyły nawet plotki, że pozbawił niewinności kilka młodych dziewcząt, świeżo po szkole.

Gwen uwierzyła we wszystko. Widziała to w każdym jego gorącym spojrzeniu, w każdym szelmowskim uśmiechu. St. Cere to najgorszy koszmar kobiety, ale... ach, dobry Boże, jest tak grzesznie przystojny. Od samego patrzenia na niego serce zaczynało jej szybciej bić i budziło się w niej pragnienie, by poznać sekrety, o których zaczęła mieć jakiegokolwiek pojęcie dopiero tej nocy w „Upadłym Aniele”.

Chociaż siedział po przeciwległej stronie stołu, wyraźnie czuła na sobie jego wzrok, dwoje zimnych, szarych oczu, badających rozmiar i kształt jej piersi.

Gwen poruszyła się nerwowo na krześle, a strużka potu spłynęła jej po twarzy. Był ucieleśnieniem wszystkich jej najszybszych fantazji i obsesyjnie zastanawiała się, jak smakuje jego pocałunek.

Oczywiście nawet nie brała pod uwagę takiej możliwości. Przecież nie ośmieliłaby się zrobić czegoś ta-

kiego. Jednak wieczór mijał, a ona wciąż czuła na sobie jego szare spojrzenie. W pewnym momencie złapała się nawet na tym, że szuka wymówek, by odejść od stołu i udać się sama do ogrodów, żywiąc obsesyjną nadzieję, że wicehrabia tam za nią podaży.

Opuściła salon pod byle pretekstem i udała się na spacer po pokrytej żwirem ogrodowej ścieżce. Trzepotała rękami malowanym wachlarzem, by ostudzić żar, który wpłynął jej na policzki. Próbowwała zignorować to dziwne, niezrozumiałe dla niej samej napięcie, towarzyszące jej przez cały wieczór. Gdy dotarła do altany ogrodowej, wspięła się po schodach do ciemnego wnętrza i w napięciu obserwowała migocące w oddali światła domu.

Nie minęło wiele czasu, gdy na żwirowej ścieżce zachręściły czyjeś kroki. Gwen uniosła gwałtownie głowę i spojrzała na przystojnego wicehrabiego, który wchodził właśnie po schodach do altany. Zatrzymał się na moment przy wejściu, lecz po chwili znów ruszył w jej stronę i stanął dokładnie naprzeciwko niej. W księżycowej poświacie dostrzegła lekko arogancki uśmiech na jego twarzy i zimne spojrzenie szarych oczu.

- Ale z pani zuchwała dziewczucha.

Gwen otworzyła szeroko buzię ze zdziwienia.

- Co takiego?!

Zaśmiał się z rozbawieniem, spoglądając kątem oka na jej unoszące się i opadające piersi oraz dumnie podniesioną głowę.

- Połowa kobiet w Londynie bałaby się nawet mojego cienia, ale nie pani, lady Gwen. Myślę, że pani w ogóle się nie boi.

Bała się odrobinę, ale nie miała zamiaru tego przyznać. Wzruszyła tylko ramionami.

- A czego tu się bać? Przecież jest pan zupełnie normalnym mężczyzną, prawda? Nieważne, co ludzie mówią.

Uniósł nieco gęste brwi i zacisnął zmysłowe usta.

- A więc słyszała pani.

- Tak.

- Mogłem się tego domyślić. Czy wtajemniczono panią we wszystkie makabryczne szczegóły?

- Chyba tak.

- Pochlebia mi, że tak się pani mną interesuje.

Gwen się nachmurzyła.

- Jestem pisarką, wasza lordowska mość. Obserwowanie ludzi sprawia mi radość. Uważam pana za ogromnie interesującego człowieka.

Na twarz wicehrabiego powrócił uśmiech.

- Pisarką... tak. Strickland coś mi o tym mówił.

- Naprawdę?

Przytaknął. Blask księżycy malował niebiesko-czarne pasma na jego gęstych włosach.

- Wspomniał o tym, gdy mu powiedziałem, że widziałem was tej nocy w „Upadłym Aniele”.

Gwen wstrzymała na chwilę oddech. Po raz drugi w ciągu ostatnich kilku minut poczuła, że traci grunt pod nogami.

- Był pan tej nocy w... w... „Upadłym Aniele”?

- Owszem. Nie przypomina pani mężczyzny i nawet męskie ubranie nie jest w stanie tego zmienić. Znacznie większe nadzieje żywię w stosunku do pani jako kobiety.

Gwen zignorowała tę uwagę. Wciąż nie mogła oswoić się z myślą, że wicehrabia był w takim miejscu, jak „Upadły Anioł”.

- Nie wygląda pan na mężczyznę, który gustowałby w lokalach tego typu.

- Ma pani na myśli burdel? Zapewniam panią, moja droga, że większość mężczyzn gustuje w przyjemnościach cielesnych, za pieniądze lub nie.

Potrząsnęła głową.

- Miałam na myśli miejsca, które przyciągają mężczyzn, którym sprawia przyjemność... zadawanie bólu. Jakoś nie przypuszczałam... Nie sądziłam, że lubi pan krzywdzić kobiety. - Odwróciła wzrok. Poczwała nagłe rozczarowanie i zbierało jej się na płacz. - Proszę mi wybaczyć. Muszę już wracać.

Próbowała go wyminąć, ale chwycił ją za rękę. Miała nadzieję, że nie dostrzeże, iż cała drży.

- Przez ostatnie osiem lat doświadczyłem wielu zakazanych przyjemności. Myślę, że ból też może być źródłem rozkoszy. Jeśli kobieta właśnie tego pragnie, jestem gotowy spełnić jej życzenie. Nie robi mi to większej różnicy.

- Naprawdę muszę już iść...

Jednak wicehrabia nie rozluźnił uścisku. Uniósł jej delikatnie głowę i spojrzał głęboko w oczy.

- Widzę, że źle cię traktowano. Nigdy bym cię nie skrzywdził, Gwen.

Jej dolna warga zadrżała, a oczy wypełniły się łzami. Nie tak to sobie planowała.

- Nie powinnam była tu w ogóle przychodzić. - Mrugnęła i ogromna łza spłynęła jej po policzku. Wytarł ją długim, grubym palcem.

- Nie, nie powinnaś była. Ale cieszę się, że to zrobiłaś.

Wpatrywał się w nią w milczeniu szarymi, zagadkowymi oczami. Po chwili pochylił się i pocałował ją delikatnie. To było jak muśnięcie wiatru, ledwie dostrzegalny dotyk jego warg.

- Dobranoc, lady Gwen.

Wciąż czuła smak jego ust i ciepły dotyk dłoni na skórze.

- Dobranoc, wasza lordowska mość.

Odrzuciła się od niego, szybko zeszła po schodach do ogrodu, a stamtąd do domu. Po powrocie udała się od razu do sypialni.

Już myślała, że udało się jej przemknąć niezauważenie, ale ni stąd, ni zowąd pojawiła się przed nią Jessica. Na jej twarzy malował się ogromny niepokój.

- Gwen! Na litość boską, gdzie ty się podziewałaś?

Spuściła głowę pod surowym spojrzeniem przyjaciółki, ale jej myśli wciąż były zaprzątnięte mężczyzną w ogrodzie.

- Wielkie nieba, co się dzieje? Masz takie dziwne rumieńce.

Gwen westchnęła zrezygnowana. Jessica nie podda się, dopóki nie wyciągnie z niej całej prawdy, a poza tym jest przecież jej najlepszą przyjaciółką.

- To przez niego - rzekła, złapała Jessie za rękę, zaciągnęła ją do sypialni i dokładnie zamknęła drzwi. - Zobacz, jak mi bije serce. - Położyła sobie dłoń Jessie na piersi. - Dobry Boże, wciąż wali jak oszalałe.

- Chyba nie mówisz o wicehrabi St. Cere? Powiedz, że nie mówisz o nim!

- Oczywiście, że o nim. A o kim miałabym mówić? On jest jedyny w swoim rodzaju.

- Nie da się temu zaprzeczyć. Nie ma nikogo, kto byłby dla ciebie większym zagrożeniem niż ten człowiek.

Gwen znów westchnęła i oparła się plecami o drzwi.

- Wiem. Jest niebezpieczny. To oczywiste dla każdej logicznie myślącej kobiety. Ale jest też taki przystojny! - Spojrzała w górę, a jej oczy wciąż płonęły wewnętrznym blaskiem. - Nie wierzę, że jest tak zły, jak mówią. Po prostu w to nie wierzę.

- On nie uznaje małżeństwa, Gwen. Jest jego zagorzałym przeciwnikiem.

- Świetnie. Ja też.

- Ale w przypadku mężczyzny to co innego. Wiesz to równie dobrze jak ja.

- Może i tak, ale nie dbam o to. - Przewróciła oczami. - Poza tym, on tylko mnie pocałował.

- Pocałował cię?

Przytaknęła.

- To był najdelikatniejszy, najśłodszy pocałunek, jaki można sobie tylko wyobrazić.

Jessie uniosła brwi ze zdziwienia na tę niespodziewaną wiadomość.

- To zupełnie niepodobne do St. Cere'a. - Spojrzała na przyjaciółkę surowo. - Nieważne, jak czule cię pocałował. Nie możesz się więcej do niego zbliżyć. Obiecuj mi to, Gwen.

- Po co miałabym ci obiecywać, Jess, jeśli wiesz doskonale, że to zrobię, jeśli najdzie mnie taka ochota.

Jessie zmarszczyła czoło.

- Zaslługujesz na mężczyznę, który cię uszczęśliwi. St. Cere nie jest w stanie tego zrobić. Bądź ostrożna, Gwen. Przynajmniej tyle mi obiecuj.

- Będę ostrożna - odrzekła Gwen. Jednak w momencie, gdy wymawiała te słowa nagle dotarło do niej, że wcale nie chce być ostrożna, nie w stosunku do wicehrabiego. Pragnęła być odważna i zuchwała, dowiadywać się nowych rzeczy - o nim i o sobie. Zastanawiała się, czy wraca już dziś do Londynu i połową duszy modliła się, by tak było.

Druga połowa modliła się, by pozostał.

* * *

Ostatni gość opuścił Belmore następnego dnia. Jessie starała się trzymać Sarę z dala od przybyłych. Jedynie Gwen i lady Bainbridge poznały złotowłosą dziewczynkę, która od razu zdobyła ich serca.

- Wcale się nie odzywa? - spytała Gwen. - Ani słówkiem?

- Nie.

- Ale z pewnością wszystko rozumie - stwierdziła Gwen i spojrzała na małą, kiwającą się na swoim krzeselku.

- O tak! Porozumiewamy się zadziwiająco dobrze. Jedynie Matthew ma z tym problemy. Nie ma doświadczenia z dziećmi. Nie bardzo wie, jak się ma przy niej zachowywać.

- Lubi go. Gdy wchodzi do pokoju, zawsze śledzi każdy jego krok.

- Przynosi jej prezenty. Bierze ją na spacer do stajni, żeby popatrzeć na konie. On po prostu niewiele mówi. W tym są chyba do siebie podobni.

- Może rozumieją się lepiej, niż ci się wydaje.

Stały w drzwiach pokoju dziecinnego i obserwowały Sarę bawiącą się śliczną szmacianą lalką, którą uszyła dla niej Viola. Jessie uśmiechnęła się ciepło.

- Może masz rację - odrzekła i zapragnęła nagle, żeby oni z Matthew rozumieli się choć w połowie tak dobrze.

- To urocza dziewczynka - stwierdziła Gwen. - Jej włosy są nawet jaśniejsze od twoich. To niesamowite. Wszyscy macie blond włosy i niebieskie oczy. Ta mała mogłaby równie dobrze być waszą córką. Na pewno z czasem poczuje się tu jak w rodzinie.

- Z czasem... - zgodziła się Jessie. - Na razie nie jeszcze nie jest przesądzone. Dlatego wolałam trzymać ją z daleka od gości. Nie chcę, żeby się wystraszyła jeszcze bardziej.

Gwen zerknęła na dziewczynkę.

- Miałam cudowne dzieciństwo... zanim matka wyszła za męża. Nigdy nie poznałam mojego prawdziwego ojca, zmarł kiedy byłam malutka, ale za-

wsze wyobrażałam go sobie jako dzielnego rycerza w lśniącej zbroi. Przez to życie pod jednym dachem z Waringiem jest jeszcze gorszą męką. - Zwróciła wzrok na Jessie. - Wiem, co znaczy być tak okrutnie traktowanym jak Sara. Ma szczęście, że znalazła ciebie i lorda Stricklanda. Teraz nic jej już nie grozi.

Jessie złapała przyjaciółkę za rękę.

- A co z tobą, Gwen? Co zrobi lord Waring, gdy się dowie, że przyjechałaś tu bez jego zgody?

Wzruszyła ramionami, ale na jej twarzy pojawiło się napięcie.

- Nie wiem. Ostatnio był bardzo zajęty ładacznicami. Może, jak powiedział twój mąż, wstawi się za mną lady Bainbridge.

- Mówisz, że nie chcesz wyjść za mąż, ale małżeństwo na pewno byłoby lepsze niż twoje obecne życie.

Gwen potrząsnęła przecząco głową.

- To jak zamienić jednego pana na drugiego. Sama chcę decydować o własnym losie, Jess. Prędzej czy później znajdę sposób, by to osiągnąć.

Jessie miała nadzieję, że przyjaciółka się nie myli, ale wcale nie była tego taka pewna.

Teraz, gdy patrzyła na Gwen, która machała do niej z okienka czarnego powozu lady Bainbridge udającego się w podróż powrotną do Londynu, pragnęła znaleźć jakiś sposób, żeby pomóc przyjaciółce. W rzeczywistości jednak niewiele mogła zrobić. Pomysłała o małej Sarze, czekającej na górze. Przynajmniej pomogła swojej małej bratanicy. Goście już się porozjeżdżali i będzie mogła spędzać z nią trochę więcej czasu. Z nią i z mężem.

Niestety, w ciągu kilku kolejnych dni jeszcze się od siebie z Matthew oddalili. Sprawiał wrażenie spiętego i zmartwionego, choć za wszelką cenę starał się tego nie okazywać.

Niepokój Jessie narastał. Co się z nim dzieje? Dlaczego znów się od niej odsuwa. Co było tego przyczyną? Caroline Winston, czy coś innego? Może ma to jakiś związek z wojną? Zaczął się dziwnie zachowywać po rozmowie z admirałem Dunhavenem. Z pewnością powiedziała by jej jednak, gdyby szykował się do wyjazdu.

Chciała go zapytać wprost, ale bała się jego odpowiedzi. Nigdy nie rozmawiali o uczuciach ani o przeszłości. Dotychczas Matthew był dobrym mężem i namiętnym kochankiem, ale to wcale nie musiało oznaczać, że ją kocha, że jej potrzebuje, lub że zaakceptował ją jako swoją żonę. Nie dorównywała mu statusem społecznym i nigdy nie dorówna, bez względu na to jak bardzo będzie się starała przywdziać maskę damy.

Z każdym mijającym dniem Jessie stawała się coraz bardziej niepewna. Nie miała pojęcia, dokąd zmierza jej życie. Wiedziała tylko, że jest żoną mężczyzny, który pragnął jej w swojej sypialni, ale nigdy nie planował małżeństwa. Choć to on doprowadził do tej sytuacji, która musiała skończyć się małżeństwem, w głębi serca Jessie czuła się winna, jakby zmusiła go do ślubu podstępem.

Pojawił się też kolejny problem, który uznawała już za rozwiązany i jej niepokój wzrósł dziesięciokrotnie.

- Przepraszam, łaskawa pani. - Kamerdyner stanął w drzwiach szkolnej salki, w której Jessie szkicowała kredą na tablicy mapę Anglii na dzisiejszą lekcję historii.

- Tak, Ozzie?

- Właśnie przybył jakiś chłopak ze wsi. Prosił żeby doręczyć to pani do rąk własnych.

Spojrzała na dzieci. Sześć par zaciekawionych oczu zwróciło się w stronę drzwi.

- Dziękuję, Ozzie. - Skinęła głową i wzięła z jego rąk liścik. - Dzieci, gdy skończycie zadania, możecie iść do domu. Na dziś to wszystko.

Maluchy zaczęły wiercić się na swoich miejscach, otworzyły podręczniki i pochyliły głowy nad zadaniem. Tymczasem Jessie udała się w stronę domu, zastanawiając się, co to za wiadomość. Zatrzymała się na werandzie przed wejściem, zerwała wosk i otworzyła list, ale nie rozpoznała pisma. Już po pierwszym zdaniu serce zaczęło jej mocniej bić. Wiedziała doskonale, kto był autorem tej wiadomości.

Danny!

Ujmując to najprościej, chciał więcej pieniędzy. Nie potrafił napisać listu sam, ale ktokolwiek mu w tym pomógł, najwyraźniej wiedział, że Matthew udał się wczoraj rano na zjazd miejscowych właścicieli ziemskich do pobliskiego Beaconsfield i wraca dopiero jutro.

Danny żądał kolejnych pięciuset funtów i jeśli ich nie dostanie, gotowy jest wyjawić wszystko. Jutro z samego rana pojedzie do Londynu i uda się do redakcji londyńskich gazet. Po fatalnym zajściu z księciem każdy kolejny skandal będzie dla niej opłakany w skutkach, zwłaszcza jeśli wyjdzie na jaw tak obrzydliwy sekret.

Zołądek podszedł jej do gardła. Dobre imię Belmore już zostało nadwerężone. Jeśli prawda o jej przeszłości ujrzy światło dzienne, cała rodzina będzie skonczone. Zostanie wyklęta przez elity towarzyskie Londynu już na wieki. Dobry Boże, co ma teraz zrobić?

Jessie po raz kolejny przeczytała liścik. Kartka drżała jej w dłoniach, a literki rozmazywały się przed oczyma. Nie mogła dopuścić do tego, by Danny wciąż ich szantażował, ale ryzyko było zbyt wielkie. Musi jakoś go powstrzymać i musi to zrobić dzisiaj.

Wyprostowała się i weszła do domu. Miała się spotkać z bratem za gospodą, na skraju wsi. *Boże dlaczego Matthew tu nie ma?*

Cóż, nie było go, a gdy wróci, będzie już za późno.

Zresztą od czasu uroczystości weselnych Matthew znów przybrał dawną postawę, stał się wyniosły i powściągliwy. Nie miała pojęcia dlaczego. Nie wiedziała, czy zrobiła coś nie tak, czy po prostu był zły, że musiał przygarnąć dziecko jej brata. Wieści o szantażu Danny'ego prawdopodobnie pogorszyłyby tylko sprawę. Lepiej powie mu o wszystkim, gdy sama rozwiąże problem.

Jessie przygryzła wargę, obmyślając plan działania. Przyszedł jej do głowy papa Reggie. Zawsze gotów był jej pomóc, ale przez wzgląd na jego zdrowie nie mogła nadużywać jego dobroci.

Zresztą Danny to jej brat, a więc jej problem - nie Matta ani kogokolwiek innego. Musi poradzić sobie z nim sama i tym razem postara się, żeby więcej ich nie niepokoił.

* * *

Ciepły wiatr szumiał wśród liści ogromnego drzewa. Wysoko pośród gałęzi zahukała sowa. Jessie zadrdzała. Zapadła już noc. Na czarnym niebie jaśniał jedynie srebrny księżyc. Była wdzięczna za tę wszechobecną ciemność. Nie chciała, żeby ktokolwiek zobaczył ją z Dannym Foksem.

- Dobry wieczór, kochana siostrzyczko. - Brat wyciągnął zegarek z kieszeni kamizelki, otworzył wieczko i sprawdził godzinę. - Podejrzewałem, że przyjdiesz. Jesteś nawet kilka minut przed czasem.

Jessie nasunęła sobie kaptur płaszczka jeszcze bardziej na czoło, starając się ukryć twarz w cieniu. Mo-

że faktycznie przyjechała nieco za wcześnie, ale bardzo chciała wrócić do Belmore przed północą.

- Zrobiłam, jak chciałeś. Nie mam tyle pieniędzy. Przyniosłam wszystko, co udało mi się zaoszczędzić i trochę biżuterii. Jest warta więcej niż pięćset funtów, nawet jeśli nie uda ci się jej sprzedać po dobrej cenie. To jedyne, co mogłam załatwić w tak krótkim czasie.

Danny tylko się uśmiechnął.

- Zawsze powtarzam: w czasie sztormu każda przystań jest dobra. - Wyciągnął rękę po torebkę, ale Jessie cofnęła się o krok i pokręciła głową.

- Nie pójdzie ci tak łatwo, Danny. Nie tym razem.

W drugiej ręce trzymała niewielki pistolet, który ukradła pijanemu marynarzowi tamtej nocy, gdy uciekła z gospody „Pod Czarnym Knurem”. Wyciągnęła go zza fałd płaszczka i wycelowała prosto w serce Danny'ego.

- Dam ci pieniądze, tak jak prosiłeś. Ale zrozum jedno: napastowałeś mnie i moją rodzinę po raz ostatni. Mój mąż ostrzegał cię, ale go nie posłuchałeś. Teraz ja cię ostrzegam. Jeśli kiedykolwiek znów zbliżysz się do mnie, zagroziś komukolwiek z moich bliskich lub zbliżysz się do Sary, zabiję cię. Nie zawaham się ani chwili. Nie będę mieć wyrzutów sumienia. Po prostu przyłożę ci ten pistolet do twarzy i pociągnę za spust.

Zbliżyła się o krok, przycisnęła mu lufę do policzka i patrzyła jak blednie.

- Wierzysz mi?

Próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu jedynie sztuczny grymas.

- Nie skrzywdzisz chyba swojego jedyne go braciszka?

- Nie jesteś moim braciszkiem. Już nie. - Jessie opuściła pistolet i przycisnęła go do jego ramienia. -

Powiedziałam, że cię zabiję. - Sama dziwiła się swojemu opanowaniu. - Wierzysz mi czy potrzebujesz jakiegoś dowodu?

- Do diabła! Nie musisz do mnie strzelać! Wierzę ci, dziewczyno. - Zlustrował ją wzrokiem od góry do dołu i dostrzegł na jej twarzy ogromną determinację. - Stałaś się twardsza nawet od mamy.

Gdyby nie znała go lepiej, mogłaby przysiąc, że po raz pierwszy w życiu Danny Fox wyraził się o niej z aprobatą.

Oddała mu torebkę, ciężką od monet i biżuterii.

- Masz stąd odejść na zawsze, Danny. Ja nie żartuję. Jeśli powiesz choć słowo przeciwko mnie lub moim bliskim, będzie po tobie.

Pistolet nie poruszył się w jej dłoni ani przez chwilę, ale w środku drżała jak liść. Nie żartowała. Będzie bronić rodziny za wszelką cenę. Miała tylko nadzieję, że go przekonała.

- Zegnaj, Danny.

Nie odrzekł ani słowa. Patrzył tylko jak odchodzi. Po chwili wsiadła na konia, którego pozostawiła w stajni na tyłach gospody i ruszyła w drogę powrotną do Belmore. Modliła się, by tym razem uwolnili się na zawsze od Danny'ego Foksa.

* * *

Matthew obserwował w milczeniu, jak jego żona przejeżdża obok, a jego dłonie same zacisnęły się na wodzach. To czysty przypadek, że zobaczył ją opuszczającą Belmore. Miał zostać na noc u dziedzica Montrose i wrócić do domu rano, ale myśl o nocy we własnym łóżku, z wijącą się pod nim piękną żoną, sprawiła, że postanowił nie skorzystać z uprzejmego zaproszenia dziedzica.

Dojeżdżał już do Belmore, gdy zauważył samotnego jeźdźcę, wyprowadzającego konia ze stajni. W mroku nocy dostrzegł, jak podprowadza zwierzę do wysokiego pnia i wspina się na siodło. Damskie siodło. A więc jeździec był kobietą. Do serca Matta zaczął zakradać się niepokój.

Patrzył, jak kobieta odjeżdża, pewny już, że to Jessie. Był wściekły, że opuszcza Belmore o tej godzinie i chciał za wszelką cenę odkryć co, do diabła, wymyśliła jego żona tym razem. Ruszył za nią z zachowaniem odpowiedniego dystansu, mając nadzieję, że go nie dostrzeże, ale Jessie sprawiała wrażenie zupełnie obojętnej na otaczający ją świat i skoncentrowanej jedynie na dotarciu do celu. Okazała się nim gospođa na skraju wsi.

Przez całą drogę Matthew rozważał w myślach tysiące możliwych scenariuszy. Jak znał Jessie, mogły istnieć dziesiątki powodów, tłumaczących jej wizytę w gospodzie, ale podejrzliwość Matta rosła.

Sir Thomas Perry nie pojawił się na ważnym, corocznym zjeździe rolniczym. Podobno zmogła go nagła choroba. Teraz Matthew zastanawiał się, czy...

Gdy on był na statku, Perry kilkakrotnie złożył Jessie wizytę w Belmore. Był młody, przystojny i najwyraźniej pociągała go jego żona. Może było coś między nimi na długo przed jego powrotem do domu, coś, co teraz, gdy miała już zapewnioną przyszłość jako hrabina Belmore, jeszcze się rozwinęło.

Patrzył, jak Jessie dojeżdża do gospody, zostawia konia w stajni i znika w ciemności na tyłach budynku. Prawie natychmiast dostrzegł mężczyźnę, ale z daleka nie mógł słyszeć ich rozmowy. Nie widział ich twarzy, ale wzrost i postura mężczyzny odpowiadała posturze Perry'ego. Zobaczył, że Jessie wřęcza

mu coś i podchodzi do niego, może nawet się przytulają.

Matt przywarł do ściany. Z trudem łapał powietrze. Zamknął oczy i poczuł, jak ogarnia go rozpacz. Gdy tylko się trochę uspokoi wyjdzie z ukrycia i stanie z nimi twarzą w twarz.

Jego największe obawy potwierdziły się. Już gdy po raz pierwszy ujrzał Jessie w Belmore wiedział, że prędzej czy później córka ladacznicy musi zacząć zachowywać się jak ladaczniczka. Nawet kobieta tak wyedukowana jak Jessie Fox.

Odetchnął kilka razy głęboko, ale gdy się odwrócił, żeby wyjść zza ściany, Jessie i jej kochanka już nie było. Ruszył gorączkowo w stronę wejścia do gospody, zdeterminowany, by ich odnaleźć, wyciągnąć z przytulnej sypialni na piętrze, jeśli tam właśnie ich zastanie. Kątem oka dostrzegł jednak cień jeźdźca oddalającego się drogą do Belmore. Po mężczyźnie nie było ani śladu, ale to nie miało żadnego znaczenia. Jeszcze tej nocy dowie się, kim był ten człowiek.

Drżąc ze złości dosiadł swojego zmęczonego konia i ruszył w stronę Belmore. Nie spieszył się. Wiedział, dokąd jechała jego żona. Gdy tam dotrze, uda się do niej i zażąda wyjawienia prawdy.

Może po drodze uda mu się zmienić palącą wściekłość w zimne opanowanie.

Rozdział 18



Nawet w przytulnym ciepłe sypialni Jessie wciąż czuła nieprzyjemny chłód. Zdjęła spódnicę do konnej jazdy, włożyła wygodną bawełnianą koszulę, a na ramiona zarzuciła niebieski jedwabny szlafrok. Matt wróci dopiero jutro, a po spotkaniu z Dannym uczucie zimna nie opuszczało jej ani na chwilę.

Usiadła na taboreciku przy toalecie, wyciągnęła spinki z włosów i w zamyśleniu zaczęła czesać jasne pukle. Chciała, żeby Matthew był już w domu. Potrzebowała dotyku jego ciepłych ramion. To zawsze dodawało jej siły. Przez chwilę zdawało jej się nawet, że słyszy, jak wchodzi po schodach. To głupie, ale...

Jessie znieruchomiała, teraz już pewna, że rzeczywiście słyszy czyjeś kroki. Odgłos ten wydał jej się dziwnie znajomy. Matthew wrócił! Zerwała się ze stołka jak oparzona, otworzyła z impetem drzwi sypialni i zobaczyła go stojącego w korytarzu. Wciąż miał na sobie granatowy płaszcz, na którym dostrzegła niewielkie kropelki rosy. Nie zatrzymał się nawet, by zostawić okrycie na dole.

Może nie mógł się już doczekać, żeby ją zobaczyć? Tak jak ona nie mogła się doczekać jego.

- Matthew! - Rzuciła mu się na szyję i wciągnęła go do pokoju, obsypując jego twarz delikatnymi pocałunkami. - Nie sądziłam, że dziś wrócisz.

- Domyślam się. - Odepchnął ją od siebie, odwrócił się, zdjął płaszcz i rzucił na krzesło. - Postanowiłem jednak wrócić dzisiaj. - Dziwny uśmiech wykrzywił jego twarz. - Nie mogłem już bez ciebie wytrzymać.

- Och, Matthew! Tak się cieszę, że jesteś!

- Czyżby?

- Tak... - Chciała opowiedzieć mu o Dannym, o pieniądzach, których zażądał, ale powstrzymało ją surowe spojrzenie Matta i napięcie malujące się na jego twarzy. - Matthew? Czy coś się stało?

- Dlaczego coś miałoby się stać?

- Nie wiem...

Zrobił krok w tył i zlustrował ją wzrokiem. Ona również mu się przyjrzała. Miał na sobie ciemnobrązowy frak, skórzane bryczesy idealnie przylegające do ud i wysokie czarne buty.

- Skoro tak się cieszysz, że mnie widzisz, może pokażesz mi, jak bardzo. Zdejmij szlafrok. Chcę na ciebie popatrzeć.

Uśmiechnęła się niepewnie, rozwiązując niebieską szarfę.

- Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj. - Zdjęła szlafrok i stanęła przed nim w zwykłej bawełnianej koszuli nocnej. - Gdybym wiedziała, że przyjedziesz, włożyłabym coś, co by cię bardziej zadowoliło.

Wykrzywił usta, ale trudno było nazwać to uśmiechem.

- Jeszcze mnie zadowolisz - rzekł. - I to niedługo.

- Przesunął wzrokiem po jej ciele, zatrzymał się na chwilę na odznaczających się na materiale sutkach i spojrzał w dół na cień, w którym łączyły się jej nogi, obmywane delikatnie żółtym blaskiem z kominka.

- Tęskniłam za tobą - rzekła Jessie, skrępowana jego wzrokiem i lekko poirytowana tymi wnikliwymi oględzinami. Chciała mu opowiedzieć, co się stało, jak bardzo go dziś potrzebowała, ale jego groźny wyraz twarzy ją obezwładniał.

- Naprawdę? - Podszedł do niej, a Jessie bezwiednie zrobiła krok w tył.

- Tak... tak, naprawdę. Szkoda, że nie było cię tu wcześniej. - To mało powiedziane.

- Cóż, jestem teraz. - Znów uśmiechnął się lekko. - I mam zamiar nadrobić stracony czas.

Objął ją mocno w pól, przyciągnął do siebie i wpatrywał się w nią przez moment. W panującym w sypialni półmroku jego spojrzenie było mroczne i zupełnie wyzute z uczuć. Potem pochylił głowę i złapał wargami jej usta. Całował ją namiętnie, brutalnie, jakby gniewnie. W jego dotyku nie było nawet odrobiny delikatności.

Jessie wyrwała się mu i cofnęła o kilka kroków.

- Matthew, co się dzieje?

Utkwił wzrok w jej ustach.

- Przepraszam, moja droga. - Wykrzywił usta w zimnym uśmiechu. - Najwyraźniej pragnę cię bardziej, niż myślałem.

Jessie zrobiła kolejny krok do tyłu i zadrzała, gdy jej plecy dotknęły ściany.

- Powiedz mi, co jest nie tak.

- Po prostu nie widziałem cię od wczorajszego poranka. Mam zamiar cię teraz posiąść. Chodź tu, Jessico.

Nigdy wcześniej nie mówił do niej takim tonem. Nigdy. Potrząsnęła przecząco głową.

- A więc ja przyjdę do ciebie. - Przemierzył dzielący ich dystans i zatrzymał się tuż przy niej. - Zdejmij koszulę.

Jessie zwilżyła usta.

- Jestem twoją żoną, Matthew. Nie chciałabym ci odmawiać, ale...

- Powiedziałem, żebyś się rozebrała! - Złapał za delikatny haft przy jej szyi i rozerwał gwałtownie koszulę aż do pasa. Jessie westchnęła, gdy zimne powietrze owiało jej piersi, ale odgłos ten stłumił jego brutalny pocałunek. Przyciągnął ją do siebie i ścisnął tak mocno, że z trudem mogła oddychać. Złapał jej piersi, zaczął je masować, drażnić sutki, dopóki nie stwardniały pod jego palcami.

Jessie odepchnęła się od jego torsu, próbując się uwolnić. Chciała odwrócić głowę, ale przytrzymał ją za brodę i jeszcze pogłębił pocałunek. Czuła na brzuchu jego rosnące pożądanie, twarde i gorące. Przez cały czas jego język wdzierał się coraz głębiej, żądając odwzajemnienia.

Teraz pocałunek nie był już brutalny, ale głęboki i namiętny, mistrzowsko uwodzicielski, kuszący, by mu uległa. Piersi puchły i bolały pod czułym, wprawnym dotykiem. Jessie poczuła palący ją od środka ogień.

Jej opór słabł, a ciało powoli dawało się ponieść fałi pożądania. Bezwiednie odpowiedziała na jego pocałunek, pozwalając na pieszczoty, czekając na każdy dotyk jego dłoni. W końcu to jej mąż i pragnęła go.

Wsunęła palce w gęste złote włosy Matta, przycisnęła się bardziej do niego, zaczęła rozpinać guziki jego koszuli. Wydała z siebie delikatny jęk, gdy zaczął obsypywać gorącymi pocałunkami jej szyję i ramiona. Pochylił głowę i chwycił wargami jej piersi, przygryzał sutki, budząc w niej kolejne fale przyjemności pomieszanej z bólem.

- Matthew...

Pocałował ją znowu, głęboko, zdecydowanie, zmuszając ją do uległości.

- Podnieś koszulę, Jessico - powiedział miękko.

Zadrżała, ale wahała się tylko przez moment. Posłusznie złapała brzeg koszuli i uniosła ją do bioder.

- Wyżej - rozkazał. - Chcę cię zobaczyć... dotykać...

Uniosła koszulę na wysokość talii, obnażając się przed nim całkowicie, zahipnotyzowana żarem płonącym w jego ciemnoniebieskich oczach.

- Jesteś taka delikatna - rzekł, głaszcząc ręką jasne loczki między nogami. Po chwili wsunął w nią delikatnie palec. - Lubisz to, prawda?

Jęknęła i wygięła się pod jego dotykiem. Pieścił ją czule, umiejętnie, aż zapragnęła dotykać go w podobny sposób. Odpięła ostatni guzik jego koszuli i zdarła ją z niego w poszukiwaniu mięśni, które rzeźbiły jego pierś. Puściła koszulę, ale Matt złapał ją zanim zdążyła opaść i ściągnął ją z niej przez głowę, pozostawiając Jessie nagą w łagodnym blasku kominka.

- Rozepnij mi spodnie - polecił miękko, przypieczętowując rozkaz długim, namiętym pocałunkiem.

- Dotknij mnie, Jessie. Przecież wiesz, że tego chcesz.

Zwilżyła wargi.

- Tak...

Jej palce walczyły z zapięciem tylko przez chwilę. Był ogromny i pulsujący. Próbował wydostać się na zewnątrz z krępującego go ubrania. Pieściła go tam, podziwiając jedwabistość jego skóry. Była jak satyna okrywająca stal. Kolejny kuszący dotyk i usłyszała wydobywający się z jego gardła cichy jęk. Złapał dłońmi za jej pośladki, zaczął je ścisnąć i masować.

- Rozłóż dla mnie nogi, Jessie.

Zrobiła jak jej polecił, i poczuła jak zagłębia się w nią coraz bardziej. Wypełnił ją jednym ostrym pchnięciem, oparł plecami o ścianę i uniosł z podłogi.

Krzyknęła zaskoczona tą dziką siłą, a mimo to jej ciało płonęło z pożądania. Żar zalewał ją fala za fa-

lą, z każdym kolejnym pchnięciem Matta. Zaciśnęła palce na jego silnych ramionach, szukała gorączkowo wargami jego ust i pocałowała go dziko i namiętnie. Po chwili odchyliła głowę, przywarła ramionami do ściany. Każdy jego gwałtowny ruch unosił ją o kilka centymetrów. Dzika, niesamowita rozkosz przytępiła jej zmysły. Nie mogła myśleć, z trudem pamiętała o tym, żeby oddychać.

Wielkie nieba, nigdy go jeszcze nie widziała tak opętańczo nienasyconego, tak rozpalonego. To podsycało jej własny ogień, sprawiało, że myślała jedynie o Matthew. Czuła jedynie ostry, pulsujący rytm i pchnięcia jego muskularnego ciała.

- Tak, Jessie. Weź, co chcesz. Teraz. Chodź ze mną.

Jak na rozkaz, Jessie zalała ostatnia fala rozkoszy. Płonęła od środka, małe punkciki światła tańczyły jej przed oczami. Poczowała, jak Matthew sztywnieje, poczuła jeszcze kilka ostrych pchnięć i opadła na niego bezwładnie, wdzięczna, że ma przed sobą jego silne ramiona.

Nie pamiętała jak zanosił ją do łóżka, ale gdy kilka minut później otworzyła oczy, ujrzała nad głową baldachim. Leżała naga i zaspokojona, ale Matthew nie było obok niej.

Zadrżała. Ogarnął ją nagły lęk. Był dziś taki zły. Nie powinna była się z nim kochać, powinna była mu powiedzieć, co się stało. Zamiast tego dała się ponieść silnemu pożądaniu, które zawsze do niego czuła. Oddała się mu posłusznie i teraz się bała.

Nasłuchiwała jego kroków w sąsiedniej sypialni, ale tam panowała złowieszczą cisza. Gdzie mógł pójść o tej porze? Dlaczego zostawił ją samą? Nigdy jeszcze nie widziała go takiego jak dziś, tak dziwnie pozbawionego opanowania. Rozpalił ją, a mimo to cały czas wyczuwała w nim gniew.

Próbowała sobie wmówić, że nie chodziło mu o nią. Może na spotkaniu coś poszło nie tak. Rano na pewno poprawi mu się humor i znów się uspokoi. Wtedy pójdzie do niego i wszystko sobie wyjaśnią.

Jessie zadrwiła z siebie w duchu. Nigdy nie była tchórzem, ale gdy chodziło o Matthew, wiecznie zżerała ją niepewność. Jutro z nim porozmawia, powie mu o Dannym, o jego groźbach i o pieniądzach, które mu dała.

Musi mu powiedzieć. W końcu jako żona jest mu to winna. Mimo to wciąż obawiała się jego reakcji i niepokoiła o małą Sarę. Obecność dziewczynki stanowiła dla rodziny Belmore zagrożenie. Matt sam to przyznał. Może teraz, gdy Danny znów się pojawił, będzie chciał odesłać dziecko? Miała nadzieję, że nie, ale przecież nie mogła być tego pewna.

Jessie zamknęła oczy. Jutro z pewnością wszystko wyda się znacznie prostsze i wtedy będzie wiedziała, co robić. Wsunęła się pod kołdrę i naciągnęła ją pod brodę. Ciało wciąż ją paliło od gwałtownych pieszczot męża. Jutro mu o wszystkim powie i dowie się, co jest nie tak.

Zamknęła oczy, ale sen nie nadchodził.

* * *

W przymglonym świetle latarni zielony liść opadł powoli z drzewa i wylądował wprost u stóp Gwendolyn Lockhart, która właśnie przechodziła pod gałęziami. Ubrana w szmaragdową suknię z mory spacerowała po żwirowych ścieżkach ogrodów Vauxhall i zastanawiała się, która może być teraz godzina.

To niesamowite, że tu była, zważywszy wściekłość rodziców po jej powrocie do Londynu. Lady Bainbridge zgodziła się porozmawiać z jej ojczymem i tym

razem Gwen udało się uchronić przed brutalną chłostą, jego ulubioną formą kary. Zamiast tego została po prostu zamknięta w swoim pokoju na następne dwa tygodnie. Teraz jednak uznano, że koniecznie musi pokazać się w towarzystwie. Ulubiona organizacja charytatywna matki organizowała wieczór w ogrodach Vauxhall, powiązany z coroczną zbiórką pieniędzy, a lady Waring była jego główną organizatorką.

Matka chodziła podenerwowana już od wielu dni, a wczoraj zdobyła się na rozmowę z mężem.

- Edwardzie, błagam cię, musisz pozwolić Gwen dołyn przyjść. Byłoby bardzo źle widziane, gdyby moja jedyna córka nie wzięła udziału w wydarzeniu, które planuję od ponad roku.

W końcu lord Waring dał się przekonać, co zdarzało się ogromnie rzadko, i wyraził zgodę. Gwen niespecjalnie zależało na uczestnictwie w kolejnej nudnej imprezie charytatywnej organizowanej przez matkę. Jednak miała się ona odbywać w ogrodach, jednym z ulubionych miejsc Gwen, a po kilku dniach przebywania w zamknięciu dziewczyna wprost marzyła o odrobinie świeżego powietrza.

Westchnęła, przemierzając główną ogrodową alejkę, otoczoną rzędami wiązów, szczęśliwa, że wreszcie udało jej się wymknąć spod czujnego oka rodziców. Matka była tak zajęta, że nawet nie zauważyła, kiedy Gwen się oddaliła, a lorda Waringa całkowicie pochłoneła rozmowa z uroczą młodą wdową, lady Burton, która ostatnio wzbudzała jego szczególne zainteresowanie.

Gwen skręciła z głównej alei, wiodącej do niewielkiej romantycznej świątyni z piękną fontanną, w wąską, rzadziej uczęszczaną ścieżkę, gdzie mogła posłuchać śpiewu słowika i rozkoszować się widokiem ogromnego, srebrnego księżycyca.

Przez moment przypomniała sobie inną noc, inny wieczorny spacer po ogrodzie, który zakończył się delikatnym pocałunkiem. Nie widziała St. Cere'a, odkąd wróciła do miasta, ale też się tego nie spodziewała. Ojczym nigdy nie pozwoliłby na jego wizytę i wicehrabia doskonale o tym wiedział. Poza tym Gwen wcale nie była pewna, czy zjawiliby się u nich nawet, gdyby mógł.

Mimo to uśmiechnęła się na myśl o nim, tak szalenie przystojnym, że samo jego wyobrażenie wywołało w niej dreszcz i przyspieszone bicie serca. Pewnie dalej oddawałaby się rozmyśleniom, wspominając po raz kolejny przelotny pocałunek wicehrabiego, gdyby nie odgłos kroków na ścieżce. Odwróciła się... i zamarła.

- Niech pani nie przestaje się uśmiechać, lady Gwen. - O dziwo, głos ten nie dochodził z jej głowy, ale z ust stojącego przed nią wicehrabiego we własnej osobie. - Ma pani uroczy uśmiech - dodał. - Już nie mogłem się doczekać, by go znowu zobaczyć.

Ugięły się pod nią nogi.

- Lord St. Cere...

Uklonił się z wdziękiem.

- Do usług, jaśnie pani.

Serce biło jej jak szalone.

- Co... Co pan tu robi?

- Przyszedłem się z panią zobaczyć. - Uśmiechnął się, dostrzegłszy niedowierzanie na jej twarzy. - Często wspieram organizację pani matki na rzecz ubogich. Wiedziałem, że lady Waring organizuje dziś przyjęcie. Miałem nadzieję, że panią tu zastanę.

Gwen nie odpowiedziała. Nie mogła oderwać wzroku od jego ust - pełnych, namiętych, mówiących więcej o uwodzeniu niż jakiegokolwiek słowa.

- Obserwowałem panią cały wieczór - rzekł. - Widziałem wyraźnie, że się pani nudzi. Założyłem więc, w świetle pani dotychczasowych wyczynów, że prędzej czy później znajdzie pani sposób, żeby się stamtąd wydostać.

Powinna być urażona jego niezbyt grzeczną uwagą, ale zamiast tego uśmiechnęła się.

- Miał pan rację. Już od kilku godzin próbowałam jakoś się wymknąć. Dziękuję Bogu za słabe nerwy mojej matki i nieustającą żądę ojca.

St. Cere spojrział kątem oka na wypukłość jej piersi i zmarszczył błyszczące, czarne brwi.

- Znajac lorda Waringa, wcale nie jestem przekonany, czy to takie błogosławieństwo.

Gwen spuściła wzrok, niezbyt zachwycona tematem, na jaki zбочzyła ich rozmowa.

- Nie... ja też nie jestem. - Spojrzała mu w oczy i wysiliła się na uśmiech. - Będą źli, jeśli mnie za długo nie będzie. Skoro myślimy podobnie i chwilowo mamy ich oboje z głowy, powinniśmy dobrze wykorzystać ten krótki czas.

Piękne usta wicehrabiego wykrzywiły się w uśmiechu, rzeźbiąc ujmujące dołeczki w jego policzkach.

- Myślałem dokładnie o tym samym.

Podał jej ramię, Gwen przyjęła je i delikatny materiał jego płaszcza otarł się o jej skórę. Rozmawiali o pięknie księżycy i o pogodzie, a potem o jej książce i jego ulubionych sportach. Wyścigi konne to jego pasja.

- Przez ostatnie dwadzieścia lat nie opuściłem ani jednego zawodów w Epson Downs.

- Uwielbiam jeździć konno. Chciałabym mieć kiedyś własnego konia, wspaniałego, silnego, koniecznie czystej krwi.

- Tak - rzekł. - Piękną klacz z błyszczącą kasztanową sierścią, równie żywiołową jak pani.

Gwen poczuła w środku dziwne ciepło. Uśmiechnęła się do niego i pomyślała, że do tej pory nie poznała żadnego mężczyzny, który potrafiłby zajrzeć do jej duszy. Przez cały ten czas prowadził ją w głąb ogrodów, po raz kolejny zbaczając z alejki w jeszcze słabiej oświetloną ścieżkę. Zatrzymali się pod ogromnym wiązem i wicehrabia wziął ją w ramiona.

- Nie przypomina pani innych kobiet... jest pani śmielsza, zdecydowana poznać świat, nie chce pani siedzieć beczynnie i czekać na to, co przyniesie los.

- Jeśli chcę być dobrą pisarką, muszę poznawać wciąż nowe rzeczy.

Spojrzał jej w oczy.

- A co z małżeństwem, Gwen? I z dziećmi? Każda kobieta o tym marzy. Z pewnością pani również.

Wpatrywała się w jego szare oczy i nagle po raz pierwszy w życiu zapragnęła mieć to wszystko, o czym mówił.

- Nie zamierzam wychodzić za mąż - wyrzekła niemal automatycznie zdanie powtarzane już setki razy.

- Małżeństwo jest tylko odrobinę lepsze od niewolnictwa. Mężczyzna ma kochanki, cieszy się życiem w każdym sensie, a kobieta tylko siedzi w domu i zajmuje się dziećmi. Widzi tylko te rzeczy, na które mąż się zgadza, doświadcza tylko tego, na co pozwala.

- A co z miłością?

- Nie wierzę w miłość. - Spuściła wzrok. - Jednak gdyby istniała, z pewnością byłaby czymś bardzo pięknym. Gdyby kobieta i mężczyzna zakochali się w sobie, mogliby dzielić radości życia, doświadczać ich razem. Gdyby się kochali, mogliby się nawzajem chronić, dbać o siebie, a nie krzywdzić się, jak zwykle robić większość małżeństw.

Wicehrabia przez dłuższą chwilę nie odpowiadał.

- Jeśli nie wyjdzie pani za mąż - rzekł w końcu - straci pani bardzo wiele. Jak pozna pani radość bycia z mężczyzną?

Spojrzała na niego wymownie, już od dłuższego czasu pewna, że do tego właśnie zmierzała.

- Znajdę kogoś, kto mnie nauczy.

Utkwił wzrok w jej zielonych oczach, a po chwili zbliżył usta do jej policzka.

- Ja mógłbym panią tego nauczyć, Gwen. Mógłbym pani pokazać, na czym polega życie i kochanie. Przeżywalibyśmy razem niekończące się godziny rozkoszy.

Gwen zwilżyła wargi. Pod wpływem jego uwodzicielskich słów w jej umyśle zrodził się nagle obraz Adama Harcourta zrywającego z niej ubranie, jego długich palców pieścących jej piersi i całujących ją ponętnych ust. Chyba czytał w jej myślach, bo pochylił się i ją pocałował, przyciskając usta do jej ust w sposób nieskończenie delikatny, a jednocześnie pełen zmysłowego żaru.

Dotknął dłońmi jej twarzy i wzmocnił pocałunek. Ogień powoli ogarniał jej ciało. Wsunął język między jej wargi i zakradł się do jej wnętrza, delektując się jej smakiem. Gwen czuła, jak wzbierają jej piersi, ocierając się o materiał sukni, jak twardnieją sutki.

Wicehrabia przyciągnął ją bliżej i Gwen objęła go za szyję. Przyłgnęła do niego całym ciałem, przycisnęła pierś do jego torsu. Stała na palcach, by móc go dosięgnąć. Jego udo dziwnym sposobem wsunęło się między jej nogi i przywarło do jej kobiecości, sprawiając, że zwilgotniała. Przesunął się i uniósł ją nieco. Przez jej ciało przeszedł gorący dreszcz.

- Adam... - wyszeptwała i wsunęła palce w jego gęste włosy. Drgnął na dźwięk swojego imienia i uniósł

głowę. Wydawało jej się, że walczy sam ze sobą, by się od niej oderwać. Jego oddech był szybszy i bardziej nierówny niż jej własny, a oczy miały kolor mieniącego się srebra.

- Pragnę cię - rzekł. - Myślę o tobie bez przerwy, odkąd opuściłem Belmore.

- Och, Adamie, ja też o tobie myślę.

Może powiedziałyby coś więcej, ale usłyszeli zbliżające się kroki. Zaciągnął ją w bardziej zacienione miejsce, żeby ukryć rumieniec na jej policzkach, odsunął się od niej o kilka kroków i czekał, aż przybysz pojawi się przed nimi.

- Ach, więc to tu się ukrywasz. - Kroki hrabiego Waringa były pewne i zamaszyste. - Mogłem się domyślić, że nie będziesz sama.

Wicehrabia wysunął się nieco przed Gwen, blokując Waringowi drogę.

- Spotkaliśmy się przypadkiem na jednej ze ścieżek. Delektujemy się jedynie chwilą rozmowy w świetle księżyca.

Ojczym spojrzał na Gwen, ale uciekła od niego wzrokiem.

- Właśnie wracałam - skłamała, marząc w duchu, by móc spędzić z Adamem całą wieczór.

- Podobnie jak ja - dodał wicehrabia. - Z radością zadbam o to, by bezpiecznie powróciła do gości.

- Byłaby bezpieczniejsza z watahą wilków, St. Cere. Sam odprowadzę lady Gwendolyn. Najpierw jednak zamienię z nią kilka słów na osobności.

Adam zawahał się przez chwilę, jakby nie chciał jej zostawiać, a potem delikatnie skinął głową.

- Jak pan sobie życzy, wasza lordowska mość.

Odwrócił się i odszedł długim, wystudiowanym krokiem. Po chwili już go nie było. Zniknął równie bezszelestnie, jak się pojawił.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co ten mężczyzna mógłby zrobić z twoją reputacją? - Lord Waring rzucił jej surowe spojrzenie.

- Tylko rozmawialiśmy przez chwilę.

- Nawet chwila z St. Cere'em to za dużo. Ten mężczyzna to hulaka. Twoja cnota nie jest bezpieczna w towarzystwie tego człowieka.

Gwen jednak bardziej obawiała się o swoją cnotę przy lordzie Waringu, który zbliżył się do niej na niebezpiecznie małą odległość. Cofnęła się, a jej plecy przyłgnęły do pnia drzewa.

- Powinniśmy już wracać - wyjąkała. - Mama będzie się martwiła.

- Twoja mama i tak jest zajęta. - Pochylił głowę, przycisnął usta do jej ramienia i zaczął obsypywać jej szyję pocałunkami.

Gwen wzdygnęła się ze wstrętem. Przycisnęła dłoń do jego piersi i próbowała go odepchnąć, ale lord Waring był potężnym mężczyzną i jedynie przysunął się jeszcze bliżej.

- Mam zamiar cię pocałować, Gwen.

- Nie!

Próbował przykryć jej usta wilgotnymi wargami, ale odwróciła głowę.

- Bo będę krzyczeć - zagroziła. - Przysięgam!

- Jeśli to zrobisz, wychłosczę cię jak należy. Przysięgam!

Łzy zakreśliły się w jej oczach. Waring uśmiechał się triumfalnie. Pochylił głowę, żeby ją pocałować, ale usłyszał głęboki głos dochodzący gdzieś zza jego pleców.

- Przepraszam. - St. Cere stał na ścieżce zaledwie kilka kroków od nich. Jego usta zdobił uśmiech, ale oczy pałały z trudem powstrzymaną wściekłością. - Nie chciałbym przeszkadzać, ale lady Gwen musia-

ła zgubić to na ścieżce. Pomyślałem, że powinienem jej to zwrócić.

Trzymał w dłoni białą, haftowaną chusteczkę. Wcale nie należała do niej. Wicehrabia użył jej jako pretekstu, żeby wrócić i obronić ją przed Waringiem. Skąd wiedział?

- Dziękuję... Wasza lordowska mość. - Gwen obezła Waringa i wzięła chusteczkę. - Nie wiedziałam, że ją zgubiłam. - Wysiliła się na uśmiech. - Właśnie wracaliśmy. - Złapała go za ramię tak mocno, że poczuła, jak zaciska mięśnie. - Jestem pewna, że lord Waring nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby pan mnie odprowadził.

Nie dała mu czasu na sprzeciw, podobnie jak St. Cere.

- Z wielką przyjemnością, jaśnie pani. - Ruszyli zwirowaną ścieżką. Ojczym szedł kilka kroków za nimi. Czuli na plecach jego palące spojrzenie. Adam przykrył dłonią drobne palce, które spoczywały na jego ramieniu i ścisnął je pocieszająco.

- Dziękuję, że pan wrócił - szepnęła.

- Nigdy nie miałem zamiaru zostawiać pani z nim sam na sam.

Uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

- A co z chusteczką? Chyba powinien pan ją zwrócić prawowitej właścicielce.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Lady Bainbridge pewnie będzie chciała ją z powrotem. Może sama pani o to zadba?

Gwen zrobiło się nagle ciepło na sercu.

- Tak, uczynię to z radością. - Jednak jej radość wynikała głównie z faktu, że chusteczka nie należała do żadnej z jego licznych kobiet.

Chyba przynajmniej na razie cała uwaga wicehrabiego skupiła się na niej.

Rozdział 19



Do gabinetu zakradły się pierwsze promienie porannego słońca. Matt siedział w brązowym skórzanym fotelu, gdzie w końcu zmorzył go sen. Na twarzy miał jednodniowy zarost, a w głowie pulsowało mu od zbyt dużej ilości brandy. Wciąż miał na sobie wczorajsze ubranie, pogniecione i zabłocone od nocnej jazdy.

Zaspany, przesunął ręką po twarzy. Nawet sen nie był w stanie zagłuszyć natłoku myśli kołających mu się w głowie. Wydarzenia wczorajszej nocy powróciły do niego ze zdwojoną siłą. Pojechał za Jessie do Belmore i udał się od razu na górę, by zmusić ją do przyznania się do zdrady i wyjawienia nazwiska kochanka.

Jednak jego gniew przerodził się w inny, bardziej prymitywny, a jego ciałem zawładnęła dzika żądza. Posiadł ją brutalnie, niemal bezlitośnie.

Jednak mimo zalewającej go złości starał się nie zadać jej bólu.

Przeczesał ręką rozczochrane włosy, zastanawiając się, gdzie popełnił błąd. Zdawało mu się, że gdy da upust wściekłości, powróci spokój i opanowanie, ale najwyraźniej się mylił. Nawet po szaleńczym sek-

się gniew nie ustąpił, wciąż tlił się pod powierzchnią. Postanowił więc poczekać z rozmową do rana i dopiero wtedy zmusić żonę, by przyznała się do romansu.

Udał się do swoich apartamentów na piętrze i zadzwonił po pokojowego, ale wciąż nie mógł się zdobyć na konfrontację z Jessie. Odkąd byli małżeństwem czuł, że sprawy przybierają dziwny obrót. Jego pożądanie do żony wzrosło, a nie zmalało, jak się tego spodziewał. Rodziły się w nim też inne uczucia. Choć próbował z tym walczyć, nie mógł wyzbyć się opiekuńczości, o którą się dotąd nie posadzał, troski o małą Sarę i narastającej chęci posiadania własnych dzieci oraz niewytłumaczalnego ciepła w sercu, pojawiającego się za każdym razem, gdy żona wchodziła do pokoju.

Obiecywał sobie nie tracić czujności, trzymać emocje na wodzy, ale nie udało mu się to. Pozwolił sobie na *uczucie*, jakiego nie zaznał od śmierci matki... i brata.

Teraz płacił za to wysoką cenę.

Matthew wykapał się i przebrał, raz po raz zerkając na drzwi dzielące go od apartamentu żony. Wciąż bolała go głowa, ale to dziwne uczucie w brzuchu przeszkadzało mu najbardziej, ogromny ból, który zdawał się pogłębiać za każdym razem, gdy pomyślał o Jessie. Nawet złość spowodowana zdradą nie była w stanie przyćmić tego przykrego uczucia.

- Wróć dopiero po zmierzchu, Rollie - oznajmił pokojowemu. - A ty możesz zacząć pakować moje rzeczy.

- Wasza lordowska mość?

- Jutro wyjeżdżam do Portsmouth. Czekam na rozkazy od admirała Nelsona, by powrócić na statek. Postanowiłem poczekać na nie tam.

- Tak jest, sir. - Młodzieniec patrzył, jak jego pan odchodzi i zastanawiał się, co skłoniło go do tak pośpiesznego wyjazdu. Jessie będzie musiała sama stać czoło plotkom służby. Matt już ich nie usłyszy.

Wetknął rękawiczki za pasek od spodni i udał się na dół, do wyjścia. Dotarł właśnie na parter, gdy kątem oka zauważył małą postać stojącą w cieniu mahoniowej balustrady i obserwującą każdy jego ruch. Zwolnił kroku, żeby jej nie przestraszyć.

- Sara? - Zatrzymał się i ukląkł przed nią na jedno kolano. Ze swoją małą, spiczastą bródką i prostym noskiem tak bardzo przypominała mu Jessie, że poczuł nagłe ukłucie bólu w piersi.

- Dlaczego nie jesteś w łóżku, kochanie? Jeszcze za wcześnie dla ciebie na pobudkę i zdecydowanie za zimno.

Dziewczynka wlepiła tylko w niego wielkie, błękitne oczy, blada jak blask księżyca. Wstał i rozejrzał się w poszukiwaniu kamerdynera. Chciał, by Ozzie zaprowadził małą z powrotem do jej pokoju, ale nigdzie go nie było.

Gdy ponownie ukląkł przed Sarą, dziewczynka wyciągnęła do niego rączki, cicho prosząc, by ją podniósł. Zrobił to bez zastanowienia. Poczuł na ramieniu jej zimne stópki i zaczął się zastanawiać, dlaczego nie ma na sobie kapci.

- Gdzie masz buty? - spytał. - Przeziębisz się, jeśli będziesz chodzić boso.

Objęła go za szyję i oparła policzek o jego ramię. Jej złote pukle łaskotały go po twarzy i czuł, że ucisk w sercu narasta. Weszli do pokoju dziecięcego, minęli śpiącą w nim Violę i skierowali się do mniejszej komnaty - sypialni Sary. Postawił ją przy łóżku i chciał się wyprostować, ale małe rączki dziewczynki przywarły do jego szyi.

Wpatrzony w niego wielkie błękitne oczy zaczęły wypełniać się łzami.

- Tata... - powiedziała, pocałowała go delikatnie w policzek i oparła główkę o jego ramię. Matt poczuł tak silny ucisk w gardle, że z trudem łapał powietrze.

Przytulił ją znowu i po prostu usiadł na łóżku. Nie wiedział, które z nich czuło się bardziej zagubione, bardziej samotne - mała Sara czy on.

Nie był pewny, ile czasu siedział tak nieruchomo, z dziewczynką na kolanach. Mała w końcu zasnęła w jego ramionach. Poczekał jeszcze chwilę i w końcu położył ją ostrożnie w jej małym łóżeczku, przez cały czas zastanawiając się, jak to by było mieć dzieci z Jessie. Jakie mogłoby być ich małżeństwo, gdyby żona go nie zdradziła.

Teraz zadawał sobie pytanie, czy w ogóle kiedyś zostanie ojcem i przeszło mu przez myśl, że zeszłej nocy Jessie mogła zająć w ciążę. Po tym wszystkim, co zobaczył wczoraj w gospodzie, nawet nie byłby pewny, czy to jego dziecko, kpił z siebie w duchu.

Wciąż czuł nieprzyjemny ucisk w piersi, ale z każdym gorzkim uderzeniem serca coraz bardziej panował nad emocjami i wkrótce ból zaczął ustępować. W końcu nie będzie czuł nic, jedynie tę samą pustkę, która wypełniała jego serce, zanim poślubił Jessie, pustkę, którą niemądrze pozwolił jej wypełnić.

Rzucił ostatnie suche spojrzenie na jej drzwi, opuścił dom i skierował się w stronę stajni.

* * *

Przez całą noc Jessie wierciła się nerwowo w pościeli. Udało jej się zasnąć dopiero nad ranem i spa-

ła zdecydowanie dłużej, niż planowała. Ledwie zdążyła otworzyć oczy, gdy do pokoju weszła pokojówka, trajkocząc radośnie, jak to miała w zwyczaju, ale do Jessie nic nie docierało. Była kompletnie wyczerpana, a jednocześnie nie opuszczało jej napięcie. Martwiła się Matthew, gniewem, który wyczuła u niego zeszłej nocy i tym, jak by zareagował, gdyby mu powiedziała o bracie.

Wstała z łóżka, wciąż nieco obolała po wczorajszych miłosnych uniesieniach, ubrała się w pośpiechu w śliwkową jedwabną suknię dzienną i pozwoliła, by Minnie rozczesała jej włosy.

- Tylko nie przesadzaj, Minnie. Nie mam czasu.

- Tak jest, proszę pani.

Mimo to Jessie zdawało się, że zgrabne upięcie kilku pukli na czubku głowy trwa całe wieki. Chciała wyglądać pięknie dla Matthew, ale była już spóźniona i z każdą chwilą jej napięcie rosło.

Nie przestawała myśleć o tym, jak się kochali, dziko, niemal brutalnie. Z początku była przerażona, ale wrażenie niebezpieczeństwa jeszcze bardziej rozpałało ogień jej pożądania. Teraz, w świetle dnia, czuła się nieco zawstydzona tą nieokiełznaną namiętnością i obawiała się, że może dlatego Matt nie pozostał na noc w jej sypialni.

Przejrzała się w lustrze i odetchnęła głęboko, gotowa stawić czoło bestii. Nie mogła tego dłużej odkładać. Musiała wiedzieć, co myśli mąż, bez względu na to, jak bardzo ją to zaboli. Pomodliła się w myślach, by dodać sobie otuchy, i opuściła sypialnię.

- Dzień dobry, Ozzie - powitała kamerdynera stojącego w holu. - Widziałeś lorda Stricklanda?

- Przykro mi, jaśnie pani. Jego lordowska mość już wyszedł.

Jessie spojrzała na niego z rezygnacją.

- Tego się właśnie obawiałam. - Nerwowo przygryzła wargę. - Wiesz, dokąd się udał?

- Nie, jaśnie pani. Ale Rollie powiedział, że wróci dopiero po zmroku.

Jessie jęknęła w duchu. Czekał ją kolejny dzień pełen nerwów i niepokoju.

- Dziękuję, Ozzie - odrzekła cicho.

Dokąd pojechał? Dlaczego jej unika? Po ostatniej nocy sama już nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

Dzień dłużył się w nieskończoność. Żadne zajęcie nie mogło zająć jej uwagi i rozładować napięcia. Unikała papy Reggiego, bojąc się, że dostrzeże strach w jej oczach i zażąda wyjaśnień. Spędziła wiele godzin w szklarni, a potem udała się na górę, do swych apartamentów, żeby przebrać się do kolacji. Posiłek minął jak z bicia strzelił. Zdołała ukryć niepokój przed papą Reggie, który przez cały czas narzekał, że Matthew powinien być dać im znać, że nie będzie go na kolacji. Markiz udał się na spoczynek, a Matthew wciąż nie powracał.

Dopiero późnym wieczorem usłyszała, jak wchodzi do pokoju obok. Ogarnęła ją nagła panika. Serce zaczęło jej bić w dziwnym, nierównym rytmie. Odetchnęła głęboko, wygładziła fałdy kremowej sukni i udała się do apartamentów męża.

Matt podszedł do kominka, zrzucił z siebie ciemnozielony surdut i rozpiął kilka guzików białej, lniaanej koszuli. Był wyczerpany całodzienną jazdą i usilnymi staraniami, by wyrzucić Jessie z pamięci i serca.

Prędzej czy później będzie musiał spojrzeć jej w oczy, a mimo to ciągle coś go powstrzymywało.

Z zaskoczeniem odkrył, jak bardzo obawia się konfrontacji, słów, które mogłyby położyć kres dniom pełnym nadziei, będącym ich codziennością od ślubu. Pragnął móc jej nienawidzić, ale jedyne, co czuł, to wszechogarniającą pustkę.

I przytłaczającą samotność.

Może to on zawinił. W końcu zmusił ją do tego małżeństwa. Jednak bez względu na wszystko Jessie była jego żoną i powinna mu być wierna.

Rozległo się pukanie do drzwi. Żołądek podszedł mu do gardła, gdy zdał sobie sprawę, że dźwięk dochodzi od strony apartamentów Jessie. Najwyraźniej nadszedł już czas, pomyślał i zacisnął szczękę w oczekiwaniu na to, co miało nadejść. Przed oczami znów stanął mu obraz żony stojącej w cieniu gospody i szepczącej coś do ucha kochankowi, ale ostatkiem sił odgonił przykre myśli.

Przemierzył puszysty, perski dywan w swoim salonie, otworzył drzwi i cofnął się o krok, pozwalając Jessie wejść do środka.

Miała na sobie kremową satynę, włosy upięta w elegancki kok, a skromny dekolt subtelnie podkreślał krągłość jej piersi, co czyniło je jeszcze bardziej pociągającymi. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Dobry wieczór, milordzie.

Wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu.

- Dobry wieczór... milady.

Jessie zbladła, dostrzegłszy napięcie, malujące się na jego twarzy.

- Cieszę się, że jesteś już w domu.

- Czyżby?

- Tak... Chciałabym omówić kilka ważnych spraw. Słyszac to, Matt zmarszczył brwi.

- Ach, tak? Cóż za zbieg okoliczności. Ja również mam kilka spraw do omówienia.

Podeszła do kominka, a on udawał że nie dostrzega, jak cudownie lśnią jej włosy w żółtym blasku płomienia, jak delikatna wydaje się jej skóra. Próbował zignorować nagły ucisk w gardle.

- Ja mam zacząć czy ty? - spytała.

- Cóż... Oczywiście, ty... moja droga.

Jessie chrząknęła cicho. Choć sprawiała wrażenie całkowicie opanowanej, dostrzegł w jej ruchach pewne napięcie. Poczul nagłe ukłucie bólu, ale stłumił je bezlitośnie.

- Chciałabym pomówić z tobą o zeszłej nocy - rzekła. Zesztywniał.

- O zeszłej nocy?

- Tak.

- Przepraszam, jeśli zadałem ci ból. Nie miałem takiego zamiaru.

Jej blade policzki zaróżowiły się delikatnie.

- Nie zadałeś mi bólu.

- A więc o czym chciałabyś pomówić?

Jessie zwilżyła wargi. Otworzyła usta, żeby zacząć, ale kątem oka dostrzegła dwie skórzane walizki, leżące spakowane w nogach łóżka.

- Wyjeżdżasz...? Gdzie... gdzie się wybierasz?

Uśmiechnął się okrutnie.

- Do Portsmouth. Wracam na statek. Miałem czekać na rozkazy tutaj, ale zeszłej nocy... zmieniłem plany.

- Idziesz na wojnę? - wydukała drżącym, dziwnie wysokim głosem.

- Przecież wiedziałaś, że pójdę, jeśli mnie wezwą.

- Tak... ale nie wiedziałam, że już to zrobili. Myślałam, że mi powiesz, dasz mi szansę na oswojenie się z tą myślą.

- Oswojenie się? Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że choć trochę obchodzi cię mój wyjazd?

- Oczywiście, że mnie obchodzi! Jestem twoją żoną. Będziesz narażał życie. Jak mogłoby mnie to nie obchodzić?

Matthew zauważył, że cała drży. Każde jej słowo brzmiało tak szczerze, a mimo to wiedział, że kłamała i pomału tracił cierpliwość.

- A więc zależy ci na mnie?

- Tak... Chcę...

- Jeśli tak ci zależy, dlaczego pojechałaś w nocy do gospody? Dlaczego znalazłaś sobie kochanka?

- Co?! "

- Wróciłem z Beaconfield wczesnym wieczorem i widziałem cię, Jessico. Pojechałem za tobą. Wiem o twoim spotkaniu z kochankiem na tyłach gospody. Nie wiem, kim jest, ale wyjawisz mi to, nim nastanie świt! - Jego oczy pałały wściekłością i nieukrywaną satysfakcją.

Jessie stała nieruchomo, blada jak ściana. Przez dłuższą chwilę nie odzywała się ani słowem. Potem zacisnęła wargi ze złości.

- Tak, mój panie, możesz być pewny, że powiem ci, kim był ten człowiek. Tak się składa, że o tym właśnie chciałam porozmawiać.

Wstrząsnął nim nagle jakiś niepokój i poczuł się dziwnie nieswojo. Nie bardzo mógł zrozumieć, co się dzieje.

Kilka kroków od niego Jessie zaciskała nerwowo dłonie i przyciskała je do brzucha tak mocno, aż zsiąły.

- Wczoraj przyszedł ze wsi jakiś chłopiec. Miał dla mnie list. Z jego treści łatwo można się było domyślić, że piszący doskonale wiedział o twoim wyjeździe do Beaconfield. Nie chciałam denerwować twojego ojca, dlatego postanowiłam załatwić sprawę sama. Nie miałam innego wyboru.

Drżącą ręką sięgnęła do kieszeni sukni i wyciągnęła pogięty kawałek papieru. Jej oczy zaszklily się od łez złości i rozczarowania.

- To jest właśnie list, który dostałam. Przez niego poszłam do gospody. Mężczyzna, którego widziałeś, to mój brat, a nie kochanek. - Wcisnęła mu kartkę do ręki, zamruwała i łzy spłynęły jej po policzkach. - Nie mam kochanka, Matthew. Nie potrzebuję go. Jesteś jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochałam.

Ogromny ból ścisnął jego serce. Spojrzył na Jessie, a potem na list. Zanim dotarł do końca notatki, ręka drżała mu tak, że z trudem odczytywał litery. Uniósł wzrok i ujrzał piękną twarz Jessie całą we łzach. W jej oczach malował się smutek i przejmujący ból.

Gorączkowo szukał odpowiednich słów, ale w głowie miał kompletną pustkę i ciemność, bez odrobiny światła, które pomogłoby mu jakoś się odnaleźć w tej sytuacji.

Spoglądała na niego jeszcze przez chwilę, a potem uniosła dumnie głowę, odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

Gdy ucichł odgłos jej kroków, Matt jeszcze raz przebiegł wzrokiem po liście. Każde przeczytane słowo skazywało go na piekło, które sam sobie zgotował. Pomylił się co do niej. Znowu. Niesłusznie ją oskarżył. Znowu.

Wszystko przez zazdrość, uprzedzenie i jego wewnętrzne, szaleńcze przekonanie, że skoro jej matka była kobietą upadłą, Jessie w jakiś sposób jest skazana na podobny los. W jej żyłach nie płynie czysta arystokratyczna krew, jak w Caroline Winston.

Może i nie.

Ale jej serce było równie czyste, a może nawet bardziej. Wreszcie to do niego dotarło. Jak mógł być taki ślepy?

Zamrugał, zaskoczony łzami, które napłynęły mu do oczu. Nie płakał od szóstego roku życia. Od dnia śmierci matki. Tego dnia wyznała mu, że go kocha. Potem już nigdy więcej tego nie słyszał, nawet od własnego ojca. Do dzisiaj.

Czuł ogromny ciężar na sercu, gdy podchodził do drzwi dzielących ich apartamenty. Przesunął zasuwkę i wszedł do sypialni kobiety, którą tak boleśnie skrzywdził. Nawet nie spojrzała w jego stronę. Stała w milczeniu wpatrzona w kominek, ale jej drobne ramiona drżały z rozpacz, która ogarnęła jej ciało i umysł. Ile razy ma jeszcze mu udowodnić, że się myli, żeby wreszcie jej uwierzył? Jak długo będzie jeszcze walczyć o to zaufanie?

Przemaszerował bezgłośnie po grubym, orientalnym dywanie, zbliżył się do niej i położył jej delikatnie rękę na ramionach. Powoli odwrócił ją i spojrzał jej w oczy.

- Jessie... Kochanie... Przepraszam.

Nie odpowiedziała. Spuściła wzrok i wpatrywała się w guzik jego koszuli.

- Nie powinienem był wyciągać pochopnych wniosków. Powinienem był przyjść do ciebie i poprosić cię o wyjaśnienia. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem. Mogę tylko powiedzieć, że jeszcze nigdy nie byłem tak zazdrosny o żadną kobietę. Nie wiedziałem, co zazdrość może zrobić z człowiekiem.

Spojrzała mu w oczy.

- Nigdy mi nie ufałeś, prawda? Nawet po ślubie. Wydaje ci się, że skoro moja matka...

- Nie mów tego, Jess. - Przyciągnął ją do siebie i objął ramionami. Poczuł ostre ukłucie winy, gdyż trafiła w samo sedno. Serce ścisnęło mu się z żalu na myśl o cierpieniu, które musiało jej sprawić jego okrucieństwo. - Nie jesteś jak twoja matka. W niczym jej nie przypominasz.

Wyrwała mu się, zanim zdążył ją przytrzymać i cofnęła o kilka kroków.

- Właśnie że ją przypominam, Matthew. Pod pewnymi względami jestem zupełnie taka jak ona.

Matt potrząsnął głową, pragnąc wziąć ją w ramiona, otrzeć łzy z jej policzków.

- Zeszłej nocy, gdy przyszedłeś do mojego pokoju - rzekła - wiedziałam, że jesteś zły. Z początku mnie przeraziłeś, ale potem... kiedy zacząłeś mnie całować... zapragnęłam cię. Dobry Boże, jak bardzo cię wtedy pragnęłam. Podobało mi się wszystko, co ze mną robiłeś. Nie obchodziło mnie, że robiłeś to w złości. Rozpaliłeś mnie i marzyłam jedynie o tym, żeby móc poczuć cię w środku. Nic dziwnego, że mi nie ufasz. Zachowałam się nie lepiej niż kobiety z piętorka w „Czarnym Knurze”!

Matt złapał ją za ramiona.

- Przestań, Jess! - Przytulił ją do piersi. - Jesteś piękną, zmysłową kobietą. Codziennie dziękuję Bogu, że dał mi żonę, która odwzajemnia moją namiętność. - Chciała zaprotestować, ale potrząsnął nią, zmuszając, by go posłuchała. - W tym, co robimy nie ma nic złego. Nic! Powiedziałem ci to tej nocy, kiedy odebrałem ci niewinność. Wina leży jedynie po mojej stronie. Byłem głupcem, Jess. Szalonym, zazdrosnym głupcem. - Ujął ją delikatnie pod brodę. - Przepraszam, Jess. Czy kiedykolwiek potrafisz mi wybaczyć?

Zacisnęła mu palce wokół ramion i oparła się o niego głową, a słone łzy spływające po jej policzkach zaczęły wsiąkać w koszulę na jego piersi.

- Kocham cię, Matthew. Wybaczyłam ci prawie wszystko. - Uniosła głowę i dostrzegła w jego oczach nieopisany wręcz smutek.

Głaskał ją po głowie i przeklinał się w duchu za mur, który zbudował między nimi, choć wiedział, że lada dzień zostanie wezwany na wojnę.

- Nie powinienem był w ciebie wątpić, Jessie.

Przycisnęła twarz do jego ramienia i wyraźnie poczuł drżenie wstrząsające jej ciałem.

- A jednak wyjeżdżasz?

Pocałował ją w czubek głowy.

- Będę musiał. Miałem zamiar ci o tym powiedzieć, ale nie wiedziałem jak. Nie chciałem martwić ojca i ja-koś nigdy nie nadarzał się odpowiedni moment.

Odsunęła się nieco.

- Właśnie to zaprzętało ci ostatnio głowę? To znaczy... Przed zeszłą nocą. Martwiłeś się wyjazdem na wojnę?

- Martwiłem się, że muszę opuścić dom. Teraz przynajmniej będziesz bezpieczna, skoro już jesteśmy małżeństwem. Jeśli coś mi się stanie...

Przycisnęła palec do jego ust, by powstrzymać następane słowa, i zauważyła, że drżą.

- Nie mów tak. Nawet tak nie myśl. Wrócisz do Belmore. A gdy już to się stanie, nie będziesz musiał wyjeżdżać nigdy więcej.

Spojrzał w głąb jej oczu i poczuł, że w jego sercu znów zaczyna tlić się nadzieja. Skrzywdził ją, to prawda, ale może jeszcze nie jest za późno.

- Nie... Kiedy wrócę, już nigdy więcej cię nie opuszczę.

Błękitne oczy wpatrywały się w jego twarz. Kocham cię, zdawały się mówić, i Matthew pozwolił sobie im uwierzyć. Nigdy nie pragnął miłości kobiety, a jednak słowa te napawały go dziwnym ciepłem. Czuł jak ciężar powoli opada mu z serca i na nowo wstępuje w nie nadzieja. Wrócę, poprzysiągł sobie w duchu. Wrócę do Belmore i do Jessie.

I modlił się, by udało mu się dotrzymać złożonej obietnicy.

* * *

Adam Harcourt rozsiadł się wygodnie na kanapie w „Koguciku i Kurce” przy Sloane Street. W lokalu panował zgiełk, pachniało dymem i tanimi perfumami, ale było czysto i porządnie. Sophie Stevens, właścicielka przybytku, pilnowała tego osobiście. Poza tym śliczna ciemnowłosa ładacznicą, którą trzymał na kolanach, trochę przypominała mu Gwen.

Adam w roztargnieniu miętosił jej pośladki. Przyszedł tu specjalnie dla niej i miał zamiar się z nią kochać, dopóki jego gorące pożądanie do Gwen Lockhart przynajmniej odrobinę nie ostygnie. Odkąd pocałował tę małą łobuzicę w ogrodach Belmore, marzył jedynie o tym, by kochać się z nią szaleńczo i namiętnie.

Pożądanie do niej wzrosło jeszcze w Vauxhall. Pamiętał doskonale każdą z jej kuszących krągłości, miękkość jej warg, słodką woń lilii, którą wokół siebie roztaczała. Ostatni raz, kiedy tak bardzo pragnął jakiejś kobiety, miał miejsce jeszcze przed ślubem z Elizabeth. Obiektem była urocza dziewczyna o imieniu Mary. Jednak Mary była zaręczona z kim innym, a jemu przeznaczono Elizabeth Radmore.

Po wszystkim, co się potem stało, dziękował w duchu, że nie czuł nawet najmniejszej isierki miłości do kobiety, którą poślubił.

Uczucia do Gwen jednak go niepokoiły. Miała w sobie coś takiego, dziwną kombinację niewinności i zuchwałości, co sprawiało, że pociągała go, jak nigdy wcześniej żadna kobieta. Była jak niebezpieczny

ogień, który płonął nieokiełznany, a swoim szaleństwem i zapalczliwością przypominała Elizabeth.

Mimo to zupełnie się różniły.

Jego żona była zimna, wyrachowana i samolubna natomiast Gwen cechowała kusząca niewinna słodycz. Musiał wciąż sobie przypominać, że jest niepoprawnym rozpustnikiem i chce ją mieć w swoim łóżku, ale serce pozostawić szczelnie zamknięte.

Pochylił się i pocałował dziwkę w piękną szyję. Słodka Rachel mu w tym pomoże. Stłumi pałający w nim żar do Gwen i przytępi niepoprawne emocje. Oddali od siebie wszelkie uczucia do tej dziewczyny i pozwoli sobie na odczuwanie jedynie żądy. Prędej czy później zaciągnie ją do łóżka, w to nie wątpił ani przez chwilę, i nawet jej niewinność nie będzie zaprzętała mu sumienia.

Wiedziała czego chce, podobnie jak on. Podobał się sobie, ale żadne nie było zainteresowane małżeństwem. Małżeństwo jest dla naiwnych głupców, wierzących w ognisko domowe, lub dla mężczyzn w trudnej sytuacji, chcących podreperować swoje finanse.

Rachel pociągnęła go za rękaw.

- Chodź, skarbie, może pójdziemy na górę? Przecież po to tu przyszedłeś.

Wykrzywił lekko usta.

- Zgadza się, właśnie po to przyszedłem. Masz rację, czas przejść do rzeczy. Zabieraj ten swój śliczny tyłeczek do swojego pokoju. Zaraz do ciebie dojdę. - Adam ruszył za nią, ale kiedy zamknął drzwi i odwrócił się w jej stronę, zdał sobie sprawę, że popełnił błąd.

Jedynie fachowe zabiegi Rachel zdołały zainteresować go na tyle, by stwardniał. Skończyło się na tym, że po prostu zepchnął ją na kolana i pozwolił jej robić swoje. Potem szybko zapiął spodnie i zszedł na dół.

Nie był to wieczór pełen rozpusty, jak sobie wcześniej zaplanował, a mimo to czuł się dziwnie winny, jakby w pewnym sensie nie dochował wierności.

Na litość boską, z kobietami zawsze jest tyle problemów! Gdy już jakaś wpije swoje szpony w mężczyznę, biedny głupiec po prostu nie jest w stanie jej z siebie strząsnąć. Myśl ta rozżłościła go jeszcze bardziej. Po raz kolejny postanowił sobie stanowczo, że zaciągnie Gwen Lockhart do łóżka i weźmie w ryzyko swoje emocje. Gdy ją zdobędzie, nie będzie już miała nad nim żadnej władzy.

W końcu to tylko kobieta, a tych Adam Harcourt miał na swoim koncie więcej niż przeciętny śmiertelnik.

* * *

Zgiełk uliczny z trudem docierał do świadomości Matthew, który właśnie wchodził do klubu Brooksa w poszukiwaniu Adama Harcourta. Chciał poprosić go o pomoc. Wstąpił już do kilku innych miejsc, ale na razie poszukiwania nie przyniosły żadnego efektu. Jeśli szybko go nie znajdzie, będzie musiał działać sam.

Matt rozejrzał się po zadymionej sali i jego twarz rozświetlił uśmiech.

- St. Cere! - zawołał i podszedł do stolika, przy którym Adam sączył brandy. Wyciągnął dłoń, a wicehrabia zerwał się z miejsca, by powitać przyjaciela. - Miałem nadzieję, że cię tu znajdę.

Adam uśmiechnął się ciepło.

- Myślałem, że do końca sezonu pozostaniesz już w Belmore.

- Niestety, mam w Londynie pewne niedokończone sprawy. Jak tylko znajdę mężczyznę, którego szukam, wrócę na wieś.

- A kogo szukasz?

- Kanalii o nazwisku Danny Fox. Cały dzień chodzę po mieście i wszędzie o niego wypytuję. Dowiedziałem się o kilku miejscach, w których mógłby być.

- Jak mogę ci pomóc?

Matt klepnął Adama po ramieniu.

- Miałem nadzieję, że to powiesz. Tak na marginesie, miałem teraz iść do „Kogucika i Kurki”. Pomyślałem, że jeśli cię nie ma nigdzie indziej, pewnie jesteś tam.

Adam roześmiał się.

- Właśnie stamtąd wracam. Chyba muszę zmienić zwyczaje. Staję się zbyt przewidywalny.

- Może nasz wiek daje już o sobie znać... Próbuje nas ustatkować.

- Boże uchwaj!

Matt tylko uśmiechnął się pod nosem.

- Powiedz, jak ci mogę pomóc - zapytał Adam.

- Miałem nadzieję, że ze mną pójdziesz. W miejscach, do których uczęszcza ten typ, lepiej mieć kogoś, kto będzie na ciebie uważał.

- Powiniennem sobie poradzić z tym zadaniem.

- Na szczęście to jedyne, czego od ciebie oczekuję. Gdy już się dowiem, gdzie jest ten drań, sam zajmę się resztą.

Adam przyjrzał się z uwagą napiętej twarzy przyjaciela.

- Po twojej minie widzę, że facet musiał nieźle narozrabiać.

Matt zacisnął szczękę.

- Wystarczająco. Groził mojej żonie i rodzinie. Popełniłem błąd, że wcześniej nic z tym nie zrobiłem.

Adam skinął tylko głową.

- Od czego zaczynamy?

- Sloane Street. Gość ma pełne kieszenie pieniędzy i biżuterii do sprzedania. Z pewnością pójdzie do domów gier trochę się zabawić i będzie szukał kupców na biżuterię. Bardzo prawdopodobne, że uda się właśnie na Sloane Street. - Matt uśmiechnął się lekko. - Ma wyjątkową słabość do pań, dlatego zaczniemy od burdeli.

Trzy godziny później stali w drzwiach obskurnej piwiarni z pokojami na piętrze i kilkoma ladacznicami, gdyby przypadkiem któryś z gości miał dodatkowego szylinga do wydania. Po przeciwległej stronie surowej sali, przy jednym z nieheblowanych drewnianych stołów siedział Danny Fox. Obejmował dziewczynę o bardzo obfitych kształtach i grał w karty.

Matt i Adam weszli tu już dziś po raz drugi. Tym razem nie byli sami.

- Zostań tu - rzekł Matt do przyjaciela. - Lepiej się im nie pokazuj. Wyprowadzę Foksa do ciebie.

Podszedł grającego w karty Danny'ego i szepnął mu do ucha:

- Chciałbym cię prosić na słówko, Danny. Możesz wyjść spokojnie, albo cię stąd wyciągnę siłą. Jak będzie?

Fox zbladł, choć w jego głosie wyraźnie brzmiała brawura.

- Proszę, proszę. Spójrz Connie - zwrócił się do mężczyzny siedzącego obok - czy to nie cholerny jaśniepan we własnej osobie?

Surowe spojrzenie Matta przewędrowało na kościstego Conniego Dibble'a. To jeden z tych, którzy zaatakowali go na jarmarku.

- To się tyczy również ciebie, Dibble. Obaj macie wyjść na zewnątrz.

Fox rzucił Dibble'owi ukradkowe spojrzenie, które zdawało się mówić, żeby się nie martwił, że Matt

jest sam i we dwóch dadzą mu radę. Dibble jednak wcale nie był tego taki pewny.

- A ode mnie czego chcesz? - zapytał. - Nic nie zrobiłem.

- Z przyjemnością ci wyjaśnię... na zewnątrz.

Mężczyźni odsunęli krzesła, które otarły się ze zgrzytem o surową, drewnianą podłogę. Nikłe promienie światła wyciekały przez szczeliny między deskami. Nad słabo oświetlonymi stołami unosiły się wielkie kłęby dymu.

Matt szedł Foksowi z drogi.

- Idźcie przodem.

Znaleźli się przy drzwiach i wtedy Adam wyłonił się z ukrycia. Gdy tylko wyszli w ciemność, Fox i Dibble odwrócili się gwałtownie z zacisniętymi pięściami gotowymi do ataku. Cios Foksa wyładował na ramieniu Matta. Dibble chybił zupełnie. Matt złapał Foksa za surdut, trzasnął nim z impetem o ścianę i wbił mu pięść w brzuch. Kolejny cios znów przycisnął go do ściany. Pod wpływem nagłego bólu Danny wydo był z siebie ciche stęknienie. Tymczasem Adam chwycił Dibble'a za kłapy, zamachnął się swoją laską ze srebrnym uchwytem, wcisnął ją pod brodę chudzielca i nacisnął gałkę, z której wyłoniło się małe, błyszczące ostrze.

- Radzę ci się nie ruszać - warknął.

- Nie, nie... Przecież się nie ruszam.

Matt potrząsnął Foksem jak workiem.

- Jestem pewny, że wydałeś pieniądze, które dała ci moja żona. A co zrobiłeś z biżuterią?

Fox stęknął.

- A więc ta mała dziwka o wszystkim ci powiedziała. Nie sądziłem, że będzie miała tyle odwagi.

Matt chwycił Foksa za szyję i powoli zaczął zacieniać uścisk.

- Ta biżuteria należy do mojej żony. Gdzie ona jest?

- Sprze... Sprzedałem ją - wybełkotał Danny. - Już wszystko wydałem... Zostało mi tylko to. - Sięgnął do kieszeni po portfel, wyciągnął z niego monety i wcisnął je Mattowi do ręki. - Masz, weź te swoje cholerne pieniądze.

Matthew uśmiechnął się lodowato.

- Mam taki zamiar. Tam, gdzie teraz trafisz, Fox, nie będziesz ich potrzebował. Podobnie jak twój przyjaciel. - Dał znak ręką i nagle z cienia wyłoniło się sześciu potężnych osiłków. Dwóch trzymało solidne dębowe pałki, a pozostali zaciskali ogromne dłonie w pięści.

- Uda się pan w morską podróż, panie Fox - powiedział najwyższy mężczyzna, rudowłosy marynarz z wielką szramą na policzku. - Pan i pan Dibble.

- Do diabła, Danny! Przecież to cholerni łapacze. Wezmą nas do wojska!

- Zgadza się, Connie - rzekł Matt. - Kapitan okrętu to mój dobry znajomy. Przydadzą mu się dwie pary silnych rąk do pomocy.

- Zabiję cię! - zagroził Fox, czerwieniejąc ze złości. - Przysięgam!

- Nie sądzę, Danny. Myślę, że będziesz zbyt zajęty szorowaniem pokładów i łataniem żagli. Bardzo możliwe, że twoja noga już nigdy nie postanie na angielskiej ziemi. Ale jeśli tu wrócisz, radzę ci trzymać się jak najdalej ode mnie i od mojej rodziny. Tylko się do nich zbliż, a to ty będziesz drżał o swoje życie. Przysięgam ci to!

Mężczyźni milczeli. Sześciu osiłków podeszło do nich, związało im ręce za plecami i obwiązało sznurem. Potem popędzili ich, klnących wściekle, w stronę portu.

Matt zwrócił się do St. Cere'a.
- Dziękuję ci, Adamie. Jesteś cholernie dobrym przyjacielem.

- Zawsze do usług. - St. Cere uśmiechnął się szeroko. - Niech sobie ludzie mówią co chcą, ale nudny i sztywny to ty na pewno nie jesteś.

Roześmieli się obaj.

- Mieszkam niedaleko - rzekł Adam. - Możesz zostać u mnie na resztę nocy.

- Szczerze mówiąc, chyba udam się prosto do domu.

Adam spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Chyba nie masz na myśli Belmore?

Matt przytaknął.

- Przyjacielu, chyba cię nieźle wzięło.

Matthew uśmiechnął się nieco sztucznie.

- Cóż, przyznaję, przyzwyczailem się już do domowych wygod i do chętniej kobiety w moim łóżku.

Adam pokiwał tylko głową. Może Strickland zwaśniował na punkcie Jessie Fox, dał się jej zniewolić, a może nawet się zakochał, ale Adam nie ma zamiaru iść w jego ślady. W przeciwieństwie do Matta, skończy z tą szaleńczą obsesją na punkcie pięknej pasierbicy lorda Waringa, zanim wszystko zajdzie za daleko. Gdy tylko nadarzy się odpowiednia okazja, zaciągnie Gwen Lockhart do łóżka.

Rozdział 20



Długie ciepłe lato dobiegało końca. Dni mijały Jessie na pełnym łęku oczekiwaniu na rozkazy dla Matthew, oznaczające jego wyjazd na wojnę przeciw Francji.

Na wojnę, z której może nie wrócić.

Chodzili na długie spacerunki po ogrodach, delektowali się porannymi przejażdżkami i pracowali wspólnie w szklarni. Często towarzyszyła im mała Sara. Dziś mieli jechać na piknik nad jezioro. Matthew, niosący ze sobą kosz pełen zimnych mięs, serów, pierniczek i wina, poprowadził ich do małego powozu zaprzęgniętego w kucyka.

Godzinę później Jessie leżała już przyjemnie najedzona obok męża na kocu. Sara biegała w pobliżu i zbierała małe, żółte kwiatki, jak zwykle milcząca, ale z każdym dniem coraz mniej przerażona otaczającym ją światem.

- O czym myślisz? - zapytał Matt Jessie, która pochłaniała właśnie ostatni kawałek pieczonej kuropatwy.

- Myślałam o papie Reggiem. To nie w porządku z naszej strony, że nic nie powiedzieliśmy mu o twoim wyjeździe.

- Wiem. Już od dawna o tym myślę. Obiecuję, że już niedługo mu powiem.

Rozmawiali o dzieciństwie. Jessie opowiadała Mattowi o strasznych dniach zaraz po opuszczeniu gospody, a Matthew dzielił się z nią wspomnieniami ze swoich chłopięcych lat.

- Byłem zaledwie sześciolatkiem brzdącem, gdy zmarła moja matka. Ojciec ponownie się ożenił, ale niewiele go widywaliśmy. Zajmował się majątkiem, często wyjeżdżał do Londynu. - Zanurzył rękę w gęstej zielonej trawie i zerwał małą żółtą stokrotkę. - Były to dla mnie trudne chwile. Czułem się samotny, brakowało mi uczucia. Uwielbiałem moją macochę, ale ona nie okazywała mi najmniejszego zainteresowania. - Zaśmiał się gorzko. - Jak na ironię, kochała mojego ojca, ale on wcale o nią nie dbał. - Pomiętosił stokrotkę w dłoni i wyrzucił ją. - Miłość i cierpienie. Dziwne, jak bardzo się ze sobą wiążą.

Słyszac te słowa, Jessie poczuła nagle ogromny smutek. Mimo to nie mogła się z nimi nie zgodzić. Miłość często oznaczała cierpienie. Na samą myśl o wyjeździe Matta żal ścisnął jej gardło. Wyciągnęła rękę i pogłaskała go czule po twarzy.

- Twojej macosze na pewno na tobie zależało, Matthew. Jak mogłoby być inaczej?

Na twarzy męża pojawił się delikatny, niepewny uśmiech. Położył się na kocu, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Pewnie kochaliby się w trawie nad jeziorem, gdyby nie było z nimi Sary.

Gdyby właśnie w tym momencie nie wpadła z głośnym pluskiem do jeziora.

- Sara! - Jessie i Matthew zerwali się z miejsca jak oparzeni i popędzili nad wodę. Głowa Sary wynurzyła się nagle na powierzchnię. Miała szeroko otwarte usta, a w jej oczach malowało się przerażenie. Biła

gorączkowo rączkami o wodę, a po chwili przesiąknięta różowa sukienka pociągnęła ją w dół.

- Dobry Boże! - zawołała Jessie. - Sara tonie, a ja nie umiem pływać!

Ale Matthew już zdjął surdut i ściągnął buty. Nabrał powietrza głęboko w płuca i skoczył do lodowatego stawu.

- Boże... - Jessie stała na błotnistym brzegu po kostki w wodzie. Mokry dół sukni przylgnał jej do nóg. Obserwowała przerażona bąbelki powietrza unoszące się na powierzchni w miejscu, gdzie Matthew zanurkował.

Zdawało jej się, że minęła wieczność zanim się wynurzył i wyciągnął małą jasną główkę Sary spod wody. Płakała, prychała i z trudem łapała oddech. Łzy same popłynęły Jessie po twarzy. Podbiegła do Matta, wynoszącego małą na rękach z jeziora.

- Nic jej nie jest - powiedział, ale drżał na całym ciele, wcale nie od przemoczonego ubrania.

Jessie złapała lodowatą rączkę dziewczynki. Małe, niebieskie żyłki prześwitywały spod jej bladej skóry.

- Zabieramy cię do domu, kochanie. Zaraz cię wysuszmy i ogrzejemy.

Sara skierowała wielkie oczy na Matthew i objęła go bladymi rączkami za szyję.

- Tata - wyszeptwała. - Tata...

Matthew wzmocnił uścisk.

- Jestem tu, kochanie. Tata jest z tobą. Proszę, nie płacz. Wszystko będzie dobrze.

Jessie wpatrywała się w niego bez słowa. Łzy wzruszenia podeszły jej do gardła. Kochała Matthew Seatoną, odkąd była małą dziewczynką, ale nigdy nie kochała go bardziej niż w tym momencie.

Szła obok niego w milczeniu, a potem podniosła koc z ziemi i owinęła ich. Złapała kosz z resztkami

jedzenia i porozrzucane ubrania Matta i pospieszyła do powozu.

Gdy dotarli do domu, zostawili zaprzężony powóz i ruszyli w pośpiechu. Nie zważając na wodę ociekającą z ubrań Matta, od razu skierowali się na górę, do pokoju dziecinnego, gdzie zaczęli zdejmować z małej przemoczona sukienkę.

- Wielkie nieba! - zawołała Viola z przerażeniem, pędząc w ich kierunku. - Co się stało mojej kochanej kruszynie?

Sara uniosła na Violę ogromne niebieskie oczy.

- Tata uratował mnie z wody - rzekła i wybuchła płaczem.

Vi rzuciła zdumione spojrzenie Jessie, która z kolei zwróciła wzrok na męża. Matthew tylko się uśmiechnął.

- Słoneczko moje! - Viola wyciągnęła pulchne ręce do dziewczynki i opatulili ją kocem jej drżące ciało. Sara kilka razy pociągnęła nosem i pomachała na pożegnanie, gdy Viola wzięła ją na ręce, żeby zanieść w pobliże kominka.

Jessie westchnęła.

- Och, Matthew, gdyby nie ty, Sara pewnie by utonąła.

Matthew nie odpowiedział, ale mięsień drgnął mu nerwowo na twarzy. Było oczywiste, że myślał o tym samym. Jak również o tym, że niedługo nadejdzie dzień jego wyjazdu.

Kto się będzie wtedy nimi opiekował?

* * *

Matt przemierzał ścieżkę wiodącą do szklarni. Ojciec powiedział mu, że zastanie tam Jessie, gdy po skończonym spotkaniu z dzierzawcami wreszcie miał zamiar ją odszukać.

Dojście do celu nie zajęło mu dużo czasu. Otworzył cicho drzwi i wślizgnął się do wilgotnego wnętrza. Było to spore pomieszczenie zbudowane z sepek tafli matowego szkła, wypełnione ogromnymi roślinami o wielkich, zielonych liściach. Na usypanych żyzną ziemią grządkach rosły kwiaty rzadko spotykane w chłodnym angielskim klimacie oraz egzotyczne warzywa i owoce.

Jessie była pochłonięta kopaniem. Sadziła właśnie małe drzewko pomarańczowe. Włożyła je do dołka, obsypała korzenie ziemią i przechyliła się, żeby wziąć konewkę, kusząco eksponując przed Matthew jędrną pupę.

Uśmiechnął się szeroko i zaczął się do niej cichutko zakradać od tyłu. Był już prawie przy niej, gdy pod podeszwą zachrząścił mu jakiś kamyczek. Jessie odwróciła się gwałtownie z konewką w rękę i woda popłynęła wprost na jego świeżo pastowane buty.

Z jej gardła wydobył się melodyjny śmiech.

- Jeśli chcesz mnie podejść od tyłu, mój panie, w przyszłości będziesz się musiał lepiej postarać!

Zaśmiała się znowu, gdy dostrzegła zaskoczenie na jego twarzy na widok wody kapiącej na błyszczące, czarne buty.

Rzucił jej surowe spojrzenie i nagle roześmiał się zawadiacko,

- Ty wstrętna kokietko, zapłacisz mi za to!

Jessie pisnęła, gdy rzucił się w jej stronę, odskoczyła na bok i zaczęła uciekać wzdłuż rzędów ogromnych roślin, kwiatów i drzewek pomarańczowych. Matthew podążył w ślad za nią. Skręcała gwałtownie raz w jedną, raz w drugą stronę, przemykała pośród ogromnych liści, aż w końcu dotarła do krańca szklarni, rozpostarła małe, drewniane drzwiczki do szopy i zniknęła w środku.

Matt uśmiechnął się pod nosem. Miała tylko jedną drogę ucieczki - prędzej czy później będzie jego. Nie zatrzymując się, wszedł do ciemnego wnętrza. Mógł poczekać aż sama wyjdzie, ale pościg sprawiał mu więcej przyjemności.

W szopie otwierał po kolei każdą skrzynię, zaglądał głęboko do środka. Przyszło mu do głowy, że jeszcze nigdy nie żartował w ten sposób z żadną kobietą. Uśmiechnął się na myśl, że całkiem dobrze się przy tym bawi.

Zdjął pokrytą mchem pokrywą skrzyni i zajrzał do środka, ale nikogo tam nie było.

- Równie dobrze możesz od razu wyjść, Jess. Nie możesz wiecznie się przede mną ukrywać.

Przeszukał połowę szopy i podszedł do kąta, w którym z krokwi zwisał poplamiony farbą brezent. Schowała się za nim - czuł to. Uśmiechnął się od ucha do ucha, pociągnął mocno za tkaninę, ale dostrzegł, że Jessie wspina się po stojącej przy ścianie starej drabinie. Jednak zanim zdążył ją z niej ściągnąć, przechyliła zardzewiałą konewkę i wylała mu na głowę lodowatą wodę. Potrząsnął mocno drabiną, prychnął i śmiejąc się pomimo chłodu. Jessie straciła równowagę, poleciała do tyłu i wylądowała wprost w jego ramionach.

- Mam cię! - Zaśmiał się wesoło i wyszedł z szopy. Jessie chichotała, bezskutecznie próbując uwolnić się z uścisku.

W końcu dotarł do starej, drewnianej ławki przy ścianie, usiadł i posadził sobie żonę na kolanach.

Jessie nie przestawała się śmiać, nawet gdy uniosł jej spódnice.

- Matthew! Co ty wyprawiasz?

Jednak jego uwaga skupiona już była na czym innym.

- Może zasługujesz na kolejne lanie - zażartował, ale jego głos był dziwnie zachrypły, a ręka gładziła już krągłości ukryte pod skąpą halką.

- Kiedy miałaś dwanaście lat - zachrypiał, czując narastające pożądanie - nie sądziłem, że jak dorosniesz, będziesz miała taki zgrabny tyłeczek. - Uniósł jej halkę, przechylił się do przodu i przywarł ustami do jednego z okrągłych pośladków.

- Matthew! - Jessie złapała gwałtownie powietrze. Dopiero teraz zorientowała się, że zabawa zmieniła nieco swój tor. Wyczuwał gwałtowne bicie jej serca i własny przyspieszony puls.

Głaskał gładką skórę między pośladkami i czuł, jak z każdym dotykem napinają się jej mięśnie. Drugą ręką masował jej pierś, pieścił ją przez prostą, muślinową sukienkę, potem wsunął jej dłoń za dekollet i zaczął drażnić sutek. Jessie przeszedł dreszcz podniecenia, i kolejny, i jeszcze jeden, a krew coraz szybciej krążyła jej w żyłach.

Dotykanie jej w ten sposób było dziwnie erotyczne i zmysłowe. W szklarni panowała wilgoć, pachniało ziemią i kwiatami, ale przez matowe szkło nikt nie mógł dostrzec, co dzieje się w środku, a poza tym nikt nigdy nie przeszkadzał im, gdy pracowali. Jessie znów się poruszyła, zdając sobie sprawę, podobnie jak Matthew, że są tu całkiem sami i może z nią zrobić, co tylko zapragnie.

Wsunął dłoń między jej nogi, rozdzielił je lekko i pieścił ją tam, czując śliską, gorącą wilgoć.

- Matthew...? - szepnęła.

- Mówiłem, że mi zapłacisz - zachrypiał.

Z jej piersi wyrwał się cichy jęk. Ciałem wstrząsały dreszcze rozkoszy, te same fale gorąca, które zalewały jego. Zanurzył się w nią głębiej i czuł, że każdy jej mięsień odpowiada napięciem na jego dotyk.

- Matthew... - jęknęła, ale zmysłowe pieszczoty nie ustały. Jeśli chciał ją ukarać, nie bardzo mu się to udało. Z każdym ruchem dłoni wydawała z siebie ciche pomruki, słodką kobiecą odpowiedź na jego żartobliwą dominację.

Napiął się i stwardniał, pożądanie przyćmiło mu zmysły. Jej piersi puchły pod dotykiem jego dłoni, gęsia skórka pokryła delikatną, białą skórę na jej pośladkach. Całe ciało napięło się nagle. Z jej gardła wydobywały się ciche pojękiwania rozkoszy, gdy sięgnęła szczytu i Matt musiał wyteńczyć całą siłę woli, by zwalczyć nagłą potrzebę zagłębienia się w jej wnętrze.

Kontynuował umiejętne pieszczoty, dopóki spazmy rozkoszy nie zaczęły ustawać. Nawet nie zauważyła, gdy postawił ją na nogi, przechylił do przodu i oparł jej dłonie o ławkę, wciąż unosząc spódnicę na wysokość bioder. Gorączkowo rozpiął spodnie i przywarł do niej mocno. Nigdy wcześniej nie czuł tak niepokohamowanej żądzy posiadania kobiety ani potrzeby, by odpowiadała na jego pieszczoty. Chciał, żeby go pożądała, żeby pragnęła go jak narkotyku. Chciał usidlić ją tak, jak ona usidliła jego.

Wydała z siebie cichy jęk, gdy poczuła, że zanurza się w niej całkowicie. Jessie krzyknęła i wygięła ciało jak kocica. Wszedł w nią jeszcze głębiej. Gorące fale pożądania przelewały się przez jego ciało, rozpalając go do tego stopnia, że prawie stracił nad sobą kontrolę.

- Spokojnie, kochanie - powiedział łagodnie, wzmacniając jeszcze uścisk wokół jej talii. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak cudownie cię czuć.

Wypreżyła się lekko i wstrząsnął nim dreszcz rozkoszy.

- Właśnie, że sobie wyobrażam - wyszeptwała.

Na te słowa serce zabiło mu szybciej. Wycofał się z niej i wszedł ponownie, a każde pchnięcie powo-

dowało w nim wrzenie krwi i kolejne fale ognia w podbrzuszu. Masował jej pierś, czuł jak sutek twardnieje od dotyku i przeszedł go następny gorący dreszcz. Do ciała Jessie powróciło napięcie, i czując to Matthew z trudem zdołał zachować kontrolę nad swoim.

Położył ręce na jej biodrach, złapał je mocno i wchodził w nią pewnie, dopóki nie wygięła się z rozkoszy, pojękując cichutko i błagając go o jeszcze. Uderzał w nią teraz szybko i ostro, dając wszystko, co miał i sam biorąc nie mniej.

Jeszcze kilka głębokich pchnięć i jej mięśnie zaciśnęły się wokół niego. W kulminacyjnym momencie wykrzyknęła jego imię. Zawtórował jej z jękiem i rozlał głęboko w jej wnętrzu swoje nasienie, przyciskając ją mocno do siebie i delektując się każdą kolejną falą rozkoszy.

Stali tak przez dłuższą chwilę bez ruchu, ciesząc się bliskością, która przysłoniła im teraz wszystkie problemy. Zapragnął nagle, by poczęli dziecko, zanim wyjedzie na wojnę.

Chciał, żeby w razie jego śmierci pozostała Jessie jakaś jego część, coś co nie pozwoliłoby jej zapomnieć. Na samą myśl o tym, że miałyby jej nigdy więcej nie zobaczyć, ścisnęło go w gardle. Gdy się odsunęła, wziął ją mocno w ramiona.

Pragnął powiedzieć jej, co czuje, ale nie potrafił. Poza tym wciąż nie był tego do końca pewny.

- Matthew? Wszystko w porządku?

Zmusił się do uśmiechu.

- Tak... - Jednak nie mógł nie myśleć o wojnie i o tym, że może nie wrócić. - Wszystko w porządku.

W milczeniu poprawili ubrania, a potem Matt odwrócił Jessie twarzą do siebie i spojrzał jej w oczy.

- Nie przyszedłem tu bez powodu, Jess. Powinienem być powiedzieć ci wcześniej, ale nie wiedziałem jak zareagujesz. Stwierdziłem jednak, że masz prawo wiedzieć.

Zmarszczyła brwi zaniepokojona.

- O co chodzi?

- W zeszłym tygodniu byłem w Londynie, żeby spotkać się z radcą prawnym i widziałem się też z twoim bratem.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Skąd wiedziałeś, gdzie go szukać?

- Domyśliłem się, że z twoimi pieniędzmi i biżuterią uda się prosto do miasta. Tam pomógł mi Adam Harcourt.

- Chyba... Chyba go nie zabiłeś?

- Nie... - Uśmiechnął się zimno na wspomnienie spotkania z Foksem. - Twój brat i jego kumpel mieli niewielkie starcie z gangiem łapaczy. - Matt powiedział jej, że Danny będzie służył na statku. - Istnieją duże szanse, moja kochana, że już nigdy nie zobaczymy Danny'ego Foksa.

Jessie odwróciła wzrok, trzepocząc gorączkowo długimi, ciemnozłotymi rzęsami.

- Chciałabym móc powiedzieć, że mi przykro, ale tak naprawdę czuję jedynie ulgę.

- Sam nawarzył sobie tego piwa, Jess. Teraz musi ponieść konsekwencje. Najważniejsze, że ty i Sara jesteście bezpieczne.

- Podobnie jak dobre imię Belmore - dodała Jessie. - I reputacja twojego ojca.

- Tak, dzięki Bogu - rzekł z uśmiechem Matt. - Myślę, lady Strickland, że najgorsze dni masz już za sobą.

Jessie jedynie skinęła głową. Matt musiał przyznać, że wspaniale było wreszcie czuć się wolnym od groźby skandalu i móc z nadzieją patrzeć w przy-

szłość. Jessie zaszła tak daleko od trudnych czasów gospodzie „Pod Czarnym Knurem”. Może wreszcie będzie mogła o nich zapomnieć.

Miał taką nadzieję. Chciał, żeby była bezpieczna bez względu na to, co się z nim stanie. Już teraz czuł do żony więcej, niż kiedykolwiek planował. Nie cieszyło go to, ale nie mógł zaprzeczyć faktom.

Może gdy znów wypłynie na morze, upora się z tymi nowymi emocjami, znajdzie sposób, by nad nimi zapanować.

Cel ten wydał mu się teraz bardziej atrakcyjny, niż kiedykolwiek mógł przypuszczać.

* * *

Lady Caroline Winston weszła do dwupiętrowego budynku na rogu Bow Street i udała się do gabinetu pana Willisa G. McMullena, detektywa, którego wynajęła, żeby zbadał przeszłość świeżo upieczonej hrabiny Strickland.

- Proszę wejść, łaskawa pani - rzekł mały, niechlujnie ubrany mężczyzna na powitanie. - Zaraz się panią zajmę. - Odzież, którą miał na sobie, choć czysta, była cała pognieciona. Na twarzy miał dwudniowy zarost.

Wskazał na rozwalające się krzesło, ale Caroline odmówiła ruchem głowy i stanęła w bezpiecznej odległości od stosów pożółkłych gazet, które pokrywały jego biurko i podłogę.

- Czego się pan dowiedział, panie McMullen? - Biuro może i było równie obskurne i nędzne, jak sam detektyw, ale zdaniem rodzinnego radcy prawnego Winstonów McMullen należał do najlepszych.

Mężczyzna podrapał się w głowę, mierzwiąc przy okazji brązową czuprynę.

- Cholernie ciekawych rzeczy, za przeproszeniem. Wygląda na to, że cztery lata temu panią Fox, rzeczona kobieta, pojawiła się praktycznie znikąd.

- A co z jej ojcem, Simonem Foksem, kuzynem markiza z Devon? Chyba znalazł pan coś na jego temat?

- Ani słóweczka, łaskawa pani.

- No ale przecież nie mogła się tak nagle pojawić. Musi skądś pochodzić. Po prostu trzeba szukać dalej.

- Wiem, łaskawa pani. Taki mam zamiar. Przeszukałem całe High Wycomb. Zdecydowanie nie pochodzi z okolic Belmore, ale markiz jest właścicielem kilku innych posiadłości, jednej w Yorkshire i jednej w Wessex. Jest jeszcze Seaton Manor, niedaleko Buckler's Haven. Wprawdzie należy do jego syna, ale też się jej przyjrę.

- Świetny pomysł, panie McMullen. - Caroline uśmiechnęła się w duchu. W tym wypadku to, co nie zostało odkryte, było równie ważne. Jessica Fox nie pochodzi z Devon i żaden Simon Fox nie istnieje, co znaczy, że markiz skłamał. Skoro tak, to bardzo prawdopodobne, że pozostaje jeszcze wiele tajemnic do wykrycia.

Myśl ta wywołała w Caroline nieodpartą ochotę, by potrzeć dłonie z radością lub odchylić głowę do tyłu i roześmiać się na głos. Zamiast tego jednak spojrzała na krępego detektywa i zmarszczyła brew.

- Proszę dać mi znać, jak dowie się pan czegoś ciekawego, panie McMullen.

- Oczywiście, łaskawa pani.

Caroline opuściła gabinet z szerokim uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Rozdział 21



Później tego wieczora, w innej części Londynu, Gwendolyn Lockhart wyszła z eleganckiego czarnego powozu hrabiego Waringa i podeszła do matki i ojczyrna stojących przy wejściu do Theatre Royal w Haymarket.

Od incydentu w ogrodach Vauxhall hrabia był nad wyraz troskliwy i poprawny. Ani on, ani Gwen nie wspomnieli ani słowem o jego nikczemnym zachowaniu tamtej nocy.

Gwen jednak starała się zachowywać ostrożność i schodziła mu z drogi.

Westchnęła i zrzuciła z głowy kaptur jasnofioletowej peleryny, idealnie pasującej do eleganckiej sukni z wysokim stanem, i pozwoliła, by kamerdyner otrzepał go z wody. Gdyby tylko mogła pójść do matki i opowiedzieć o lubieżnych zakusach Waringa. Jednak hrabina uznałaby opowieść Gwen za nieprawdopodobną, a gdyby nawet w głębi ducha jej uwierzyła, udawałaby, że jest inaczej.

Lubiła być hrabiną Waring. Lubiła pieniądze i wpływy męża. Gdyby się okazało, że córka płaci za to najwyższą cenę, i tak byłoby to niewiele... Przynajmniej tak zdawała się myśleć lady Waring.

W rzeczywistości matka Gwen była słabego charakteru, zwłaszcza jeśli chodziło o hrabiego. Dziewczyna doskonale zdawała sobie sprawę, że zdana jest tylko na siebie.

Oczywiście, nie licząc St. Cere'a. To jedyny człowiek, jakiego znała, który miał odwagę przeciwstawić się hrabiemu. Podziwiała go za to i była mu ogromnie wdzięczna. Była również oczarowana tym wysokim, ogromnie przystojnym mężczyzną do tego stopnia, że dwa dni temu wysłała mu liścik, w którym pisała, że udaje się na przejażdżkę do Hyde Parku i zapraszała, by do niej dołączył.

Zrobił to, oczywiście, ale spotkanie przebiegło zupełnie inaczej, niż to pierwotnie planowała. Zamiast dżentelmena, który przyszedł jej na ratunek w ogrodach Vauxhall, miała przed sobą hulakę, naciskającego, by spotkali się sam na sam i proponującego, by wymknęła się w nocy z domu do miejsca zwanego Carlton House, jakby była jedną z jego kochanek.

Nie znaczy to wcale, że jej nie kusiło.

Dostawała dreszczy na sam widok pięknej, mrocznej twarzy Adama Harcourta. Gdyby tak nie nalegał, nie próbował zmusić jej do spełnienia jego zachcianki w tak typowo męski, władczy sposób, może by mu uległa.

A jednak odmówiła.

Wspomniała jednak mimochodem, że dziś wieczorem wybiera się w towarzystwie rodziców do teatru. Nie była pewna, czy przyjdzie, ale uznała to za całkiem prawdopodobne. Pominęła jednak fakt, że jego znajomy, lord Bascomb, najstarszy syn lorda Montague'a, będzie przez cały wieczór dotrzymywał jej towarzystwa. Pozwoli, by St. Cere sam się o tym przekonał.

- Lordzie i lady Waring, lady Gwendolyn, bardzo przepraszam za spóźnienie. - Bascomb otrząpał pe-

lerynę. - Nie mogłem przełożyć spotkania. Dziękuję, że byli państwo na tyle pobłażliwi, żeby pozwolić mi dołączyć później. - Peter Montague, lord Bascomb, drobny mężczyzna przeciętnego wzrostu, miał przereźdzone brązowe włosy i był starszy od Gwen jakieś dziesięć lat. Zawsze ubierał się bardzo ekstrawagancko i krzykliwie, co kontrastowało z jego przeciętną urodą i czyniło go jeszcze bardziej nijakim.

- Głupstwo - rzekł Waring. - Przedstawienie nawet się jeszcze nie zaczęło. Sami dopiero przyszliśmy.

Bascomb był ulubieńcem hrabiego. Czasem podejrzewała nawet, że ojczym chciał ją za niego wydać. Był zamieszany w jakieś sprawy finansowe lorda Montague'a i miał nad nim dużą władzę, a co za tym idzie, również nad jego synem.

Bez względu na powód tej sympatii, Gwen nie miała zamiaru wychodzić ani za Petera, ani za żadnego innego mężczyznę. Uśmiechnęła się do lorda Bascomba, rzuciła jakąś błahą uwagę o sztuce, którą mieli zobaczyć, satyrze pod tytułem *Krawcy*, ale przez cały czas jej oczy błędziły po sali w poszukiwaniu ciemnej czupryny St. Cere'a.

W połowie sztuki Gwen miała już pewność, że nie przyjdzie. Teatr, dwupiętrowy budynek z rzeźbionymi sufitami, wykończony był z przepychem złotem i purpurą. Ciężkie, aksamitne kurtyny, zapewniały prywatność trzem kondygnacjom prywatnych łóż, w których zasiadali zamożni stali bywalcy. Reszta publiczności oglądała przedstawienie z parteru.

Niestety, St. Cere nie pojawił się w żadnym z tych miejsc.

Siedziała w łoży ojczyma z nosem zwieszonym na kwintę i wpatrywała się w scenę, kompletnie ignorując przelotne uśmiechy Petera. Przynajmniej przed-

stawienie było ciekawe. Może nie tyle sama sztuka, co gwizdy rozlegające się z pierwszych rzędów. Wyglądało na to, że do teatru przyszła chyba połowa krawców z całego Londynu i najwyraźniej niezbyt spodobał im się sposób, w jaki ich przedstawiono.

Tuż przed zgaszeniem świateł sygnalizujących koniec drugiego aktu Gwen pod byle pretekstem opuściła łóżę i udała się do holu, żeby trochę odetchnąć. Miała już dość przesadnej słodyczy lorda Bascomba i lubieżnych spojrzeń lorda Waringa.

- Dobry wieczór, jasnie pani.

Na dźwięk głębokiego, męskiego głosu Gwen uniosła gwałtownie głowę.

- St. Cere... Nie spodziewałam się, że pana tu spotkam.

Zacisnął nieco zmysłowe usta.

- Najwyraźniej nie, skoro przyszła tu pani w towarzystwie Bascomba. - W jego głosie dostrzegła lekką irytację, a może zazdrość, choć nie bardzo wyobrażała sobie, jak przystojny wicehrabia mógłby być zazdrosny o innego mężczyznę, a już zwłaszcza o kogoś takiego, jak Bascomb.

- Wolałabym, żeby to był pan.

Uniósł gęste czarne brwi. Jej bezpośredniość zawsze wytrącała go z równowagi. W jego szarych oczach pojawił się zalotny błysk. Wicehrabia szybko złapał ją za rękę i zaciągnął do zaciemnionego kąta.

- Jeśli to prawda, może da się to jakoś załatwić. - Pochylił głowę i pocałował ją powoli i namiętnie. Przesuwał językiem po jej dolnej wardze, zachęcając, by się dla niego rozchyliła, by wpuściła go do środka.

- Poproś rodziców, żeby cię zabrali wcześniej do domu - szepnął obsypując jej szyję i ramiona gorącymi pocałunkami, aż ciało Gwen zaczęły przeszywać dreszcze. - Możesz się wymknąć i spotkać ze

mną w Carlton House, jak nalegałem wcześniej. - Przygryzł płatek jej ucha. - Wszystko przygotuję. Możesz wejść tylnymi drzwiami. Nikt cię nie zobaczy. Będziemy mieć resztę nocy dla siebie. - Znów pocałował ją delikatnie, sprawiając, że ugięły się pod nią kolana. Wielkie nieba, jak bardzo ją kusiło!

Pokusa była ogromna, ale coś ją powstrzymywało, kobiecy instynkt ostrzegał ją, żeby miała się na baczności.

- Przykro mi, wasza lordowska mość, ale nie mogę się z panem dziś spotkać. Lord Waring planował ten wieczór od tygodni. Nie udałoby mi się wymknąć. Może moglibyśmy spotkać się jutro... w parku, jak ostatnio.

Wicehrabia zacisnął szczękę.

- Nie chcę pani w parku, lady Gwendolyn, ale w mojej sypialni. Jeśli jestem zbyt bezpośredni, proszę mi wybaczyć, ale pani sama rozpoczęła ten zwyczaj. Chciałbym się z panią kochać. Całować panią, dotykać, dać pani rozkosz, o jakiej pani nawet nie śniła. - Zawahał się na chwilę. - Przyjdź do mnie, Gwen. Spotkaj się dziś ze mną.

Być zauroczoną takim mężczyzną jak St. Cere to jedno, ale dać mu się wykorzystać to zupełnie co innego.

- Już panu mówiłam, że nie mogę. Jeśli szuka pan jedynie kobiety, która by ogrzała pana łóżę, przed teatrem stoi co najmniej kilkanaście ujmujących lądacznic. Proponuję skorzystać z usług jednej z nich.

Odwróciła się na pięcie i popędziła na piętro. St. Cere przeklął ostro i ruszył za nią. Złapał ją na górze, przy wejściu do łóż.

- Nie chcę innej. Do diabła, chcę ciebie. Jeśli nie możesz przyjść dziś, przyjdź jutro. Wszystko przygotuję, tak jak mówiłem.

Gwen wyrwała się mu zaniepokojona natarczywą, niemal gwałtowną nutą w jego głosie.

- Proszę sobie nie zawracać głowy. Nie będzie mnie.

Usłyszała kolejne przekleństwo, ale nie obejrzała się odchodząc, a tym razem St. Cere już jej nie gonił. Gwen napłynęły łzy do oczu. Zamrugła i wielkie słone krople przywarły do jej ciemnych rzęs. Niech go szlag! Jest jak wszyscy inni. Nienawidziła go za to, że wzbudził w niej takie uczucia, i że przez niego płakała - żaden mężczyzna nie jest wart jej łez!

Zanim dotarła do swojej łoży, pogrzebała w torebce, wyciągnęła haftowaną chusteczkę i otarła oczy.

Wtedy właśnie usłyszała krzyki z widowni, które z pomruków niezadowolenia przeistoczyły się w kaskadę grózb i kpin, której towarzyszył grad przedmiotów ciskanych na scenę. Elegancko ubrani stali bywalcy zaczęli w popłochu opuszczać swoje łoża, odpychając ją coraz dalej od matki i ojczyma. Z trudem dostrzegła ich głowy, które wyłoniły się zza czerwonych kotar i popędziły w kierunku drugich schodów, po przeciwległej stronie korytarza.

Nawet Bascomb nie wysilił się, by jej poszukać, tylko popędził ślepo za lordem Waringiem, aż w końcu całkowicie zniknęli jej z oczu. Ludzka ciżba nie przestawała napierać, niosąc ją schodami w dół w sam środek rozhisteryzowanego tłumu, który gorączkowo próbował wydostać się z budynku przez podwójne drzwi, zbyt wąskie, by pomieścić wszystkich.

Na scenie kilku aktorów odpierało atak rzeszy niezadowolonych krawców, ale to panika przy głównym wyjściu wywołała w Gwen pierwszą falę strachu.

Jakiś mężczyzna idący przed nią upadł. Ludzie zaczęli potykać się o siebie, blokując drogę.

- Z drogi, paniusiu! - Ktoś pchnął ją od tyłu i potknęła się, w ostatniej chwili ratując się przed upad-

kiem. Ledwie zdążyła się wyprostować, gdy znów została popchnięta. Pewnie upadłaby, gdyby nie silne męskie ramię, które chwyciło ją wpół i pociągnęło do góry. Wiedziała, do kogo należało, jeszcze zanim podniosła głowę i go ujrzała. Choć była na niego wściekła, odczuła nagłą ulgę.

- Chodź! - krzyknął ponad tłumem przerażonych ludzi. - Musimy się stąd wydostać.

Gwen tylko przytaknęła i z wdzięcznością uczepiła się jego ramienia. W teatrze wybuchły prawdziwe zamieszki, ludzie walczyli w przejściach, pchali się, kłęli, zrywali ze ścian najróżniejsze przedmioty i rzucali je w kierunku sceny.

Wicehrabia poprowadził ją nie do wyjścia, lecz w głąb teatru, a potem wzdłuż rzędu łóż ku kotarze, za którą znajdowały się schody prowadzące na scenę. Skręcili tuż przed nią i otworzyli drzwi wychodzące na jedną z bocznych ulic.

- Skąd pan wiedział o tym wyjściu? - spytała Gwen i z ulgą oparła się plecami o surowy, ceglany mur, wciągając w płuca świeże powietrze.

Wicehrabia wykrzywił usta w delikatnym uśmiechu.

Znałem kiedyś pewną kobietę... aktorkę. Powiem jedynie, że bywałem już kilka razy za kulisami.

Kolejne kobiety, pomyślała Gwen, nagle zniechęcona. Co ona w ogóle robi z kimś takim, jak St. Cere? Wtedy poczuła jego dłoń chwytającą ją w tali, pewnie i mocno, jedyną, której na tyle na niej zależało, by zadbać o jej bezpieczeństwo.

Postali jeszcze przez chwilę dla złapania oddechu, a potem zaczęli szukać powozu wicehrabiego. Kilka minut później wchodzili już do środka, a on dawał stangretowi znak do odjazdu.

Gwen spojrzała w dół na suknię i dostrzegła oderwany skrawek jasnofioletowej koronki zwisający z dekoltu.

- Na pewno wyglądam potwornie - wyszeptła. Miała rozczochrane włosy, zabłocone pantofle i na domiar złego zgubiła torebkę.

Wicehrabia chwycił ją delikatnie za brodę i odwrócił w swoją stronę.

- Wyglądasz uroczo.

Spuściła rzęsy, by ukryć błysk radości, której wcale nie chciała czuć.

- Dziękuję za pomoc. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie pan.

Spochmurniał.

- Pewnie niektórzy stracili dziś tam życie. Mogłaś być jedną z nich. - Spojrzał na nią poważnie. - Nie zasługują na ciebie. Żadne z nich. Nie wiedzą, jaki mają skarb.

Gwen poczuła palące łyzy. Nikt nigdy nie ujął się za nią tak, jak St. Cere. Nikt. Wyciągnęła dłoń i dotknęła koniuszkami palców jego policzka.

- Pocałujesz mnie?

Przyglądał się jej jeszcze chwilę, a potem zdawało się jej, że jęknął. Pochylił głowę i ich usta spotkały się. Z początku całował ją delikatnie, przyciskając usta do jej warg, drażniąc kąciki. Potem pocałunek stał się gorący i namiętny. Przyciągnął ją do siebie i przesunął dłońmi po jej piersiach.

Gdy powóz zatrzymał się, z trudem łapała dech, kręciło jej się w głowie, prawie nie docierało do niej, co dzieje się dookoła, że zasłony są zaciągnięte, a do środka wdziera się jedynie srebrna smuga światła z mosiężnych lamp powozu. Serce waliło jej tak mocno, że nie usłyszała odgłosu otwieranych drzwi. Wicehrabia jednak usłyszał i odwrócił się, zasłaniając ją swą wysoką, mocną sylwetką.

- Już jesteśmy, wasza lordowska mość.

- Dziękuję, James.

Chłodny, orzeźwiający powiew, który wdarł się do powozu przez otwarte drzwi, przywrócił Gwen zdrowy rozsądek.

- Gdzie... Gdzie jesteśmy?

Wicehrabia uśmiechnął się szelmowsko.

- W Carlton House. - Podał jej rękę, ale cofnęła się przed nim jak przed wężem. Zresztą w tym momencie była pewna, że nim był.

- Carlton House! Nie wierzę, że mnie tu przywiozłeś! St. Cere zmarszczył brwi.

- Nie mów mi, że tego nie chcesz, Gwendolyn. Żadna kobieta nie całuje mężczyzny tak jak ty przed chwilą, jeśli nie chce się z nim kochać.

Spąsowiała zawstydzona i zła równocześnie.

- Odwieź mnie do domu - zażądała gniewnie. - Doceniam twoją pomoc w teatrze, ale teraz chciałabym jechać do domu. - Oparła się o aksamitne poduszki, odmawiając wyjścia na zewnątrz.

St. Cere zacisnął szczękę i przeklął pod nosem.

- Myślałem że jesteś inna, że mówisz, co myślisz i jesteś szczerą, jeśli chodzi o uczucia.

-A ja myślałam, że ty jesteś inny, że jesteś mężczyzną, któremu można zaufać.

Uśmiechnął się pod nosem.

- Możesz mi zaufać, Gwendolyn, że dam ci dokładnie to, czego oboje chcemy.

Jednak zamiast wyjść z powozu, na co mimo wszystko miał nadzieję, Gwen po prostu zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

- Odwieź panią do domu, James! - zawołał do stangreta. - Najwyraźniej takie ma życzenie. - *Przynajmniej na razie*, mówił jego uśmiezek.

Co na jej miejscu zrobiłaby Jessie? Przed oczami stanęła jej wiotka sylwetka przyjaciółki wsparta o szerokie ramię Matthew Seatona. Jessie zawsze

walczyła o swoje. Gdyby chciała Adama Harcourta, pewnie już dawno byłby jej.

Gwen cechowała podobna determinacja.

Zastanawiała się, czy dreszcz, który ją przeszedł, spowodowany był strachem przed tym, o czym myślała, czy obietnicą, którą dostrzegła w srebrnych oczach wicehrabiego.

* * *

Jessie dostrzegła jeźdźca w mundurze i żołądek podszedł jej do gardła. Zadarła lekko spódnicę, wybiegła z sypialni w sposób bardzo nieelegancki i popędziła w dół po marmurowych schodach.

W tym samym momencie nadeszli Matthew i papa Reggie. Cała trójka stanęła z niepokojem w drzwiach wejściowych. W głowie kołatała się im ta sama niepokojąca myśl.

W końcu nadszedł czas wyjazdu Matta.

Pukanie rozbrzmiało ponownie i wysoki, postawny Osgood pociągnął za klamkę. Z jego twarzy, podobnie zresztą jak z twarzy Matthew, nic nie dało się wyczytać.

- Wiadomość dla kapitana Seatona - rzekł młody oficer.

- Proszę wejść, poruczniku. - Matt zrobił krok do przodu, żeby powitać marynarza, który wyglądał na bardzo zmęczonego, zaprosić go do środka i odebrać od niego wiadomość. - Chyba ma pan za sobą długą podróż. Ozzie wskaże panu pokój, w którym będzie pan mógł się odświeżyć i wypocząć przed dalszą jazdą.

Porucznik pokręcił głową.

- Proszę wybaczyć, sir. Obawiam się, że muszę odmówić. Muszę zajechać jeszcze w kilka miejsc, a czasu jest coraz mniej.

Matthew uśmiechnął się trochę sztucznie.

- Rozumiem.

Począł czekać aż Ozzie zamknie drzwi i się oddali, rozwał pieczęć na liście i zaczął czytać jego zawartość. Mina na jego twarzy mówiła sama za siebie.

- To od admirała Dunhavena. Nelson jest prawie gotowy. - Podniósł wzrok na Jessie. - Czas, żebyśmy ruszał w drogę.

- Och, Matthew... - Jessie przytuliła się mocno do męża.

Papa Reggie chrząknął słabo i pobladł na twarzy.

- Jesteś tego pewny, synu?

- Jestem pewny, że muszę jechać. Jestem też pewny, że nie chcę opuszczać Belmore. Tu jest teraz mój dom. Jeszcze nie wyjechałem, a już za nim tęsknię.

Jessie mocno przygryzła wargę, żeby powstrzymać jej drżenie.

- Kiedy wyruszasz? - Modliła się w duchu, żeby los podarował im choć jeszcze jeden tydzień.

- Wiadomość jest pilna - powiedział łagodnie. - Muszę ruszać, jak tylko się spakuję.

- Ale... Ale nie masz chyba zamiaru jechać już dzisiaj?

- Przepraszam, kochanie, muszę. Z Portsmouth do Kadyksu płynie się dwa tygodnie. Tam właśnie będzie czekał Nelson ze swoimi okrętami. Flota francuska już zaczyna się gromadzić. Każda chwila jest teraz na wagę złota.

- No ale chyba możesz poczekać do jutra. Przecież...

- Dostałem rozkaz, by ruszać dzisiaj, Jess. I tak właśnie muszę zrobić. - Złapał ją za ramiona. - Proszę, nie utrudniaj mi tego jeszcze bardziej.

Papa Reggie wziął ją za dłoń i uściśnął pocieszająco.

- Matthew ma rację, moja droga. Musi wyjechać zgodnie z rozkazem, a my musimy być silni.

Jessie przytaknęła potulnie głową. Ścisnęła ją w gardle i serce pękało jej z bólu, jakby przeszył je sztylet.

- Przepraszam - rzekła. - Po prostu miałam nadzieję na trochę więcej czasu.

Matthew wziął ją delikatnie pod brodę.

- Ja też. - Uśmiechnął się, ale w jego oczach malował się smutek. - Chcesz pójść ze mną na górę i pomóc mi się pakować?

Jessie przytaknęła bez słowa, nie bardzo ufając swojemu głosowi. Jednak gdy dotarli do jego apartamentów, zamiast zadzwonić po pokojowego, Matthew zamknął drzwi na klucz i wziął żonę w ramiona.

Jego pocałunek był dziki i zaborczy, a jednocześnie tak boleśnie czuły, że Jessie napłynęły łzy do oczu. Odpowiedziała mu z równą gwałtownością, choć żal ścisnął jej serce. Matt uniósł ją w ramionach, zaniósł na łóżko i zaczął zdzierać z niej ubranie, całując każdą część jej ciała, wielbiąc ją i dziko zawłaszczając.

Kochali się szaleńczo i bez opamiętania, a potem jeszcze raz, czule i delikatnie. To go jednak nie zatrzymało.

- Przykro mi, kochanie - powiedział delikatnie i wydostał się z jej czułych objęć. - Obawiam się, że na mnie już czas. Nie mogę tego dłużej odkładać.

Jessie przemogła dławienie podchodzące jej do gardła.

- Wiem.

Ubrali się w milczeniu, a potem obserwowała, jak Matthew z pomocą pokojowego przygotowuje się do drogi i pakuje ubrania.

Dwie godziny po wizycie posłanica Matt stał w drzwiach frontowych ubrany w czystutki granatowy mundur i obcisłe, białe bryczesy i ostatecznie żegnał się z rodziną.

Uścisnął dłoń papie Reggiemu, który sprawiał dziś wrażenie szczególnie słabego.

- Dbaj o siebie, ojczu.

- Wracaj do nas bezpiecznie, synu - rzekł markiz i obdarzył Matta smutnym uśmiechem. - Jestem za stary, by radzić sobie ze wszystkim sam. Potrzebujemy cię z Jessicą.

Matthew przytaknął. Ku jego zaskoczeniu markiz pochylił się nagle i uścisnął go po ojcowsku. Po chwili mężczyźni odsunęli się od siebie, zmieszani tą nagłą demonstracją uczuć.

Na szczycie schodów pojawiła się Viola z małą Sarą na rękach i postawiła dziewczynkę na ziemi.

- No leć! Powiedz jego lordowskiej mości „do widzenia”.

Żółte falbanki sukienki zatrzepotały na wietrze, gdy mała podbiegła do Matta, zadarła do góry główkę i wlepiła zachwycone spojrzenie w błyszczące złote guziki przy jego marynarce.

- Musisz jechać?

- Tak, kochanie. Niestety muszę.

Jej wielkie niebieskie oczy wypełniły się łzami.

- Ale ja nie chcę, żebyś jechał.

Matthew wziął dziewczynkę na ręce.

- Muszę, kochanie. Ale wrócę tak szybko, jak tylko będę mógł. - Cmoknął ją w policzek i Sara zrobiła to samo. Postawił ją z powrotem na ziemi.

- Pa pa... tatusiu - zawołała i pomachała mu na pożegnanie, gdy Viola prowadziła ją do domu.

- Do widzenia, Saro - odkrzyknął.

Jessie patrzyła, jak wszyscy wchodzi do domu, zostawiając ich na chwilę samych. Potem odwróciła się do męża, który stał dumnie wyprostowany, z zadartą głową i lekko wysuniętą mocną szczęką, porządny jak zawsze, nawet w tak trudnym momencie. Chcia-

ła rzucić się mu w ramiona, błagać, żeby został, wyci i szlochać, i bić pięściami w jego pierś. Uniosła jednak głowę i z całych sił starała się nie płakać, przynajmniej dopóki nie wyjedzie.

- Wszystko będzie z nią w porządku - rzekł, nie odrywając wzroku od pleców małej Sary.

- Też tak myślę.

Matt spojrzał surowo na żonę.

- I z tobą też, Jessie. Bez względu na to, co się mną stanie, wszystko będzie w porządku.

Ból rozrywał jej serce na strzępy. Przytaknęła, z trudem powstrzymując łzy.

- Proszę... Proszę, nie mów tak.

Ujął ją delikatnie pod brodę.

- Będę za tobą tęsknił... tak bardzo, że nie da się tego wyrazić słowami.

- Kocham cię, Matthew. - Spojrzała w te groźne, niebieskie oczy, pragnąc całym sercem, żeby odpowiedział, że też ją kocha, nawet jeśli to nieprawda.

Mięśnie na jego szyi drgały rytmicznie. Myślała, że przemówi, modliła się, by to zrobił, ale on tylko wpatrywał się w jej twarz, jakby starał się dokładnie zapamiętać jej rysy. Piękne słowa nie rozbrzmiały. Matthew nigdy by nie skłamał.

Minęły długie sekundy. W końcu pochylił się i złożył na jej ustach czuły pocałunek.

- Do widzenia, Jessie. Dbaj o siebie.

Smutek ogarnął jej serce. Łzy paliły pod powiekami.

- Do widzenia, Matthew.

Zaczął wchodzić do powozu, zatrzymał się na ułamek sekundy i zawrócił. Kilka długich susów i znów był przy niej, trzymał ją w ramionach. Pocałował ją tak namiętnie i głęboko, że aż ugięły się pod nią kolana, a jednocześnie była w tym geście pewna bole-

sna delikatność, aż łzy, które do tej pory udawało się jej powstrzymać, cisnęły się do oczu.

Zostawił ją bez słowa, wsiadł do powozu i zamknął drzwi. Stuknięciem w dach dał znać stangretowi, żeby ruszał i pojazd potoczył się powoli do przodu.

Jessie patrzyła, jak błyszczący czarny powóz znika w oddali. Zerwał się chłodny, jesienny wiatr i nagły chłód przeszył jej ciało. Jessie nie czuła go zupełnie. Jedyne chłód, który zmroził jej serce, to obawa, że Matthew może już nigdy nie wrócić do domu.

* * *

Reginald Seaton stał w drzwiach prowizorycznej szkółki. Dzieci już dawno nie było, a mimo to Jessie wciąż siedziała przy biurku i wpatrywała się posępnie przed siebie, obojętna na wszystko dookoła.

Zachowywała się tak już od dwóch tygodni, od wyjazdu Matthew. Kochała go, to jasne, zresztą tak, jak Reggie podejrzewał od początku. Był pewny, że z czasem syn również obdarzy ją uczuciem.

Jeśli wcześniej nie stracił życia spełniając swój ostatni, przerażający, cholerny obowiązek wobec ojczyzny.

Spojrzała na niego, a wtedy do niej podszedł, delectując się uśmiechem, który wywołał na jej twarzy. Ostatnio ten widok należał do rzadkości.

- Przyszedł do ciebie list z Londynu, moja droga. Od twojej przyjaciółki lady Gwendolyn, jak sądzę. Najwyraźniej lord Waring wciąż przebywa z rodziną w mieście.

Jessica sięgnęła po list, przyjrzała się znaczkowi i kobiecemu pismu na kopercie.

- Napisałam do niej w zeszłym tygodniu. Poinformowałam ją, że Matthew wrócił na morze. Myślałam, że lord Waring wyjechał na wieś. Przecież sezon

przyjęć dobiegł już końca. No ale, jak zdażyłeś zauważyć, najwyraźniej tego nie zrobił.

Zwykle w takiej sytuacji Reggie zostawiłby ją samą, ale tym razem został i poczekał, aż Jessica przejrzy list.

- Żadnych niepokojących wieści, mam nadzieję?

Uśmiechnęła się.

- Jedynie zwykłe knowania Gwen. Żałuje, że nie ma mnie w Londynie. Chyba myśli, że teraz, skoro jestem już mężatką, mogłabym udzielić jej jakichś cennych rad.

Markiz uśmiechnął się pod nosem.

- Nie zapytam o naturę problemu twojej przyjaciółki, ale muszę przyznać, że myślimy z Gwen bardzo podobnie.

- Twoim zdaniem mogę jej dać cenne rady?

Uśmiechnął się, rozbawiony.

- Tego nie wiem. Pomyślałem sobie jednak, że może w Londynie byłoby ci łatwiej oczekiwać jakichś wieści o Matthew.

Jessica podniosła wzrok.

- Myślisz o wyjeździe do Londynu? Przecież sezon już się skończył.

- Pora roku nie ma znaczenia. W Londynie zawsze znajdują się jakieś ciekawe rozrywki. Nie zaznałaś ich zbyt wiele przed ślubem. Z pewnością wyjście do teatru, opery, albo jakieś przyjęcie raz na jakiś czas sprawią, że czas będzie płynął szybciej.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie mogłabym się bawić, gdy Matthew jest w niebezpieczeństwie.

- Niebezpieczeństwo nie zmaleje od twojego bezczynnego czekania w Belmore. Każdy dzień będzie ci się wydawał dłuższy, jeśli będziesz tu siedzieć. A Sara byłaby zachwycona taką wycieczką. Wyobrażasz sobie jej podniecenie? Samo to powinno cię przekonać.

Nie chciała jechać. Widział to w jej oczach i w pewnym sensie rozumiał ją. Otworzyła usta, jakby chciała zaprotestować, ale powstrzymała się i uniosła piękną jasną brew.

- Może się mylę, ale czy istnieje jakiś inny powód tej podróży? Czy przypadkiem nie planujesz spędzić trochę więcej czasu z lady Bainbridge?

Chrząknął zakłopotany. Niech to diabli! Ta dziewczyna rozgryzie każdego.

- Możliwe. Czasem mogłaby nam dotrzymać towarzystwa.

Jessie obeszła stół i zbliżyła się do markiza.

- A co ze skandalem z księciem?

- Do tej pory plotki z pewnością już ucichły. A jeśli znów pokażesz się na salonach, udowodnisz tylko, że nie masz się czego wstydić. - Uśmiechnął się. - Zresztą większość towarzystwa sądzi, że Matt tak oszalał na twoim punkcie, że nie mógł się powstrzymać. Zachował się bardzo romantycznie i są w stanie mu to wybaczyć.

Jessie odwzajemniła uśmiech.

- Myślę, że kobiety wybaczyłyby twojemu synowi niemal wszystko, a mężczyźni trochę się go obawiają. Szkoda tylko, że twoja piękna opowieść nie jest prawdziwa.

- Może jest, moja droga. Jak inaczej wytłumaczyć jego zachowanie?

Jessie potrząsnęła przecząco głową.

- Po prostu mnie pożądał. Nigdy nie chciał się ze mną ożenić. Oboje dobrze o tym wiemy.

Reggie nie mógł zaprzeczyć.

- Daj mu trochę czasu, kochanie. Matthew niezbyt dobrze radzi sobie z uczuciami. Od śmierci matki bardzo zamknął się w sobie. Dowodzenie okrętem tylko pogorszyło sprawę i myślę, że wina leży też

po mojej stronie, gdyż nigdy nie należałem do ludzi zbyt wylewnych. Zawsze jednak trzeba mieć nadzieję, że się zmieni. Już teraz bardzo mu na tobie zależy. To widać. W przyszłości może przerodzi się w miłość.

Jessica spuściła wzrok.

- Może - rzekła.

Jednak oboje równocześnie pomyśleli, że ten krótki czas, który ze sobą spędzili, był być może jedynym, jaki był im dany.

Rozdział 22



Matt Seaton usiadł przy suto zastawionym stole. Znajdował się w luksusowej kajucie admirała Nelsona na pokładzie jego okrętu flagowego „Victory”.

Nelson był głównodowodzącym nadciągającej operacji morskiej. Stał na czele czterech brytyjskich fregat i dwudziestu siedmiu okrętów liniowych. Wśród nich był też okręt Matta. Przy stole zasiadali też admirał Collingwood, zastępca Nelsona, komandor „Victory” - kapitan Hardy i pięciu innych oficerów.

Wykwintna trzydaniowa kolacja składała się z zupy zółwiowej, halibuta, pieczonej gęsi, jaj w galarecie, szparagów i świeżych warzyw oraz bez z kremem na deser. Do posiłku podano trzy rodzaje win. Teraz mężczyźni, wreszcie najedzeni, popijali kawę i alkohol.

Z drugiego końca stołu rozległ się śmiech, ale Matthew zamyślił się i nie dosłyszał słów admirała. Odstawił kieliszek z brandy i spojrzął przez okienko na szare, delikatnie kołyszące się morze. Z pokładu dochodziły go dźwięki marsza, którego orkiestra gra-

ła nieprzerwanie od momentu, gdy na okręt weszli dowódcy innych jednostek.

Wypił łyk brandy i zaczął się przyglądać oficerom w nieskazitelnie czystych, wykończonych złotem mundurach i pomyślał, że ta kolacja jest jak z innego świata. Gdy zmierzą się z flotą francuską i hiszpańską, do walki stanie około pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Pokłady okrętów zaleje krew, w wilgotnym morskim powietrzu będą roznosić się krzyki umierających.

Gdyby nigdy wcześniej nie brał udziału w bitwie, nie widział okrucieństw wojny na własne oczy, trudno by mu było w to uwierzyć, kiedy siedział tu, w luksusowym, bogato wykończonym pomieszczeniu, przy stole zastawionym błyszczącymi srebrami i kryształami.

Może to był po prostu ich sposób na niemyślenie o brutalnej rzeczywistości, której w najbliższym czasie każdy z nich będzie musiał stawić czoło.

Głos Nelsona odciągnął jego uwagę od okienka.

- Proszę mi powiedzieć, kapitanie Seaton, czy po pana powrocie okręt i jego załoga wciąż są w stanie sprostać pańskim surowym wymaganiom? - Admirał oparł się wygodnie w palisandrowym krześle. Był przystojnym mężczyzną, właśnie skończył czterdzieści siedem lat, nie tak dużo jak na człowieka, na którym ciąży tak poważna odpowiedzialność.

Matthew uśmiechnął się.

- Kapitan Bunsen świetnie się spisał podczas mojej nieobecności. Jestem pewny, że postawa załogi pod ostrzałem przejdzie pańskie najśmielsze oczekiwania. Wszyscy są gotowi, a nawet chętni do walki. Nie zawiedzie się pan na nich, admirale.

- Ciesz się mnie to, ale nie jestem zaskoczony. Wierzę, że okręt z panem u steru nie zawiedzie. Dzięku-

ję, kapitanie, za szybki powrót do służby. Doświadczenie jest sprawą kluczową w każdej bitwie. Myślę, że to może zaważyć na wyniku całego starcia.

Matthew napełnił kieliszek lśniącym płynem.

- Ile czasu minie, admirale, zanim flota francuska zrobi jakiś ruch?

- Mogą wypłynąć z Kadyksu lada dzień. Wtedy staniemy do walki. Są, oczywiście, jeszcze inne czynniki. Musimy mieć pomyślne wiatry, a morze powinno być na tyle spokojne, żeby dało się łatwo manewrować okrętami. - Pochylił się, rozpoczynając omawianie strategii na nadchodzącą konfrontację. - Mój plan jest prosty. Zaatakujemy w trzech liniach. „Victory” i piętnaście innych okrętów, w tym wszystkie jednostki pod dowództwem nas tu obecnych, popłyną na przedzie. Admirał Collingwood i jego linia atakują z tyłu, a trzecia linia, w której skład wejdą nasze najszybsze okręty, będzie manewrować tak, żeby można było je wykorzystać w dowolnej chwili.

Nelson przeszedł do omawiania szczegółów i każdy słuchał go z uwagą i w napięciu. Jeśli ktokolwiek ma wygrać tę bitwę, będzie to Nelson. Ludzie są gotowi pójść za nim do piekła.

Matt cieszył się, że jego okręt trafi pod bezpośrednie zwierzchnictwo Nelsona. Wierzył w admirała równie mocno, jak reszta jego załogi. Mimo to niepokoił się o wynik starcia i bał się przerażających strat, które z pewnością pociągnie za sobą tak ogromna bitwa.

Minęło wiele godzin, zanim admirał skończył naradę. Po uprzednim pożegnaniu, wzajemnych życzeniach szczęścia i pomyślnych wiatrów kapitanowie powrócili na swoje okręty.

Matt udał się prosto do swojej kajuty. Jego myśli zaczęły błądzić wokół Jessie i poczuł się nagle bar-

dzo samotny. Rozmyślania przerwało ciche pukanie. Otworzył drzwi i ujrzał w przejściu przyjaciela, Grahama Paxtona. Cofnął się i zaprosił go do środka.

- No i jak poszło? - Ciemnowłosy mężczyzna schylił głowę, by wejść do kajuty.

Matthew uśmiechnął się.

- Już nie możesz się doczekać, prawda, doktorku? Graham wydał z siebie głośny chichot.

- Jeśli masz na myśli to, że nie mogę się doczekać bitwy, to jesteś w błędzie. Cieszę się natomiast, że wreszcie dojdzie do rozstrzygnięcia. Czekamy na to już chyba całe wieki.

Matt nalał przyjacielowi brandy.

- Proszę, chyba przyda ci się coś na wzmocnienie.

- Dziękuję. - Graham przyjął wręczany mu kieliszek. - Może to uspokoi moje skołatane nerwy.

Matt wskazał na krzesło w swoim małym salonie i obaj usiedli.

- Myślę, że spotkanie było udane. Wszystko zaczęło się bardzo oficjalnie, z zespołem na pokładzie i z przemówieniem powitalnym. Posiłek był wyśmienity, choć mój wiek chyba zaczyna dawać o sobie znać. Coraz bardziej niecierpliwą mnie te rygorystyczne zasady etykiety. Podobnie jak ty, chciałbym doprowadzić tę sprawę do końca i jak najszybciej wracać do domu.

Graham odchylił się na krzesło.

- Dom... tak. Jakbym słyszał sam siebie. To zdecydowanie słowa szczęśliwie żonatego mężczyzny. Przyznaję, że zastanawiałem się, czy...

Matthew zmarszczył czoło.

- Nie sądziłeś, że małżeństwo będzie mi się podobało?

- Nie sądziłem, że pozwolisz sobie na miłość.

Matthew milczał przez dłuższą chwilę. Patrzył na przyjaciela spode łba.

- Dlaczego wydaje ci się, że jestem zakochany?

Graham tylko się uśmiechnął.

- Zapominasz, przyjacielu, że znam cię już parę ładnych lat. Odkąd wróciłeś, wspomniałeś o żonie co najmniej kilkanaście razy i zawsze z czułością, o którą wcześniej nigdy cię nie podejrzewałem. Jeśli jeszcze nie jesteś w niej zakochany, to z pewnością wkrótce będziesz.

Matthew zachmurzył się jeszcze bardziej.

- Zależy mi na Jessice, to prawda. Nie boję się tego przyznać. Ale miłość? - Pokręcił przecząco głową. - Na to nigdy sobie nie pozwolę.

Graham wychylił do końca brandy i odstawił kieliszek na stół.

- Pokochałem swoją żonę od momentu, gdy po raz pierwszy na nią spojrzałem dziesięć lat temu. Ani razu tego nie żałowałem. Miłość wcale nie czyni mężczyzny słabszym. Jeśli to właściwa kobieta, związek z nią jeszcze cię umacnia. Razem ludzie stanowią więcej, niż każde z osobna.

Matthew ponownie potrząsnął głową.

- Może i tak, ale trzeba wziąć pod uwagę też inne aspekty. Miłość do drugiej osoby wcale nie gwarantuje ci, że jej nie stracisz. Straciłem matkę. Straciłem brata. Straciłem kilku członków załogi, na których mi zależało. Ból, jaki się wtedy odczuwa, jest wprost nieznośny. Miłość przynosi jedynie cierpienie. Nie mam zamiaru podjąć więcej tego ryzyka.

Lekarz przyjrzał mu się uważnie.

- A co z dziećmi? Twoja żona jest młoda i silna. Na pewno będziecie mieli potomstwo. Chyba masz zamiar je kochać.

- Oczywiście. Zaniedbałbym moje obowiązki ojca, gdybym nie kochał własnych dzieci.

- Ale będziesz je trzymał na dystans. Nie pozwolisz im pokochać cię zbyt mocno.

Matthew nie odpowiedział. Kochał matkę i ją stracił. Kochał też macochę i choć ona nie okazywała mu zainteresowania, długo opłakiwał jej śmierć. Stracił na wojnie najbliższych przyjaciół, stracił też brata.

- Nawet jeśli pokochanie kogoś - rzekł Graham - a już zwłaszcza własnej żony, wiąże się z ryzykiem, nie wolno zapominać o nagrodzie. - Chirurg uśmiechnął się - Życie jest wieczną walką, przyjacielu. Tak jak na wojnie, nie możesz się bać zmierzyć z niebezpieczeństwem i starać się wygrać jak najwięcej potyczek. To trudna wyprawa, nawet jeśli masz kogoś, na kim możesz polegać. Gdy jesteś sam, staje się wręcz nieznośna.

Matthew w dalszym ciągu milczał. Słowa przyjaciela brzmiały wyjątkowo prawdziwie.

Poza tym usilnie próbował zwalczyć nieprzyjemne wrażenie, że Graham Paxton może mieć rację, i że może jest już za późno. Zważywszy tęsknotę, jaką odczuwał za Jessie, samotność i ból rozdierający mu serce na samą myśl o żonie - może to była prawda.

Może już się zakochał.

Gwen Lockhart zerknęła na zegarek stojący na kominku w sypialni. Była dziewiąta. Matka i ojczym wyszli na wieczór, ale ona wykręciła się bólem głowy. Zostanie w domu, powiedziała, weźmie jakieś lekarstwo i pójdzie prosto do łóżka, a rano na pewno poczuje się lepiej.

Jednak to nie w głowie jej pulsowało. To jej serce waliło jak oszalałe z podniecenia.

Spojrzała ponownie na zegarek, włożyła szybko ubranie kuzyna Henry'ego, to samo, które miała na sobie podczas wyprawy do „Upadłego Anioła”, a którego jeszcze nie zwróciła. Mając tak obfitą garderobę, Henry nawet tego nie zauważył, a Gwen pomyślała, że jej strój może się jeszcze kiedyś przydać.

Oczywiście wiedziała, co robi. Dziś miała zamiar udać się ni mniej, ni więcej, tylko na walkę bokserką. Przeczytała o boksie już wszystko, co zostało kiedykolwiek napisane, nasłuchiwała się niezliczonych komentarzy lorda Waringa, ale o uczestnictwie w tego typu wydarzeniu oczywiście nie było nawet mowy.

Tylko że Gwen była zdecydowana pójść.

Owinęła gruby, biały halsztuk wokół szyi, zawiązała go w elegancką, dużą kokardę i naciągnęła na siebie białą pikowaną kamizelkę. Była nieco za ciasna w biuście, co w rezultacie okazało się całkiem korzystne, ponieważ skutecznie spłaszczało jej piersi i pomogło ukryć kobiece kształty.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze, oceniając krytycznym okiem przebranie. Nie mogła się już doczekać walki. Dziś mistrz, Okrutny Terrel, miał zmierzyć się z Robem Kilpatrickiem, McLeanem, ogromnym szkockim bokserem, którego gazety okrzyknęły tym, który wreszcie przetrzepie skórę Terrelowi.

Gwen skończyła się przebierać - ku swojemu rozgoryczeniu musiała przyznać, że mężczyźni mają w tym względzie znacznie łatwiej - i poprawiła prowizoryczne spinki do mankietów, które zrobiła własnoręcznie z dwóch zszytych razem guzików. Wygładziła kamizelkę i zielony frak, chwyciła melonik i wepchnęła włosy pod rondo.

Nie fatygowała się przyklejaniem sztucznych wąsów. Walka miała się odbyć na odkrytym ringu, więc oświetlenie będzie raczej kiepskie. Jeśli dopisze jej

choć trochę szczęścia, przemknie w tłumie niezauważona jak wielu młodzieńców zaabsorbowanych walką.

Przyszło jej do głowy, że St. Cere również może się tam pojawić, gdyż podczas jednej z rozmów wspomniał coś o swojej fascynacji sportem - od wyścigów konnych po polowanie na lisy.

Wszystkim, co pomaga zabić nudę, rzekł wtedy.

Gwen myślała o nim codziennie od czasu ostatniego fatalnego spotkania, i zawsze przechodził ją ciepły dreszcz. Gdyby poszedł na walkę, pewnie by ją rozpoznał. Widział ją przecież w tym samym stroju w „Upadłym Aniele”. Jednak ta myśl wcale jej nie zniechęciła. Wręcz przeciwnie, sprawiła, że serce zaczęło jej szybciej bić w piersi. Może przy odrobinie szczęścia dostrzeże go, a sama pozostanie niezauważona. Miałaby wtedy możliwość, żeby go bezkarnie poobserwować, dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

A jeśli ją rozpozna? Podejdzie do niej? Na myśl o tym zaczęło skręcać ją w żołądku. Chciała przekonać siebie, że ten człowiek to jedynie hulaka i awanturnik, który próbuje zaciągnąć ją do łóżka i w ogóle o nią nie dba, oraz że słusznie postąpiła odmawiając mu. Problem polegał jednak na tym, że Gwen chciała z nim być, chciała, by ją całował, a z czasem może nawet się z nią kochał.

Tak... możliwe, że Adam Harcourt tam będzie. A jeśli tak, to kto wie, co przyniesie ten wieczór? Gwen uśmiechnęła się promiennie i opuściła pokój.

* * *

Adam Harcourt zauważył Gwen Lockhart niemal natychmiast. Zamrugał kilka razy, jakby próbował przekonać się, że to przywidzenia, że po potwornym

wieczorze w teatrze ta mała łobuzica nie zrobiłaby czegoś tak głupiego.

Była tu jednak i miała na sobie to samo obcisłe ubranie, w którym pokazała się w „Upadłym Aniele”. Nogawki i rękawy były nieco przydługie, a surdud opinał ciasno piersi.

Wielkie nieba, czy naprawdę sądziła, że kogoś tym nabierze? Każdy prawdziwy mężczyzna rozpoznałby, że piękny mały tyłeczek odznaczający się w nankinowych spodniach należy do zgrabnej i zmysłowej kobiety!

Adam przeklął ostro, żałując, że ją w ogóle dostrzegł. Miał ochotę porządnie ją sprać... albo odciągnąć na bok i kochać się z nią namiętnie i zapamiętale. Właśnie gdy zdążył wmówić sobie, że Gwen Lockhart to tylko naiwna dziewczyna, która nie zasługuje na zaloty takiego doświadczonego hulaki jak on, dziewczyna pojawia się znikąd i go kusi.

Do diabła, nie był przecież święty. Myślał o niej codziennie, setki razy jej uroczą twarz i jędrne ciało pojawiały się w jego snach. Poprzysiągł sobie ją uwieść i raz na zawsze skończyć z tą idiotyczną obsesją, a mimo to zostawił ją w spokoju. Do diabła, dosyć tego! Pragnął jej. Ta dziewczyna ciągle wystawiała się na niebezpieczeństwo i jeśli on jej nie posiada, prędzej czy później zrobi to inny mężczyzna.

Wepchnął się w tłum hałaśliwych widzów i podszedł do niej, ale nie zdradził swojej obecności. Zastanawiał się, ile czasu jej zajmie dostrzeżenie go obok.

Gwen wpatrywała się w ring i obserwowała dwóch walczących mężczyzn. Pot spływał im po twarzach i połyskiwał na umięśnionych ciałach. Mięśnie napięły się z wysiłku. Musiała przyznać, że w prymitywny, zwierzęcy sposób było to podniecające i na sam

ich widok krew szybciej krążyła jej w żyłach. Gdy przeciwnik zadał Terrelowi silny cios, dała się ponieść atmosferze do tego stopnia, że uniosła pięść do góry i zaczęła krzyczeć razem z tłumem.

Ku swojemu zaskoczeniu dostrzegła wśród zebranych również kobiety, niektóre ubrane dość modnie. Zastanawiała się, kim są. Podejrzewała, że część z nich to kochanki niektórych mężczyzn.

- Dobrze się pani bawi?

Drgnęła na dźwięk głębokiego, męskiego głosu.

- Może - rzekł wicehrabia - skoro tak bardzo pragnie pani uchodzić za mężczyznę, niech pani wejdzie na ring i sama zmierzy się z Terrelem.

Gwen zeszywniała.

- Czy zawsze musi się pan do mnie podkradać?

- Najwyraźniej muszę. Wygląda na to, że zostałem skazany na ciągłe ratowanie cię i wyciąganie z opresji.

- Jeśli jeszcze pan tego nie zauważył, wasza lordowska mość, jedyną osobą, przed którą trzeba mnie ratować, jest pan.

Zmarszczył brwi i spojrzał na nią surowo srebrnymi oczami.

- Nie myli się pani. Chętnie bym panią uduślił. Stanowi pani zagrożenie dla samej siebie, Gwendolyn Lockhart. Mam nadzieję, że gdzieś jest ktoś, kto będzie w stanie nad panią zapanować.

Ku własnemu zdziwieniu Gwen zamiast wściekłości poczuła zbierające się jej pod powiekami łzy.

- Dlaczego chęć dowiedzenia się czegoś o życiu jest taką zbrodnią? Dlaczego pan może tu być, a ja nie? - Spojrzała na niego z pytaniem płonącym w oczach i surowe spojrzenie wicehrabiego złagodniało, jego ostre rysy zmiękły, a twarz sprawiała wrażenie przystojniejszej, niż dotąd.

- Pewnie ma pani rację. Oczywiście, wydaje się to pani niesprawiedliwe. Niestety życie rzadko jest sprawiedliwe.

- Chciałabym tylko zrozumieć i doświadczyć życia jak pan. Jeśli robiąc to podejmuję ryzyko, trudno.

Dotknął dłonią jej policzka.

- Chcesz doświadczyć życia, Gwen? Z wielką ochotą cię czegoś nauczę.

Wolno potrząsnęła głową, choć sama nie była pewna dlaczego. Od momentu, gdy go ujrzała po raz pierwszy, zapragnęła, by wicehrabia nauczył ją wszystkiego, co wiedział o życiu i kochaniu. Marzyła o tym, jak o niczym innym do tej pory.

Chciał zaproponować jej ramię, ale w ostatniej chwili powstrzymał się, zdając sobie nagle sprawę, jak niewłaściwie wyglądałoby dwóch mężczyzn idących razem pod rękę. Zdawało mu się, że przekłęta, gdy wyprowadzał ją spod ringu, na tyły ogrodu.

- Nie możesz tu zostać - rzekł, gdy byli już sami. - Prędzej czy później ktoś zorientuje się, że jesteś kobietą, i że jesteś tu sama. A wtedy będzie po tobie.

Gwen starała się nie spuszczać wzroku i patrzeć wprost w te szare, stanowcze oczy.

- Przyszłam obejrzeć walkę, która jest tak ekscytująca, jak sobie to wyobrażałam. Wyjdę, gdy dobiegnie końca.

St. Cere przeklął pod nosem.

- Postępujesz bardzo głupio - rzekł, ale w jego głosie wyczuwało się dziwny podziw. - Skoro jesteś taka uparta, będę musiał zostać z tobą. Ostrzegam cię jednak, Gwendolyn Lockhart, zapłacisz za to wysoką cenę.

Może i tak. Jednak na razie nic jej to nie obchodziło. Była zbyt sparaliżowana tym mroźnym, srebrnym spojrzeniem, obezwładniona przez dreszczyk emocji, który czuła zawsze, gdy patrzył jej w oczy.

- Stracimy walkę - rzekła miękko, a wicehrabia uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

- Nie możemy do tego dopuścić - rzekł i wskazał głową ring. - Pani przodem.

Bawili się wspaniale! Nigdy by nie przypuszczała, że aż tak dobrze. Gdy wicehrabia zaakceptował jej obecność, odprężył się i zaczął uśmiechać. Był to szeroki, promienny, rozbrajający uśmiech, który sprawił, że wyglądał młodziej i bardziej beztrosko. Stali prawie pod samym ringiem, śmiali się i dopingowali słabszego Roba Kilpatricka, licząc na jego chwalebne zwycięstwo. St. Cere kupił jej nawet kufel piwa i uśmiechnął się na widok wąsów z piany, które pozostały na jej twarzy po skosztowaniu płynu.

- Już chyba cię tak gdzieś widziałem - zaczął się z nią droczyć. Gdyby nie była przebrana za mężczyznę, z pewnością by ją pocałował.

Nie zostali do końca ostatniej walki, a mimo to dochodziła północ, gdy opuszczali widownię. Powóz Adama stał kilka przecznic od wejścia, ale gdy usadził ją w środku, jego beztroska nagle gdzieś zniknęła.

Bardzo delikatnie zdjął jej melonik z głowy i odgarnął z twarzy grube, ciemne loki.

- Jesteś taka piękna, taka radosna... tak ogromnie żywiołowa. Nigdy jeszcze nie znałem takiej kobiety.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale on pochylił się i złożył na jej ustach słodki pocałunek, od którego zakręciło jej się w głowie. Wsunął dłoń pod zielony frak i delikatnie masował jej pierś przez cienką, Inianą koszulę kuzyna.

- Już czas, Gwen - wyszeptał pomiędzy słodko kuszącymi pocałunkami. - Powiedziałem ci, że zapłacisz wysoką cenę. Teraz nadeszła odpowiednia pora.

Do lekko zdezorientowanej Gwen z trudem dotarło znaczenie tych słów.

- Co?

- Powiedziałem, że już czas. Zabieram cię do Carlton House. Będę się z tobą kochał. Oboje tego chcemy i tym razem nie pozostawię ci wyboru.

Mgła pożądania przesłaniająca jej oczy powoli zaczęła opadać.

- Co... Co masz na myśli?

- Po prostu powiedz tak, Gwen. Powiedz, że chcesz się ze mną kochać.

Potrząsnęła głową.

- Nie możemy, Adamie. Nie dziś. Rodzice będą w domu o północy. To już niedługo. Muszę wrócić przed nimi.

Adam przeklął głośno.

- A więc jutro. Spotkajmy się w Carlton House - rzekł, a jego zmysłowe usta wykrzywiły się w kuszącym uśmiechu. - Jesteś bardzo dobra w wymykaniu się z domu.

Jednak rozsądek zaczął powoli wracać.

- Carlton House - powiedziała miękko. - Tam mężczyźni zabierają swoje kochanki. Wczoraj słyszałam, jak ojciec rozmawiał o tym ze znajomymi.

Adam spojrział na nią i coś w jego oczach się zmieniło.

- A więc w mojej posiadłości miejskiej. Wyślę powóz, żeby czekał na ciebie za rogiem o dziewiątej wieczorem.

Poczuła lekki niepokój.

- Nie... Chyba nie dam rady. - Pragnęła Adama Harcourt, ale za taki romans musiałaby słono zapłacić. Może i była uparta, ale nie głupia.

Wicehrabia spochmurniał.

- Mam już dość czekania, Gwen. Oczekuję, że przyjdiesz. - Rzucił jej piorunujące spojrzenie. - Jeśli się nie zjawisz, udam się do lorda Waringa i po-

wiem mu o dzisiejszym wieczorze, o tym jak wykra-
dłaś się z domu w męskim stroju. Powiem mu o two-
jej wyprawie do „Upadłego Anioła”.

Wpatrywała się w jego surowe oczy blade jak
ściana.

- Nie zrobiłbyś... nie zrobiłbyś czegoś takiego.

- Ostrzegłem cię, Gwen. Od początku wiedziałaś,
co ze mnie za człowiek. Zwykle dostawać to, czego
chcę, a chcę ciebie. Jeśli jedynie groźba jest w stanie
cię przekonać, do niej właśnie się posunę. Przyjdź
do mnie jutro, albo hrabia dowie się o twoich małych
przygodach.

Gwen żółdek podszedł do gardła. Pragnęła Har-
courta, a może nawet go kochała. Do tej chwili ja-
kimś cudem ufała mu jak żadnemu innemu mężczyź-
nie. Wielkie nieba, jak mogła tak się pomylić?

- Zrobiłbyś to? - szepnęła. - Naprawdę poszedł-
byś do hrabiego?

W jego oczach pojawił się okrutny błysk.

- Zrobię wszystko, żeby tylko cię mieć.

Gwen przygryzła drżącą wargę i surowe spojrzenie
Adama złagodniało.

- Przyjedź do mnie, kochanie. Przecież oboje tego
chcemy. Obiecuję, że nie pożałujesz.

Blask księżycy wdzierał się do powozu, nadając je-
go włosom niebieski połysk i rozświetlając jego
ciemne kości policzkowe. Gwen zamrugała, żeby
ukryć łzy i wysiliła się na uśmiech.

- Oczywiście, przyjadę... dokładnie tak, jak sobie
tego życzysz. Jak już powiedziałeś, nie mam innego
wyboru.

Adam zmarszczył brwi na dźwięk jej starannie do-
bieranych słów i na widok jej nienaturalnej miny.
Po chwili powóz zatrzymał się na tyłach posiadłości
i stangret otworzył drzwi.

- Do jutra - rzekł Adam na pożegnanie i pocało-
wał ją delikatnie w rękę. Jego czułe spojrzenie spra-
wiło, że poczuła tęsknotę za mężczyzną, którym jesz-
cze niedawno się wydawał.

- Do... do widzenia, Adamie. - Dobry Boże, gdy-
by tylko był cierpliwy, gdyby prosił zamiast żądać
i szanował jej życzenia tak samo jak swoje, prędzej
czy później oddałaby się mu. On jednak jej zagroził,
chciał ją zmusić do posłuszeństwa.

Jak każdy inny mężczyzna, którego znała.

Uśmiechnęła się gorzko, przemknęła przez
ciemną ulicę i wspięła do domu przez okno, które
zostawiła otwarte. Jak każdy inny mężczyzna, my-
ślała, że nie pozostawił jej wyboru. Ale jutro wieczo-
rem Adam Harcourt zrozumie, jak bardzo się my-
lił.

* * *

Jessie przemierzała ulice Londynu, jak podczas
pierwszego pobytu w tym mieście, ale dreszczyk
emocji przyćmiewała mgiełka samotności, która otu-
liła ją szczerze po wyjeździe Matta. Tęskniła za mę-
żem okrutnie i bała się o jego bezpieczeństwo. Lada
dzień mogły nadejść wieści o bitwie, o stratach, jakie
Anglia poniosła w ludziach i statkach, wieści o tym,
że Matthew był wśród nich.

Lada dzień mogła dowiedzieć się, że go straciła.

Papa Reggie też się martwił. Pod nieobecność sy-
na postarzał się o całe lata. Dlatego zgodziła się
przyjechać do Londynu. W mieście markiz mógł zna-
leźć pocieszenie w osobie lady Bainbridge, a po-
za tym miał rację - dni mijały tu szybciej, gdyż niezli-
czone rozrywki przynajmniej częściowo odciągały
ich uwagę od wiecznego zamartwiania się.

Sara również pomogła jej podjąć decyzję. Ogromne oczy dziewczynki promieniały podnieceniem na tę pierwszą wyprawę do miasta.

No i jeszcze Gwen...

W miejskiej posiadłości już oczekiwała na nią wiadomość od przyjaciółki. Gwendolyn błagała ją o spotkanie przy najbliższej sposobności. Był to bardzo dziwnie sformułowany liścik, który wywołał u Jessie dreszcz niepokoju, dlatego zawiadomiła lorda Waringa o swojej wizycie już kilka godzin po przyjeździe, zaraz po rozpakowaniu bagaży, odświeżeniu się i przebraniu.

Choć zapadał już zmierzch, opuściła dom sama. Viola wraz z Sarą i Minnie zajęte były prasowaniem i odświeżaniem ubrań wyjętych z kufrów.

Nie była pewna, czy zastanie Gwen w domu, gdyż nie miała nawet czasu na potwierdzenie wizyty. Takie wpadanie do kogoś bez słowa nie należało do dobrego tonu, ale etykieta rzadko powstrzymywała Gwen przed czymkolwiek, a styl notatki zmusił Jessie do niewielkiego nagięcia zasad.

Kiedy dojeżdżała do posiadłości lorda Waringa, próbowała wymyślić jakiś dobry pretekst swojej wizyty.

Coś niezwiązanego z tajemniczym liścikiem od Gwen.

Było już prawie ciemno, gdy powóz zatrzymał się i lokaj otworzył przed nią drzwi.

- Dojechalіśmy, łaskawa pani.

- Dziękuję, Buckley. - Uśmiechnęła się, gdy pomagał jej zejść po trzech żelaznych schodkach na bruk. - Nie zajmie mi to zbyt wiele czasu. - Skierowała się w stronę szerokich, rzeźbionych drzwi frontowych, uniosła ciężką mosiężną kołatkę i zapukała trzy razy. Po chwili drzwi otworzyły się i kamerdyner spojrzał na nią chłodno znad ogromnego, orlego nosa.

Znała już to spojrzenie. Podczas poprzedniego pobytu w Londynie była obiektem zainteresowania aż nazbyt wielu par oczu. Teraz dodało jej to tylko odwagi.

- Dobry wieczór. Hrabina Strickland do lady Gwendolyn.

Szybko cofnął się o krok i wpuścił ją do środka. Była odziana w elegancką szmaragdową suknię i miała modnie zaczesane do góry włosy, czego wcześniej nie dostrzegł w nikłym świetle latarni na podwórzu.

- Przepraszam, jaśnie pani. Lady Gwendolyn zapomniała wspomnieć o pani wizycie.

Jessie rzuciła mu wyniosły uśmiech.

- Znając naszą drogą Gwen, nie ma w tym nic dziwnego.

Kamerdyner skinął tylko głową, jakby wyjęta mu to z ust. Udał się na górę i po chwili Gwen zbiegała już ze schodów w radosnym pędzie.

- Jessie! Tak się cieszę, że jesteś! - zawołała i wyciągnęła ręce do przyjaciółki. Kobiety uściśniły się. Uścisk Gwen trwał nieco dłużej.

Jessie spojrzała na nią zaniepokojona, udała się za przyjaciółką do małego salonu i po chwili przemądrzały kamerdyner już zamykał za nimi drzwi.

- No dobrze, Gwen. Co się dzieje?

Przyjaciółka odwróciła wzrok.

- Niczego sobie powitanie. Musisz mi opowiedzieć wszystko o życiu małżeńskim, czy jesteś szczęśliwa z lordem Stricklandem, a dopiero potem pomówimy o mnie.

- Dobrze - odparła Jessie i usiadła na sofie. - Uwielbiam być żoną Matthew. To wspaniały mąż i kocham go do szaleństwa. Niestety, on nie odwzajemnia tego uczucia. Co gorsza, wyjechał teraz walczyć w jakiejś okropnej bitwie i mogę go już więcej

nie zobaczyć. - Przełknęła łyzy podchodzące jej do gardła. - A teraz powiedz mi, co u ciebie.

Gwen wstała z krzesła i usiadła obok przyjaciółki na kanapie.

- Matthew nic się nie stanie, Jess. Musisz w to wierzyć. I musisz wierzyć w to, że cię kocha. Nikt nie kradnie innemu mężczyźnie panny młodej sprzed ołtarza, jeśli nie jest w niej przynajmniej trochę zakochany.

Jessie potrząsnęła tylko głową. Chciała w to wierzyć, ale gdyby Matthew ją kochał, na pewno by jej to powiedział.

- Powiedz mi, co miał znaczyć ten pilny ton twojej wiadomości?

Gwen przymknęła śliczne zielone oczy. Grube kasztanowe rzęsy rzucały cień na jej policzki.

- Adam Harcourt - powiedziała jedynie.

- O nie! Tylko nie St. Cere!

- Prawie się w nim zakochałam, Jess. A może już go kocham... tak troszeczkę.

- Tylko nie mów mi, że cię uwiódł?

- Gdyby próbował to zrobić, pewnie by mu się udało. - Otarła łzę z policzka. - Jednak on mi zagroził, próbował siłą zaciągnąć mnie do swojego łóżka.

- Nic z tego nie rozumiem. Czym niby mógł ci zagrozić?

Gwen spojrzała w dół na dłonie zaciśnięte na kolanach.

- Widział nas tego wieczora, kiedy poszliśmy do „Upadłego Anioła”. Zeszłej nocy przebrałam się w ten sam strój i poszłam na mecz bokserski do Haymarket. Adam też tam był. Teraz chce, żebym do niego pojechała. Mam spotkać się z nim dziś w nocy w jego posiadłości. Jeśli tego nie zrobię, powie o wszystkim lordowi Waringowi.

- Wielkie nieba, nie wierzę własnym uszom!

- Niestety, to prawda. Sądzi, że jego groźba po skutkuje, że oddam moją cnotę za jego milczenie. - Zaśmiała się gorzko. - Najśmieszniejsze jest to, że chciałam kochać się z Adamem. W zamian oczekiwałam jedynie odrobiny uczucia. Czy to tak wiele?

- Och, Gwennie. - Jessie objęła mocno drobne ciało przyjaciółki i zauważyła, jak jest napięte.

- Nie pozwolę mu się szantażować. - Uwolniła się z uścisku i otarła kolejne łyzy z twarzy. - Sama powiem o wszystkim Waringowi.

- Nie! Na litość boską, Gwen, nie możesz tego zrobić! - Jessie skoczyła na równe nogi i zaczęła gorączkowo chodzić po pokoju. - Pozwól mi pomówić z St. Cere'em. On przecież nawet nie lubi lorda Waringa. Nie sądzę, by kiedykolwiek poważnie myślał o wyjawieniu mu prawdy. Po prostu chciał cię zaciągnąć do łóżka. Pozwól mi do niego pójść, powiedzieć, że jego groźby nie poskutkują. - *Powiedzieć mu, że jest skończonym draniem.* - Na pewno go przekonam...

- Nie - ucięła Gwen. - Wiem, że chcesz mi pomóc. Prosiłam cię o radę, ale tak naprawdę chciałam po prostu o tym komuś powiedzieć. Miałam nadzieję, że się zjawisz i dziękuję ci za to, ale już postanowiłam. Nie będę błagać St. Cere'a ani nie pozwolę ci robić tego za mnie. Wolę powiedzieć Waringowi prawdę.

- Proszę cię, Gwen, nie rób tego. Nie wiesz, co może zrobić ci ten człowiek.

- Wiem doskonale co robi. Zbije mnie. Nie robił tego już od dawna i ostatnio wciąż szuka odpowiedniego pretekstu. W każdym razie wolę stawić czoło ojczymowi, niż pozwolić St. Cere'owi wygrać.

Jessie położyła Gwen rękę na ramieniu.

- Tu nie chodzi o wygrywanie, Gwen. Tu chodzi o miłość. Niestety, to ostatnie, co mężczyźni interesu-

je, a wicehrabiego w szczególności. Proszę cię raz jeszcze, nie mów nic lordowi Waringowi.

Gwen uśmiechnęła się blado i Jessie dostrzegła szare smugi pod jej zielonymi oczami.

- Dziękuję, że przyszedłś, Jess. Może wpadnę do ciebie z wizytą... gdy to wszystko się skończy. A może ty przyjdiesz do mnie?

- Och, Gwen, oczywiście, że przyjdę - rzekła i z całej siły ucisnęła dłoń przyjaciółki, gdy wstały, by udać się do wyjścia. - Kiedy mu powiesz?

- Dziś wieczorem. Hrabia będzie w domu o ósmej. Zwykle jest punktualny, a ja chciałabym to mieć jak najszybciej z głowy.

- Do diabła, Gwen...

- Dobranoc, Jess. Dziękuję, że jesteś moją przyjaciółką.

Gwen pochyliła się i objęła ją mocno, a potem poczekała, aż Jessie zniknie w powozie. Natomiast Jessie nie mogła przestać myśleć o Harcourcie. Dobrze, że nie miała ze sobą pistoletu, bo z pewnością by go zastrzeliła!

Wsiadła do powozu i poleciła stangretowi, by ją zawiózł na Hanower Square. Matthew wspominał kiedyś, że tam właśnie mieszka Adam Harcourt. Miała nadzieję, że uda jej się rozpoznać, która z tych ekskluzywnych rezydencji należy do niego. Gdy powóz dotarł na miejsce, cała drżała i modliła się, żeby lord Waring dziś wyjątkowo się spóźnił. Nie miała pojęcia, co powie wicehrabia, ani jak zareaguje, gdy dowie się o zamiarach Gwen. Liczyła tylko na to, że będzie równie wstrząśnięty konsekwencjami swoich czynów jak ona, i znajdzie jakiś sposób, by pomóc Gwen.

Rozdział 23



W powozie pełne napięcia minuty ciągnęły się Jessie w nieskończoność. W końcu stangret odwrócił się i krzyknął ze swojego siedzenia:

- Już jesteśmy, jaśnie pani.

- Dziękuję, Buckley - odrzyknęła. - Zatrzymaj się.

Wyskoczyła z powozu, zanim zdążył się całkiem zatrzymać, podbiegła do najbliższych drzwi frontowych i zapukała.

- Tak? - rzekł do niej rosty kamerdyner zza szpary w uchylonych drzwiach.

- Szukam wicehrabiego St. Cere'a. Jego miejska rezydencja znajduje się gdzieś przy tym placu, ale zapomniałam, który to dokładnie dom.

Zlustrował ją od góry do dołu, zauważając kosztowną jedwabną suknię.

- To tamten, proszę pani. - Wskazał budynek po przeciwległej stronie ulicy. - Środkowy dom, ten z kolumnami na tarasie.

- Tak... widzę. Dziękuję. Dziękuję bardzo - rzekła i już po chwili była z powrotem w powozie, który **395**

czył się ospale ku następnej przecznicy. Kilka minut później weszła po schodach na taras i zakołatała głośno do lśniących drzwi wicehrabiego.

Otworzyły się niemal natychmiast i stanął w nich sam St. Cere, nieco zdziwiony, że Gwen zjawiła się tak wcześnie. Jessie dostrzegła, że ubrał się elegancko, w idealnie dopasowany czarny frak i ciemnoszare spodnie. Jego błyszczące czarne brwi uniosły się ze zdumieniem, gdy zdał sobie sprawę, że zamiast Gwen stoi przed nim hrabina Strickland.

Oczywiście niemal natychmiast odzyskał trzeźwość umysłu.

- Dobry wieczór, hrabino. Cóż za miła niespodzianka.

- Tego bym nie powiedziała - odparła Jessie, wchodząc do środka. Jej oczy błyszczały ze wściekłości. - Na pewno nie dla pana, gdyż pański plan uwiedzenia nie dojdzie dziś do skutku. No a już z pewnością nie dla mojej drogiej przyjaciółki Gwen, która zbierze tej nocy brutalne cięgi. Dzięki panu.

Z ciemnej twarzy wicehrabiego odpłynęła cała krew.

- O czym pani mówi?

- Jak mógł pan zrobić coś takiego? - Po policzkach Jessie popłynęły łzy złości. - Zaufała panu, a może nawet pana pokochała. Jak mógł pan ją potraktować?

Wicehrabia zbliżył się do niej i złapał ją mocno za ramiona.

- Nie wiem, o czym pani mówi. Jeśli chodzi o Waringa, niczego mu nie powiedziałem o Gwen. Nie ma powodu, żeby ją krzywdzić.

Jessie otarła łzy.

- Powiedziała mi, co pan uknuł, czego pan od niej zażądał. Gdyby znał ją pan choć trochę, wiedziałby

pan, że nigdy nie odda się panu pod naciskiem. Nie słucha się Waringa. Nie posłucha też pana.

- Mówiłem już, że o niczym mu nie powiedziałem. Nigdy bym tego nie zrobił. Chciałem jej, to prawda. Pomyślałem sobie, że gdyby miała wymówkę... Gdyby mogła zrzucić winę na mnie, wmówić sobie, że to ja ją uwiodłem, przyszłaby do mnie. Gwen nic nie grozi. Nie powiedziałem Waringowi. Nienawidzę tego człowieka...

- Nie rozumie pan? - Jessie zerknęła na wielki, rzeźbiony zegar w holu. Było wpół do dziewiątej. - Waring miał być w domu o ósmej. Gwen pewnie już mu powiedziała!

Wicehrabia zatoczył się lekko i złapał za mahoniową balustradę dla odzyskania równowagi.

- Nie... Nie zrobiłaby tego...

Jessie spojrzała mu głęboko w oczy, wzburzona jak morze podczas sztormu.

- Czy naprawdę myśli pan, że Gwen Lockhart mogłaby czegoś nie zrobić, jeśli już to sobie postanowi?

- Wicehrabia zbladł jeszcze bardziej. - Powiedziała, że woli chłostę, niż dać się panu zmusić do czegokolwiek.

St. Cere wyglądał na tak poruszonego, że prawie zrobiło się jej go żal, ale wtedy znów pomyślała o Gwen i Waringu.

- Powiedziała też, że gdyby pan ją poprosił, albo okazałby jej, że choć trochę panu na niej zależy; sama by do pana przyszła.

St. Cere zacisnął z całej siły dłoń wokół poręczy.

- A niech to szlag! - wyszeptał, przeczesując drżącą ręką gęste, czarne włosy. - Nigdy mi to do głowy nie przyszło... Nie sądziłem, że mogłaby... - Uniósł głowę i spojrzał na Jessie z błyskiem zdecydowania w oczach. - Powóz pani jeszcze nie odjechał?

- Nie.

- Proszę tu zostać. Wrócę najszybciej jak się da.

Jessie przytrzymała go, gdy chwycił płaszcz i zarzucał go sobie na plecy.

- Jedźcie pan tam? Chce pan go powstrzymać?

- Oczywiście, że tak. Czy myślała pani, że pozwolę, żeby ten parszywy drań zrobił jej krzywdę? Jeśli spadnie jej choć włos z głowy, będzie miał szczęście, jeśli go nie zabiję.

Jessie automatycznie zesłała wicehrabiemu z drogi. Nigdy wcześniej nie widziała w oczach mężczyzny takiej żądzы krwi i twarzy tak pełnej goryczy i wstrętu do samego siebie. Jeśli ktoś ma pomóc Gwen, z pewnością będzie to Adam Harcourt.

Prawie zrobiło się jej żal lorda Waringa.

* * *

W salonie rezydencji miejskiej Waringów Gwen wpatrywała się z lekceważeniem w surowe rysy ojczyma. Na sofie po przeciwległej stronie pokoju matka przyciskała do nosa koronkową chusteczkę i pochlipywała cicho.

- Jesteś upartą, samowolną młodą panną, Gwendolyn Lockhart, która za wszelką cenę chce zrujnować sobie życie. - Waring spoglądał z wysoka na jej kruchą postać, a na jego twarzy malowało się przekonanie o słuszności własnych słów. Tylko w jego zimnych, ciemnych oczach można było dostrzec błysk podniecenia i niecierpliwego oczekiwania. - Rozumiesz chyba, że musisz zostać ukarana?

Matka jęknęła i zaczęła szlochać jeszcze głośniejsze.

- Czy to konieczne, Edwardzie? - zatkała. - Gwendolyn sama do nas przyszła. Przecież nie mu-

siała nam tego mówić. Mogła milczeć, a jednak powiedziała prawdę.

- Twoja córka wyznała nam swoje nieposłuszeństwo tylko dlatego, że wiedziała, iż prędzej czy później dowiemy się o wszystkim. Po prostu próbowała ratować własną skórę. Niestety, nie mam zamiaru ignorować jej wybryków. Kara będzie bezzwłoczna i surowa.

Matka ponownie zaniosła się płaczem, a potem umilkła, pochlipując jedynie od czasu do czasu. Waring ponownie skierował uwagę na Gwen.

- Idź do swojego pokoju, Gwendolyn. Zdejmij wierzchnie odzienie i czekaj tam na mnie. Może kilka porządnych razów różgą powstrzyma cię od nocnych wycieczek... przynajmniej na jakiś czas.

- Edwardzie, bardzo cię proszę... - błagała matka.

- A co do ciebie, moja droga, to również udasz się na spoczynek do swojej sypialni. Rozumiem, że obowiązek dyscyplinowania dzieci nie należy do najprzyjemniejszych, dlatego oszczędzę ci go i sam się tym zajmę.

Starając się nie patrzeć w jego stronę, matka uniosła się na drżących nogach z kanapy. Rzuciła córce współczujące spojrzenie i opuściła salon. Gwen podążyła za nią w milczeniu i udała się do swojego pokoju.

Czekała tam na nią jej mała pokojówka, Sadie. Było niewiele rzeczy, o których służba nie miałaby pojęcia, nawet o czymś takim, jak zamiłowanie hrabiego do wymierzania kar cielesnych, lub wieczne nieposłuszeństwo jego pasierbicy.

Rozebranie się nie zajęło Gwen zbyt wiele czasu. Pozostała w samej halce, wyprostowała się jak struna i ze stoickim spokojem wyczekiwała gehenny. Jednak gdy tylko Sadie opuściła pokój, zaczęła cała drżeć. Podeszła sztywnym krokiem do łóżka, podnio-

sła szlafrok, zarzuciła go sobie na ramiona i stanęła przy kominku, mając nadzieję, że pozbędzie się nieprzyjemnego chłodu, który mroził jej krew w żyłach.

Waring nadszedł kilka minut później. Trzymał w ręku jeden ze swoich największych skarbów: wygładzoną, polakierowaną i wypolerowaną na błysk prawie półtorametrową różgę.

- Przykro mi, Gwendolyn, że znów do tego dochodzi. Gwen uśmiechnęła się gorzko.

- Po co te kłamstwa, wasza lordowska mość. Oboje wiemy, że wcale nie jest panu przykro.

Waring zacisnął szczękę ze złości.

- Zdejmij szlafrok, Gwendolyn, i oprzyj się dłońmi o ławkę przy łóżku.

Była zbyt dorosła, by tak się przy nim rozbierać, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Ta cała farsa była jedynie pretekstem do ukrycia jego żądz i uspokojenia tej odrobiny sumienia, którą jeszcze posiadał. Zdjęła szlafrok i odwróciła się do niego plecami, mając nadzieję, że nie zdążył dostrzec jej ciemnych sutków przez prawie przezroczystą, bawełnianą halkę, która zakrywała ją ledwie do kolan.

Zadrżały jej ręce, gdy pochyliła się i umieściła dłoń na obitej aksamitem ławie. Jej palce wbiły się z całej siły w miękki plusz.

- Skoro moje ostatnie nauki nie przyniosły rezultatów, postaram się, by ta bardziej utkwiała ci w pamięci.

Gwen zamknęła oczy, gdy uniósł halkę, obnażając ją jak dziecko. Mogła się tego spodziewać, gdyż każda kolejna kara była gorsza od poprzedniej. Mimo to nie zaprotestowała. Właśnie tego oczekiwał, a przecież tak czy inaczej w końcu dopiąłby swego. Jeszcze bardziej złościło go, gdy okazywała mu jedynie pogardę.

- Pamiętaj, moja droga, że to tylko dla twojego dobra. - Kij zaświszczał w powietrzu i uderzył o nagie plecy. Ciało Gwen przeszły nagły piekący ból. Złapała kurczowo ławkę, myśląc o tym, jak bardzo nienawidzi Edwarda Waringa i życząc mu, by smażył się w piekle.

Jeszcze bardziej nienawidziła Adama Harcourta.

Różga świsnęła po raz kolejny i wylądowała z impetem na jej pośladkach. Po chwili opadła na nią znówu... i znówu.

Piekące ciosy cięły jej uda, plecy, ramiona i ulubione miejsce hrabiego - pośladki.

Gwen przeklinała go w duchu i całym wysiłkiem woli próbowała powstrzymać łzy. Nie da mu się złać. Ani teraz, ani nigdy.

* * *

Adam Harcourt uderzał kołatką o drzwi Waringa tak mocno, że zdawało się, jakby cały dom drżał w posadach. Gdy kamerdyner w końcu otworzył, przemknął koło niego i wpadł jak burza do środka.

- Gdzie jest lady Gwen?

Kamerdyner chrząknął zmieszany.

- Jaśnie pani udała się już na spoczynek do swojej sypialni.

Wicehrabia odetchnął z ulgą. Może jednak nic nie powiedziała.

- A lord Waring? Gdzie on jest?

Na twarz starca wpłynął nagły rumieniec.

- Załatwia sprawy rodzinne, jak sądzę. Nie można mu teraz przeszkadzać.

Uczucie ulgi zniknęło równie szybko, jak się pojawiło, zastąpione przez nerwowy strach.

- Jest na gorze, prawda? Razem z Gwen?

Kamerdyner przełknął ślinę tak mocno, że aż grdyka poruszyła mu się w górę i w dół. Gdy odmówił odpowiedzi, Adam złapał go za kłapy i prawie uniósł nad ziemię.

- W którym są pokoju? W którym?!

- Ostatnie drzwi po prawej... na końcu korytarza.

Adam ruszył, zanim jeszcze stary skończył mówić, przeskakując po dwa schody naraz i próbując ignorować strach przeszywający jego wnętrze. Pognał w głąb korytarza, złapał za srebrną klamkę, otworzył z impetem drzwi i zamarł.

Dwie twarze zwróciły się w jego stronę. Jedna z nich była jasna, urocza, lśniąca od łez. Długa, połyskująca różga Waringa zawisła groźnie w powietrzu. Gwen westchnęła, gdy zdała sobie sprawę z obecności Adama. Zażenowana oblała się pasem i jej twarz miała teraz ten sam ognisty odcień, co pręgi na nogach i pośladkach. Wyprostowała się i halka opadła na swoje miejsce, ponownie zasłaniając jej ciało.

Adama ogarnęły nagłe wyrzuty sumienia.

- Zabiję cię, Waring. Zacisnę ci ręce wokół szyi i wycisnę z ciebie całe życie. - Zdjął płaszcz, odrzucił go na bok i podszedł do hrabiego szybkim, zamaszystym krokiem. - Zakończę twoją nędzną egzystencję raz na zawsze, ale zanim to zrobię, ukarzę cię dziesięć razy gorzej, niż ty tę biedną dziewczynę.

Waring cofnął się o krok.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, St. Cere. To nie twoja sprawa.

Wykrzywił usta w sztucznym uśmiechu.

- Już ci wcześniej powiedziałem. Mam zamiar wmieszać się w tę sprawę.

Adam zamachnął się i jego pięść wylądowała z impetem na szerokiej, kwadratowej szczęce hrabiego,

który zatoczył się i opadł na stolik przy kominku. Adam złapał upuszczoną przez niego różgę i smagnął nią po piersiach i ramionach lorda oraz zadał mu kilka cięć w twarz. Odrzucił różgę, pochylił się, złapał Waringa za białą, lnianą koszulę, postawił go na nogi i ponownie uderzył.

Zadał kilka kolejnych ciosów, rozcinając Edwardowi Waringowi wargę, aż krew buchnęła mu z nosa. Uderzył go kilka razy w brzuch, a potem, gdy Waring z trudem próbował złapać oddech, zacisnął dłonie na jego szyi.

Czuł się wspaniale, mogąc zaciskać mu ręce na gardle, słyszeć jego sapanie i walkę o każdy oddech. Robił to wszystko dla Gwen. Każdy najmniejszy zadawany mu ból w jakiś sposób łagodził poczucie winy, które czuł przez to, co zrobił.

- Adam! - zawołała Gwendolyn, błagając go, żeby przestał, ale furia tak przytępiła mu zmysły, że z trudem rozszyfrowywał znaczenie jej słów.

- Adamie, proszę. On nie jest tego wart! Proszę, nie możesz go zabić! - Jak przez mgłę poczuł na sobie jej ręce, próbujące odciągnąć jego dłonie od szyi ojczyma. Twarz Waringa była już całkiem sina, oczy wychodziły mu na wierzch. Rozpaczliwie próbował rozluźnić palcami dłonie St. Cere'a ze swojego gardła.

- Adamie, proszę! Nie rób tego!

W końcu dotarł do niego jej szloch, przytępiając nieco zaślepiającą wściekłość, która nim owładnęła i przywracając mu zdrowy rozsądek. Puścił Waringa, cofnął się o krok i kilka razy zaczerpnął powietrza. Parę metrów dalej Gwen stała drżąc na całym ciele, a na jej twarzy wciąż połyskiwały łzy.

Twarz miała równie bladą jak Waring. Podobnie jak on, z trudem łapała każdy oddech. Mimo to wy-

glądała ślicznie; halka nie zdołała ukryć pięknych, kobiecych kształtów. Adam przeklął pod nosem Waringa, a przede wszystkim siebie. Złapał swój płaszcz, podszedł do Gwen i zarzucił go jej na plecy, a następnie wziął ją delikatnie w ramiona, z bólem serca ignorując jej syczenie.

- Zabieram cię stąd - rzekł. - Nie pozwolę mu cię więcej skrzywdzić.

Nie odpowiedziała. Wtuliła tylko głowę w jego ramię i złapała go drżącymi palcami za koszulę. Nie odzywała się ani w powozie, ani kiedy podniósł ją i wniósł do swojej posiadłości.

Wtedy dostrzegła Jessie i zaczęła cicho pochlipywać.

Adam dał znak lady Strickland, żeby poszła za nim na górę do jednej z sypialni, a następnie delikatnie ułożył Gwen na łóżku. Pocałował ją czule w czoło i zwrócił się do Jessie.

- Zajmiesz się nią?

- Oczywiście - odparła.

Adam tylko skinął głową. Coś ścisnęło go w gardle i paliło pod powiekami. To wszystko jego wina. Opuścił pokój i zszedł na dół.

* * *

Godzinę później Jessie zeszła do salonu. Zastała Adama siedzącego w półmroku, przy nikłym świetle lampki oliwnej i dogasającym żarze kominka. Miał spuszczoną głowę, przygarbione ramiona i włosy potargane od nerwowego przeczesywania.

Na jej widok zerwał się gwałtownie na nogi.

- Co z nią?

- Nikt nie umiera od chłosty, wasza lordowska mość. To serce jej krwawi, nie ciało.

Przełknął głośno ślinę i odwrócił wzrok.

- To moja wina... wszystko. Nigdy nie chciałem jej skrzywdzić. Po prostu... Tak bardzo jej pragnąłem...

W jego spojrzeniu było coś takiego, czego nigdy nie spodziewała się ujrzeć w oczach tak zimnego mężczyzny jak on... ból, ale i coś jeszcze.

- Teraz odpoczywa. Rano poczuje się lepiej, ale nie jestem pewna...

- Nie jesteś pewna czego?

- Może nie powinniśmy byli się w to mieszać? Może tylko pogorszyliśmy sprawę?

Adam zbliżył się do hrabiny.

- Co masz na myśli? Chyba nie sądzisz, że lepiej byłoby dla niej zostać tam z Waringiem?

- Może było. Prędzej czy później będzie musiała wrócić do domu. Kiedy to nastąpi, na pewno będzie chciał się jakoś zemścić. Gwen będzie zdana kompletnie na jego łaskę.

- Ale ona nie wraca do domu - powiedział St. Cerę stanowczo. - Zostaje ze mną.

Gdy dostrzegła udręczone spojrzenie na twarzy wicehrabiego, jej gniew zaczął pomału słabnąć.

- Lordzie St. Cerę... Adamie, oboje wiemy, że Gwen nie może tu zostać. Waring jest jej opiekunem, a nawet gdyby tak nie było, plotki zniszczyłyby jej życie.

- Nie będzie żadnych plotek. Nie, jeśli weźmiemy ślub.

Uniosła brwi ze zdumienia.

- Ślub?!

- To właśnie powiedziałem. - Uśmiechnął się sardonicznie. - Wiem, że nie jestem uznawany za najlepszą partię w Londynie, ale też nie za najgorszą.

Jessie spojrzała na niego z zaciekawieniem. Nigdy nie spodziewałaby się propozycji małżeństwa ze stro-

ny St. Cere'a. Może Matthew nie mylił się co do wicehrabiego.

- Adamie, Gwen za ciebie nie wyjdzie. Ani za nikogo innego. Ślubowała, że nigdy tego nie zrobi. A jeśli spróbujesz to na niej wymusić...

- Nie będę jej do niczego zmuszał. Tym razem ją poproszę. Jeśli chodzi o Gwen, tę lekcję mam już opanowaną. Padnę na kolana i będę ją błagał, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Ich uwagę zwróciło szuranie przy drzwiach. W progu stała Gwen owinięta w przydługi brązowy szlafrok wicehrabiego, który ciągnął się za nią po wypolerowanej posadzce.

- Jessica ma rację. Nie mam zamiaru cię poślubić - wyprostowała się dumnie, ale cały efekt zanikł w obszernych fałdach szlafroka. - Nie potrzebuję twojej litości - dodała. - Nigdy jej nie potrzebowałam. Nie mam też zamiaru zamieniać jednej brutalnej dominacji na drugą. - Jej usta wykrzywiły się, ale ten grymas na twarzy trudno było nazwać uśmiechem. - Jednakże bardzo dziękuję za dziś. To bardzo szlachetne z twojej strony, zważywszy na to, że gdybyś zrealizował swoje groźby, doszłoby dokładnie do tej samej sytuacji, z której mnie uratowałeś.

Wicehrabia ruszył w jej stronę. Na jego twarzy odbijały się tysiące różnych emocji jednocześnie. Stał obok niej i powoli ucałował jej dłoń.

- Gwendolyn, kochanie. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić... Nigdy. Po prostu cię pragnąłem. Nigdy nie poszedłbym do Waringa, ale chciałem, żebyś myślała, że to zrobię. Zrobiłbym wszystko, żeby cię mieć.

Gwen próbowała odwrócić wzrok, ale St. Cere delikatnie ujął ją pod brodę, zmuszając, by na niego patrzyła.

- Zrobiłbym wszystko, Gwen. Dopiero dziś dotarło do mnie dlaczego. Pragnąłem cię tak bardzo, ponieważ cię kocham.

Gwen podniosła wzrok i w nikłym blasku lampy dostrzegła na jego twarzy żal, zmieszany ze strachem i nadzieją.

- Przysięgałem, że już nigdy się nie ożenię - rzekł. - Życie z Elizabeth było dla mnie piekłem. Drwiłem z Matthew, mówiłem sobie, że zakładanie rodziny nie jest dla mnie, ale za każdym razem, gdy cię widziałem, wciąż powracała do mnie ta sama myśl: jak wyglądałoby moje życie z taką kobietą, jak Gwen?

Potrząsnęła jedynie głową.

- Dałbym ci szczęście, Gwen. Mogę ci ofiarować coś, czego inni mężczyźni nie będą w stanie.

Ponownie spojrzała mu w oczy.

- Cóż to takiego? - zapytała miękko.

- Wolność. Możliwość dogłębnego poznania świata. Mogę pokazać ci rzeczy, o których nawet nie śniłaś, zabrać cię w miejsca, których istnienia nie podejrzewałaś. Jeśli w tym celu będziesz musiała przebrać się za mężczyznę, nie ma to dla mnie znaczenia, jeżeli pozwolisz mi być obok i cię chronić. Będziesz mogła napisać swoją książkę, Gwen. Jaki inny mąż zgodziłby się na to wszystko?

Znów potrząsnęła głową, ale już z mniejszą stanowczością.

- W końcu bym ci się znudziła, Adamie. A nie mogłabym znieść myśli dzielenia się tobą z kimś innym.

Jego przystojną twarz rozświetlił uśmiech i złagodził nieco jego surowe rysy. Ukłąkł przed nią na kolano.

- Kocham cię, Gwen Lockhart. Nie chcę nikogo innego. Ani teraz, ani nigdy. Powiedz, że za mnie wyjdiesz. Proszę.

Spojrzała ponad głową Adama, szukając Jessie, która stała w cieniu kilka kroków od nich.

- Co mam zrobić, Jess? Kocham Adama, ale nie chcę więcej cierpieć. Boję się, Jess. Nigdy jeszcze się tak nie bałam.

Jessie spojrzała na przyjaciółkę z miłością. Chciała jej powiedzieć, że ona boi się codziennie, że nawet jeśli Matthew przeżyje nadchodzącą bitwę, istnieje duża szansa, że i tak go straci. Nie kocha jej. Nawet jej nie ufa.

- Życie jest pełne ryzyka - stwierdziła. - Jeśli kochasz Adama, powinnaś go poślubić. Przynajmniej ja bym tak zrobiła.

Gwen spojrzała ponownie na klęczącego przed nią mężczyznę. Zanurzyła drżącą dłoń w jego gęste włosy.

- Jesteś pewny, Adamie? Nie robisz tego z litości? Proszę, powiedz mi prawdę, dla dobra nas obojga.

Powstał i wziął ją delikatnie w ramiona, uważając na jej świeże rany.

- Szaleję za tobą, Gwen. Jestem w tobie opętanieczo zakochany. Za wszelką cenę próbowałem temu zaprzeczyć, ale nic dobrego z tego nie wyszło. Dziś, kiedy wszedłem do pokoju i zobaczyłem, co zrobił Waring, dostałem białej gorączki. Byłem zrozpaczony... bo cię kocham. Urocza, droga Gwendolyn, proszę, zostań moją żoną.

Ponownie rzuciła szybkie spojrzenie Jessie i uśmiechnęła się.

- Jeśli Jessica wytrzyma z takim potworem, jak Strickland, to ja mogę wytrzymać z takim hulaką, jak ty.

Adam odchylił głowę i roześmiał się wesoło. Był to szczery, głęboki, męski śmiech, w którym wyczuwało

się taką nadzieję i radość, że Jessie zakreśliły się łzy w oczach.

Nie powiedziała do nich więcej ani słowa. Wyknęła się dyskretnie z salonu, pozostawiając ich samych. Żadne z nich nie dostrzegło nawet jej wyjścia. Gwen przyjechała do niej następnego ranka i spędziła trzy kolejne dni w miejskiej posiadłości Belmore. Dzień później była już mężatką.

Choć Jessie cieszyła się ogromnie szczęściem przyjaciółki, nie mogła przestać myśleć o Matthew, tęsknić za nim, pragnąć jego obecności ani stłumić bolesnej świadomości, że może już nigdy nie powrócić do domu.

Rozdział 24



Czekanie wreszcie dobiegło końca. Matt uniósł lunetę i ustawił ostrość na linię okrętów francuskich, widocznych na horyzoncie. Wiatr nie ustawał, pozwalając statkom obu stron zająć odpowiednie pozycje. Znajdowali się niedaleko plaż Kadyksu, koło przylądka Trafalgar.

Dwa dni temu floty francuska i hiszpańska wypłynęły z podniesionymi żaglami z portu w Kadyksie. O świcie tego ranka flagi ostrzegawcze przekazały wiadomość: Wróg formuje szyki. Czas zająć ostateczne pozycje.

Matthew przemierzał nerwowym krokiem pokład rufowy, obserwując zbliżające się statki i modląc się w duchu, żeby plan Nelsona, oparty na szybkości, odwadze i zręcznej nawigacji, pozwolił na wygranie zbliżającej się bitwy.

Z tego, co mu było wiadomo, trzydzieści jeden okrętów Nelsona miało się zmierzyć z trzydziestoma trzema wrogimi hiszpańskimi i francuskimi. Istniały duże szanse na to, że Villeneuve obierze strategię obronną, używając kul łańcuchowych, żeby zniszczyć żagle i uniemożliwić pościg.

Ludzie Nelsona będą celować w kadłuby, żeby zniszczyć okręty i móc je przejąć. Zdobycie statku

oznaczało bowiem pieniądze. Za każde tysiąc funtów, które wędrowały do kapitana, każdy członek załogi otrzymywał dwa funty, co stanowiło więcej niż miesięczne wynagrodzenie przeciętnego marynarza.

Matt opuścił lunetę, stanął przy barierce i wpatrywał się w delikatnie kołyszące się morze. Miarowa bryza przesywała powietrze, pozostawiając im niewiele pracy przy ustawianiu żagli. Cichy brzęk olinowania mieszał się z szumem wody uderzającej o kadłub. Obserwowali wroga i ustawiali okręty na odpowiednie pozycje już od tygodni. Teraz jednak, gdy do starcia było już blisko, myśli Matta zaprzętało zupełnie co innego.

Myślał o Jessie, o tym, jak się rozstali i o tym, co powiedział jego przyjaciel Graham. Miłość nigdy nie przychodzi mężczyźnie łatwo, zwłaszcza takiemu jak on. Uczucie to często ściśle wiązało się z cierpieniem, wiedział o tym aż za dobrze.

Wiązało się też z ogromnym ryzykiem. Przypominał sobie, czego doświadczył, kiedy podejrzewał Jessie o zdradę. Czuł wtedy rozdzierający ból, jakby ktoś wyrwał mu serce z piersi. Graham miał rację. Matthew bał się kochać Jessie.

A jednak ją kochał.

Matt przysłonił oczy ręką, uniósł lunetę i spojrział przez obiektyw, dostrzegając trzy okręty: francuskie „Redoubtable” i „Bucentaure” oraz hiszpański „San Justo”. Po jednej i po drugiej stronie płynęły w jednej linii kilkanaście innych. Dla jego załogi musiał to być widok imponujący i zarazem budzący grozę.

Każdy z marynarzy zastanawiał się pewnie, czy pod koniec dnia pozostanie jeszcze wśród żywych.

Matt starał się odpędzić od siebie te nieprzyjemne myśli. Odwrócił się od linii okrętów i udał się do ste-

rowni, gdzie reszta oficerów oczekiwała w napięciu na to, co miało się stać. Pokłady już dawno oczyszczone i przygotowane do działania, proch i pociski leżały przy działach w ogromnych żelaznych beczkach z wypisanym kredą hasłem: „Zwycięstwo albo śmierć!”.

Choć zwykli marynarze rozebrali się do pasa i założyli na głowy chusty, by chronić uszy przed hukami armat, każdy oficer miał na sobie pełne umundurowanie: idealnie skrojone granatowe marynarki ze złotymi epoletami. Demonstrowało to wyższość Brytyjczyków i dodawało ludziom odwagi, a przynajmniej tak ich zawsze szkolono.

Zwyczaj ten nigdy nie przypadł Mattowi do gustu, gdyż czynił z oficerów łatwiejszy cel dla strzelców francuskich.

- Zbliżamy się, kapitanie. Już niedługo - rzekł młody porucznik Donnelly, szczerząc zęby w uśmiechu. Matt zastanawiał się, jak długo ten uśmiech jeszcze potrwa.

- Zmień trochę kurs na lewą burtę i tak trzymaj.

- Tak jest, kapitanie.

Statek uniósł się na fali, a z daleka doszły ich dźwięki muzyki, rozbrzmiewającej na pokładzie „Victory”.

Wtedy wystrzelił francuski okręt „Fougueux” i przeraźliwy huk przyćmił wszelkie inne odgłosy. Bitwa wreszcie się rozpoczęła.

- Wypuścić pierwszą serię - rozkazał Matt. - Ukryjemy się w chmurze dymu.

Nadszedł sygnał wciągnięcia flagi brytyjskiej. „Norwich” pruć naprzód, wprost na wroga. Pierwsza salwa Francuzów uderzyła w marynarzy na górnym pokładzie, zabijając dwóch mężczyzn i ciężko raniąc kilkunastu innych.

Sto metrów od wroga „Norwich” rozpoczął pierwszą salwę burtową i pokład zatrzęsł się Matto-

wi pod stopami. Kula armatnia uderzyła w kadłub „Bucentaure'a” powyżej powierzchni wody i w tym samym momencie w powietrzu rozległ się złowrogi świst kartacza.

- Padnij! - wrzasnął Matt do młodego porucznika, który wpatrywał się z przerażeniem w wijących się z bólu rannych. Strużki krwi przyciemniły deski pod ich stopami i kapały na niższy pokład. Chwilę później rozerwało na strzępy młodego kadeta, niecałe dwa metry od miejsca, w którym Graham Paxton klęczał przy rannym marynarzu.

Powietrze przecinała seria za serią. Padały kolejne żagle, kule niszczyły olinowanie i pręty białe płótna, które lądowały w wodzie. Następny pocisk wyrwał dziurę w bramząglu, a sam huk strzału odrzucił na bok mniejsze maszty.

Na odległości trzystu metrów „Norwich” odpalił pięćdziesiąt dział na lewej burcie, a potem dwadzieścia pięć następnych. Kolejna kula przeleciała nad pokładem i powaliła na ziemię sześciu marynarzy, łamiąc im ręce i nogi. Cała flota walczyła z zacięciem na pełnym morzu, okrywając ocean mgłą dymu i zanieczyszczając wodę roztrzaskanym drewnem i strzępami żagli. W powietrzu unosiły się gęste czarne tumany, które nie przepuszczały nawet jednego promienia słońca. Gryzący zapach prochu palił Mattowi nozdrza. Jego brudna skóra lśniła od potu.

Walka ciągnęła się już cały dzień, poważnie uszkodzony „Norwich” znajdował się pod ostrzałem trzech okrętów jednocześnie. Kilkunastu marynarzy pracowało bez wytchnienia przy oczyszczaniu pokładów, żeby można było kontynuować strzelanie. Mundur Matta był podarty i usmolony prochem, a na jego białych bryczesach widniały plamy krwi.

- Przygotować się do ataku! - wrzasnął Matt, gdy „Norwich” zetknął się z hiszpańskim okrętem „San Justo”. Matt usłyszał głośny trzask pękającego drewna i zgrzyt metalu, gdy statki otarły się o siebie. Na tak bliskim dystansie wstrząsy i ogłuszający huk dział bębnił mu w głowie, dzwoniło mu w uszach. Zagrzmiały armaty. Oszołomieni ludzie zataczali się i krzyczeli z bólu. Marynarze wyrzucali zwłoki za burtę, żeby zrobić miejsce dla rannych.

- Położyć bosaki! - rozkazał Matt i już kilka chwil później grupa brytyjskich marynarzy wdierała się na oślep na pokład wyniszczonego „San Justo”, walcząc wręcz z silnymi Hiszpanami, którzy z kolei wlewali się na „Norwich”.

Na przedzie uzbrojony w sztylet Matt ciął i rąbał, przedzierając się na pokład wroga. Ręce kleiły mu się od krwi, a szczeka zacisnęła się z determinacją. Pragnął przejąć hiszpański statek, a jeszcze bardziej pragnął przeżyć grad kartaczy, ostrzał z muszkietów, ogłuszające wybuchy oraz uniknąć śmiertelnych cięć szabli i mieczy.

Chciał wrócić do domu do Jessie.

Zablokował napierające ostrze i przed oczami stała mu jej twarz. W godzinie rozlewu krwi i bezlitosnego zniszczenia prawda o jego uczuciach stała się aż nazbyt jasna. Kochał Jessie Fox - kochał ją nad życie.

Nad balustradą pojawił się marynarz. Nad głową trzymał zakrwawione ostrze. Opuścił je z impetem na dół, wprost na głowę Matta. Matthew odchylił się, zablokował cios i poczuł przeszywający ból, gdy sztylet zanurzył się w jego ramieniu. Pchnął z całej siły własne ostrze i marynarz wrzasnął bólu. Jego broń uderzyła o pokład i potoczyła się wprost do kałuży krwi.

Przed Mattem pojawił się nagle kolejny Hiszpan. Matt wystrzelił z pistoletu i przeciwnik opadł bez-

władnie na pokład, jednak już po chwili wyłoniło się kolejnych dwóch marynarzy. Ostrze Matta odcięło dłoń trzymającą pistolet o długiej lufie. Uderzywszy o pokład, broń wystrzeliła z hukiem. Drugi mężczyzna, wykorzystując cenny moment, w którym uwaga przeciwnika skupiona była na jego towarzyszu, nacisnął spust. Matt poczuł, jak rozdzierający ból przeżywa jego ciało.

Zatoczył się do tyłu i chwycił kurczowo za balustradę. Walcząc z wirującymi ciemnymi plamami, które zasłaniały mu pole widzenia, uniósł ostrze, by zablokować ostateczny cios Hiszpana, dzielnie walcząc o życie, choć jego szanse malały z każdą chwilą.

Ostrze jego sztyletu zabłysło po raz ostatni i zanurzyło się w ciele wroga. Opadł bezwładnie na barierkę i pomyślał o Jessie, żałując, że nie zdążył wyznać jej, co do niej czuje.

Ciemność przysłoniła mu oczy. Nie dostrzegał już toczącej się wokół niego walki, krwi i cierpienia. Jego umysł wypełniały obrazy Jessie: Jessie śmiejącej się z czegoś, co powiedział, galopującej na złamanie karku, by pomóc odebrać poród, ryzykującej dla niego życie w pożarze. Myślał o jej odwadze, duchu walki, lojalności wobec przyjaciół. O tym, jak wyglądała, kiedy wyznała mu miłość.

- Jessie... - wyszeptał, próbując zwalczyć pochłaniającą go ciemność, smutek i potok łez. *Jessie...* Gdyby tylko mógł cofnąć czas. Gdyby tylko... Pomyślał o niej po raz ostatni, a potem huk dział zaczął się pomału rozmywać, aż w końcu zanikł zupełnie.

* * *

Jessie siedziała przy stole obok Sary, naprzeciwko papy Reggiego. Zimny wiatr kołysał gałęzie za oknem,

a niebo przysłoniły szare chmury. Na blacie przed nimi leżał rozłożony „London Times”. „Bitwa pod Trafalgarem”, „Przejęcie francuskich i hiszpańskich okrętów”, „Śmierć Nelsona” - podawały nagłówki. Był siódmy listopada. Wreszcie dotarły do nich pierwsze wiadomości o bitwie.

- Ile jeszcze? - spytała Jessie dziwnie piskliwym głosem. Zamilkła i po chwili zaczęła znowu: - Ile minie jeszcze czasu, zanim dostaniemy jakieś wieści o Matthew?

Papa Reggie pochylił się na krzesło. Na jego twarzy malowała się troska i niepokój.

- Myślę, że niewiele. Pierwszy posłaniec już przybył. Inni zjawiają się lada dzień. - Uśmiechnął się do niej pocieszająco. - Musimy być dobrej myśli. Piszą tu, że straty po naszej stronie nie przewyższają dziesięciu procent. Istnieją więc duże szanse, że Mattowi nic nie jest.

- Oczywiście, że nic mu nie jest - odparła Jessie. Przełknęła głośno ślinę i odwróciła wzrok. - Wiedziałabym, gdyby było inaczej. Czuję to tutaj - rzekła i położyła rękę na piersi.

- Bez wątpienia - powiedział markiz pewnie. Jednak napięcie nie opuszczało jego twarzy.

Na wiadomości musieli czekać jeszcze trzy dni. Jessie właśnie czytała Sarze w salonie, gdy w drzwiach stanął Ozzie.

- Przybył posłaniec, łaskawa pani. Z Marynarki Królewskiej.

Jessie zbladła jak ściana.

- Już... już idę.

- Chodzi o tatę? - zapytała Sara. - Tata wraca do domu?

- Nie, kochanie, jeszcze nie. - Jessie pocałowała małą w główkę i pospiesznie opuściła komnatę. W holu zastała potężnego sierżanta, trzymającego

zapieczętowaną wiadomość. Markiz zjawił się w momencie, gdy brała list z jego dłoni.

Jessie nagle zaschło w ustach. Zwilżyła wargi. Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że nie była w stanie rozłożyć papieru. Papa Reggie położył jej dłoń na ramieniu, wysunął delikatnie pismo spod palców, zerwał ostrożnie pieczęć i zaczął czytać.

- To od admirała Dunhavena.

- Dobry Boże... - Jessie poczuła pieczenie pod powiekami.

Minęły długie sekundy. W końcu papa Reggie uśmiechnął się.

- Został ranny. Admirał pisze, że jest na dobrej drodze do całkowitego wyzdrowienia.

Jessie czuła, jak uginają się pod nią kolana.

- Żyje... Dzięki Bogu!

- Pisze, że wróci bezpośrednio do Londynu pod koniec miesiąca, razem z admirałem Dunhavenem. Do miasta zjedzie się wielu oficerów na uroczyste świętowanie zwycięstwa i pogrzeb admirała Nelsona. Dunhaven uważa, że do tego czasu Matthew całkowicie wydobrzeje.

Jessie wykonała taniec radości, całkowicie niestosowny dla damy, i narobiła przy tym tyle hałasu, że w drzwiach salonu zjawiła się Sara. Na jej twarzy malowała się niepewność i zdziwienie. Jessie uśmiechnęła się do niej.

- Wszystko w porządku, kochanie. W liście jest napisane, że tata wraca do domu.

Zaniepokojenie na twarzy dziewczynki natychmiast ustąpiło miejsca szerokiemu uśmiechowi. Teraz zwracała się do Jessie per „mama”, a markiza nazywała „dziadziem”.

Jessie podeszła do złotowłosej małej, wzięła ją na ręce i oparła ją sobie na biodrze.

- Miałam nadzieję, że będziemy mogli wrócić do domu, skoro wiemy, że Matt jest już bezpieczny, ale jeśli wraca od razu do Londynu...

- Pozostaniemy w mieście - dokończył markiz. Uśmiechnął się i Jessie mogłaby przysiąc, że w tej jednej chwili odmłodził o dziesięć lat. - To wcale nie tak dużo czasu, a może teraz wreszcie będziemy mogli naprawdę dobrze się bawić. Gdy tylko przyjedzie Matthew, wrócimy razem do domu.

- Tak... - odparła Jessie. - Razem.

Teraz będzie żoną, o jakiej zawsze marzył. *Teraz sprawię, że mnie pokocha.* Po raz pierwszy poczuła, że mają szansę na szczęśliwą przyszłość, że wszystko najgorsze już za nimi i mogą zacząć życie od początku. Promienny uśmiech rozświetlił jej twarz.

* * *

Nadchodziła burza. Ulice Londynu były prawie puste, jedynie z rzadka przetoczył się po nich jakiś powóz, żebracy pochowali się w pustych bramach i nawet złodzieje i kieszonkowcy szukali schronienia przed zimnem i nadciągającym deszczem.

Nie zważając na mroźny wiatr, lady Caroline Winston wysiadła z błyszczącego, czarnego faetonu, który zatrzymał się przy Bow Street. Owinęła się dokładniej obszytą futerką pelisą i skierowała się do dwupiętrowego budynku, siedziby Willysa G. McMullena.

- Dzień dobry, łaskawa pani.

- Dzień dobry, panie McMullen.

W biurze panował dziś nieco mniejszy bałagan, niż ostatnim razem. Caroline usiadła na prostym, drewnianym krześle po przeciwległej stronie biurka.

- W zeszłym tygodniu dostałam od pana wiadomość. Nie sądziłam, że będę w mieście, ale ojciec ma

znajomych w Marynarce Królewskiej. Przyjechaliśmy na świętowanie zwycięstwa, no i, oczywiście, na pogrzeb admirała Nelsona.

- Oczywiście - rzekł krępy mężczyzna, segregując papiery na stole. Po chwili wyciągnął ze sterty jakiś papier cały poplamiony kawą i wręczył go Caroline. - Myślę, że znajdzie tu pani informacje, których pani szukała.

Przez dłuższą chwilę po prostu czytała. Z każdą sekundą jej oczy coraz bardziej rozszerzały się ze zdziwienia, z każdym słowem jej serce przyspieszało rytm.

- Wielkie nieba...

- Dokładnie, łaskawa pani.

- Dobry Boże, przecież to skandal. Ta kobieta niczym nie różni się od zwykłej ładacznicy. - Uniosła głowę. - Mój biedny, drogi Matthew. Musiała go jakoś oszukać.

- Ci z Buckler's Haven... powiedzieli, że z Jessie Fox zawsze była sprytna bestia. Bystra i pyskata. W sztuce wykradania portfeli nie miała sobie równych.

- Wielkie nieba, to ta dziewczyna jest też złodziejką?

- *Była*, łaskawa pani. Jeśli przeczyta pani do końca, zobaczy pani, że poszła do tej renomowanej Akademii pani Seymour, tak jak twierdziła. Była tam jedną z najlepszych uczennic.

Caroline zmarszczyła czoło.

- Złodziej już na zawsze pozostanie złodziejem, panie McMullen. Ludzie rzadko się zmieniają.

- Niektórzy tak - powiedział miękko.

- Tak... Cóż... Nie ma to większego znaczenia. Wykonał pan swoją pracę. Mam informacje, których potrzebowałam i wkrótce hrabina Strickland otrzyma to, na co zasłużyła

McMullen nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko w dokument, który tak kurczowo przyciskała do piersi.

- Dziękuję, panie McMullen. Pieniądze otrzyma pan jutro z samego rana.

Skinął głową w milczeniu.

- Z wielką przyjemnością polecę pana każdemu, kto potrzebuje tego typu usług.

Jednak w tym momencie, na myśl o tej uroczej młodej damie, którą stała się biedna Jessie Fox i o tym, jak Caroline Winston chciała wykorzystać zebrane przez niego informacje, zastanawiał się, czy w ogóle chce jeszcze kontynuować swoją działalność.

* * *

Matthew przemierzał nerwowo pokład szkunera, płynącego ku odległemu londyńskiemu portowi. Planowali przybić tam już wczoraj rano, jednak wzburzone morze i niesprzyjające wiatry wydłużyły ich podróż o całe dwa dni.

Zaraz po powrocie Matthew, wraz z czterema innymi oficerami powracającymi z Trafalgaru, udadzą się bezpośrednio na bal zwycięstwa w Panteonie na Oxford Street.

Matthew, odziany w mundur ze złotymi epoletami i wypolerowanymi mosiężnymi guzikami, starał się zwalczyć niecierpliwość i pozwolił sobie na uśmiech. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, już za dwie godziny spotka się z Jessie.

- Jessie - wypowiedział na głos, żeby usłyszeć dźwięk jej imienia. Potem zmówił cichą modlitwę, dziękując Bogu za pozostawienie go przy życiu.

Nie sądził, że przeżyje. Nie w tych ostatnich chwilach, kiedy Hiszpanie wdarli się na okręt, a w jego ramieniu utkwiała ołowiana kula i pozostał zdany na łaskę wroga. Jednak załoga „Norwich” się zmobilizowała. Stanęli w jego obronie, odparli Hiszpanów, przeję-

li „San Justo”, i wraz z resztą floty Nelsona pokonali Francuzów w wielkim stylu.

Wielu ludzi przeżyło bitwę tylko po to, żeby następnego dnia zatonać podczas strasznego sztormu. Przez sześć wyczerpujących dni walki z wiatrem i deszczem, zniszczony bitwą „Norwich” wciąż parł do przodu, niosąc tych, którzy stanęli w jego obronie.

A teraz jeden z nich wracał do domu.

Ignorując ból w ramieniu, Matt ponownie zaczął chodzić nerwowo w tę i z powrotem. Jego niecierpliwość rosła z każdym dniem, odkąd wypłynęli z Gibraltaru. Rozpaczliwie pragnął zobaczyć Jessie, powiedzieć jej o wszystkim, co sobie uzmysłowił. Wyznać jej, że ją kocha.

Od zakończenia bitwy miał mnóstwo czasu na rozmyślanie. Właściwa kobieta, jak powiedział Graham, to skarb, a nie ciężar. To partnerka życiowa, z którą można dzielić wszystkie problemy. Jak załoga statku, pracują zespołowo, wspierają się nawzajem w potrzebie. Wyobraził sobie życie z Caroline i zrozumiał, że taka kobieta byłaby jedynie obciążeniem. Polegałaby na nim we wszystkim, ale on nie mógłby polegać na niej.

Matt przyglądał się migocącym w oddali światłom miasta, pomyślał o Jessie i jego twarz rozpromienił uśmiech. Nie mógł się doczekać spotkania z żoną. Wynagrodzi jej wszystkie krzywdy, uczyni ją najszczęśliwszą kobietą na świecie. Jak obiecał, teraz zostanie już w domu na dobre.

Rozdział 25



Jessie pochyliła się nad łóżkiem i delikatnie poprawiała poduszki, o które wsparta była siwa głowa markiza.

- Jesteś pewny, że nic ci nie będzie?

- Piekielna gorączka - warknął. - Dlaczego to cholerstwo zawsze dopada człowieka w najmniej odpowiednim momencie?

Burknął pod nosem kilka niecenzuralnych słów i podniósł wzrok.

- Oczywiście, że nic mi nie będzie. Idź spokojnie na przyjęcie. Prawdopodobnie twój dawno niewidziany mąż zjawi się, zanim wieczór dobiegnie końca. Ja spotkam się z Matthew nad ranem.

Jessie rzuciła szybkie spojrzenie Lemuelowi, wiekowemu pokojowemu papy Reggiego, który stał wyprostowany przy drzwiach.

- Zadbam o niego, jasnie pani. Obiecuję, że nic mu nie będzie do pani powrotu.

Słowa te przyniosły jej lekką ulgę.

- Dziękuję ci, Lemuelu.

Markiz nie czuł się najlepiej, nie mógł więc uczestniczyć w triumfalnym powrocie syna, ale gorączka już ustępowała i jego stan nie był zbyt poważny.

Jessie uśmiechnęła się.

- No dobrze. A więc pójdę. Adam i Gwen powinni tu być lada moment. - Pochyliła się i pocałowała markiza w policzek. - Och, papo Reggie, nie mogę się już doczekać, żeby go zobaczyć. Czy na pewno dobrze wyglądam? - Zerknęła w dół, na suknię z ciemnoniebieskiego aksamitu, zdobioną brylancikami.

Starzec uśmiechnął się pod nosem.

- Kochanie, wyglądasz idealnie. Jeśli Matthew jeszcze całkowicie nie doszedł do siebie, na twój widok z pewnością od razu ozdrowieje.

Uśmiechnęła się, wysłała mu całusa na odległość i opuściła pomieszczenie w radosnym podnieceniu. Gwen i Adam już czekali na nią w salonie. Powstali, gdy weszła.

- Mam nadzieję, że markiz czuje się lepiej - rzekł Adam.

- Gorączka spada. Myślę, że powrót Matthew podziała jak lekarstwo.

- Pewnie już nie możesz się doczekać - rzekła Gwen radośnie. - Teraz, kiedy mam Adama, rozumiem jak bardzo musiałaś się zamartwiać. - Rzuciła ciepłe spojrzenie mężowi, którego ciemne oblicze natychmiast rozpromieniło szczęście. Po chwili byli już przy drzwiach frontowych i Adam zarzucił Jessie na ramiona ciepłą pelerynę, równie granatową jak jej suknia.

Wsiadli do powozu wicehrabiego i Gwen zajęła miejsce obok niej.

- Nie zdążyłam ci jeszcze podziękować - rzekła. - Gdybyś nie przyjechała tamtej nocy... Gdybyś nie pojechała do Adama, możliwe, że nigdy nie byłibyśmy razem.

Ciemnowłosy wicehrabia zasiadł naprzeciwko nich. Za każdym razem, gdy jego wzrok spoczął

na żonie, jego rysy dziwnie łagodniały. Na pierwszy rzut oka widać było, że są szalenie szczęśliwi. Oboje wyglądali na bardzo zakochanych.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa, Gwen. Nikt nie zasługuje na to bardziej niż ty. - Jessie uśmiechnęła się, ale widok tej pary wzmacniał jeszcze jej tęsknotę za Matthew.

Dotarli na bal do Panteonu przy Oxford Street, jednego z najbardziej imponujących budynków Londynu. Przy ogromnych drzwiach frontowych stał rząd powozów, z których wysypywali się goście. Pojazd wicehrabiego ustawił się w kolejce. Kilka minut później przyszła kolej na nich i lokaj w liberii pomógł im opuścić powóz. Do środka prowadził długi, czerwony dywan, bogato zdobiony brytyjską czerwienią, granatem i bielą.

Przy wejściu gości witali admirał Dunhaven z admirałem Collingwoodem, zastępcą Nelsona, oraz premier, William Pitt Młodszy. Wśród obecnych znajdowało się też kilku generałów brytyjskich oraz lord Chamberlain, książę Yorku.

- Lady Strickland - rzekł Dunhaven. - Miło panią widzieć. Przykro mi, że mąż pani jeszcze do nas nie dołączył, ale otrzymaliśmy wiadomość, że jest już w drodze. Jestem pewien, że wkrótce się zjawi.

- Mam nadzieję, admirale. Już nie mogę się go doczekać.

Jego surową twarz rozświetlił uśmiech.

- A ja jestem pewny, droga pani, że pani mąż niecierpliwie się równie mocno.

W duchu miała nadzieję, że admirał ma rację, że Matthew tęsknił za nią choć w połowie tak mocno, jak ona za nim. Panteon był wypełniony po brzegi. Pokryte freskami ściany i kolumny greckie przyćmiły piękne, bogate stroje gości. Było to dziwne spotka-

nie. Wszyscy chcieli uczcić fakt, że zagrożenie ze strony Francuzów wreszcie ustało. Z drugiej jednak strony większość zebranych odziana była w dość posępne kolory na znak żałoby i szacunku dla ukochanego bohatera, lorda Nelsona.

Jessie weszła do głównego salonu, oświetlonego ogromnymi żyrandolami. Sufity pokrywały malowidła przedstawiające świątynie greckie, a korynckie kolumny wzdłuż ścian ozdobiono ciężkimi, adamaszkowymi draperiami. Dziewczynie wychowanej w ubóstwie trudno było nie być pod wrażeniem tego przepychu.

Jessie uśmiechnęła się. W ciągu ostatnich kilku lat jej życie zmieniło się diametralnie. Kto by pomyślał, że biedna złodziejka z Buckler's Haven będzie kiedyś gościem w takim pałacu? Przyglądała się podłogom z afrykańskiego marmuru i kryształowym żyrandolom i nawet nie zauważyła, że odłączyła od Adama i Gwen i stojąc na środku sali, zaczęła skupiać na sobie uwagę wszystkich obecnych.

Zeszła na bok, ale oczy tłumu zdawały się za nią podążać. Z początku pomyślała, że to tylko jej przywidzenia, ale wkrótce zdała sobie sprawę, że wszystko dzieje się naprawdę. Może chodziło o to, że nikt jej nie towarzyszył, albo że jej mąż jest w pewnym sensie bohaterem. Jednak dziwny szmer wśród zebranych wciąż narastał i Jessie poczuła, że chodzi tu o coś innego.

Przez jej ciało przeszła fala niepokoju. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiejś znajomej twarzy. Dostrzegła kilka pań, znajomych lady Bainbridge, ale żadnej tak naprawdę nie znała. Stojąca obok niej kobieta szepnęła coś do swojej sąsiadki, która zrobiła wielkie oczy i odwróciła wzrok. Inna cofnęła się o kilka kroków, jakby coś obrzydliwego stanęło nagle na jej drodze.

Serce waliło w piersi Jessie jak oszalałe, spocły się jej dłonie. Dobry Boże, co się dzieje? Rozejrzała się za Gwen, ale nie dostrzegła ani jej, ani Adama. Ktoś zachichotał i wskazał palcem w jej kierunku. Podstarzały dandys wywrócił oczami, powiedział coś do nadętego, siwowłosego handlarza i obaj zaczęli się śmiać. Zdawało się jej, że tłum coraz bardziej się od niej odsuwa, tworząc coś w rodzaju półkola, i że znów znajduje się w centrum uwagi.

Ogarnęła ją panika. Walczyła z nieodpartą chęcią ucieczki. Starła się ją zignorować i spokojnie udać się do drzwi prowadzących do kolejnego salonu. Trzymała głowę w górze, ale nogi jej drżały i z każdym krokiem miała wrażenie, że ludzie schodzą jej z drogi.

Coś było nie w porządku. Bardzo nie w porządku.

Wielkie nieba, co się stało?

- Jest - wyszeptwała pulchna matrona, pokazując na nią palcem. - To ona.

- Chyba nie mówi pani o hrabinie Strickland?

Matrona tylko burknęła.

- Jaka tam z niej hrabina. Toż to złodziejka i oszustka. Jej matka była ladacznicą. Zwykłą brudną dziwką.

Jessie zakreśliło się w głowie. *Och, dobry Boże!* Pewnie by upadła, gdyby nie podtrzymało jej mocne, męskie ramię, które pojawiło się nagle u jej boku.

- Spokojnie - usłyszała niski męski głos. - Proszę trzymać się mnie. - Adrian Kingsland, lord Wolvermont, ubrany w czerwony mundur kawalerii, pojawił się jak rycerz w lśniącej zbroi. Nigdy nie był przystojniejszy... i milej widziany.

- Lady Strickland - rzekł spokojnie. - Przyjaciele pani szukają... lord i lady St. Cere. Dołączymy do nich?

Jessie zaschło w ustach tak bardzo, że z trudem zdołała wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk.

- Tak... - wyszeptwała. Uginały się pod nią kolana, cała krew odpłynęła jej z twarzy.

Dotknęła ramienia Wolvermonta i poczuła, jakby przekazywał jej część swojej energii. Tuż przed wyjściem kątem oka dostrzegła Caroline Winston, w białej sukni, oświetloną jasnym blaskiem zyrandola.

Jej twarz zdobił bezlitosny, triumfalny uśmiech i Jessie zrobiło się słabo. Jedyne, co mogła zrobić, to iść dalej.

- Spokojnie - rzekł Wolvermont, również dostrzegając Caroline. Wiedział, kim jest i domyślał się, tak samo jak Jessie, co się stało.

- Nie widzę... Nie widzę moich przyjaciół. Mówił pan, że mnie szukają.

- Z pewnością by tak było, gdyby zdawali sobie sprawę, że potrzebuje pani ich pomocy. Niestety, znalezienie ich w tym tłoku może zająć sporo czasu.

Ujęła mocniej jego ramię.

- Nie... proszę. Chciałabym udać się do domu. Czy bardzo nadwerzężyłabym pana uprzejmość, gdybym poprosiła, żeby mnie pan odwiózł?

- Ależ skąd. To żaden kłopot. Potrzebuję tylko chwili, żeby sprowadzić tu mój powóz. - Chciał ją zostawić, ale dostrzegł przerażenie na jej twarzy i czuł, że cała drży. - A może lepiej będzie, jeśli uda się pani ze mną.

Kilka minut później siedziała już w powozie Wolvermonta i siłą woli próbowała powstrzymać łzy. Bezskutecznie. Po chwili po policzkach zaczęły spływać jej słone strużki.

- Lady Strickland... - Głęboki głos barona rozległ się w ciemności. - Wkrótce pani mąż będzie w domu. Matthew wszystko wyprostuje. Wszystko będzie dobrze.

Jessie uniosła gwałtownie głowę.

- Dobry Boże... Matthew! - Złapała barona za mocno umięśnione ramię. - Musi pan wrócić i go ostrzec. Nie może pan pozwolić, żeby tam wszedł. Proszę... niech mi pan obieca, że zaczeka pan na niego i powstrzyma go przed wejściem do środka.

- I cóż mam mu powiedzieć, droga pani?

- Proszę mu powiedzieć, że znają prawdę. Że wiedzą o mojej matce... - Spojrzała na niego spod długich, wilgotnych rzęs. - Proszę mu powiedzieć, jak bardzo mi przykro.

- Lady Strickland... Jessico... Proszę nie płakać. Tacy ludzie nie są warci pani łez.

Jednak nie mogła się powstrzymać. Wszystko, na co pracowała, o czym marzyła, legło w gruzach w tej jednej chwili. Nie odezwała się ani słowem, gdy powóz podjechał pod jej dom, ani gdy baron odprowadził ją pod drzwi i czekał, aż zniknie w środku.

- Proszę... wasza lordowska mość. Niech pan nie da im go skrzywdzić - rzekła w końcu.

- Pani mąż to silny człowiek, lady Strickland. Może pani liczyć na jego wsparcie.

Jessie nie odpowiedziała. Mogła polegać na Matthew. Nigdy w to nie wątpiła. Jest jego żoną. Honor wymagał od niego, by stał po jej stronie, bez względu na wiążące się z tym konsekwencje. Dobrze imię Belmore zostało zszargane. Papa Reggie jest skończony. A wszystko dlatego, że próbowała udawać kogoś, kim nie jest.

Rozdzierający ból przeszył jej serce. I poczucie winy. I żal. Podstępem zwabiła Matthew do tego małżeństwa, zrujnowała jego plany na przyszłość z Caroline Winston.

Nie ma zamiaru więcej go krzywdzić.

Wciąż na drżących nogach w milczeniu weszła do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Wycią-

gnęła spod łóżka walizkę i zaczęła wkładać do niej najpotrzebniejsze ubrania.

Miała zamiar zabrać ze sobą małą Sarę - kolejny ciężar, który spoczął przez nią na barkach Matta i papy Reggiego, i zniknąć z ich życia na dobre. Matthew będzie mógł powiedzieć, że nic nie wiedział o jej przeszłości, i że zostali wystrychnięci na dudka, podobnie jak cała reszta. Papa Reggie był dobry w tego typu rzeczach.

Pomyślała o ukochanym staruszku, jedynym ojcu, jakiego kiedykolwiek miała, i żal ścisnął jej gardło. Tak bardzo będzie za nim tęskniła. Nikt nigdy nie był dla niej tak dobry, jak on. Przynajmniej nie będzie skończony w towarzystwie. Gdy zniknie z ich życia, Matthew będzie mógł anulować małżeństwo i z czasem śmietanka towarzyska znów otworzy przed nimi swoje salony.

Serce jej krwawiło. Drżącymi rękami spakowała walizkę dla Sary, uważając, żeby nie obudzić Vi. Jednak gdy podeszła do łóżka dziewczynki i pochyliła się, żeby ją podnieść, Viola się poruszyła.

Zamrugnęła zaspana i rozejrzała się dookoła, jakby nie była do końca pewna gdzie się znajduje. Milczała przez chwilę, siedząc tylko i wpatrując się w ciemność. Wtedy dostrzegła torbę przy łóżku małej Sary, która wciąż jeszcze leżała pogrążona we śnie.

- A więc nadszedł czas? Obawiałam się, że prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw.

Jessie przełknęła łzy i przytaknęła.

- Też powinnam była to przewidzieć. W głębi serca wiedziałam, że tak będzie. Tylko po prostu nie chciałam w to wierzyć.

Viola westchnęła ciężko.

- Biedna mała rybka. Chciałabym, żeby wszystko wyglądało inaczej, ale życie rzadko układa się po naszej myśli.

- Muszę odejść, Vi. Już dość krzywdy wyrządziłam tej rodzinie.

Vi podniosła ogromne ciało z łóżka.

- Czy myślałaś, że pozwolę ci odejść samej z maleńką?

Chrząknęła głośno i zaczęła naciągać na siebie ubranie.

- Nie musisz iść ze mną, Vi. Markiz się tobą zaopiekuje. W Belmore zawsze będzie dla ciebie miejsce.

- Moje miejsce jest przy tobie. Kocham cię jak własną córkę. No i mała Sara mnie potrzebuje.

- Och, Vi... - Jessie wpadła jej w objęcia. - Kocham cię. Jeśli chcesz pójść ze mną, będzie to dla mnie prawdziwy zaszczyt.

- Wiesz już, dokąd się udasz?

Jessie podniosła śpiącą Sarę.

- Chyba tam, dokąd płynie pierwszy statek wypływający z Londynu. Zaoszczędziłam trochę pieniędzy, na bilety powinno wystarczyć. Pójdziemy do portu i zobaczymy. - Położyła sobie dziewczynkę na ramieniu i usłyszała jak marudzi, budząc się ze snu.

- Przygotuję małą - rzekła Vi. - A ty zrób, co masz jeszcze do zrobienia.

Jessie skinęła głową, rzuciła Vi ostatnie spojrzenie i udała się do sypialni męża. Zatrzymała się przed drzwiami. Dziś spaliby tu razem. Kochaliby się namiętnie, a potem zasnęli w swoich ramionach. Kochała Matthew Seatona praktycznie od zawsze. Od lat marzyła, żeby zostać jego żoną.

Zawsze miała marzenia. Zawsze. Pomogły jej przetrwać głód, nędzę i samotność.

Teraz jednak już ich nie miała. Odkryła, że wszystkim to tylko piękne złudzenie.

Drżącą ręką nacisnęła klamkę, weszła do środka i zatrzymała się przy komodzie. Bezwiednie zaczęła

gładzić dłonią jego rzeczy: srebrny grzebień, mały tomik poezji w skórzanej oprawie, obramowany kością słoniową maleńki portret matki. Wzięła uspokajający oddech i poczuła unoszącą się w powietrzu delikatną woń jego wody kolońskiej i męski zapach skóry.

Ścisnęło ją w gardle. Próbowwała przywołać w pamięci jego twarz, a potem pomyślała, jak puste byłoby jej życie bez niego. Czuła otchłań i rozpacz, jak mały ptaszek, który wypadł z gniazda.

Z trudem podeszła do połyskującego biurka w rogu komnaty, wyciągnęła z szuflady kartkę papieru, podniosła pióro i drżącą dłonią zanurzyła je w kałamarnicę.

Najdroższy Matthew, zaczęła, ignorując ciche łzy spływające jej po policzkach.

* * *

Matthew wraz z Eustace'em Brandfordem, innym kapitanem spod Trafalgaru wysiedli z powozu, który wynajęli w porcie od razu po przybyściu. Tuż po nich przyjechali kolejni oficerowie, każdy chętny do uczestnictwa w uroczystych obchodach zwycięstwa.

Matthew nie mógł uwierzyć, że nareszcie ujrzy swoją ukochaną Jessie. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Uśmiechnął się pod nosem na myśl, że kobieta może tak wpływać na mężczyznę, zwłaszcza taka mała łobuzica, która zawsze starała się mu dopiec za wszelką cenę.

Jednak ta mała skradła mu serce, a gdy to sobie uświadomił, zrozumiał, że jest chyba najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Już miał wchodzić do Panteonu, kiedy z cienia wyłonił się postawny mężczyzna.

- Matthew? - rzekł Adrian Kingsland. - Obawiam się, że musimy porozmawiać.

Matt spojrział tęsknie w stronę wejścia.

- Proszę iść, kapitanie Bradford - zwrócił się do towarzysza. - Ja zaraz do pana dołączę. - Odwrócił się od poważnego oficera i spojrzął na Wolvermonta. Niepokój widoczny na twarzy przyjaciela zaczął mu się udzielać. - Co się stało, Adrianie?

Mięsień na policzku Wolvermonta drgnął ledwo dostrzegalnie.

- Obawiam się, że pojawił się pewien problem.

Matt poczuł, jak zalewa go strach.

- Chyba nie chodzi o lady Strickland? Coś stało się Jessie?

- Wszystko z nią w porządku, Matthew. Nie została ranna, ani nic takiego... ale...

- Gdzie ona jest? - Rzucił okiem na budynek, odwrócił się i zaczął iść w stronę wejścia, ale Wolvermont stanął mu na drodze.

- Twoja żona pojechała do domu. Zawiozłem ją tam osobiście. Poprosiła mnie, żebym wrócił i na ciebie poczekał. Chciała, żebym cię ostrzegł, żebym ci powiedział, że prawda o niej wyszła na jaw.

- Prawda? Jaka prawda? - Niczego nie rozumiał, nie był w stanie trzeźwo myśleć, niepokój przytępił mu zmysły.

- Kiedy wróciłem, trochę się rozeznałem. Najwyraźniej wiedzą o jej matce... o tym, że Jessie nie jest kuzynką twojego ojca. To tylko przypuszczenie, ale podejrzewam, że mogła maczać w tym palce twoja niedoszła narzeczona. Ktokolwiek to był, bardzo się postarał, żeby zniszczyć reputację twojej żony.

Matthew zamknął oczy, próbując odzyskać spokój, ale żal ścisnął jego serce na myśl o Jessie i o tym, ile musiała wycierpieć przez tak zwanych „przyjaciół”.

- Tego zawsze bała się najbardziej - szepnął. - Muszę do niej jechać. Wywieźć ją z Londynu. Teraz najważniejsze jest jej bezpieczeństwo.

Zaczął wyglądać jakiegoś powozu, ale Wolvermont złapał go za ramię.

- Mój powóz już czeka. Odwiozę cię do domu.

Matthew skinał głową z wdzięcznością. Mógł myśleć jedynie o Jessie i o tym, że nie był przy niej, kiedy najbardziej go potrzebowała. Jak ona musi teraz cierpieć!

* * *

Matt wchodził po schodach na werandę. Głośne bicie serca zagłuszało odgłos jego kroków. Już z zewnątrz dostrzegł, że w salonie tli się jedynie blade światło. Nie szukał jej tam jednak. Udał się prosto na górę, do sypialni żony. Nie zastał tam nikogo, a łóżko było zaścielone. Zauważył otwarte drzwi między ich apartamentami. Wbiegł szybko do drugiej komnaty, jednak ona również była pusta. Żołądek coraz bardziej podchodził mu do gardła.

Przy jego biurku dopalała się lampka. Jej blade żółte światło rzucało blask na małą kartkę. Matt sięgnął po nią drżącą ręką i zmusił się do jej przeczytania.

Najdroższy Matthew,

Kiedy będziesz czytać ten list, ja będę już dawno. Nigdy nie dowiesz się, jak bardzo mi przykro z powodu wszystkich krzywd, które Wam wyrządziłam. Proszę, uwierz mi, że nigdy nie chciałam zranić ani Ciebie, ani Twojego ojca, który zawsze okazywał mi tyle serca. Żałuję, że odpłaciłam mu za to skandalem. Może moim wyjaz-

dem zdołam choć częściowo naprawić wyrządzone zło.

Najukochańszy, mam nadzieję, że przy najbliższej sposobności uda Ci się anulować małżeństwo. Powiedz wszystkim, że podstępem zmusiłam cię do złożenia przysięgi, że zwiodłam Cię tak samo, jak ich.

Nie martw się o małą Sarę. Zabieram ją ze sobą, żeby jej pochodzenie nie stanowiło kolejnego zagrożenia dla Twojej reputacji. Jeszcze raz bardzo Cię przepraszam. Wiedz, że będę Cię kochać do końca moich dni.

Jessie

Łzy napływały mu do oczu i słowa zaczęły rozmazywać się przed oczami. Zgniótł kartkę w dłoni i wybiegł z powrotem na korytarz w stronę schodów. Zatrzymał się przy głównym wejściu, na widok przerażonej twarzy Ozziego.

- Gdzie jest ojciec?

- W salonie, wasza lordowska mość.

Pobiegł w tamtą stronę, zobaczył, że pokój wciąż pogrążony jest w mroku i zrozumiał, że ojciec cały czas siedział w ciemnościach. Podbiegł do mężczyzny kołyszącego się przy dogasającym ogniu kominka.

- Odeszła - powiedział Matthew bez zbędnych wstępów.

Starzec skinął jedynie głową. Błede światło podkreślało smutek na jego twarzy i ślady po zaschniętych łzach na policzkach.

- Co masz zamiar zrobić?

Matt poczuł rozdzierający ból w piersi.

- Co mam zamiar zrobić? - Gorzki śmiech wydobył się z jego gardła. - Moja żona i mała przerażo-

na dziewczynka błakają się gdzieś samotnie po ciemnych ulicach. Uciekły w środku nocy w jakimś dziwnym przeświadczeniu, że w ten sposób mnie ochronią, a ty się pytasz, co mam zamiar zrobić? - Wpatrywał się w ojca, ale spojrzenie starca nie złagodniało. - Czy byłem aż taki okrutny? - powiedział załamującym się głosem. - Czy naprawdę myślałeś, że poświęcę Jessie i Sarę, żeby chronić dobre imię Belmore?

Ojciec poruszył się w fotelu.

- Wiedziałem, że ci na nich zależy. Nie wiedziałem tylko jak bardzo.

- A więc wyrażę się jasno. Idę za nimi. Jessie to moja żona, a Sara to moja córka. Są moją rodziną, tak samo jak ty. Kocham je nad życie i mam gdzieś, co sobie ludzie pomyślą.

Markiz wyprostował się. Po raz pierwszy odkad przeczytał list leżący na biurku syna, do jego serca zakradł się promyk nadziei.

- Stangret zabrał ją do portu. Martwił się, że coś jest nie tak i po powrocie rozmawiał z Ozziem. Ozzie przyszedł do mnie i opowiedział mi o wszystkim, a potem znalazłem liścik, który ci zostawiła. Pomyślałem, że najlepiej będzie poczekać na twój powrót.

- Kiedy wyjechały?

- Kilka godzin temu. Myślisz, że uda ci się je znaleźć? Matt zacisnął mocniej kartkę w dłoni.

- Znajdę je.

Nie oglądając się za siebie, skierował się do drzwi. Starł się ignorować ból pulsujący w ramieniu.

- Matthew? - Głęboki głos ojca zatrzymał go przy wyjściu.

Odwrócił się.

- Tak, ojczu?

Markiz uśmiechnął się delikatnie.

- Witaj w domu, synu.

Rozdział 26



Nazywali ją Smutną Damą. Jessie pochyliła się nad prostym, drewnianym stołem w gospodzie „Pod Ognistym Rumakiem” i wytarła mokrą plamę piwa, które rozlało się po powierzchni. Smutna Dama. Odpowiednie imię dla kobiety, której rysy zdradzały cierpienie, wypełniające jej serce.

Wytarła spracowane dłonie w fartuch okrywający jej prostą, brązową spódnicę i powróciła do baru po porcję grogu dla marynarzy, którzy właśnie weszli do środka. Gospoda znajdowała się na nabrzeżu w pobliżu Charleston, niewielkiego portowego miasteczka na wybrzeżu Karoliny Południowej.

Ponad miesiąc temu wypłynęły z Sarą i Violą w długą podróż do Ameryki na pokładzie jednego z trzech statków, które opuszczały tamtego ranka port w Londynie. Jeden kierował się do Indii Zachodnich, kolejny do najdalej oddalonych wybrzeży Indii. Ameryka wydawała się jej najlogicznym wyborem.

Kapitan zgodził się utrzymać ich obecność na statku w tajemnicy, na wypadek gdyby papa Reggie odkrył, że ich nie ma i próbował je odnaleźć. Na myśl o nim czuła dławienie w gardle. Tak bardzo za nim

tęskniła. Miała nadzieję, że dobrze się czuje, i że skandal nie pogorszył jego zdrowia.

O Matthew starała się w ogóle nie myśleć. Za każdym razem, gdy jego obraz stawał jej przed oczami, zbierało jej się na łzy, a płacz to ostatnia rzecz, jaka jej teraz potrzebna. Jednak cierpienie musiało odbijać się na jej twarzy, gdyż mężczyźni w gospodzie próbowali ją rozweselić. Opowiadali jej o swoich podróżach dookoła świata, przynosili małe upominki, śpiewali piosenki. Traktowali ją z szacunkiem i uprzejmością, która zaskakiwała nawet ją. Stawali w jej obronie, gdy jakiś cudzoziemiec robił się zbyt agresywny, albo podpity marynarz zaczynał rzucać pod jej adresem uszczypliwe uwagi.

Nazywali ją Smutną Damą, gdyż, jak mawiali, nawet gdy się uśmiechała, wyglądała na smutną.

Uśmiechała się teraz ze smutkiem na myśl o małej Sarze, śpiącej na sienniku w pokoju przy stajni, w którym zamieszkały we trójkę. Bała się, że dziewczynka będzie musiała zmierzyć się z podobnymi problemami, z jakimi kiedyś zmagą się Jessie.

Choć może nie będzie musiała. Może uda się jej uciec. Może...

Jessie westchnęła i postawiła kufle grogu przed mężczyznami.

Sarze nie uda się uciec. Tak jak żadnej z nich. Jessie już dawno porzuciła to marzenie.

- Tutaj, kochana! - zawołał jakiś marynarz. - Muszę natychmiast się czegoś napić. Rusz się, dziewczyno!

- Opanuj się, człowieku! - wrzasnął jeden ze stałych bywalców, Jake Barley. - Nie widzisz, że dziewczyna uwija się, jak może?

Jessie uśmiechnęła się z wdzięcznością i poszła do baru zrealizować zamówienie.

- Niech przytaszczy tu ten swój zgrabny tyłeczek, jak tylko skończy - rozległ się kolejny szorstki głos. W tym momencie zerwał się z miejsca muskularny Irlandczyk, Sean Nolan.

- Trzymaj język za zębami - ostrzegł. - Nie widzisz, że masz do czynienia z damą?

Mężczyzna rzucił jej ostre spojrzenie i tylko burknął coś pod nosem.

Dama. Już dawno do niej dotarło, że nią nie była i nigdy nie będzie. Nie pojmowała jednak, dlaczego ta myśl wciąż sprawia jej tyle bólu.

* * *

Matthew stał przy relingu na brygantynie „Windmere”. Do Charlestonu pozostał jeszcze dzień drogi - jeden dzień, zanim dotrą do celu jego podróży. Najdłuższy dzień w jego życiu.

Oślaniając oczy przed słońcem skierował wzrok w stronę wybrzeża Karoliny. Modlił się w duchu, żeby znalazł tam kobietę, której szuka. Trzy tygodnie zajęło mu ustalenie, którym statkiem popłynęła. Musiał być pewny. Zła decyzja kosztowałaby go miesiące żeglowania w złym kierunku. Mógłby wtedy zgubić jej ślad na zawsze.

W końcu sprawę załatwiła obietnica wysokiej nagrody. Jeden z robotników portowych widział trzy kobiety wchodzące na pokład „Gallanta”, kierującego się do Ameryki. Mężczyzna opisał je dokładnie, a w końcu jakiś inny robotnik potwierdził słowa pierwszego.

Dwa dni później Matt wyruszył w wyczerpującą podróż, która zdawała się trwać wieki. Każdy dzień spędzał na rozmyślaniu o najróżniejszych niebezpieczeństwach, które czyhają na dwie samotne ko-

biety z dzieckiem. Teraz, gdy spoglądał na horyzont i zaciskał kurczowo dłonie wokół relingu, również myślał o Jessie i modlił się, żeby nic jej się nie stało.

Zastanawiał się, gdzie jest i czy tęskni za nim choć w połowie tak mocno, jak on za nią.

Miał nadzieję, że Bóg wysłucha jego prośb i pomoże mu ją znaleźć oraz poprzysiągł sobie, że nie spocznie, dopóki to się nie stanie.

* * *

W małym pokoiku na tyłach stajni Jessie pochyliła się nad złotowłosą dziewczynką, śpiącą na sienniku na podłodze. Delikatnie odgarnęła jedwabiste włoski z jej twarzy. Sara bardzo dzisiaj marudziła, ciągle wypytywała o Matta, chciała wiedzieć, dlaczego tata z nimi nie przyjechał. Jessie odpowiedziała jej, że tata bardzo chciał być z nimi, ale musiał zostać i zaopiekować się ludźmi w Belmore.

Sara chciała wiedzieć, kto w takim razie zaopiekuje się nimi.

Jessie przełknęła łzy i starała się zignorować ukłucie żalu. Chciała dać małej Sarze coś więcej - dom i rodzinę, kochających rodziców. Próbowwała naprawić swoje życie, ale zabrnęła tylko w ślepy zaułek. To niesprawiedliwe. Jednak, jak powiedział Wolvermont, życie rzadko jest sprawiedliwe.

Przynajmniej nie była ladaczną. Wiedziała, że nigdy nią nie będzie. W sercu wciąż pozostawała żoną Matthew i nic tego nigdy nie zmieni.

Bez względu na to, jak potoczy się jej życie, nigdy nie zrobi niczego, co przyniosłoby wstyd jego nazwisku.

* * *

Matthew szedł pewnie ulicą wzdłuż nabrzeża w Charlestonie. Jego ciężkie buty stukały głośno o surowe deski, poukładane nierówno na błotnistej drodze. Przybył wczoraj do portu. Półtora dnia zajęło mu znalezienie ukochanej - kobiety, którą nazywali Smutną Damą.

Dziwne, jak bardzo poruszył go ten przydomek. Poczucie winy i ból, który jej sprawił, mieszało się z radością, że jej miłość do niego jest równie głęboka, jak jego miłość do niej.

Teraz zastanawiał się nad tym, czy nic jej nie jest i co ma jej powiedzieć. Układał w głowie tysiące zdań, jednak żadne nie wydawało się odpowiednie, żadne nie oddawało cierpienia i pustki w sercu, jaką czuł po jej wyjeździe.

Słowa same przyjdą, przekonywał się w duchu Matt. I tym razem je wypowie.

Zatrzymał się przed wejściem gospody „Pod Ognistym Rumakiem”. Zaschło mu w ustach, serce waliło jak młot. Modląc się, by wszystko było w porządku, otarł dłonie o bryczesy, otworzył z impetem drzwi i wszedł do zadymionego pomieszczenia.

* * *

Jessie wycisnęła ług ze ścierki, którą szorowała ciężkie drewniane stoły w barze i skrzywiła się, spojrzawszy na piekące, zaczerwienione dłonie. Było jeszcze wcześniej. Tylko przy jednym stole siedzieli goście - marynarze z okrętu właśnie przybyłego z Anglii. Rozsiedli się wygodnie na krzesłach i ze śmiechem oddawali się popołudniowej grze w karty.

Jessie wyteżyła całą siłę woli, żeby nie spoglądać w ich kierunku, nie podbiec do nich i nie zacząć wypytywać o wieści z ojczyzny. Tak bardzo tego chciała! Dobry Boże, jakże byłaby szczęśliwa mogąc choćby tylko usłyszeć ten energiczny, brytyjski akcent.

Pochyliła się jednak nad stołem i zaczęła wykonywać zamaszyste ruchy ścierką, próbując stłumić bolesne wspomnienia i nie zwracać uwagi na marynarzy. Mimo to myśli o Anglii i o Matthew same zakradały się do jej głowy i ogromny żal znów ścisnął jej serce.

Jessie zmoczyła ścierkę, wycisnęła ją i zaczęła przecierać stół w rogu sali. Kilka jasnych kosmyków wysunęło się jej spod chustki i przykleiło do policzka. Odgarnęła je dłonią nie przerywając pracy. Nie zwróciła uwagi na odgłos zbliżających się kroków. Przerwała dopiero wtedy, gdy ciemne, męskie palce delikatnie dotknęły jej popękanej dłoni.

- To chyba zbyt prosta praca, nie sądzisz, kochanie? Jak na hrabinę...?

Męska dłoń zadrżała delikatnie. Jessie podniosła wzrok, nie mogąc uwierzyć, że ten głęboki głos naprawdę należy do niego.

- Matthew... - Pochłaniała wzrokiem jego piękne rysy, choć jej umysł krzyczał, że musi odesłać go do domu. - Nie powinieneś być przyjeżdżać.

Ciemnoniebieskie oczy zatopiły się w jej twarzy. Ujął delikatnie jej spracowaną rękę i przycisnął ją sobie do ust.

- Jesteś moją żoną, Jessie. Czy naprawdę sądziłaś, że nie przyjadę?

Mrugnęła gwałtownie, próbując powstrzymać łzy. Dobry Boże, jak ona go kocha!

- Zostawiłam ci liścik...

- Tak... I pewnie myślałaś, że to załatwi sprawę.

Westchnęła ze smutkiem.

- Wystarczy, że...
- Wystarczy, że unieważnię nasze małżeństwo. To chciałaś powiedzieć, kochanie?

Poczuła, jak ogarnia ją coraz większa rozpacz.

- Tak. - Odwróciła wzrok, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy. Ból rozdzierający jej serce był prawie nie do zniesienia. - Nie musisz czuć się winny. To wszystko moja wina. Zmusiłam cię podstępem do tego małżeństwa. Tej nocy... w hotelu... Tylko mnie pocałowałaś. Do niczego więcej nie doszło. Cała reszta to kłamstwo...

Myślała, że będzie zły, ale on tylko spojrzął na nią czule.

- Dlaczego? - zapytał miękko.

Spojrzała w te ukochane, niebieskie oczy.

- Bo cię kochałam.

- Wciąż mnie kochasz?

- Tak... - szepnęła, przełykając łzy.

Matt nie odpowiedział. Mrugnął tylko gwałtownie i odwrócił wzrok.

- Zasługujesz na damę, Matthew. Na prawdziwą damę, a nie na taką oszustkę, jak ja.

Spojrzał na nią i zauważyła, że mięsień drgnął mu na policzku.

- Dama? Na litość boską, Jess, masz w sobie więcej z damy, niż jakakolwiek kobieta, z którą miałem do tej pory do czynienia. Jesteś wielkoduszna i troskliwa, inteligentna, zdecydowana i lojalna aż do przesady. Wystarczy, że unieważnię nasze małżeństwo? - dodał zrozpaczony. - I zrezygnuję z najlepszej rzeczy, jaka mi się w życiu przytrafiła? Wystarczy, że porzucę jedyną kobietę, którą kiedykolwiek kochałem i spędzę resztę życia opłakując stratę ciebie i Sary? Gdybym cię zostawił, do końca życia nie zaznałbym spokoju.

Już po chwili tonęła w ramionach męża, z głową przyciśniętą do jego piersi i nie przestawała powtarzać jego imienia.

- Matthew... Matthew... Tak bardzo cię kocham.

- Och, Jessie. - Zsunął chustkę z jej głowy, pogłaskał ją po lśniących włosach i zanurzył twarz w puklach opadających lekko przy jej policzku. - Jak ja za tobą tęskniłem. Kocham cię, Jessie. Kocham cię nad życie. Nigdy mnie już nie opuszczaj.

Jessie zamknęła oczy i poczuła łzy wypływające jej spod rzęs.

- Nie... Już nigdy cię nie opuszczę. - Nie mogłaby. Nie przeżyłaby kolejnego rozstania. Ból był po prostu zbyt wielki.

Odchyliła się, żeby na niego spojrzeć.

- Jak możemy tam wrócić, Matthew? Co zrobimy?

- Nie musimy wracać do Anglii - rzekł i znów przytulił ją do siebie. - Przynajmniej nie od razu. Wolvermont posiada plantację na Barbadosie. Możemy tam zostać tak długo, jak będziemy chcieli. Jeśli nam się tam spodoba, może nawet sami kupimy jakąś ziemię? Jeśli nie, zawsze możemy wrócić tutaj - uśmiechnął się. - Nie ma znaczenia, gdzie będziemy. Najważniejsze, żebyśmy byli wszyscy razem.

- Matthew... - Jessie objęła go za szyję i przyłgnęła do niego całym ciałem. Wyraźnie czuł, że drży. W końcu szuranie krzesel i niskie męskie głosy uświadomiły im, gdzie się znajdują.

Gdy Jessie uniosła głowę, zobaczyła Jake'a Barleya, Seana Nolana oraz kilka innych znanych sobie twarzy. Na każdej z nich malował się szeroki uśmiech.

- Przyjechałeś zabrać swoją panią do domu? - zapytał Sean.

Matthew wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ta pani to moja żona. Tak, zabieram ją do domu.
- Podejrzewaliśmy, że prędzej czy później zjawi się tu jej mężczyzna - oznajmił Jake. - Gdyby tego nie zrobił, byłby chyba jakimś głupcem.

Matthew spojrzął żonie w oczy.

- W rzeczy samej - rzekł, pochylił głowę i złożył na jej ustach gorący pocałunek, który zdawał się mówić, że hrabiego Stricklanda można nazwać różnie, ale na pewno nie głupcem.

Epilog



Reginald Seaton wygrzewał się w ostatnich promieniach popołudniowego słońca, które wlewały się przez okna do salonu. Mała Sara Seaton, teraz adoptowana córka jego syna, siedziała naprzeciwko na kanapie. Na kolanie wesoło podskakiwał mu roczny blondynek, Reginald Matthew III.

- Opowiedz nam jeszcze jedną historię, dziadziu - marudziła Sara. - Proszę.

Markiz zachichotał pod nosem.

- Nie dziś, kochanie. Dziadzio robi się już za stary na snucie długich opowieści.

Spojrzął na przeciwległy kraniec pokoju, gdzie siedziała Cornelia Seaton, nowo utytułowana markiza Belmore, śmiejąc się z czegoś, co powiedziała Jessie. Żona zerknęła na niego kątem oka i jej ciepłe spojrzenie zdawało się mówić, że wcale nie jest taki stary. Musiała powiedzieć coś w tym stylu do Jessie, gdyż teraz to ona roześmiała się wesoło.

Reggie uśmiechnął się z zadowoleniem na melodyjny dźwięk, którego tak brakowało w Belmore przez ostatnie dwa lata. Tyle zajęło mu załatwianie spraw związanych z powrotem rodziny do domu. Dwa lata kombinowania, pieniędzy przechodzących z rąk do rąk,

delikatnych sugestii wysuwanych w stronę Landsdowne'a, wraz ze zwrotem niespłaconego zaległego weksla, że informacje, które zdobyła jego córka, mogą być nieprawdziwe, że pewnie coś się pomieszało.

Córka, oczywiście, protestowała, jednak gdy hrabia wydał ją za surowego lorda Burbage'a, kolegę Matthew z Oksfordu, mąż uparł się, żeby naprawiła swój błąd i zapłaciła za wszystkie problemy, które spowodowała.

Z przekonaniem prywatnego detektywa nie było żadnego problemu. Wystarczyło zaproponować mu dobrze opłacane stanowisko.

Na tym jednak nie koniec. Trzeba było odnowić wszelkie kontakty, zażądać spłacenia wielu długów wdzięczności. Markiz uciekał się do wszystkich znanych sobie sposobów, włącznie z fałszowaniem dokumentów potwierdzających szlachetne urodzenie Jessie. W końcu jednak dopiął swego. Dobre imię Belmore zostało uratowane, a przed hrabią i hrabiną Strickland ponownie otworzyły się salony.

Choć to akurat nie miało dla nich większego znaczenia. Najważniejsze, że znów byli rodziną, i że znów mogli być razem.

Papa Reggie powoli podniósł się z kanapy. Łupnęło mu w kościach od długiego siedzenia z dzieckiem na kolanach. Z uśmiechem zaniósł śpiącego chłopczyka mamie.

- A więc, moja droga, kiedy możemy spodziewać się kolejnego Seatona w rodzinie? Mówiłem ci już, że zanim spotkam się ze Stwórcą, chcę mieć dom pełen dzieci.

Jessie się roześmiała.

- Papo Reggie, przygotowujesz się do spotkania ze Stwórcą od dnia, w którym cię poznałam. Tak naprawdę przeżyjesz pewnie nas wszystkich.

- No właśnie, intrygancie - wtrącił Matt. - Kiedy tak sobie teraz o tym myślę, wydaje mi się, że udawałeś całą tę chorobę, żeby wyswatać mnie z Jessie.

Markiz uniósł brwi ze zdumieniem.

- Jak możesz mówić coś takiego? - Jednak reżolutny błysk w oku i ukradkowe spojrzenie rzucone Cornelii wystarczyły, by młodzi nabrali podejrzeń.

- Nawet jeśli faktycznie wszystko sobie zaplanowałeś - rzekł Matt - to i tak musiałbym ci podziękować, ojczu. Ślub z Jessie to najlepsze, co mogło mi się przytrafić i jeśli twoja w tym zasługa, będę ci dozgonnie wdzięczny.

Jessie uśmiechnęła się na słowa męża, pochyliła się i pocałowała go w policzek. W jego oczach pojawił się szelmowski błysk. Szepnął coś żonie do ucha i jej uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Dzieci są już śpiące - rzekł Matt. - Jessie i mnie też przydałby się odpoczynek. - Rzucił żonie czułe, ale zarazem gorące spojrzenie. - Chyba zdrzemniemy się trochę przed kolacją.

- Dobry pomysł - rzekł Reggie, spoglądając na syna, którego wprost rozpierała energia. - Jak już powiedziałem...

- Wiem - uciał Matt. - Zanim spotkasz się ze Stwórcą chcesz mieć dom pełen dzieci.

Markiz, przebiegły jak zawsze, po prostu spojrzął na syna i uśmiechnął się od ucha do ucha.